

Szalony baron

Coulter Catherine

Książka I z Baron



calibre 0.9.43

CATHERINE COULTER

SZALONY BARON

ROZDZIAŁ 1

Rezydencja Mountvale, Cavendish Square Londyn, kwiecień 1811

Rohan Carrington, piąty baron Mountvale, stał przed portretem swego brata, wykrzykując pod jego adresem bezsilne obelgi.

- Jeżeli naprawdę to zrobiłeś, George, to masz szczęście, że już nie żyjesz, bo i tak udusiłbym cię własnymi rękami. Ty bezczelny typie. Kto by pomyślał, że możesz być zdolny do takiego czynu?

Lecz chociaż tak bardzo się złościł, i tak coś ścisnęło go za gardło. George nie żył od blisko roku. Nie, on nie mógłby tak postąpić. Nie jego rozmiłowany w studiach, uczony brat, który nigdy nie interesował się sprawami damsko - męskimi. Rohan pamiętał jeszcze, jak pewnego dnia ojciec zabrał obu swych synów do domu publicznego madame Trillah przy Cliver Street. Na widok zmysłowej rudowłosej kobiety, obdarzonej wspaniałym biustem, George najpierw zbladł jak płótno, a potem wypadł z burdelu i niemal całą powrotną drogę do domu biegł gnany panicznym strachem.

Po tym wydarzeniu ojciec zostawił go w spokoju, George zaś poświęcił się wyłącznie swoim mapom i studiowaniu. A przynajmniej tak się dotąd Rohanowi zdawało.

- Nie - powiedział teraz, wbijając wzrok w portret brata. Namalowano go, gdy George skończył osiemnaście lat. - Nie wierzę w ani jedno słowo tego przeklętego listu. Ktoś musiał podszyć się pod ciebie. Nie mogę uwierzyć, że byłbyś zdolny z rozmysłem uwieść młodą damę. Do licha, ty chyba nawet nie wiesz, co znaczy to słowo!

I czego może chcieć ode mnie ten człowiek, który podaje się za jej ojca? Głupie pytanie. Pieniądzy, oczywiście. Do Ucha z tobą, George - a raczej do licha z tym facetem, który to zrobił, podszywając się pod twoje nazwisko.

George nie odpowiedział.

Ostatnim Carringtonem, o którym mówiono, że zhańbił młodą damę, był pradziadek Rohana, legendarny Luther Morran Carrington. Jak mawiał dziadek Rohana, stary Luther przyciśnięty do muru bronił się, mówiąc, iż on tylko zadarł suknię Cory w chwili słabości i dobrze ją przyszpilił. Potem przyszpilił ją tak jeszcze ponad czternaście razy, nie bacząc na swój wiek i ośmioro dorosłych dzieci.

Rohan pociągnął za sznur dzwonka, wiszący na ścianie za nieskazitelnie uporządkowanym, mahoniowym biurkiem. Jego sekretarz Pulver musiał stać tuż przy drzwiach, z twarzą przyciśniętą do framugi, gdyż w jednej chwili znalazł się w bibliotece, a jego oddech nie zdradzał, by biegł, śpiesząc na wezwanie. Wyglądał blado, wymizierowany i przemęczony, co zresztą było prawdą, powiedział mu: Kiedyś jego przyjaciel David Plummy powiedział mu: „Dobrze ci tak, skoro zachowujesz się wobec Szalonego Barona niczym niewolnik, godząc się na jego wymagania. Wystarczy pomyśleć o zgoła nieprzyzwoitych porach, w jakich sypia i jada posiłki. Pomiędzy nimi orzesz dla niego niczym wół. A poza tym on sypia z większą liczbą kobiet, niż ty i ja razem wzięci będziemy mieli okazję choćby zagadnąć, i wszyscy go za to kochają, tak jak kochają jego rodziców. To niepoprawny uwodziciel, i wcale mi się to nie podoba. A co do ciebie, Pulver, to nic dziwnego, że wyglądasz,

jakbyś za chwilę miał paść na pysk.”

Pulver potrząsnął wówczas ponuro głową, lecz prawda wyglądała tak, że bardzo dobrze się bawił. Poza tym praca dla barona przynosiła mu całkiem wymierne korzyści. Już kilka dam nieźle go zaopatrzyło, próbując w ten sposób dostać się do sypialni jego pracodawcy.

Pulver stanął wyprostowany przed baronem, który wyglądał, jakby za chwilę miał dostać apopleksji, a jasne włosy sterczały mu na wszystkie strony. Ciekawy był, co też doprowadziło jego pracodawcę do takiego stanu. Nie co dzień zdarzało się bowiem, że baron mówił sam do siebie.

- Pulver, sprowadź mi tu natychmiast tego prawnika, Simingtona. Nie, zaczekaj. - Przerwał, wpatrując się w portret matki, umieszczony na ścianie nad kominkiem tuż obok portretu brata. Namalowano go, gdy matka miała dwadzieścia pięć lat - prawie tyle, ile on ma teraz. Była wówczas piękną, choć i dzisiaj, ponad czterdziestoletnia, niewiele straciła ze swej urody. W młodości przejawiała nieokiełznany temperament niczym sztormowa noc, on zaś, jak mu mówiono, bardzo ją przypominał. A także swego dumnego papę. Twierdzono, że odziedziczył po nich szaloną krew i nieokiełznany temperament.

- Nie - powiedział, wracając myślami do problemu, z którym musiał się zmierzyć. - Zajmę się tym sam. To wszystko jest bardzo dziwne i nie wierzę w ani jedno słowo. Poza tym, skoro nie ma dziecka, nie ma dowodu, że dziewczyna została uwiedziona. W liście nie ma wzmianki o żadnym bękarcie. A gdyby istniał, na pewno nie omieszkaliby o nim wspomnieć, jak sądzisz?

- Nie, muszę się tym zająć osobiście - ciągnął. - Zupełnie nie mam na to ochoty, lecz nie pozostaje mi nic innego. Wyjeżdżam na jakieś trzy dni.

- Ależ mój panie - jęknął Pulver z rozpaczą - należy poczynić pewne przygotowania. Zbyt pan ekscytuje. A poza tym ma pan zmarszczkę na rękawie. I przekrzywiony krawat. A pańskie włosy wręcz domagają się szczotkowania. Na pewno nie spodoba się to pańskiemu lokajowi. Chyba nie myśli pan dzisiaj zbyt jasno.

Rohan machnął listem przed twarzą Pulvera. - Myślę wystarczająco jasno, by wiedzieć, że ktoś powinien rozwalić łeb temu naciągaczowi. Ten człowiek to cholerny kłamca - on albo ktoś inny.

- Najwidoczniej jakiejś kobiecie udało się go złapać. Dawna kochanka, której nie miał ochoty już widywać? I która żądała pieniędzy? - domyślił się Pulver. - Jestem bardzo dobrym negocjatorem - powiedział z fałszywą skromnością, nadal blokując baronowi drogę. - Poradziłbym sobie z każdym naciągaczem w Londynie. A co dopiero mówić o kimś z prowincji. Z łatwością zetrę go na proch.

Rohan uświadomił sobie, że jego sekretarz próbuje przejąć załatwienie sprawy. - Negocjatorem? - powtórzył, oszołomiony. - Ach, pewnie myślałeś o Melindzie Carruthers. Rzeczywiście, okazała się dosyć męcząca. Bardzo dobrze to załatwiłeś, Pulver. Przekonałeś ją, że łowi ryby nie w tym stawie, gdyż nigdy przedtem nawet o niej nie słyszałem. Ale ta sprawa jest inna. Muszę ją załatwić sam, jestem to winien mojemu bratu. Odwołaj wszystkie zaproszenia na przyszły tydzień. - Przerwał, a potem dodał, spoglądając na wymizerowaną twarz sekretarza: - I zjedz coś, człowieku, wyglądasz na jeszcze chudszy niż wczoraj. Ludzie uważają, iż płacę ci zbyt mało, by stać cię było choćby na rzepe. Nawet moja matka sądzi, że cię torturuję.

Pulver nie ruszył się z miejsca, przyglądając się, jak jego pan opuszcza bibliotekę z kawałkiem papieru w dłoni. Tak, najwidoczniej chodzi o kobietę. Ale kobieta i brat barona? To nie mieściło się w głowie. I który brat? Żaden z braci nie przypominał go w najmniejszym stopniu. Pulver dokonał błyskawicznej rekapitulacji, rozważając tych kilka faktów, którymi dysponował. Jak dotąd, nie było tego wiele. Lecz on potrafi czekać. Już wyobrażał sobie ten wyraz zawiści na twarzy Plummy'ego,

kiedy usłyszysz o nowym wyczynie barona.

Rohan udał się prosto do swej sypialni, którą zaczął przemierzać niecierpliwie, mruczając coś na temat swego prostolinijnego brata, który musiał wpaść w złe towarzystwo, w następstwie czego ktoś posłużył się jego imieniem. Lokaj Rohana, Tinker, który nie rozumiał, co mruczy baron, choć bardzo się starał, pakował walizę, zastanawiając się, co wpędziło jego chlebodawcę w tak podły nastrój. Na pewno ten nagły wyjazd miał coś wspólnego z kobietą. Jak każdy wyjazd barona. Wszyscy o tym wiedzieli. Baron znany był ze swoich wypraw. Ale tym razem chodziło chyba o coś więcej niż tylko namiętność i pożądanie. Cóż to mogło być? Tinker był cierpliwy. Wiedział, że i tak wkrótce wszystkiego się dowie. Zastanawiał się tylko, czy Pulver wie więcej niż on.

Rohan nie pomyślał o Lili, dopóki nie znalazł się na drodze do Reading, piętnaście mil za Londynem. Westchnął. Zapomniał zawiadomić, że nie będzie mógł pojawić się u niej dziś wieczorem. Tyle miał do zrobienia! No cóż, w końcu nie będzie go tylko trzy dni.

Kim do diabła był ów Joseph Hawlworth z Mulberry House, zamieszkały w Moreton - in - Marsh, miasteczku niezbyt oddalonym od Oksfordu, gdzie jego uczony brat pędził samotne życie?

Zuzanna podniosła twarz ku słońcu. Było takie wspaniałe. Przez dwa poprzednie dni bez przerwy padało i wszyscy mieli już tego dosyć. Teraz słońce świeciło znowu, jakby sam Bóg zesłał je dla niej. Delikatnie poklepała tłustą, czarną ziemię wokół różanego krzewu i przeszła się w stronę rabatki ubiorków, z których była tak dumna. Sadzonki przysłała jej kuzynka, która rozmawiała na ten temat z ogrodnikiem w Chelsea i dowiedziała się, że kwiaty te sprowadzono do Anglii z Persji zaledwie przed kilkoma laty. Poprzedniej jesieni Johnowi udało się zdobyć dla niej sadzonki i teraz, gdy wygrzewała się w słońcu, przesuując dłonią po wiecznie zielonych liściach i bujnych białych kwiatach, przypomniała sobie, jak jej opowiadał o kraju ich pochodzenia. Ciekawe, czy kiedykolwiek będzie mogła podzielić się tą wiedzą z ojcem. Prawdopodobnie nie. Ani z nim, ani z nikim w najbliższej okolicy.

Wyrwała jakiś szczególnie uparty chwast i upewniła się, że ziemia jest odpowiednio wilgotna, zaklinając w duchu słońce, aby nie przestawało świecić. Ubiorki do prawidłowego rozwoju potrzebowały słońca.

Wtem odwróciła się i spojrzała w stronę podjazdu. Wyraźnie słyszała turkot kół powozu. Ojciec powinien być w Szkocji, a przynajmniej tak jej powiedział, choć wiedziała doskonale, że właśnie przegrywa z kompanami ostatnią koszulę w Blaystock. Z westchnieniem podniosła się na nogi. Jakiś handlarz? Nie, niemożliwe. Zanim pozwoliła ojcu opuścić Mulberry House, upewniła się, że wszyscy kupcy zostali spłaceni. W końcu zrobił to, utyskując pod nosem, jaką to jędrą stała się jego córka.

Do kogo zatem należał powóz? Obeszła narożnik domu i zobaczyła wspaniałego siwka, który parskał i niemal stawał dęba, protestując przeciwko przystankowi. Mężczyzna, stojący obok dwukółki, przemawiał ciepło do konia, który odpowiadał mu niecierpliwym parskaniem. Było to potężne zwierzę, mierzące w kłębie co najmniej półtora metra. Kiedy koń nieco się uspokoił, mężczyzna rozejrzał się wokół, szukając zapewne stajennego.

- Proszę chwilę poczekać, zaraz sprowadzę Jamiego - zawołała. - Zajmie się pańskim koniem.

- Dziękuję - odkrzyknął mężczyzna.

Kiedy wróciła z Jamiem, który ucinął sobie drzemkę w stogu świeżego siana, mężczyzna znów poklepywał pysk konia, przemawiając do niego czule.

- Ojej - powiedział Jamie, wysuwając się naprzód. - Rety, zerknijcie tylko na tego zucha. Dobrze

go nakarmię, panie, nie musi się pan martwić. Jak się nazywa to cudo?

- Guliwer.

- Dziwne imię jak na tak męską bestię, bo taki właśnie jesteś - prawdziwa bestia - choć pewnie wycięli ci to i owo. Guliwer, co? Nigdy dotąd nie słyszałem o takim imieniu, ale co z tego? Teraz go zabiorę. Jaki on szarutki, tylko ta biała gwiazdka na czole... Chodź ze mną, zuchu.

Rohan nigdy dotąd nie słyszał takiej angielszczyzny, tyle niepoprawnej co intrygującej, a do tego niemal wyśpiewanej głębokim barytonem. Przez chwilę przyglądał się, jak stajenny odprowadza za dom Guliwera wraz z dwukólką. Guliwer tańczył obok niego, potrząsając wielką głową i przysłuchując się stajennemu, zupełnie tak samo jak wówczas, kiedy zajmował się nim jego pan. Teraz robił to jednak z o wiele większym entuzjazmem niż ten okazywany własnemu panu, który przecież płacił za jego obrok.

Rohan przyglądał się koniowi, Zuzanna zaś obserwowała Rohana. Kiedy Jamie i Guliwer zniknęli wreszcie za węgłem, została na podjeździe sama, wpatrzona w eleganckiego mężczyznę, którego płaszcz ozdabiała co najmniej sześć pelerynek. Był młody - nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lub dwadzieścia sześć lat - i bardzo przystojny. Zbyt przystojny i najwidoczniej o tym wiedział. Zmarszczyła brwi. Wyglądał znajomo, lecz jakoś nie potrafiła go umiejscowić w swojej świadomości. Przynajmniej nie od razu.

Zajął jej to dalszych dziesięć sekund. A potem wciągnęła gwałtownie oddech i zrobiła krok w tył. - Jest pan bratem George'a, Szalonym Baronem. Dobry Boże, nie miałam pojęcia, że tacy jesteście do siebie podobni!

Zbladła tak, że przez chwilę obawiał się, iż padnie u jego stóp zemdlona.

- Doprawdy? Chyba myli się pani. George miał czarne włosy i ciemnobrązowe oczy. W ogóle nie jesteśmy do siebie podobni.

- Nie rozumiem - powiedziała powoli. - Co pan mówi? George miał oczy niemal równie zielone jak pan - oczy swego ojca, jak mówił - a włosy tylko nieco ciemniejsze niż pańskie.

No cóż, trudno. Jego mały podstęp się nie udał.

- A zatem - powiedział - to rzeczywiście musiał być George. Znała go pani.

A skoro tak, to może nie wiedziała nic o tym nikczemnym planie. W każdym razie jednego był już pewien. To musiał być George, jakkolwiek fantastycznie by to brzmiało.

- A zatem - powiedział, nie kłaniając się, nie podając jej ręki, nie robiąc niczego poza spoglądaniem na zaniedbane gospodarstwo, brakujące cegły w kominie i otaczający dom wspaniały ogród. - Skoro odgadła pani, kim jestem i opisała George'a niemal od stóp do głów, to pani musi być ową dziewczyną, którą rzekomo uwiódł?

Przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu. Ciemne smugi odbijały się jaskrawo od bieli jej twarzy. Milczała.

- A więc to nie ty. No dobrze, jesteś pokojówką, i na dodatek brudną. Widywałaś George'a, gdy tu przyjeżdżał? Pracujesz tutaj? Dla tego nędznego typy, który napisał ten bezczelny list? Jeżeli tu pracujesz, to chyba niezbyt się przykładasz. Ten dom wygląda, jak by za chwilę miał się zawalić.

- To prawda - powiedziała po chwili. - Lecz czy pokojówka może być odpowiedzialna za to, jak dom wygląda z zewnątrz?

Ta odpowiedź dała mu do myślenia. Zuzanna uśmiechnęła się. Zdawała sobie oczywiście sprawę, że większość szanujących się pokojówek nawet by na nią nie spojrzała. Miała brudne ręce, czarne smugi na muślinowej sukience, brud za paznokciami, a włosy opadały jej na twarz.

Jeszcze przez chwilę pozwoliła mu się pomęczyć, a potem powiedziała: - Nie tylko tu pracuję, ale i mieszkam.

- A zatem nie jesteś pokojówką?

- Nie, nie jestem. - Nie powiedziała nic więcej. W milczeniu przyglądała się, jak wyciąga z kieszeni arkusz listowego papieru i wymachuje nim przed jej oczami.

- Jeżeli pani tu mieszka, to może mogłaby mi pani powiedzieć, dlaczego ten człowiek, Joseph Hawlworth, napisał do mnie bezczelny list, w którym oskarża mojego brata, że panią uwiódł? I czy to w końcu o panią mu chodzi?

ROZDZIAŁ 2

Milczała dłużej niż zwykle potrzeba lokajowi na zawiązanie krawata. Rohan nie odznaczał się cierpliwością, ale tym razem postanowił wytrzymać. Chociaż na usta cisnęło mu się mnóstwo pytań, zdecydował, że tym razem okaże cierpliwość. Przeczekała. Wreszcie rozłożyła swoje niezbyt czyste dłonie i oznajmiła:

- Nie zostałam uwiedziona. Nic takiego nie miało miejsca.

- Ale znała pani mojego brata George'a? Zdaję sobie sprawę, że wie pani, jak on wyglądał, ale czy naprawdę była pani z nim blisko?

- Tak, byłam, lecz mnie nie uwiódł. Czy mogę przeczytać ten list?

Wręczył jej list. Musiała wyprostować papier, tak był pogięty, a ślady te były świadectwem jego gniewu. No cóż, ojciec w pełni na to zasłużył. Przeczytała:

Drogi lordzie Mountvale. Pański brat, George Carrington, zhańbił moją córkę. Jest pan głową rodziny, a zatem to na pana spada obowiązek...

Wciągnęła gwałtownie oddech. Intencje ojca były boleśnie oczywiste. Bardzo powoli, ostrożnie, wręczyła mu list z powrotem. - Mój ojciec bardzo się myli. Spojrzała na niego. - George mnie nie zhańbił - powtórzyła znów niczym litanie. Nienawidziła tego. Wiedziała teraz, dlaczego jej ojciec w takim pośpiechu opuścił Mulberry House. Napisał ten przeklęty list, a potem usunął się z linii ognia, zostawiając ją samą, by poradziła sobie z tym szantażem.

Nie miał pojęcia, że brat George'a to rozpustny satyr, którego wyczyny nadawały temu określeniu zupełnie nowy wymiar. Lecz kiedy George mówił jej o tym, zatarł dłonie i dodał, że jego brat jest zarazem najlepszym człowiekiem na świecie. Nie rozumiała tego, bo przecież ostrzegł ją, że powinna unikać Rohana, dopóki on nie znajdzie sposobności, by mu ją przedstawić. Nie ukrywał, że jeśli jego brat uzna, iż ona stanowi dla George'a jakiegokolwiek zagrożenie, zniszczy ją bez chwili wahania, nie bacząc na to, co powie lub zrobi George. Jakież to wszystko niejasne...

A teraz stała twarzą w twarz z jego starszym bratem. I nie było przy niej George'a. Wcale nie miała zamiaru spotykać się z baronem, przedstawiać mu się ani rozmawiać z nim. Nie chciała nawet, by o niej wiedział.

Rohan złożył list i schował go do kieszeni płaszcza.

- Gdy otrzymałem ten list, byłem o wiele bardziej zdumiony, niż mogę wyrazić. A zatem ten Hawlworth to pani ojciec?

- Tak, to mój ojciec. Teraz go tu nie ma.

- I to on jest panem tego wspaniałego domostwa? - zapytał, spoglądając wymownie na komin.

- Tak, on jest tu panem. Jestem jego córką, i jak już panu powiedziałam, George mnie nie zhańbił. Mówię poważnie. Może pan spokojnie odjechać. Nie chcę pańskiej pomocy ani jej nie potrzebuję. Przykro mi, że ojciec tak postąpił. Może pan być pewien, że nieźle natrę mu za to uszu.

Rohan nie oczekiwał tego. Rozwój wydarzeń zaskoczył go, a on nie lubił być zaskakiwany. Ta sprawa od początku rozwijała się nie po jego myśli. Pierwszy wstrząs przeżył, kiedy się dowiedział,

że jego uczony braciszek, który zdawał się w ogóle nie wiedzieć o istnieniu czegoś takiego jak seks, potrafił wzbudzić w sobie dość pożądania, by kochać się z tą miłą młodą damą. Bo ona niewątpliwie była damą, pomimo brudu za paznokciami i całej reszty. Dobre pochodzenie widoczne było w całym jej zachowaniu, w precyzyjnym i jasnym sposobie wysławiania się.

- Dlaczego jest pani taka brudna?

Podniosła głowę i uśmiechnęła się. Miała bardzo miły uśmiech, choć, oczywiście, zupełnie go to nie obchodziło.

- Proszę, niech się pan rozejrzy. To ja jestem tu ogrodnikiem. I jestem w tym dobra. Rośliny mnie kochają. Czy mam pokazać panu moje lilie, irysy i ubiorki? A moje róże słyną na całą okolicę.

Ona ogrodnikiem? To było coś, lecz nie pozwoli odwieść się od tematu. - Co miała pani na myśli mówiąc, że George pani nie uwiódł?

- Dokładnie to, co powiedziałam. A teraz może pan już odejść. Zaraz zawołam Jamiego. Przepraszam, że niepotrzebnie kazałam mu wyprząc pańskiego konia.

- Nie, proszę poczekać. - Dotknął lekko jej rękawa. - Proszę posłuchać, nie jest pani taka, jakiej się spodziewałem, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Chciałbym z panią porozmawiać. Mój brat nie żyje już prawie od roku. Skoro pani go znała, chciałbym, aby opowiedziała mi pani o nim. Wygląda na to, że w jego życiu były sprawy, o których nie miałem pojęcia, na przykład pani.

- George interesował się wieloma sprawami - powiedziała spokojnie.

- A zatem dlaczego nie przyjechała pani na jego pogrzeb? I dlaczego on nie przyszedł do mnie i nie powiedział o pani?

- Czekał na właściwy moment, przynajmniej tak twierdził. Sądzę, że ten moment nigdy by nie nastąpił. - Wzruszyła ramionami. - A potem było już za późno. A jeśli chodzi o pogrzeb, nie mogłam przyjechać.

- Dlaczego?

- Byłam potrzebna tutaj. Nie mogłam opuścić domu.

Coś tu się nie zgadzało. George czekał na odpowiedni moment, by mu powiedzieć? Powiedzieć mu o czym? Że pragnie poślubić tę ładną dziewczynę o twarzy pokrytej brudnymi smugami, dziewczynę, która była ogrodnikiem w domu własnego ojca?

- Czy moglibyśmy wejść do środka? Gorąco mi i chce mi się pić.

- Dlaczego więc nie zdejmie pan tego płaszcza?

Zmarszczył brwi. Nie przywykł do tego, aby kobiety traktowały go uszczypliwie - no, może trochę, a wtedy bywało to nawet zabawne. Jego matka wręcz celowała w subtelnych złośliwościach, okraszonych uśmiechem, od którego mężczyznom natychmiast miękło serce i ugiwały się nogi. Zdjął płaszcz. - Nadal jest mi gorąco i chce mi się pić. To co mam teraz zdjąć? Bryczesy?

Nie wyglądała na szczególnie zainteresowaną ani wstrząśniętą jego nieodpowiednim zachowaniem. Chyba za wszelką cenę starała się uniknąć zaproszenia go do środka. Nie miała jednak wyjścia. Nie wyjedzie stąd, dopóki nie uzna, że dowiedział się wszystkiego. Lecz dziewczyna najwyraźniej próbowała pozbyć się go. Ciekawe, co nią powodowało?

Zamarła na moment, jakby nasłuchując. Wokół panowała cisza. W końcu wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Z przyjemnością zaproponuję panu coś do picia, a może nawet kawałek ciasta, lecz potem musi pan odjechać.

- Nie chce pani ode mnie żadnych pieniędzy?

- Nie. Proszę wejść - powtórzyła, z dłońmi zaciśniętymi sztywno przy bokach. Spodziewała się tego. Pewnie też tak by się zachowywała, gdyby znalazła się na jego miejscu. Wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie, co napisał jej ojciec. Nie wiedziała jeszcze, co mu powie, gdy wróci wreszcie do domu, ale z pewnością nie będzie to nic miłego.

Wszedł za nią do mrocznego holu Mulberry House. W środku panował chłód, być może dlatego, że część okien była zaopatrzona w okiennice, które nie przepuszczały słońca. Wprowadziła go do małego pokoju, zalanego słonecznym blaskiem. W oknach nie było zasłon i znajdowało się tu bardzo niewiele mebli. Tylko pojedyncza sofa pokryta starą brokatową narzutą, zaopatrzona w komplet stosunkowo nowych egipskich nóżek, dwa krzesła, które już z daleka wyglądały na bardzo niewygodne i dywan czysty, ale tandetny. Dębowa podłoga była dobrze wywoskowana, a w kątach nie dostrzegł kurzu.

Temu miejscu z pewnością przydałoby się nieco gotówki. Rozejrzał się wokół i zagryzł wargi. Dlaczego, u licha, nie chciała przyjąć od niego ani grosza? O co tu chodziło?

Wskazała mu krzesło i wyszła z pokoju nie oglądając się za siebie.

Nie było jej co najmniej dziesięć minut, z których osiem spędził, wpatrując się w egipskie nóżki sofy. A potem wróciła, niosąc ze sobą tacę. - Przyniosłam herbatę i cytrynowe ciasteczka. Upiekłam je wczoraj, są więc dość świeże.

- Jest pani także kucharką?

- Zwykle to pani Timmons zajmuje się kuchnią, lecz w tym tygodniu jej córka powiła bliźniaki, więc ona musiała zająć się resztą dzieci.

- Ach, tak. - Wziął ciasteczko. Było tak kwaśne i suche, że z trudem udało mu się je przełknąć. Nie smakowało ani trochę lepiej niż na wpół spleśniały chleb, podawany u Almacka.

- Ojciec też nie przepada za moją kuchnią. Mawia, że gdy tylko spojrzę na kawałek polędwicy, od razu zamienia się w podeszwę, która nadaje się tylko dla Loli, naszej kozy. A jeśli chodzi o te nieszczęsne ciasteczka, to nigdy nie wiem, ile soku cytrynowego powinno się dodać do ciasta. A poza tym nie miałam zbyt wiele cukru, a z pewnością należałoby dodać go więcej.

- Nie potrafię pani pomóc.

- O, to oczywiście, nie wyobrażam sobie, żeby musiał pan kiedykolwiek sam coś robić.

Taka impertynencja nie mogła pozostać bez odpowiedzi.

- Gdybym to ja próbował upiec cytrynowe ciasteczka, z pewnością bym ich nie zepsuł. A to dlatego, że potrafię przeczytać przepis, mam rozum i wiem, jak posługiwać się wagą. A to jest twardsze niż koła mojego powozu. Utkwiło mi w gardle.

- Skoro tak, to jak to możliwe, że nadal może pan tyle mówić?

Chrząknął tylko i upił łyk herbaty, spodziewając się ciepłej lury. Lecz nie, herbata była doskonała. Indyjska, taka, jaką lubił najbardziej. Skinął głową. - A teraz - powiedział, siadając wygodniej na obitym żółtym brokatem krzesła - proszę mi opowiedzieć, jak poznała pani George'a i jak to on pani nie zhańbił czy też - jak twierdzi pani ojciec - wręcz przeciwnie.

- Nie - powiedziała. - Przyjechał pan tu tylko z powodu oskarżenia, które rzucił mój ojciec. Nigdy więcej pan o nim nie usłyszy, przysięgam. Poza tym nie musi pan wiedzieć nic więcej. Może pan odjechać z czystym sumieniem. Wstała. - Do widzenia, lordzie. Przyjemnej podróży do Londynu.

Lecz on tylko machnął dłonią, kształtną, silną, o czystych i wypolerowanych do połysku paznokciach. - Przyznała pani, że dobrze znała mojego brata. Proszę mi opowiedzieć, w jaki sposób go pani poznała.

Westchnęła, najwidoczniej zniecierpliwiona. - Naprawdę wolałabym, żeby pan już sobie poszedł i wrócił do Londynu.

- Skąd pani wie, że wracam do Londynu?

- Jest pan Szalonym Baronem, prawda? Czy większość ludzi pańskiego pokroju nie tam właśnie rezyduje?

Rzeczywiście, czasami tak właśnie go nazywano, co jemu wydawało się raczej zabawne i sprawiało przyjemność jego dumnej matce. Jednak w ustach tej dziewczyny ów nieszkodliwy, jak mu się zdawało, przydomek, brzmiał niczym obelga. Wyprostował się i siedział sztywno niczym pogrzebacz, stojący w kącie pokoju.

- Nie jestem żadnym potworem. A gdybym wiedział, kto nadał mi to głupie przezwisko, z pewnością starłbym go z powierzchni ziemi. George nie wspominał pani o tym?

- Ilekroć nazywał pana tym imieniem, robił to z miłością. Powiedział, że ma pan to we krwi, że to takie obciążenie dziedziczne. I że jego drugi brat Tibolt jest poważnym, niemal świątobliwym człowiekiem, pastorem, i że nie odziedziczył zepsutej krwi. Mówił także, iż wasi rodzice znani są ze swobodnego trybu życia i uwielbiani z powodu swojej rozpusty. Wszelkie błazeństwa uchodzą im płazem. Powiedział także, iż wasz ojciec tylko zaciera ręce, gdy dowiaduje się o pańskiej kolejnej eskapadzie, powtarzając, jaki to z pana diabeł i jaki jest dumny ze swego pierworodnego.

- Proszę, niech pani nie zapomina, że w moich żyłach płynie także krew matki. - Do licha, wcale nie zamierzał tego powiedzieć. Pochylił się, ściskając dłonie między kolanami. - Proszę posłuchać, nie miałem pojęcia, że ojciec opowiadał takie rzeczy. Umarł dwa lata temu. A co do mojej matki, to nie straciła nic ze swoich skłonności do szalonych eskapad, nie musi więc zajmować się moimi. Taka już jest. A pani powtarza po prostu głupie plotki. Nie ma w nich wiele prawdy.

- Czytuję od czasu do czasu „London Times” i „Gazette”. Pojawia się pan na łamach prasy z zadziwiającą regularnością. Pańskie wyczyny wciąż bulwersują ludzi z towarzystwa. Musi pan być bardzo zajęтым człowiekiem, bo czytałam, że romansował pan niemal ze wszystkimi damami w Londynie, że poczynił pan kilka skandalicznie wysokich zakładów dotyczących następcy tronu i wygrał je, że lubi pan napełniać wanny dam szampanem i... no cóż, resztę pomnę milczeniem.

- To nie był zbyt drogi szampan. A jeśli chodzi o kobiety, naprawdę wierzy pani w te bzdury? Nie bałamucę zamężnych dam i nawet rzadko mam okazję zbliżyć się do nich na tyle, bym mógł to robić, niezależnie od tego, czego one by sobie życzyły. Nie, to, co pani czytała, to jakieś absurdalnie przesadzone plotki - przynajmniej większość.

Umilkł nagle. Miał ochotę się uszczypnąć, zdał sobie bowiem sprawę, jak śmiesznie zabrzmiały jego usprawiedliwienia. Dlaczego w ogóle próbował przekonać ją, że nie jest satyrem? Przecież odpowiadała mu taka reputacja. Będzie musiał o tym pomyśleć. Ta dziewczyna sprawiała, że mówił rzeczy, których nigdy nie powinien powiedzieć. A teraz tylko uniosła swoje jedwabiste brwi i przyglądała mu się wzrokiem tolerancyjnej matki przełożonej, przywołującej do porządku błędzącą nowicjuszkę.

- Poza tym to nie pani interes - powiedział, odstawiając filiżankę na spodek. Brzęknęło szkło a on wstał. - Ojciec pani napisał, że George panią zhańbił. Co konkretnie miał na myśli? Czy mój brat panią uwiódł? Odebrał pani cenne dziewictwo? Porzucił panią w kłopotach? Co właściwie ten biedny chłopak pani uczynił? Zdecydowanie nie jest pani naiwną siedemnastolatką. - Zdenerwowany, machnął energicznie dłonią i dodał: - Teraz przynajmniej jest pani czystsza, niż kiedy zobaczyłem panią po raz pierwszy. Ale za paznokciami zostało jeszcze trochę brudu.

- Wiem. Nie mogłam znaleźć rękawiczek. Sądziłam, że pragnie się pan dowiedzieć, jak poznałam pańskiego brata. No cóż, poznaliśmy się i tyle. George nie uczynił niczego wbrew mojej woli. Ojciec się myli. A teraz niech pan już jedzie.

- Ile ma pani lat, panno Hawlworth? - zapytał znienacka.

- Prawie dwadzieścia jeden.

- George miał dwadzieścia trzy, kiedy umarł. Spodziewałem się raczej starszej, doświadczonej kobiety, która potrafi omotać naiwnego, młodego człowieka.

- George naiwny? Może i tak. Był bardzo nieśmiały, spokojny, uwielbiał oglądać mapy, interesowały go wszystkie. - Umilkła na moment, spoglądając w zamyśleniu na talerz pełen cytrynowych ciastek. Rohan poprawił się na krześle. - Nie chciałem powiedzieć, że George był nudziarzem, lecz lubił samotność i najlepiej się czuł, gdy mógł zajmować się nauką i wpatrywać w swoje ukochane mapy. I nadal gotów byłbym się założyć, że umarł jako prawiczek, choć wiem, że tak nie było.

- Nie, George nie był nudziarzem. Ani prawiczkiem. Przynajmniej tak mi powiedział. A u mężczyzny raczej trudno to sprawdzić. Czyż nie?

- Rzeczywiście. Ile pani miała lat, kiedy się poznaliście?

- Nie pamiętam dokładnie.

- Wykręca się pani. Proszę powiedzieć mi całą cholerną prawdę.

- Nie ma wiele do powiedzenia. A zresztą co to za różnica. Wzruszyła ramionami.

Był wściekły, lecz nie miał zamiaru dać tego po sobie poznać. Więc ona wierzyła, że jego życiową misją jest pójście do łóżka z każdą kobietą, która się napatoczy. Bo tak wygląda rodzinna tradycja Carringtonów. Że ma to w swojej nieczystej krwi. Do licha, kto wie, czy tak nie było i w tej chwili sama myśl o tym wprawiała go we wściekłość. Miał ochotę złapać tę starą sofę ze śmiesznymi egipskimi nóżkami i wyrzucić przez okno, choć była za duża, by przez nie przelecieć. Chwilę oddychał głęboko, starając się opanować gniew. - Proszę opowiedzieć mi więcej o George'u.

- Był zbyt przystojny, by mogło mu to wyjść na dobre, zupełnie jak pan - stwierdziła tonem tak rzeczowym, że trudno było odebrać jej słowa jako komplement. - I bystry. Jednak czasem sprawiał na mnie wrażenie zagubionego, tak jakby pragnął być kimś innym, ale nie bardzo wiedział, jak to osiągnąć. Wiem, że to brzmi dziwnie, lecz często odnosiłam takie wrażenie. Poza tym był na swój sposób lojalny.

To był George, którego znał. Spokojny, rozmiłowany w nauce. - Na swój sposób lojalny? Co pani chce przez to powiedzieć?

- Nie porzuczał ludzi, z którymi łączyły go uczuciowe więzi i wobec których poczynił zobowiązania.

- Oczywiście, że nie. Czy mogłaby pani wyjaśnić to bardziej szczegółowo?

- Nie. Powiem panu jeszcze tylko, że za dużo pił. Bardzo mnie to martwiło.

- Nigdy, przez całe życie, nie widziałem, by George choć spróbował alkoholu. Ten George, którego pani opisuje, to mój brat, zgadza się wszystko, poza skłonnością do alkoholu. Jest pani pewna, że to był George, a nie ktoś, kto podszył się pod niego, kto wyglądał trochę jak on - i jak ja?

Szybko się podniosła. - Proszę chwilę poczekać. Nie mogę uwierzyć, że prawidłowo odczytałam pańskie intencje.

Wyszła z salonu. Słyszał na schodach jej lekkie kroki. Kiedy po chwili wróciła, miała ze sobą szkiecownik. Przerzuciła kilka stron, a potem mu go podała. Zauważył uderzające podobieństwo. Była

znakomitą artystką. Mężczyzna na rysunku całą swą postacią wyrażał zadumę i nieśmiałość, a także jakąś bliżej nieokreśloną tęsknotę. Cóż to mogło być? Pomyślał, że to artystka przydała rysowanej postaci tego wyrazu, którego nigdy nie widział u swego brata. Oddał jej szkicownik nim uświadomił sobie, że miałby ochotę obejrzeć pozostałe rysunki.

- To rzeczywiście George.

- Oczywiście, że tak.

- Wie pani, jak umarł?

- Wiem tylko, że utonął. „Gazette” nie podała żadnych szczegółów. Nie miałam jak się dowiedzieć.

- Trzeba było napisać do mnie, lecz nie zrobiła pani tego. No cóż, widzę, że zacisnęła pani usta tak mocno, że stały się niemal niewidoczne. Pływał z przyjaciółmi na małych jachtach, ścigali się od Ventnor do Lucy Point. Żaden nie wiedział, że zanoszą się na silny sztorm. Uderzył w nich z całą siłą, i w dodatku zniecka. Jacht George'a rzuciło na skały powyżej Lucy Point. Rozbił się. Młody człowiek, który towarzyszył George'owi, przeżył. George nie miał tyle szczęścia. Nigdy nie znaleziono jego ciała. Jeśli był wówczas pijany, zabiłbym go, gdyby sam nie zginął. Lecz, oczywiście, nie był pijany. George nigdy nie pił, mówiłem już pani.

- Tak, mówił pan. - Nie dodała nic więcej. Nie płakała, lecz strasznie zbladła. Rohan zachował spokój i dalej sączył herbatę. W końcu, kiedy dziewczynie udało się przełknąć ostatni kawałek cytrynowego ciastka, powiedziała: - Ma pan rację, są okropnie kwaśne. Muszę popracować nad tym przepisem.

- Proszę poprosić panią Timmons, by panią nauczyla.

- Chyba tak zrobię. A teraz zapewne musi pan już iść.

Wzruszył ramionami. Właściwie dlaczego nie? Nie miał tu już nic do roboty. Może mógłby dowiedzieć się jeszcze czegoś o swoim bracie, lecz jego brat umarł, więc co komu po informacjach? Ta dzierlatka najwidoczniej nie miała zamiaru powiedzieć mu nic więcej, a on nie mógł jej do tego zmusić. Lecz ojciec... naprawdę chciałby się dowiedzieć, co ten przeklęty ojciec ma mu do powiedzenia. - Gdzie jest ojciec pani?

Zesztywniała niczym dębowy kij. - Nie ma go tutaj.

- To widzę. Gdzie mogę go znaleźć? Ukrywa się przede mną, prawda? Zostawił panią, aby sama pani się ze mną zmierzyła.

Było to tak bliskie prawdy, że aż nią wstrząsnęło. Jak szybko się zorientował! W końcu udało się jej wykrztusić: - Nie powiem panu. Mógłby pan wyzwać go na pojedynek lub wybić mu kilka zębów. A ojciec nie ma ich już zbyt wiele i nie może sobie pozwolić, by stracić choć jeden.

- Nie wybije mu ani jednego przeklętego zęba, chociaż z pewnością na to zasłużył. Gdzie on jest?

Potrząsnęła głową i znów zacisnęła wargi w wąską linię. Bolała nad śmiercią George'a, nie wątpił już w to. Zobaczył czarną smugę tuż przy linii jej włosów, musiała jej nie zauważyć, kiedy w pośpiechu myła twarz. Doskonale pasowała do jej włosów w kolorze ciepłego brązu, które zdawały się tak gęste i miękkie. Ale jej oczy były chłodne i nieobecne. Jasne, niebieskoszare oczy - jasne i tajemnicze, niczym ów szafir z oryginalnym szlifem, który kupił przed trzema laty i zatrzymał. To matka wybrała go u Rundle'a i Bridge'a. Nie wiedziała, że nie podarował go żadnej ze swoich kochanek.

Nie powiedział nic więcej. Chwycił płaszcz i wymaszerował z domu, a dziewczyna deptała mu niemal po piętach. Dlaczego tak go pilnowała? Czy obawiała się, że zostanie? Może myślała, że chce

im ukraść tę dziwaczną sofę z egipskimi nóżkami? Lub że ukryje się w stajni? Dwukółka stała już na podjeździe, ale nie było przy niej Guliwera. Gdy minął narożnik, zobaczył Jamiego, który szczotkował jego konia, wyśpiewując na cały głos. Nie była to może zbyt budująca piosenka, lecz łatwa do zapamiętania i o chwytliwej melodii.

Pewien chłopak z wysp Barra

Zawsze miał trzy żony naraz.

Pytany: dlaczego trzy

Krzyczał głośno przez łyzy

Już taka ze mnie fujara!

Rohan roześmiał się z całego serca. Stajenny posługiwał się teraz najczystszą angielszczyzną i wyśpiewywał swój limeryk głębokim barytonem, stosownym raczej podczas występu na wieczorku dla pań niż w pracy przy koniach.

- Jamie - powiedziała Zuzanna - to miejscowy mistrz limeryku. Potrafi właściwie rozłożyć akcenty. Jest naprawdę znakomity.

- Tak, to prawda. - Przez chwilę przyglądał się, jak Jamie wyprowadza opornego Guliwera zza narożnika. Jego własny koń nie chciał do niego przyjść? - Chodź tutaj, ty żaloszny diable, niewierny skurczybyku. No, dobrze. Jeśli tak bardzo ci na tym zależy, nauczę się kilku limeryków i będę ci śpiewał.

Guliwer zarżał i zaczął grzebać ziemię przednią nogą. Nastawił uszu - najpierw w stronę Jamiego, a potem Rohana.

Dziewczyna znowu deptała mu po piętach.

Wziął wodze z rąk Jamiego, skinął chłopcu na do widzenia, a potem cofnął konia i podprowadził go do powozu.

Przyglądała się, jak zaprzęga Guliwera. Robił to szybko i z wprawą. Podniósł wzrok, by jeszcze raz spojrzeć jej w twarz. Wpatrywała się w okna na drugim piętrze.

- Czyżby pani skłamała? To ojciec ukrywa się tam na górze?

- Nie. Jest pan gotowy? Powinien był pan poprosić Jamiego, aby to zrobił. Ma o wiele większą praktykę niż pan. Jest szybszy.

- Z całą pewnością potrafię sam zaprzęcać Guliwera - powiedział chłodno. Czy naprawdę uważała go za niedołęgę i darmozjada? Bezużytecznego łajdaka? No cóż, prawdopodobnie nie ona jedna. Wielu ludzi w to wierzyło i uwielbiało go za to tym bardziej. Co za dziwny świat.

- Znowu wpatruje się pani w tamte okna. Co tam takiego jest? Albo kto? Jakiś szalony wujek? Proszę na siebie spojrzeć. Nawet skrzyżowała pani dłonie na piersi niczym włoska śpiewaczka. O co tu chodzi?

I wtedy usłyszał płacz dziecka.

ROZDZIAŁ 3

- No cóż - powiedział w zadumie, nie patrząc w okno, lecz na jej twarz - to z pewnością nie był pani ojciec.

Dziecko rozszlochało się jeszcze głośniejsze. Zostawiła go i co sił w nogach pobiegła w stronę domu.

- Jamie! - zawołał.

Oddał stajennemu lejce i podążając za nią, rzucił: - Zaśpiewaj mi jeszcze jeden limeryk, a potem zapisz go, żebym ja mógł mu później odśpiewać.

Zobaczył rąbek spódnicy Zuzanny, znikający za zakrętem schodów. Zatrzymał się, osłupiały.

Dziecko?

I co miał teraz zrobić? Odwrócił się szybko w stronę otwartych drzwi. Mógł po prostu wyjechać. Z pewnością tak właśnie należało postąpić. Tak, wyjechać, i to natychmiast. To dziecko nie ma z nim nic wspólnego. To pewnie jakiś jej młodszy brat lub siostra. Nie, to dziecko nie może mieć z nim nic wspólnego.

Usłyszał, jak Jamie wyśpiewuje delikatnym falsetem:

Staruszek wróciwszy z gościny sąsiada

Niechcący sztuczne swe zęby przysiada.

Krzyczy więc pełen paniki,

Choć nikt nie przybiega na krzyki:

Od dołu się ugryźć samemu - to wyczyn nie lada!

Guliwer zarżał głośno. Zdradzieckie bydlę.

Odwrócił się z wolna i spojrzał w górę. Teraz nie słyszał już płaczu. Wokół panowała cisza. Nie chciał tego, nie powinno go to w ogóle obchodzić, a jednak ruszył powoli ku schodom i zaczął się wspinać, stopień za stopniem, aż wreszcie znalazł się na górze. Odwrócił się w prawo i skrzywił w wąski korytarz. Minął dwoje zamkniętych drzwi i zatrzymał się przy trzecich, lekko uchylonych. Nie powinien tego robić, nie chciał, ale popychała go jakaś siła. Cicho, starając się zachować spokój, uchylił drzwi nieco szerzej.

Siedziała na bujanym fotelu, kołysząc się lekko w przód i w tył, z maleńką dziewczynką w ramionach. Podśpiewywała coś cicho, kojącym gestem głaszcząc plecy dziecka. Spoglądała na dziewczynkę, palcami lewej dłoni przesuwając leciutko po jej policzku. Dziecko zaszlochało rozpaczliwie raz jeszcze, po czym westchnęło głęboko i uspokoiło się. Spoczywało teraz bezwładnie w jej ramionach. Przemawiała do niego miękko, kołysząc się w przód i w tył, w przód i w tył... - Już wszystko w porządku, kochanie, już dobrze. To był tylko zły sen. Dobrze już, dobrze.

Wydawało mu się, że zachowuje się bardzo cicho, lecz musiał zdradzić go jakiś odgłos, bo dziewczyna uniosła głowę i spojrzała. Wpatrywała się w niego z twarzą bielszą niż koronka jej kołnierzyka. Dziecko, wyczuwając napięcie, zeszytniało i odsunęło się od niej.

- Cii... - szepnęła, przytulając do siebie małą. - Nie bój się, kochanie, wszystko w porządku.

Przytul się do mamusi.

Mamusi? Więc to było jej dziecko? Nie, niemożliwe. To na pewno jej młodsza siostra. Mamusia? Przecież przysięgła, że George jej nie uwiódł.

Odwrócił się i szedł powoli korytarzem. Miał ochotę wynieść się stąd natychmiast, wsiąść do powozu i pozwolić Guliwerowi, by pomknął jak wiatr, unosząc go z tego miejsca najszybciej, jak tylko się da.

Zamiast tego wszedł znowu do oszczędnie umeblowanego salonu i nalał sobie jeszcze trochę herbaty. Na talerzu zostało jedno cytrynowe ciasteczko, lecz nie mógł się zmusić, by po nie sięgnąć.

Siedział tak bardzo długo.

A potem nagle zobaczył ją w drzwiach, niezwykle spokojną, z wyrazem cichej rezygnacji na twarzy, która poza tym nie wyrażała żadnych uczuć.

- Słyszałem, jak zwracała się pani do dziecka. Jest pani jej matką?

- Nie, lecz to ją uspokaja.

Powoli podniósł się z krzesła. - Ile ona ma lat?

Po wyrazie twarzy dziewczyny poznał, że ma zamiar skłamać, powiedział więc szybko: - Widziałem ją. Nie jestem kompletnym głupcem. Niech pani nie myśli, że uda jej się mnie oszukać.

- I bardzo dobrze. Ma trzy lata i pięć miesięcy.

- A zatem nie może być dzieckiem George'a. Ani pani. Skoro ona ma trzy lata, to musiała ją pani urodzić, mając osiemnaście lat. A to oznacza, że musiałyby pani zajść w ciążę w wieku siedemnastu lat. George miałby wówczas zaledwie dziewiętnaście. To nie może być jego dziecko. Na miłość boską, przecież by mi powiedział. To nie było tak, że zaszła pani w ciążę, a potem on zginął. Nie, nie mówimy tu o niemowlęciu, ale o trzyletniej dziewczynce. Ona nie jest jego dzieckiem, prawda?

- Nie. Oczywiście, że nie. To moja mała siostrzyczka.

- Doskonale. - Wszedł z salonu. Natychmiast znalazła się tuż za nim. - Dokąd się pan wybiera?

Wszedł na schody, minął wąski korytarzyk i podszedł do szeroko otwartych drzwi.

- Niech się pan zatrzyma! Do licha, czy nie może pan po prostu odjechać?

Odwrócił się do niej. Zobaczył, że ledwie oddycha.

- Gdzie dziecko?

- Dlaczego po prostu pan nie odjedzie? Przecież właśnie tego pan chce.

- To prawda. Chciałbym, ale nie mogę. - Wiedział, że wyjechałby, gdyby tylko zdołał się zmusić, by opuścić ten pokój, zejść po stromych schodach i wyjść na zewnątrz, gdzie Jamie dalej wyśpiewywał piosenki jego koniowi. Dziecko George'a. Bękart George'a. Nie mógł w to uwierzyć. I nigdy nie uwierzy.

Pomimo to nie zatrzymał się.

Ramiona dziewczyny opadły. - No dobrze, tędy.

Dziewczynka leżała na brzuchu w wąskim łóżeczku, uśpiona, jednym ramieniem obejmując lalkę, której pozostało już bardzo niewiele włosów na głowie. Otulał ją lekki kocyk.

Nie było widać jej twarzy. Małą główkę pokrywały jasne włoski.

- Jak ma na imię?

- Marianna.

Poczuł, jak serce zaczyna walić mu w piersi. Marianna, mała córeczka dziedzica Bethony'ego, która umarła na koklusz, gdy miała pięć lat. Ona i George bardzo się przyjaźnili. Po jej śmierci George przez osiem miesięcy nie odezwał się ani słowem.

- Marianna i co dalej?

- Marianna Lindsay, po mojej matce. Ostry ból w sercu nie ustępował. - Wie pani, skąd się wzięło to imię, prawda?

- Tak, wiem.

Dziecko poruszyło się, zaczęło ssać środkowy palec.

- I nadal upiera się pani, że mała jest pani siostrą?

- Przypuszczam, że teraz nie ma to już sensu.

- Rzeczywiście. Proszę ją obudzić. Chciałbym zobaczyć dziecko George'a. Chcę zobaczyć moją bratanicę.

Pochyliła się i delikatnie pogłaskała dziecko po plecach. Dziewczynka zaczęła gwałtowniej ssać palec. - Obudź się, Marianno. No, dalej, kochanie, obudź się. Jest tu pewien miły dżentelmen, który pragnie cię poznać. Chodź do mnie, kochanie. - Podniosła małą, dalej owiniętą w kocyk, pocałowała ją w uszko, a potem odwróciła jej buzię. Oczy dziecka otworzyły się powoli. Rohan zapatrzył się w te oczy, w swoje własne oczy, oczy George'a - jasne, w odcieniu ciepłej zieleni, oczy, które mężczyźni z rodu Carringtonów przekazywali sobie od trzech pokoleń. Przełknął ślinę. Powoli przybliżył palec do twarzy dziecka. Mała odsunęła się, marszcząc brewki.

- Wszystko w porządku, kochanie.

- Tak - powiedział głosem niskim i miękkim niczym wiosenny deszcz. - Jestem twoim wujkiem.

Dziecko wyjęło paluszki z buzi. Przez chwilę wpatrywało się w niego zielonymi oczami o barwie głębokiej i intensywnej niczym szmaragdy. - Co to takiego wujek? - Jestem bratem twojego tatusia.

Dwa wilgotne paluszki dotknęły dołka w jego brodzie. - Masz dziurkę w brodzie, zupełnie jak tatuś - powiedziała mała.

- A ja nie mam. Mamusia mówi, że pan Bóg nie rozdaje takich dziurek ot tak, na prawo i lewo.

- To prawda. A jednak dał je wszystkim chłopcom z rodziny Carringtonów.

- Mamusia powiedziała też, że tatuś często krzyczy, kiedy się goli, bo wtedy się tam zacina.

- Tak, to nie takie łatwe. - Rohan nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek widział, jak George się goli. Nie miał zbyt wiele do golenia. Lecz najwidoczniej mieszkał w tym domu, tutaj się kapał i golił.

- Żałuję, że pan Bóg nie dał mi takiej dziurki. Wiesz, że mój tatuś poszedł do nieba?

Wszystko to zostało wypowiedziane tym samym rzeczowym tonem. Marianna włożyła znowu palce do buzi i zaczęła ssać energicznie.

- Nie mam żadnych podobizn George'a z wyjątkiem tego szkicu węglem sprzed dwóch lat. Marianna szybko zapomni, jak on wyglądał.

- Nieprawda. Szkic jest dobry. Nie zapomni. Wzruszyła ramionami. Lecz wypowiedziane słowa wisiały w powietrzu pomiędzy nimi.

Kiedy Zuzanna się odezwała, w jej głosie nie było nic prócz opanowania, choć nie przestała podrzucać Marianny w górę i w dół.

- Nic tu po panu, mój lordzie. No cóż, to prawda, Marianna jest córką George'a. I tak pan to odgadł. Jej podobieństwo do ojca jest uderzające, lecz przecież dla pana to i tak nie ma znaczenia. Nie jest chłopcem, a zatem nie musi pan się liczyć z jej istnieniem.

- Kiedy skończy cztery lata?

- W listopadzie. Czwartego listopada.

- Nie powiedziałaś mi, dlaczego nie przyjechałaś na pogrzeb George'a. Nie wierzę w te bzdury,

jakobyś nie mogła się stąd ruszyć. Mogłaś przyjechać. Nikt by nie wiedział, kim jesteś.

A więc chciał prawdy. Proszę bardzo. - Nie miałam dosyć pieniędzy. I proszę nie uśmiechać się tak szyderczo. Nie proszę o wsparcie ani nawet o współczucie. Doskonale dajemy sobie radę. Wszystko byłoby wspaniale, gdyby mój ojciec od czasu do czasu nie tracił głowy. Jest hazardzistą i tym właśnie w tej chwili się zajmuje. Gra. Z tego powodu akurat wówczas trochę brakowało nam pieniędzy. Na szczęście pastor okazał się bardzo miły. Przyszedł tu i odprawił modlitwę za George'a.

- Umilkła, opuściła głowę i mocniej przytuliła do siebie dziecko.

Delikatnie ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz. Zobaczył, że płacze.

- Przynajmniej mógł cieszyć się córką ponad dwa lata.

- W pewnym sensie.

- Nie znał swojej córki?

- Oczywiście, że znał, lecz nie mógł przyjeżdżać zbyt często. Dużo się uczył.

Czy nie byłby równie szczęśliwy, studiując swoje mapy, łacinę i historyczne książki tutaj? Dlaczego nie powiedział mu o córce? To nie miało sensu. A potem nagle zrozumiał.

- Jakie mała nosi nazwisko?

Łzy natychmiast przestały jej płynąć. Zobaczył, że zeszywniała. Dziecko zaczęło się wiercić, świadome zdenerwowania matki.

Przyglądał się, jak uspokaja małą, podnosi ją na wysokość ramion i delikatnie poklepuje po plecach. Dziecko zaszlochało jeszcze raz czy dwa, a potem westchnęło głęboko. Uśmiechnął się, niezdolny oprzeć się urokowi tej sceny.

W końcu położyła małą z powrotem do łóżeczka, otuliła kołderką i odczekała, aż zaśnie.

Gdy skierowali się w stronę schodów, zapytał ponownie: - Jakie nazwisko ona nosi?

- Jej nazwisko brzmi Carrington - odpowiedziała sztywno, schodząc przed nim po schodach. Na dole odwróciła się i powiedziała: - George i ja pobraliśmy się w październiku 1806 roku, w Oksfordzie. Mój ojciec udzielił zgody, ponieważ miałam dopiero siedemnaście lat.

- George nie uzyskał mojej zgody. Nie obwiniam cię za to kłamstwo. Musiałaś jakoś usprawiedliwić istnienie małej wobec miejscowych. Dziewczynka jest bękartem George'a, lecz widzę, że nie dzieje jej się tu krzywda. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by...

Stali teraz naprzeciw siebie w mrocznym korytarzu. Nagle Zuzanna uniosła dłoń i z całej siły uderzyła Rohana w twarz.

- Jak pan śmie? Nie, nie chodzi o to, że obraził pan mnie, lecz o to, że podejrzewa pan swego brata o tak podły czyn! - Znowu uniosła dłoń, ale tym razem udało mu się uchwycić ją za nadgarstek i uniknąć ciosu. Jeszcze nie doszedł do siebie po poprzednim.

- Jesteś bardzo silna - powiedział w końcu, nie puszczając jej ręki.

Dyszała ciężko, wściekła, starając się za wszelką cenę wyrwać dłoń z jego uścisku. - George powtarzał mi w kółko, że pan tylko by się śmiał, gdyby powiedział panu o Mariannie. Mówił też, że wysłałby go pan do Australii, a mnie odebrał Mariannę. I że posłałby mnie pan do kolonii, żebym tam była służącą.

Rohan wpatrywał się w nią w milczeniu, w najwyższym stopniu zdumiony. George tak powiedział? Nie, niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

- A potem roześmiał się i dodał, że i tak jest pan najlepszym z braci, pomimo pańskich sekretów i romansów. Nigdy się nie dowiedziałam, co chciał przez to powiedzieć. A ponieważ najwidoczniej pan mi nie wierzy, pokażę panu dokument. Nie dlatego, że obchodzi mnie, co sądzi pan o mnie czy o

Mariannie, ale dlatego, że nie chcę, by pan myślał źle o George'u. A potem niech się pan wynosi. Nigdy nie był pan częścią naszego życia. Już dawno domyśliłam się, że George panu na to nie pozwoli. I ja też tego nie chcę.

Zdumienie dosłownie odjęło mu mowę. To wszystko było zupełnie pozbawione sensu.

Miał bratanicę imieniem Marianna. A nie znał nawet imienia jej matki.

Po chwili wróciła do holu, gdzie go pozostawiła, i wręczyła mu kopertę. W środku znajdował się bardzo urzędowo wyglądający pergamin, najwidoczniej akt ślubu. Rozpoznał podpis brata. Odczytał nazwisko pastora. Bligh McNally. Nie musiał czytać dalej.

Powoli oddał jej dokument.

- Twój ojciec napisał do mnie, ponieważ chciał pieniędzy. Od razu widać, że nie ma ich tu zbyt wiele. Ty nie prosiłaś mnie o pieniądze, więc albo ich nie chcesz, albo posługujesz się strategią, z którą nie zetknąłem się nigdy dotąd.

- Nie chcę pańskich pieniędzy. Nigdy nie chciałam. George spodziewał się, że odziedziczy co nieco po ojcu, gdy skończy dwadzieścia pięć lat. Niestety, nie zdołał.

Przez chwilę spoglądał przed siebie w zamyśleniu. A potem podjął decyzję. - Mylisz się, i to bardzo. Nie powiedział ci? Nie, oczywiście, że nie. Ciotka Mariam zmarła już po jego śmierci. Nie miał pojęcia, że zostawi mu jakieś pieniądze. Jest tego około dwudziestu tysięcy funtów. Kiedy George umarł, te pieniądze trafiły do mnie. - Wziął głęboki oddech, świadomy, że coraz bardziej pograża się w mrocznych wodach Styksu. - Teraz powinna odziedziczyć je jego córka.

Pieniądze, pomyślała, wpatrując się w barona. George naprawdę zostawił jej pieniądze, choć nie bezpośrednio.

Nie, to baron oferował jej pieniądze, choć wcale nie musiał. I to nie jakąś tam drobną sumę, ale prawdziwe pieniądze - dwadzieścia tysięcy funtów. Olbrzymia suma. W całym swoim dwudziestojednoletnim życiu nie widziała naraz nawet dwudziestu funtów!

To więcej niż trzeba, aby wygodnie żyć. Tylko dobry Bóg wiedział, jak bardzo do tej pory życie dało jej do wiwatu. Dwadzieścia tysięcy funtów oznaczało dostatek do końca życia. Bezpieczeństwo dla niej i dla Marianny. I dla Toby'ego. Odtąd wszyscy już będą bezpieczni.

Spojrzała mu prosto w oczy. - To bardzo dużo pieniędzy. Naprawdę zamierza pan przekazać nam spadek George'a?

- Jest tylko jeden problem - powiedział powoli, dziwiąc się, jaki diabeł wyciąga te przekłete słowa z jego ust i pograża go coraz bardziej. A potem jego spojrzenie padło na twarzyczkę dziecka, na ten uśmiezek, tak podobny do uśmiechu George'a. Poczul, że serce mu topnieje. Dziecko George'a. Nie może jej tu zostawić. I nie zostawi.

No, teraz spadnie cios, pomyślała. Czy będzie chciał pójść z nią do łóżka? George jej pożądał - nie było na to lepszego określenia - lecz ona go kochała i pragnęła wyjść za niego za mąż, nie miał więc wyjścia, musiał ją poślubić. I zrobił to, przed Bogiem i ludźmi. A potem niemal natychmiast począł dziecko.

Nie winiła go zbyt, kiedy wyjechał, gdy tylko zaczęły się poranne nudności. Przyglądanie się, jak ktoś wymiotuje, to niezbyt podnoszące na duchu zajęcie. A ona ciągle czuła się zmęczona. Właściwie była nawet zadowolona, gdy wyjechał. Wciąż czuła się przygnębiona i, nie wiedzieć czemu, winna. A potem on wrócił. Zawsze do niej wracał.

Baron nadal milczał i przyglądał jej się bacznie swoimi zielonymi oczami. - Chce pan, bym poszła z panem do łóżka - powiedziała tępo, spoglądając przez niego na otwarte drzwi, za którymi

Jamie nadal wyśpiewywał Guliwerowi piosenki, a koń z upodobaniem potrzasał łbem. Ciekawe, czy wybija rytm kopytami, pomyślała. - To jest ten pański warunek.

- Och, nie - powiedział. - Na pewno nie o to mi chodzi. Nie jesteś dla mnie dostatecznie atrakcyjna. Zbyt chuda, masz brud za paznokciami i wątpię, czy rozmowa z tobą może wykraczać poza poziom odpowiedni dla trzyletniego dziecka. Nie, nie sędzę... Proszę, nie zrozum mnie źle. Nie jesteś brzydka ani nawet taka sobie. Po prostu nie w moim typie. Nie na tym polega problem.

Pogodził się już z tym, co robi i dlaczego to robi. Chodziło po prostu o to, że nigdy dotąd niczego takiego nie robił. Jego postępowanie z pewnością wprawiłoby w zmieszanie drogą mamę. Wiedział jednak, że jej twarz rozbłyśnie niczym gwiazda, gdy zobaczy córkę George'a. Więc o co chodzi? Znów ją obraził. Więc nie był satyrem? Nie pożałował każdej kobiety, którą zobaczył? Nawet jeśli miała brud za paznokciami? A poza tym nie była wcale taka chuda.

Przez chwilę wpatrywał się w swoje paznokcie. Wypolerowane i czyste. W końcu, nie patrząc na nią, oświadczył: - Żeby otrzymać pieniądze George'a, będziesz musiała, że tak powiem, pojawić się na scenie. Nie możesz pozostać w Mulberry House. Musisz zająć swoje miejsce jako wdowa po zmarłym George'u Carringtonie. Krótko mówiąc, musisz przeprowadzić się do mojego domu w Londynie i żyć tak, jak żyłabyś, gdyby George'e nie zginął.

Oszalał, kompletnie zwariował. Wiedział jednak, że nie może zostawić tu małej dziewczynki, by mieszkała z dziadkiem, który zapewne jest nie tylko hazardzistą, lecz także pijakiem. Chętnie zabrałby Mariannę, wiedział jednak, że jej matka nigdy się na to nie zgodzi.

- Do Londynu?

- Mam tam dom. To „do Londynu” zabrzmiało tak, jakbym proponował ci zamieszkanie w jakimś wesołym przybytku. Londyn nie jest taki straszny, uwierz mi.

Potrząsnęła głową. - Nie, naprawdę, wszystko jest jak należy, ale chcę tutaj zostać. To prawda, mój ojciec ostatnio nie zachowuje się najlepiej i trudno powiedzieć, jak długo to potrwa. Wszystko, czego pragnę, to opieka dla Marianny. Proszę...

- Nie proś. To do ciebie nie pasuje. Marianna jest moją bratanicą. Płynie w niej ta sama krew. Będzie żyła, jak przystoi Carringtonom. Jeżeli Londyn aż tak bardzo ci nie odpowiada, możemy pojechać do mojej posiadłości w Sussex i zostać tam, dopóki się nie przyzwyczaisz. Ona tu nie zostanie.

- Zabrzmiało to tak, jakby Mulberry House był jakimś chlewem. A to nieprawda. Po prostu tatuś ma jeden z tych swoich napadów i...

- Tatuś może sobie pójść, dokąd chce. Poziom życia mojej bratanicy nie będzie zależał od tego, czyjej dziadek ma akurat dobrą passę. Chciałabyś, aby wzrastała, wiedząc, że jej dziadziuś próbował szantażować wuja?

To zmienia postać rzeczy, pomyślała, ale i tak wszystko dzieje się zbyt szybko. - Gdzie znajduje się ta posiadłość?

- W pobliżu Eastbourne, około dwóch mil od wybrzeża. To piękna okolica, pagórki i pełno starych skał, które wyrastają z ziemi w miejscu, w którym się ich nie spodziewasz. Niedaleko miała miejsce bitwa pod Hastings. Gdy się tam spaceruje, często wydaje się, że słychać głosy walczących ze sobą wojsk Normanów i Saksonów. A klimat jest tam taki, że w całej Anglii nie znajdziesz lepszego.

- Co z moim ojcem?

Rohan tylko wzruszył ramionami. Nadal pragnął zetrzeć tego typa na proch, lecz przecież za

pośrednictwem swej córki dał mu bratanicę - córkę George'a - więc nie mógł już tak bardzo go poniżyć. - Żaden problem. Może was odwiedzać. Niezbyt często. Właściwie bardzo rzadko. Dam mu pensję, więc będzie mógł dalej mieszkać w Mulberry House.

Nie miała pojęcia, co robić. Nie знаła tego człowieka, choć wiele o nim słyszała. Był kobieciarzem, znanym ze swoich romansów, tak jak był nim jego ojciec. A matka także nie słynęła z powściągliwości. Nie mogła wyobrazić sobie siebie u boku rozwiązłej matki czy też teściowej. George mówił jej, że baron i baronowa Mountvale od dawna wzbudzali podziw całego eleganckiego świata. Im gorzej się zachowywali, tym bardziej ich podziwiano. I najwidoczniej obecny baron odziedziczył te ich skłonności. Z pewnością zasłużył na swój przydomek. Ścisnęła dłonie. - Dlaczego pan to robi?

Spojrzał na nią, lecz zamiast Zuzanny zobaczył twarz swego brata, taką jaką ją widział po raz ostatni, zaledwie dwa dni przed śmiercią George'a. Twarz oblaną pąsem, ponieważ przypadkiem natknął się na coś, co go wprawilo w zmieszanie. Nie chciał powiedzieć, o co chodziło, gdyż, jak twierdził, to by brata nie zainteresowało.

Ciekawe, czy kiedykolwiek miał zamiar powiedzieć mu o...

- Nawet nie wiem, jak masz na imię - powiedział.

ROZDZIAŁ 4

Jego widoczne zmieszanie wywołało na jej twarzy uśmiech. Miała ochotę roześmiać się głośno, lecz się powstrzymała. - Mam na imię Zuzanna. Odziedziczyłam je po mamie.

- Pojedziesz ze mną do Mountvale House?

Zuzanna pomyślała o pozostawionej w kuchni małej porcji wołowiny, która musiała zaspokoić apetyty wszystkich domowników. A także o tym, iż w ciągu półtora roku udało jej się zaoszczędzić zaledwie sześć funtów. I o sukienkach Marianny, przerabianych tyle razy, że przy kolejnej próbie niechybnie się rozlecą. Lecz nie biedy obawiała się najbardziej. Nie chciała, aby Marianna wzrastała w przekonaniu, że wszyscy mężczyźni są tacy jak jej dziadek, a każda rodzina przypomina ich rodzinę. Spojrzała na barona, próbując doszukać się w jego twarzy śladu fałszu. Uświadomiła sobie, że oto zaoferowano jej możliwość ucieczki. On o tym nie wiedział, lecz ona zdawała sobie z tego sprawę. Ale czy będzie z nim bezpieczna?

Rohan domyślał się, jakie myśli krążą jej po głowie, lecz nie odezwał się, pozwalając, by sama podjęła decyzję.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony - powiedziała w końcu. - Lecz, widzi pan, nie chodzi tylko o mnie i o Mariannę.

- Jeżeli myślisz o swoim ojcu, to nie, on z pewnością nie zamieszka w Mountvale. Zbyt sobie cenię swoje srebra.

- Mój ojciec nie jest złodziejem.

- Jeżeli list, który do mnie napisał, miałby posłużyć za miernik, niewiele mu do tego brakuje.

- Po prostu martwi się o mnie. Oceniał sytuację niezbyt jasno, kiedy to pisał. On jest w połowie Irlandczykiem. Bardzo dobrze radzi sobie z końmi.

- Choćby jego ocena uległa takiemu zaciemnieniu, że spadnie z niej deszcz, i tak nie zabiorę go do Mountvale.

- Nie mówiłam o moim ojcu.

- Więc o kim? Chcesz zabrać ze sobą Jamiego? W porządku, mogę go zatrudnić. I tak wątpię, czy Guliwer zgodziłby się choć na chwilę spuścić go z oka. Jak dotąd nikomu poza nim nie udało się uwieść mojego konia.

- Nie, nie chodzi o Jamiego. Myślałam o Tobym.

- A kimże, u licha, jest Toby? Twoim ukochanym kotem? Jeżeli dobrze poluje na myszy, znajdzie się miejsce i dla niego.

- Toby to mój młodszy brat.

Wpatrywał się w dziewczynę bez słowa. - Twój młodszy brat - powtórzył powoli, próbując zebrać myśli. - Masz dziecko i młodszego brata?

- Tak. Tobiasza Hawlwortha. Ma osiem lat i jestem dla niego bardziej matką niż siostrą. Jego mama... nasza mama umarła przy jego urodzeniu.

Och, ten ból... Gdy zaszła w ciążę, śmiertelnie się obawiała, że spotka ją to samo. Na szczęście

poród miała dość lekki.

- Ale twój ojciec z pewnością nie pozwoli mu wyjechać. Ten Toby jest jego dziedzicem, więc...

- To wszystko prawda, proszę pana - powiedziała, najwidoczniej godząc się z sytuacją. - Ale nie mogę zostawić Toby'ego, tak jak nie mogłabym zostawić Marianny. Dziękuję, że pan przyjechał. Cieszę się, że mógł pan poznać swą bratanicę. A teraz muszę się już pożegnać.

Próbowała wyprowadzić go za drzwi, a kiedy to się nie udało, wyszła przed dom, zmuszając go, aby uczynił to samo. Guliwer spojrzał na nią i zarżał. Jamie poklepał go po białej plamce na nosie.

- Do widzenia - powiedziała.

- Zuzanno, gdzie jesteś? Zuzanno?

Zza rogu wypadł chłopiec, wysoki i smukły jak trzcina, o włosach czarnych niczym sen grzesznika. Zatrzymał się nagle tuż przed Zuzanną, uśmiechnął szeroko i wyciągnął w jej stronę zeszyt. - Spójrz na to, Zuzanno. To moje łacińskie tłumaczenia i pastor Horkle powiedział, że nigdy nie widział lepszych. Zobacz, nawet napisał na pierwszej stronie „celujący”! I co ty na to?

Nie odezwała się, dopóki nie otworzyła zeszytu i nie przeczytała, co napisał pastor. Potem uśmiechnęła się do chłopca, przytuliła go i pocałowała w ucho. - Jest pan zdumiewający, panie Toby, po prostu zdumiewający. Ale popatrzmy na tę dziurę w koszuli. I na buty, zniszczone i brudne. Coś ty wyprawiał? O nie, chyba nie biłeś się znowu z chłopakiem Finleyów?

Rohan zauważył dużo więcej oznak świadczących o stoczonej walce, niż mogła zauważyć Zuzanna. Knykie palców Toby'ego zdarte były do krwi, spodnie rozerwane na kolanie, a na policzku właśnie tworzył się siniak. Chrząknął i zapytał: - A przynajmniej wygrałeś?

Chłopiec rozpromienił się. - Tak, proszę pana. Zwalilem go z nóg, uniosłem w powietrze i przrzuciłem przez kłodę. Oczywiście on też nieźle mi przyłożył, ale przytrzymałem go i wpakowałem mu garść liści do ust. Myślę, że połknął co najmniej jeden, na którym była gąsienica.

Słowa chłopca przywoływały falę wspomnień... Rohan uśmiechnął się, niezdolny utrzymać powagę. A potem roześmiał się z całego serca.

A Zuzanna zeszytniała niczym drewniany szpunt w lodowatej wodzie. Powoli, bardzo powoli, powiedziała: - Toby, poznaj lorda Mountvale. Jest wujkiem Marianny i właśnie przyjechał z krótką wizytą. Przywitaj się i pożegnaj, bo już wyjeżdża.

- Witam pana - powiedział Toby, kłaniając się. I nagle rozległ się głośny trzask, a potem odgłos drącego się materiału. Chłopiec wciągnął gwałtownie powietrze, odwrócił się i uciekł.

- O, nie - powiedziała Zuzanna. - Chyba znów podarł spodnie. Proszę, niech pan już jedzie. Będę musiała zająć się bratem.

- Nie, proszę pozwolić, że ja to zrobię.

- Z pewnością ukrył się w najdalszym kącie stajni, milordzie - zawołał Jamie, a Guliwer zarżał potwierdzająco.

Złapała Rohana za rękaw. - Pan jest tu obcy, a ja jestem jego siostrą. To ja powinnam się nim opiekować, to...

- Proszę tu zostać. Zaraz wracam.

Dopiero kiedy zatrzymał się w progu mrocznej stajni, zaczął zastanawiać się, co właściwie tu robi. Nie znał tego chłopca. Dlaczego w ogóle miałoby go obchodzić, że jakiś smarkacz zawstydził się, bo pękły mu spodnie?

Mimo to zawołał: - Toby? Nie uciekaj, to tylko ja, Rohan, to znaczy lord Mountvale.

Usłyszał szelest siana. Spojrzał w odległy kąt stajni. Od razu zobaczył chłopca. Stał przyciśnięty

do drewnianej ściany z twarzą ukrytą w dłoniach, najwidoczniej usiłując wtopić się w nią i zniknąć.

- Mój koń jest narowisty. Nie chcę, by czekał zbyt długo. To go denerwuje. Nie mam pojęcia, co może się zdarzyć, kiedy Jamiemu skończą się limeryki i nie będzie miał mu co śpiewać. Może się wyrwać i uciec. A wtedy będę musiał drałować na piechotę do najbliższego miasteczka, co z pewnością nie poprawi mi humoru.

Toby o mało nie wyskoczył ze skóry. W milczeniu wpatrywał się w mężczyznę, który był z pewnością najprzystojniejszym i najbardziej elegancko ubranym dżentelmenem, jakiego widział w życiu. Dżentelmen wyglądał jak ktoś znajomy, lecz jak to możliwe...?

Toby pragnął zapaść się w siano i utonąć w nim, ale pozbiierał się jakoś i stanął na nogi.

- Masz goły tyłek czy to tylko małe rozdarcie?

- Mam goły tyłek, proszę pana. Przynajmniej po prawej stronie.

- Co za szczęście, że ja tu jestem i że mam ze sobą płaszcz. - Zdjął okrycie i podał je chłopcu. - Kiedy mnie się to zdarzyło, miałem goły cały zadek i musiałem dojść pieszo do domu, a potem przemaszerować przez parę pokoi w domu moich rodziców, nim wreszcie mogłem się okryć. A to oznaczało stawienie czoła trzem niezamężnym ciotkom, niezliczonym pokojówkom i osobistej pokojówce mojej matki, która wrzasnęła, jakby zobaczyła diabła. Wreszcie starsza siostra zawlokła mnie jakoś na górę, chichocząc i dokuczając mi przez całą drogę. Miałem ochotę ją uderzyć, lecz była o wiele silniejsza ode mnie.

- Ile pan miał wtedy lat?

- Osiem lub dziewięć.

- Ja mam osiem. Moja siostra też jest starsza ode mnie.

- A zatem jesteś w wieku, gdy takie przygody się zdarzają. Odwróć się. Tak, płaszcz wszystko zakrył. Nie sądzę, by twoja siostra wyśmiewała się z ciebie.

- Nie, będzie się zachowywała jak matka. Będzie szczebiotać, jęczeć i przytulać mnie tak, że o mało nie połamię mi żeber. Potem popatrzy na moje dłonie i zacznie jęczeć jeszcze głośniej i ciężko wzdychać. Będzie udawać dzielną, chociaż się biłem i oberwałem. Tyle że ja nie oberwałem. No, może trochę.

- Tak, masz rację. Zupełnie jak mama. Już chyba wolałbym wyśmiewanie. Ośmielam się stwierdzić, że dopóki będziesz miał na sobie mój płaszcz, będzie się bała zbyt mocno cię przytulać, żeby mi nie pognieść ubrania.

Wyszli razem ze stajni. - Naprawdę jest pan wujem Marianny?

- Tak. Zabieram ciebie, Mariannę i twoją siostrę do Mountvale House. To mój dom w Sussex. Niedaleko kanału La Manche. Lubisz łowić ryby?

Oczy chłopaka zabłyśły. - Łowić ryby? I pływać? A może mógłbym nauczyć się żeglować?

- Tak, czemu nie.

- Och, proszę pana, to byłoby wspaniałe. - I nagle twarz mu przygasła. - Ale co z tatą. Co zrobimy z tatusiem?

- Tatuś zostanie tutaj, w Mulberry House. Znajdziemy jakąś miłą kobietę, żeby poprowadziła mu gospodarstwo. Będziesz mógł go odwiedzać, gdy zechcesz.

Przez chwilę obawiał się, że chłopakowi pękną usta, tak szeroki był jego uśmiech. Siniak na lewym policzku zaczynał przybierać fatalną barwę. Płaszcz Rohana powiewał mu wokół kolan, a krew z obtartych palców zabrudziła rękaw. Rohan wyobraził sobie, jak czerwienieją tłuste policzki Tinkera, gdy to zobaczy. Ciekawe, czyjego lokaj zna jakieś tajemne sposoby, by usunąć takie plamy.

Zuzanna westchnęła i poddała się. - Wygląda na to, że nie pozostawił mi pan wyboru. Doskonale. Sam pan tego chciał. Pojadę do Mountvale House.

- Twój entuzjazm wręcz zwala z nóg. Potrzebujesz pomocy przy pakowaniu?

- Nie, nie ma tego zbyt wiele.

- W takim razie pojadę już. Nie mogę pozostać, skoro w domu nie ma przyzwoitki. Jest tu w pobliżu jakaś gospoda?

- Przy głównej drodze, w stronę Moreton - in - Marsh. Słyszałam, że mają tam czystą pościel, a pani Dooley całkiem nieźle gotuje. Powinien pan spróbować jej cydru. Jest z niego bardzo dumna.

- Czy mam poprosić o przepis, byś mogła go zepsuć?

- Ten przepis to sekret. Nikomu go nie zdradzi. Dopiero na łożu śmierci przekaze go swojej najstarszej córce Maude.

- Szkoda. No cóż, w takim razie do zobaczenia jutro. Nie przejmuj się plamą na mankiecie. Ubolewanie nad nią dostarczy mojemu lokajowi wiele przyjemności. Oby tylko nie dostał apopleksji. - Pomachał dłonią na do widzenia, wdrapał się na siedzenie i wziął od Jamiiego wodze.

Nareszcie, pomyślała, przyglądając się jego rozmowie z Jamiem, co trwało dłuższą chwilę. Nareszcie wyjeżdża. Obserwowała, jak daje Jamiemu monetę i jak stajenny podskakuje niezdarnie w podzięcie.

Spoglądała za nim, dopóki nie zniknął jej z oczu, a potem poszła do sypialni napisać do ojca. Jego zamysł przeszedł wszelkie oczekiwania, ale korzyści odniosą dzieci i wnuczka, nie zaś on. Nie będzie już musiał znosić utyskiwań córki ani jej dokuczać, że zachowuje się niczym gderliwa żona.

Uśmiechnęła się na myśl o tym, kogo zamierza dla niego wynająć w charakterze gospodyni. Pani Heron była postrachem okolicy, a także osobą obdarzoną niebywałym szczęściem. Wygrywała każdy zakład, nie dalej jak w zeszłym miesiącu udało jej się pokonać nawet samego pastora.

Zuzannie trudno było wyobrazić sobie, jak pani Heron mogła się domyślić, że Rob Longman właśnie tej niedzieli położy na tacy dwa funty, skoro nigdy dotąd nie dawał więcej niż szylinga. A poza tym zacna niewiasta gra w karty niczym zawodowy karciarz. Ojciec nie miał z nią żadnych szans. Uśmiechnęła się słysząc, jak Toby wyśpiewuje na całe gardło.

Co też takiego powiedział mu lord Mountvale, że chłopak niemal był gotów całować mu buty?

Gdy następnego dnia koło siódmej pojawił się w Mulberry House, Zuzanna prawie odchodziła od zmysłów. Marianna płakała, bo Toby nadepnął na jej lalkę Gwen i oderwał jej ramię. Teraz Toby stał na środku kuchni, trzymając w dłoniach nieszczęsną zabawkę i próbując wymyślić, jak by tu przymocować oderwane ramię, Marianna leżała na podłodze, waląc w nią pięściami, a Zuzanna rozlewała gorące mleko na jej sukienkę.

Rohan wszedł do kuchni, ogarnął wzrokiem całe to pandemonium i natychmiast wyszedł. Od hałasu huczało mu w głowie. Nie był przyzwyczajony do dzieci, a ta dziewczynka z pewnością miała zdrowe płuca.

- Proszę pana?!

Co za idiota z niego, że dobrowolnie wpakował się w taką kabałę! Tuż za nim stał Toby, trzymając w jednej ręce tę przeklętą lalkę, a w drugiej oderwane ramię.

- Proszę pana, nie wie pan, jak naprawić Gwen?

- Gwen? Czy to nie Karol II miał kochankę o tym imieniu? - Potrząsnął głową, ubolewając nad swą niedolą. - Ach tak, tę lalkę. - Prawdę mówiąc, nie miał najmniejszego pojęcia. Pojawiła się Zuzanna. Trzymała na biodrze wrywającą się Mariannę, która koniecznie chciała dobrać się do

skóry Toby'emu.

- Proszę, weź Mariannę. Ja naprawię Gwen. Toby, zabierz swój bagaż i zanieś do powozu. Tak, natychmiast. Wszystko będzie dobrze.

Po raz pierwszy w życiu trzymał na rękach dziecko, malutkie dziecko, które wierciło się i wyrywało, krzycząc ile sił w płucach.

Przytrzymał małą mocno i podążył do kuchni za Zuzanną, która wzięła koszyk z przyborami do szycia i zabrała się do roboty.

- Nie zrób jej krzywdy, mamó, nie zrób jej krzywdy.

- Daj jej trochę gorącego mleka. Proszę. Nie udało mi się rozlać wszystkiego - powiedziała Zuzanna, nie podnosząc głowy.

Rohan posadził sobie wiercącą się bez przerwy dziewczynkę na biodrze i nalał mleka do kubka. Wiedział, że to nie jest najlepszy pomysł, wiedział o tym bardzo dobrze, a mimo to spróbował podnieść kubek do buzi Marianny. Dziewczynka pisnęła, machnęła rączką i mleko wylało się z kubka - na niego i na podłogę.

Wziął małą przed siebie, przytrzymał i spojrzał jej w oczy. - Uspokój się. Natychmiast.

Tego głosu nie słyszała nigdy przedtem - był zdecydowany, niski, a jego ton nie wróżył nic dobrego. Ku zdumieniu obojga dorosłych Marianna zamknęła wreszcie buzię.

Zuzanna spojrzała na niego. - Prawie się udało.

Wręczyła córeczce lalkę. Dziewczynka wzięła ją, przytuliła do siebie, ukołysała, a potem westchnęła głęboko, wsadziła do buzi dwa palce i mocno oparła się o Rohana.

- Nietrudno sobie z nią poradzić. Właściwie jest grzeczna.

- Czasami. Właściwie bardzo rzadko, zwykle wtedy, gdy już dostanie, czego chce. Przekonasz się.

Obserwował, jak Zuzanna wyciera rozlane mleko. Podała mu ściereczkę, aby mógł wytrzeć ubranie. Potem oboje wyszli z kuchni. Przyglądał się, jak wkłada podbity futrem płaszcz, czepek i w końcu poprawia kurtkę Toby'ego. Wzięła od niego Mariannę i powiedziała do brata: - Zostawiłam tatusiowi list, nie musisz się martwić. Pani Heron zaopiekuje się nim, rozmawiałam z nią wczoraj wieczorem.

- Pani Heron. - Chłopiec zakrztusił się, a potem uśmiechnął zniewalająco, ukazując nieskazitelną biel zębów, mroczne wnętrza holu pojaśniało. - Ona zawsze wygrywa i potem triumfuje. Biedny tatuś. Żal mi go, nie ma żadnych szans.

- Może jej uda się go zmienić - powiedział Rohan. - Mówi się wiele o wpływie dobrej kobiety...

- Co to, to nie - orzekła Zuzanna, wychodząc z domu z Marianną na ręku. - Prędzej obedrze go ze skóry i wkrótce będzie jej winien więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek zdoła spłacić.

Rohan przyglądał się dwukółce. Było ich czworo, a powozik mógł pomieścić zaledwie dwie osoby. - No dobrze - powiedział powoli. - Toby, zostaniesz moim *groomem*, dobrze?

- *Groomem*? A co to takiego?

- *Groom* to ktoś, kto stoi z tyłu powozu i wypatruje bandytów. A kiedy znajdziemy się na płatnej drodze, zeskoczysz i zapłacisz myto.

Podekscytowany Toby z trudem wydusił z siebie podziękowania.

- Po dwóch godzinach stania straci z pewnością nieco zapachu - powiedział Rohan. - Nie martw się, to nie jest niebezpieczne. Trzymaj mocno Mariannę.

Zza rogu budynku wyjechał Jamie, dosiadający klaczy o pałąkowatym grzbiecie, która wyglądała

tak, jakby najlepsze dni miała już dawno za sobą.

- Zatrudniłem Jamiego. Powiedział, że w stajni jest tylko Hera, i że jest twoją własnością. Pojedzie na niej przez jakiś czas, a potem zmienia się z Tobym.

- Wygląda na to, że zupełnie przejąłeś kontrolę nad moim życiem - stwierdziła, sadowiac się obok niego na wąskiej i raczej niewygodnej ławeczce.

W rzeczywistości jest chyba odwrotnie, pomyślał. To ona i pozostali mieszkańcy Mulberry House zaczęli wywierać wpływ na jego życie.

- No cóż, ktoś musiał to zrobić. Gdybym się nie napatoczył, wasz ojciec mógłby wpakować całą rodzinę do więzienia za długi. Albo ten zniszczony dach zwałiłby się wam na głowy. Marianna mogłaby zostać hazardzistką. Nie, nie chcę już tego słuchać. Wiem, co chcesz powiedzieć. Że ten biedaczek przeżywa po prostu kiepski okres i że to rzecz bez znaczenia.

- Mniej więcej - powiedziała, przykrywając Mariannę swoim szalem.

- Jedźmy już. Droga do Mountvale zajmie nam trzy dni, lecz kiedy dojedziemy do Oksfordu, wynajmę wygodniejszy powóz. To niedaleko.

- Wiem - stwierdziła krótko. Obejrzała się i obrzuciła Mulberry House pożegnalnym spojrzeniem. Nikogo tam nie było. Oparła się wygodnie i z przyjemnością poddała twarz podmuchom wiatru, który rozwiewał wstążki jej czepka. Trzeba przyznać, że - szalony czy nie - baron umiał powozić.

Godzinę później powóz podskoczył ostro na wyboistej drodze. Zuzanna smacznie spała, oparta o ramię Rohana, z uśpioną Marianną w ramionach.

Rohan potrząsnął głową, nie mogąc się nadziwić swoim poczynaniom.

Jeszcze wczoraj był człowiekiem bez zobowiązań. Oczywiście, mężczyzna o jego pozycji ma pewne obowiązki, którym musi sprostać, lecz do ich wykonywania przygotowywano go przez całe życie. Poza tym były to obowiązki, w spełnianie których mężczyzna potrafi się zaangażować i które rozumie. A z całą pewnością żadnego mężczyzny nie przygotowywano, by stawiał czoło takiemu dziwnemu splotowi wydarzeń.

Z tyłu, za nimi, Jamie gwizdał bez troski, a Toby krzyczał na cały głos: - Nie widzę żadnych bandytów, proszę pana!

Rohan także ich nie widział. Jedyne, co widział, to masa ciemnych chmur, zakrywających horyzont.

Gdy pierwsza kropla deszczu spadła Mariannie na nos, dziewczynka drgnęła, a kiedy następna kapnęła jej na policzek, odwróciła się do Rohana i głośno zapłakała.

- O Boże - powiedziała Zuzanna, którą obudził płacz małej. Spojrzała na niebo. - Nie przewidziałam, że będzie padało. O Boże.

Rohan westchnął. Co miał teraz zrobić?

Kropla deszczu trafiła go prosto w oko. Nie wróży to dobrze na przyszłość, pomyślał.

ROZDZIAŁ 5

Gdy po półgodzinie dotarli do Oksfordu, byli kompletnie przemoczeni. Lecz kiedy tylko Rohan wyprzągnął Guliwera i odprowadził go na tylne podwórze gospody Pod Fioletową Gęsią, deszcz nagle przestał padać i na niebie pojawiło się jaskrawe słońce. W jednej chwili przeklęta burza odeszła, jakby jej nigdy nie było.

Rohan był Anglikiem, a więc przynajmniej teoretycznie człowiekiem przyzwyczajonym do częstych zmian pogody. A jednak ulewa zupełnie go zaskoczyła. Spojrzał na niebo, zaklął i zaczął wygrażać pięścią zdrażliwemu słońcu.

Kiedy Zuzanna wyłoniła się wreszcie spod jego płaszcza, w ociekającym wodą czepku i z mokrymi włosami, spojrzała na niego i roześmiała się. - I co ty na to - powiedziała, poklepując wilgotny policzek Marianny. - Znów mamy piękny dzień. - Marianna skinęła z powagą głową, spojrzała na przemoczonego do suchej nitki Rohana i także się roześmiała. Wkrótce dołączył do nich Toby, a po nim Jamie. Ten łajdak, Guliwer, także zarżał radośnie, a Hera zrobiła to samo.

Tylko Rohan pozostał niewzruszony. Ociekał wodą, a dotąd wygodne buty z hiszpańskiej skóry zaczęły ocierać mu stopy. Z gospody wybiegł stajenny, który widocznie rozpoznał dwukólkę barona. I jeśli nawet zdziwił się, co też baron robi tu z kobietą, dwojgiem dzieci i stajennym, miał dość rozumu, by nie dać tego po sobie poznać.

Zaledwie dziesięć minut zabrało Zuzannie przebranie siebie i dziecka. Poprosiła Rohana, by pomógł się przebrać Tobyemu.

Nie było to wcale takie proste, chociaż ucziwie próbował. Chłopak był jednak zbyt skrepowany, by rozebrać się przy Rohanie, nie pozwolił też sobie pomóc. Przez chwilę Rohan stał na środku pokoju zakłopotany, aż wreszcie przypomniał sobie, jak bardzo sam był nieśmiały w tym wieku. Podobnie miała się sprawa z George'em. Tylko dzisiejszy pastor, Tibolt, nigdy nie zdradzał nawet śladu skrepowania!

Powiedział więc tylko: - Zamówiłem dla nas dwie wanny gorącej wody. Kiedy już zdejmiesz to mokre ubranie, owiń się w mój szlafrok, ten niebieski. Leży tam, na łóżku. Wracam za pięć minut. Trzymaj się.

Pięć minut powinno wystarczyć.

Zamówił także gorącą wodę dla obu pań.

Ponieważ Toby najwidoczniej nie miał ochoty kapać się w jego obecności, zabrał się i wyszedł z pokoju, by poszukać Jamiego i koni. Jamie był w stajni. Przebrany w suche ubranie szcztokował Guliwera, wyśpiewując przy tym na całe gardło:

Gdy córkę swą za mąż wydała,

Całując ją, tak jej szeptała:

Twój chłopak wydaje się ostry

Przytula wciąż mnie i twe siostry

Ten mąż, któregoś wybrała.

Nawet biedna Hera zdawała się przysłuchiwać z zainteresowaniem. Jamie wyśpiewywał falsetem limeryk tak długo, aż wreszcie Rohan niemal zaczął sobie wyobrażać, że Guliwer przytupuje swym wielkim kopytem do taktu. Hera zarżała cichutko z uznaniem, choć Rohan nie wiedział, czy uznanie to tyczyło się Guliwera, czy limeryku.

- Muszę je zapisać - powiedział Rohan, poklepując Jamiego po ramieniu.

- Dam je panu, milordzie - odparł Jamie swobodnie tą swoją straszną gwarą, ani w połowie nie tak przyjemną dla ucha jak język, w którym układał swe limeryki.

- Mniej więcej za godzinę możesz przyjść do saloniku na obiad.

Zapraszając Jamiego, zwykłego chłopaka stajennego, aby jadł razem z nimi, Rohan uczynił wyłom w panujących obyczajach, nie chciał jednak ani na chwilę tracić go z oczu. Gdyby stajenny, przemoczony tak jak reszta towarzystwa, na przykład się rozchorował, wszyscy znaleźliby się w nie lada kłopotach.

Jednak, Bogu niech będą dzięki, deszcz nie zaszkodził nikomu. A co do Jamiego, Rohan w końcu poddał się i pozwolił mu jeść w kuchni. Obiad upłynął bardzo spokojnie, ponieważ Marianna zasnęła nad talerzem. Toby był tak zafascynowany szynkarką, która im podawała, że nie mógł mówić o niczym innym, jak tylko o jej wyeksponowanych do nieprzyzwoitości i niebywale obfitych kształtach.

- Dżentelmen - powiedziała w końcu Zuzanna, gdy rzucane spod oka pełne nagany spojrzenia nie odniosły skutku - nie mówi o takich sprawach.

Rohan o mało nie zakrztusił się zupą żółwiową. Biust szynkarki nie był tylko obfity - był monstualny. Gdyby on sam był teraz w wieku Toby'ego, na pewno tak samo by reagował.

- Zuzanno, jak jej się udaje utrzymać to wszystko w staniku?

- Staniki są tak pomyślane, aby utrzymywały wszystko tam, gdzie należy, możesz mi wierzyć. A teraz zjesz grzecznie zupę, Toby, a kiedy dziewczyna przyniesie wołowinę, będziesz trzymał głowę spuszczoną. A jeśli już będziesz musiał ją o coś poprosić, możesz patrzeć na jej lewe ucho.

Toby nie miał zamiaru poświęcać uchu kobiety ani chwili uwagi, starczyło mu jednak rozsądku, by nie wypowiadać uwag o jej bujnych wdziękach.

- Całkiem nieźle nad sobą panowałeś - powiedział Rohan, kiedy znaleźli się z powrotem w pokoju.

- Nie miałem pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje - powiedział Toby z pełnym grozy podziwem.

Rohan milczał. Potem odwrócił się plecami i zaczekał, aż Toby wsunie się do dostawionego łóżka. Nie miał zamiaru dzielić posłania z chłopakiem, który prawdopodobnie będzie rzucał się niespokojnie przez całą noc.

- O, tak - powiedział w końcu, gasząc jedyną świecę. - Jest jeszcze wiele rzeczy, o których istnieniu będziesz się musiał dowiedzieć. Wprowadzimy cię w nie stopniowo. Gdy zamieszkamy w Londynie, pokażę ci cuda, które sprawią, że zaniemówisz z wrażenia. Może nawet zabiorę cię do Astleya, kto wie.

Nie mógł uwierzyć, że w ogóle powiedział coś takiego. Gardził ludźmi, którzy bywali w podobnych miejscach. Dzieci jednak uwielbiały popisy zwierząt, a poza tym można tam było jeść pomarańcze, migdały w cukrze i do woli przyglądać się skąpo odzianym dziewczętom, jeżdżącym na stojąco na końskich grzbietach. A także wielu, wielu innym rzeczom.

Zawsze przecież mógł wysłać z dziećmi Pulvera. Tak, to wspaniały pomysł. Z pewnością powstrzyma ponurego kamerdynera przed wtykaniem nosa w sprawę barona.

- Dobrej nocy, milordzie - powiedział Toby.

Rohan chrząknął.

Dzięki Bogu w nocy nikt się nie rozchorował, rankiem mogli więc wyruszyć w dalszą drogę.

Pogoda utrzymała się, dopóki nie osiągnęli Pilsney Hills, pasma wzgórz, z których rozciągał się widok na Mountvale House i otaczające go ogrody. Rohan wyskoczył z powozu i otworzył szeroko drzwi. - Wsiądźcie wszyscy. Chciałbym wam pokazać mój dom. Wygląda dość ładnie. Z okien rozciąga się widok na Kanał, a w powietrzu czuć zapach morza.

Jest naprawdę prześliczny, pomyślała Zuzanna, stawiając Mariannę na ziemi, by mogła podreptać za Tobym na szczyt wzgórza.

Mountvale House stał na szczycie płaskiego pagórka, mniej więcej milę od miejsca, w którym się znajdowali. Otaczały go dęby i klony. Z zachodu prowadziła w kierunku posiadłości tylko jedna aleja, z gęstym szpalerem drzew i krzewów. Zuzanna domyślała się, że latem korony drzew zamykają się nad drogą, tworząc zielone sklepienie tunelu.

Sam dom nie był wielkim gmazyskiem, wysokim i imponującym, stojącym samotnie pośród ogromnego, zarośniętego trawą parku. Nie, dom był stary, miał pewnie trzysta lat, lecz jego zniszczone ściany z cegły porośnięte były bluszczem. Od frontu znajdował się niewielki trawnik, obramowany szpalerem cisów. Wokół rozciągały się ogrody z większą ilością kwiatów, niż Zuzanna miała okazję kiedykolwiek widzieć. Ogrody nie były płaskie ani odgródzone płotami. Rozmieszczono je na tarasach, z których najniższy sięgał linii lasu. I tu dopiero znajdowało się ogrodzenie, które miało powstrzymać jelenie i inną zwierzynę przed wtargnięciem na teren posiadłości i zniszczeniem upraw. Tuż przy ogrodzeniu rósł jaśmin o białych i jasnoróżowych płatkach, a jego gałęzie zwieszały się ponad płotem. Wszędzie kwitły obficie róże, żonkile, tulipany, czerwone niczym zachód słońca przy burzowej pogodzie, i bzy - od najjaśniejszej lawendy po ciemny fiolet, a także takie mnóstwo innych kwiatów i krzewów, że na sam ich widok Zuzannie zaparło dech w piersi.

- Jakie to piękne - powiedziała, nie zwracając uwagi na dom i wpatrując się z najwyższym podziwem w ogród. - Latem widok musi być zachwycający.

- Cieszę się, że tak uważasz - powiedział Rohan na pozór obojętnie. - Prawdę mówiąc, w moim domu w Londynie nie ma zbyt wielu kwiatów. Tu zatrudniamy całą armię ogrodników. Mama dobrze się czuje w otoczeniu zieleni i jaskrawych barw. - A potem dodał, strzepując z rękawa niewidoczny pyłek: - Mama jest teraz za granicą, więc jeśli chcesz, możesz wydawać polecenia ogrodnikom, a nawet grzebać się w ziemi razem z nimi. Te tarasy powstały jakieś cztery lata temu. Matka życzyła sobie tego.

- A czy tobie zdarza się pracować z ogrodnikami? Uniósł wysoko wytworne brwi. - Rzadko. Nie mam do tego powołania.

- Nawet jeżeli robiłeś to tylko dla matki, wybór roślin, plan ogrodu - wszystko tu jest po prostu doskonale. Wyobrażam sobie, że w lipcu i sierpniu dom jest po prostu niewidoczny w morzu intensywnych barw. - Odwróciła się, by na niego spojrzeć i uśmiechnęła się leciutko. - Może pewnego dnia twoja matka zaprojektuje jakiś ogród także dla mnie.

- Możesz ją o to poprosić, gdy tylko się spotkacie - powiedział powoli. Znów spojrzął na swój rękaw i dodał: - Stary Brown nauczył ją wielu rzeczy. A ja, jak ci mówiłem, zająłem się stroną praktyczną.

Twarz Zuzanny promieniała szczęściem. Chwyciła go mocno za rękaw. - Dziękuję ci bardzo. Strasznie się cieszę, że będę mogła pracować w tych pięknych ogrodach. Lecz czy dla kogoś takiego

jak ty zajmowanie się ogrodem nie jest zbyt nudne?

Rzeczywiście, pomyślał, przeklinając w duchu, żaden znany mu dżentelmen o podobnej reputacji z pewnością nie zajmował się ogrodami, niezależnie od tego, czy był to pomysł jego matki, czy kogokolwiek innego. Powiedział więc: - Każdy człowiek ma wiele twarzy. A co miałaś na myśli, mówiąc o kimś „takim jak ja”?

Miała przynajmniej tyle przyzwoitości, by się zarumienić. - Och, nic szczególnego, doprawdy - odparła.

- Ach, więc to była tylko taka mała złośliwość?

- No cóż, jesteś znany ze swej nieposkromionej natury, nieprawdaż? Tak jak twoi rodzice.

- Mówiłaś, że George tak twierdził.

- Tak, i... Marianna! Nie! Toby, łap ją!

Zuzanna biegła na złamanie karku, a Jamie deptał jej po piętach. Za stajennym biegł zdradziecki koń Rohana, Guliwer.

Popatrzył z wyrzutem w niebo. - Jeszcze cztery dni temu moje życie było wręcz doskonałe. I za co to, Panie?

A potem ruszył za swoim koniem. Z tyłu słyszał rżenie Hery. Wiedział, że za chwilę klacz go wyprzedzi. Podczas drogi Jamie jechał na Guliwerze, prowadząc za sobą starą kobyłę. A teraz ta rzekoma stara szkapa biegła za Guliwerem, jakby ziemia paliła jej się pod kopytami. A może chodziło raczej o Jamiego? Nawet dwa podjezdki, przywiązane do powozu, niecierpliwie przebierały nogami. Możliwe, że one także za chwilę zerwą się do biegu.

Marianna nie stoczyła się co prawda ze wzgórza, ale niewiele brakowało. Toby zaczął się jąkać ze strachu i teraz miał ochotę przyłożyć jej za to, że go tak przestraszyła.

Rohan przyglądał się, jak Zuzanna porywa małą w ramiona, potrząsa nią, a potem przytula tak mocno, że dziecko w końcu zaczęło płakać.

Błogosławiony spokój. Jak miło słyszeć jedynie brzęk łyżki, uderzającej o dno talerza z gęstą zupą z homara. Postukał łyżką o bok wspaniałej, poślacanej wazy. Dźwięk rozległ się cichy, przyjemny dla ucha.

Spojrzał przez stół na Zuzannę i spostrzegł, że rozgląda się krytycznie. Cóż, u licha, mogło jej się tu nie podobać? W porównaniu z Mountvale jej dom wyglądał jak rudera.

- Nie smakuje ci zupa pani Horsely?

- Musi być dobra, skoro opróżniłeś już cały talerz. Nie, myślałam po prostu, że tu tak cicho.

Nie podobały mu się te słowa. Nie życzył sobie, by jej myśli tak dokładnie odzwierciedlały jego spostrzeżenia. Nie wiedzieć czemu, wyprowadzało go to z równowagi.

Powiedział więc szybko: - Muszę znaleźć ci jakąś przyzwoitkę. Pani Beete, choć przez wiele lat była tu główną pokojówką, jest przede wszystkim gospodynią, nie towarzyszką. Z pewnością znajdzie się w okolicy jakaś dama bez zobowiązań, której obecność powstrzyma złośliwe języki.

- Czy nie wydaje ci się to niemądre? Jestem dorosłą kobietą, wdową, a nasze towarzystwo nadal uważa za niewłaściwe, bym mieszkała pod jednym dachem z dżentelmenem. Chociaż jeśli o ciebie chodzi, to nie jesteś takim znowu dżentelmenem, z pewnością nie w każdych okolicznościach.

- Następna impertynencja, proszę pani?

- Och, nie, nie chciałam być złośliwa. Tyle że przez pięć lat karmiono mnie opowieściami o twoich wyczynach. George nigdy nie miał dosyć opowiadania o nich.

Wyczynach? Jakich znowu wyczynach?

Uśmiechała się do niego, choć był to uśmiech nieco wymuszony. - No cóż, właściwie dopiero zacząłem te swoje wyczyny - powiedział swobodnie. - Nie mam jeszcze dwudziestu sześciu lat i zanim zejść z tego świata, opisy moich przygód z pewnością zapełnią strony co najmniej tuzina opasłych tomów. A tak przy okazji - o jakich to wyczynach wspominał George?

Nie odezwała się, dopóki lokaj w jaskrawo czerwono - białym uniformie nie zebrał talerzy po zupie. Kamerdyner Fitz wydał polecenie dwóm lokajom, by wnieśli następne sześć dań na srebrnych półmiskach, przykrytych srebrnymi kopułami.

- Strasznie tu dużo jedzenia - powiedziała, a w jej głosie nareszcie zadźwięczała nutka zdumienia. Nie powiedział jej, że polecił pani Horsely, aby z okazji przyjazdu gości godnie się zaprezentowała. Nie miał pojęcia, dlaczego tak postąpił. Gdy Fitz uniósł srebrne pokrywy w kształcie kopuł, bogaty aromat potraw rozszedł się po pomieszczeniu, drażniąc powonienie Rohana. Zaburczało mu w żołądku.

Zuzanna była rzeczywiście pod wrażeniem. Na stole znajdowały się jagnięce kotlety, szparagi, cielęcina, pysznił się gotowany homar, a nawet talerz ostryg. Nie wspominając o licznych półmiskach ziemniaków, groszku, duszonych grzybów. Zawartości części z nich nie była w stanie nawet dostrzec, gdyż stały w zbyt wielkiej odległości od niej.

Rohan stwierdził łaskawie: - Ach tak, jest i *Charlotte a la Parisienne*. Specjalnie sobie zażyczyłem. Nie sądzisz, że wygląda wspaniale?

Zuzanna nie miała pojęcia, co ta Charlotte miała wspólnego z Paryżem, lecz jego pełne wyższości spojrzenie zdenerwowało ją. - Nie - powiedziała, nakładając sobie na talerz kawałek gotowanego ozora i nieco brokułów. - Nie wygląda zbyt apetycznie. Może gotowano ją zbyt długo? A może miała już swoje lata, zanim trafiła do garnka?

Roześmiał się, a potem umilkł gwałtownie. Musiał z tym skończyć. Beztronski śmiech z niewinnego żartu - nie tego spodziewano się po Szalonym Baronie. On miał uwodzić i drwić. Musiał dbać o podtrzymanie swojej reputacji i dokonywać wciąż nowych podbojów. Nie, niewinny śmiech z czegoś, co powiedziała dama, to nie dla niego.

Jego kochanej mamie z pewnością by się to nie spodobało.

- Ten lodowy pudding z migdałami jest bardzo smaczny - powiedziała po tym, jak Rohan przez dziesięć minut nie odezwał się ani słowem.

Roześmiał się z jej żartu o Charlotte, a potem nagle umilkł, jakby ktoś zamknął kurek. Było w tym coś dziwnego. Nie lubił się śmiać? A może nie miał zwyczaju śmiać się przed określoną godziną? Zaczynała go lubić, lecz ani trochę go nie rozumiała.

Ledwie skinął głową. Próbował wyglądać na znudzonego, ale potrawy, przyrządzone przez panią Horsely, były tak smaczne, że wyraz jego twarzy mimo woli odzwierciedlał błogostan.

Nagle do jadalni wpadł Toby, chwytając gwałtownie powietrze. Tuż za nim podążali obaj lokaje, a za nimi Fitz ze zjeżonymi na głowie siwymi włosami. Rohan zerwał się z krzesła.

- O mój Boże! - zawołał Toby, oddychając ciężko. - Proszę pana, proszę szybko! I ty, Zuzanno!

Nim Rohan zdążył zapytać, co tu, u licha, się dzieje, Toby wypadł z pokoju. Słyszeli, jak biegnie po schodach.

- Milordzie - powiedział Fitz, a potem umilkł. Bo co tu było do powiedzenia? - My także pójdziemy - oznajmił w końcu, kiwając dłonią na obu lokajów. Zuzanna o mało nie wyprzedziła Rohana na schodach. Gdy byli na podeście, usłyszeli krzyk.

- O Boże! - Zuzanna uniosła spódnice do kolan i pobiegła najszybciej, jak mogła w kierunku

swoich apartamentów, gdzie trzy godziny wcześniej ułożyła do snu Mariannę.

Toby stał w drzwiach pokoju dzieciennego, na przemian unosząc się i opadając na stopach, machając do przybyłych gorączkowo. - Szybciej, pośpieszcie się!

- krzyczał.

Rohan po prostu uniósł chłopca i odstawił go na bok. Wbiegł do pokoju i natychmiast się zatrzymał. W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego niezwykłego. A potem jego uwagę przyciągnęło otwarte okno. Na wysoko umieszczonym parapecie siedziała Marianna i wymachiwała radośnie rączkami.

Od ziemi dzieliła ją odległość co najmniej dziesięciu metrów.

Zuzanna delikatnie położyła dłoń na rękawie surduta Rohana. - Marianno? - zawołała na pozór spokojnie. - Co ty tam robisz, kochanie?

Dziewczynka obejrzała się na matkę. - Pan otworzył okno. Powiedział, że mogę się tu pobawić.

Jaki pan? Rohan nie powiedział tego na głos. Zobaczył panikę w oczach Zuzanny i postanowił przez chwilę nie zwracać na to uwagi. - Marianno - powiedział spokojnie. - Twój tatuś też lubił siedzieć na tym parapecie, kiedy był mały. To świetna zabawa, lecz jest już późno. I ciemno. Wiatr może cię porwać i przenieść przez Kanał do Francji. Nie chciałabyś chyba znaleźć się we Francji bez mamy, prawda?

- Chyba nie - powiedziało dziecko po chwili namysłu.

- Kochanie - zaczęła Zuzanna, zbliżając się powoli do okna. - Nie ruszaj się, dobrze? Nie chcę, żebyś poleciała do Francji beze mnie. Jeżeli dokądkolwiek polecisz, to tylko ze mną. A teraz nie ruszaj się. Mam zamiar zabrać cię do środka.

- Ja to zrobię - powiedział Rohan.

Jednak Zuzanna już stała przy oknie. Znajdowało się dosyć wysoko nad podłogą. Dziewczyna zmarszczyła brwi, lecz po chwili jakoś udało jej się podciągnąć na parapet. - Nie ruszaj się, Marianno. - Powoli wyczołgała się na zewnątrz, przez cały czas przemawiając do córki uspokajająco.

Toby stał obok Rohana, obaj sztywni jak kije, niezdolni wypowiedzieć ani słowa. Fitz i obaj lokaje zamarli w bezruchu w drzwiach pokoju dzieciennego.

- Już, kochanie, już jestem przy tobie. Odwróć się i chodź do mamy. Nie patrz w stronę Francji. Nie chcę, żebyś odleciała. Tak, podpełznij do mamy. Dobra dziewczynka.

- O rany! - odetchnął Toby, kiedy Zuzanna przytuliła wreszcie córkę do siebie. - O Boże.

- W pełni się zgadzam - powiedział Rohan. Podszedł bliżej, wziął Mariannę z rąk matki i wsadził ją sobie pod ramię. Podał Zuzannie drugie ramię i wciągnął ją do środka, po czym usiadł na wytwornym bujanym fotelu w kącie pokoju. - Zapalcie więcej świec - rozkazał Fitzowi. A potem zaczął kołysać Mariannę. Po chwili odezwał się bardzo, bardzo spokojnie. - Co to był za pan, Marianno?

ROZDZIAŁ 6

Obróciła się w jego ramionach i dotknęła wilgotnym od ssania paluszkami dołka w brodzie Rohana.

- No, Marianno, co za pan?

Nadal wpatrując się w jego brodę, powiedziała: - Miły pan. Obiecał, że jeśli przestanę płakać, pozwoli mi posiedzieć na parapecie. Powiedział, że musi czegoś poszukać i że wolno mu być w pokoju, bo ciebie zna.

- I otworzył dla ciebie okno? Skinęła głową.

- Posadził cię na parapecie?

- Nie. Przystawił krzesło, żebym mogła się wdrapać.

- Dobry Boże. I co, przestałaś płakać? Uśmiechnęła się do niego. Pewnie, że przestała.

Skoro obiecał jej tak zakazaną zabawę...

- Marianno, czy mogłabyś mi powiedzieć, jak wyglądał ten pan?

- Jak ty - powiedziała, przyciskając środkowy palec do dołka w jego brodzie. - Wyglądał jak ty.

Zmęczona, opadła mu na piersi. Teraz głośne ssanie było jedynym odgłosem, który zakłócał ciszę dziecięcej sypialni. Rohan zapytał spokojnie: - Jak sądzisz, będzie teraz spała?

Zuzanna zdołała tylko skinąć głową. Stała tam, zeszywniała z wrażenia, niemal tak przerażona, jak podczas tych długich godzin, które spędziła z matką, gdy rodził się Toby. Nie mogła wówczas nic zrobić. Lecz teraz to ona była matką. Na niej spoczywała odpowiedzialność za dziecko, które omal przed chwilą nie zginęło.

- Zuzanno? Nie przejmuj się tak. Mariannie nic się nie stało. Słyszysz, jak ssie paluszki? Opanuj się. No, teraz lepiej. Połóż ją spać. Każę pokojówce zostać przy niej, dopóki nie przyjdiesz. A nawet dwóm pokojówkom, jeśli uważasz, że tak będzie lepiej.

- Wolę dwie - powiedziała Zuzanna.

- Co najmniej - dodał Toby, tak blady, iż Rohan spodziewał się, że lada chwila zemdleje. - I lepiej, żeby jeden z nich był mężczyzną. Ze strzelbą.

Do dziewiątej wieczorem cały dom został starannie przeszukany, wszystkie drzwi i okna zabezpieczone, a służbie kazano patrolować teren wokół domu przez całą noc.

Baron, Zuzanna i Toby zasiedli w salonie, ładnym pokoju pachnącym starym jedwabiem, dębowym drewnem i cytrynowym woskiem do mebli.

Toby mówił właśnie: - Powiedział mi pan, żebym zajrzał do Marianny, gdy będę szedł spać. No to poszedłem, a ona już siedziała na parapecie, śmiała się i gadała sama do siebie, dopóki mnie nie zobaczyła. Wtedy zawołała, żebym też wyszedł i pobawił się z nią. Powiedziałem jej, żeby wracała, i to natychmiast, ale ona nie chciała. Próbowałem ją ściągnąć, ale ten mały czort wysunął się jeszcze dalej. Omal nie umarłem, jak to zobaczyłem. Bardzo mi przykro, proszę pana.

- Nie bądź niemądry, Toby. Zrobiłeś dokładnie to, co było trzeba. Mnie samemu serce podeszło niemal do gardła, kiedy ją tam zobaczyłem. Postąpiłeś słusznie.

- Czy masz jeszcze jakiegoś brata poza wielebnyim Tiboltem? - spytała Zuzanna. Siedziała bardzo spokojnie, nie spuszczać wzroku z Marianny, ulokowanej starannie na stojącej w mrocznym kącie salonu kanapie, z pokojówką po jednej stronie pośłania i lokajem po drugiej.

Rohan pokręcił z wolna głową. - Nie, został już tylko Tibolt. Lecz on nie skrzywdziłby żadnego huncwota Bożego, jak nazywa dzieci. Choć nasi rodzice nigdy by tego nie przyznali, doskonale wie, jak z nimi postępować, co często sprowadza się do tego, że wręcz niesamowicie im pobłaża. Nie, Tibolt nie może być tym mężczyzną, który otworzył okno i przystawił do niego krzesło, żeby Marianna mogła wdrapać się na parapet.

- Tibolt?

- Tak, Toby. Ojciec pozwolił mojej matce nadać imię jednemu chłopcu, sam zaś ochrzcił dwóch pozostałych. To moja matka wybrała imię dla George'a. Ojciec wolał coś bardziej oryginalnego. Wydaje mi się, że pierwszy Tibolt był biskupem w dawnym Konstantynopolu. Być może George wspominał wam, że mój ojciec znany był ze swojej, pewnego rodzaju, łagodnej złośliwości. Zapewne uznał to za doskonały żart. Naturalnie wcale nie spodziewał się, że Tibolt zostanie duchownym, sądził, że odziedziczy charakter po reszcie rodziny. Uważał całą sprawę za wielce zabawną, dopóki los nie zakpił sobie z niego i Tibolt nie postanowił zostać pastorem.

- Wielkie nieba - powiedział Toby - jak to dobrze, że mój tata nie zrobił mi czegoś takiego!

- Wygląda na to, że wasz ojciec sprowokował los - powiedziała Zuzanna.

- Rzeczywiście. Toby ziewnął donośnie.

Czas do łóżka, Toby - powiedziała Zuzanna.

Chłopak wstał natychmiast, lecz dalej się nie ruszył. Stał w miejscu, spoglądając na czubki swoich butów.

- O co chodzi, kochanie? - spytała jego siostra.

- Czy mógłbym spać dzisiaj w pańskim pokoju, sir? - wyrzucił z siebie chłopak. - Nie chodzi o to, że się boję, ale...

- Sam miałem zamiar to zaproponować, Toby. Myślę, że będę się czuł o wiele lepiej, jeżeli będziesz spał ze mną - powiedział Rohan i westchnął. Ośmiolatek w jego sypialni? No cóż, przespali w jednym pokoju poprzednie trzy noce. Chłopak nie chrapał, a jeśli robił to Rohan, Toby się nie skarżał. Wstał. - Powiem Fitzowi, by postawił dodatkowe łóżko.

- Nie podoba mi się to, co się stało, proszę pana.

- Ani mnie. Jutro rano spróbuję ustalić, kto dostał się do pokoju Marianny. Na pewno nie był to mój brat Tibolt.

To nie mógł być Tibolt, pomyślał. Marianna jest jeszcze mała. Musiała pomylić się co do podobieństwa.

Spojrzał na Zuzannę. I znowu w jej oczach dostrzegł cień paniki. I jeszcze coś. Strach? Co tu, u diabła, się dzieje? Nie odezwał się, dopóki Toby nie wyszedł z pokoju. - A teraz, może byś mi powiedziała, czego szukał ten człowiek?

Jego głos miał owo głębokie i jakże kojące brzmienie, które sprawiało, że człowiek miał ochotę natychmiast powierzyć mu każdy sekret. Potrząsnęła głową, starając się wyrwać spod wpływu tego głosu. Nie wiedziała, co robić. Podniosła śpiącą Mariannę i ułożyła sobie na ramieniu, po czym wyszła z salonu. Rohan podążył za nią.

W końcu powiedziała cicho, starając się nie obudzić dziecka: - Jest coś, lecz trudno mi uwierzyć, by mogło mieć cokolwiek wspólnego z tym... wydarzeniem.

- Może pozwolisz, że ja to ocenię?

- Jestem niemądra.

- Powiedz mi.

- Mówisz zupełnie jak sędzia, drogi lordzie, tak sztywno i napauszenie - powiedziała, kiedy wchodzili razem po głównych schodach.

- Lordzie? - Uniósł gęste brwi. - Czy po tym, jak widziałem, gdy wspinasz się na parapet - z obnażonymi kostkami i pończochami odsłaniającymi kolana - nie mogłabyś darować sobie tego „lorda”?

Nie patrzyła na niego. Zatrzymali się przed drzwiami jej sypialni. Potem położyła Mariannę do łóżeczka, a dziecko natychmiast zaczęło ssać palec.

- Powiedz mi. Pozwól, że ja zdecyduję, czy to jest głupie, czy nie.

Nie miała wyjścia. A poza tym uświadomiła sobie, że bardzo chce mu o wszystkim powiedzieć. Nie chciała utrzymywać tego w sekrecie ani chwili dłużej. Powiedziała więc: - Pierwsze włamanie do Mulberry House miało miejsce tuż przed ostatnią Gwiazdką. Byliśmy z wizytą u sąsiadów. Kiedy wróciliśmy, wszystkie rodzinne dokumenty walały się porozrzucane po podłodze, meble przewracano, a kilka pasterek z dreźdeńskiej porcelany, które należały do mojej matki, rozbito. Nic nie zginęło. Dwa miesiące później wszystko się powtórzyło. Tyle że teraz Toby wrócił do domu wcześniej, niż się go spodziewano, i ktoś uderzył go w głowę. A zaledwie trzy tygodnie temu znów miało miejsce włamanie.

- I znowu nic nie skradziono.

- Nie, ale ktokolwiek to był, za każdym razem narobił okropnego bałaganu. Te włamania to właśnie był jeden z powodów, dla których tak chętnie zgodziłam się pojechać z tobą. Śmiertelnie się bałam, że kiedy włamywacz wróci, ktoś z nas może być akurat w domu. Toby'emu nic wielkiego się nie stało, lecz bardzo się przestraszyłam.

- I nie masz pojęcia, kim może być ten włamywacz?

- Najmniejszego.

- Ani czego tak uparcie szuka?

- Nie.

- No cóż, skoro wracał do Mulberry House aż trzy razy, najwidoczniej nie znalazł tego, czego szukał. A ty przypuszczasz, że przyjechał za wami do Mountvale?

Oparła się o ścianę w pobliżu drzwi. Przez drzwi pokoju przebijał wątki blask świecy.

- Sądysz, że to możliwe?

- Tak, oczywiście. Musimy postarać się dociec, o co mu chodzi.

- Bez przerwy o tym myślę. Nie posiadamy zbyt wiele i trudno mi sobie wyobrazić, żeby coś z tego, co mamy, mogło być dla kogoś aż tak godne pożądania.

- Nie sądzisz, że powinnaś była mnie ostrzec? Głos Rohana brzmiał spokojnie i delikatnie, lecz ona nie dała się zwieść. Widziała, jak pulsuje żyła na jego szyi. Musiał być wściekły. - Bardzo przepraszam. Naprawdę sądziłam, że nikt nie widział, jak wyjeżdżamy. Pomyślałam, że wszystko się zmieni, gdy opuścimy Mulberry House i pojedziemy z tobą. Nigdy nie naraziłabym cię świadomie na niebezpieczeństwo. Boże, Marianna mogła przecież spaść z tego parapetu!

- Daj spokój. Z Marianną wszystko w porządku. Słyszysz, jak ssie palec? No cóż, teraz, kiedy już wiem, o co chodzi, podejmę odpowiednie kroki. Jesteś zmęczona, Zuzanno. Połóż się obok Marianny.

- Delikatnie pogłaskał mięciutkie włoski dziecka. - I nie martw się. Porozmawiamy o tym jutro. Nie

mam do ciebie żalu. No, przynajmniej nie bardzo. Dobranoc, Zuzanno.

- Dobranoc, milordzie.

Chrząknął z dezaprobatą, odwrócił się na pięcie i pomaszerował do swojej olbrzymiej sypalni. Oslonił płomień świecy dłonią, by nie obudzić chłopca, który spał na dostawionym łóżku. Wyglądał blado, z grzywą czarnych włosów opadających na czoło. Był to bez wątpienia przystojny chłopiec, a co ważniejsze, inteligentny i obdarzony dobrym charakterem. Z pewnością zasługiwał na więcej, niż mógł mu ofiarować jego przekłety ojciec - szantażysta.

Potrząsnął głową, dziwiąc się sam sobie. Dobry Boże, czyżby zamierzał odgrywać wobec tego chłopca rolę ojca? Westchnął. Miał dopiero dwadzieścia pięć lat. Mężczyzna o jego reputacji nie powinien nawet zdawać sobie sprawy z istnienia dzieci.

Wszystko tak się skomplikowało. Uwiedzenie kobiety wydawało się w porównaniu z tym dziecinną zabawą. Bez wątpienia wolałby teraz posiedzieć tydzień czy dwa na probostwie Tibolta, by uspokoić nerwy. Zanim usnął, przyszło mu do głowy, że Toby nie powiedział ani słowa o włamaniach do Mulberry House. Ciekawe dlaczego. Chociaż właściwie to oczywiste. Widocznie siostra zakazała mu wspominać o tym. Musiał to sobie przemyśleć.

Tej nocy Toby chrapał.

Następnego ranka cała służba zgromadziła się w holu wejściowym. Najwidoczniej czekali na niego.

Przyglądał się im, schodząc ze schodów. Powiedział do Fitz'a lekkim tonem: - Znosi się na wietrzny dzień.

Tak, milordzie. Może zechciałby pan napić się kawy, kiedy Ben będzie panu opowiadał, co znalazł w pobliżu stajen? A kiedy będzie pan jadł jajecznicę, pani Beete może powie panu, co słyszała w środku nocy. A kiedy pan będzie przeżuwał grzanekę, Elsie też powie, co wie, choć, moim zdaniem, nie wie niczego. Nie, nie pozwolę jej przeszkadzać przy śniadaniu. Sam powtórzę panu jej historyjkę.

Włosy Fitz'a nie były tak gładko przylizane, jak zwykle, co stanowiło dużą niespodziankę. Kamerdyner Carringtonów, który służył w tym domu od dwudziestu pięciu lat i pamiętał jeszcze, jak wsadzał Rohana na pierwszego w jego życiu kucyka, nie wydawał się zadowolony.

Co do pani Beete, gospodyni Carringtonów od ponad ćwierć wieku, która przyszła do tego domu, gdy rodzice Rohana się pobrali, to spoglądała na niego tak, jak pastor mógłby spoglądać na grzesznika, który odmówił powrotu na ścieżkę cnoty. Co dziwniejsze, miała zwyczaj spoglądać w ten sposób także na Tibolta, którego wszyscy uważali niemal za świętego.

Rohan skinął głową. - Doskonale. Pani Beete, gdy pani Carrington zejdzie na dół, proszę upewnić się, czy ona i dzieci mają wszystko, czego im trzeba.

- Niech pan sobie tylko wyobrazi, milordzie - powiedziała pani Beete swym miękkim akcentem wieśniaczki - pan George ożeniony w sekrecie, i to już tyle lat temu. Taki skromny, zajęty nauką chłopiec. Wprost trudno mi w to uwierzyć.

- Mnie także.

Teraz odezwał się Fitz. - Ja nie uwierzyłbym, milordzie, gdyby mała tak bardzo nie przypominała panicza George'a. Jak to dobrze, że coś nam po nim zostało. Dziewczynka jest także podobna do matki pana, milordzie, i do pana też.

- Tak, wiem. A teraz, co do Toby'ego...

- Tu jestem, proszę pana.

- Ach, więc jesteś. Gdy wychodziłem, nadal smacznie chrapałeś. Umyłeś się?

Chłopiec wbił wzrok w czubki swoich pantofli. - Noo... niezupełnie.

- Wracaj na górę z Rorym. Pomoże ci. Chce zostać osobistym lokajem, więc niech się wprawia.

A teraz, Fitz, pani Beete, proszę za mną do pokoju śniadaniowego. Chciałbym usłyszeć, co wydarzyło się w nocy.

Jak się okazało, Ben znalazł strzęp wełny, zaczepiony o niską gałąź drzewa, rosnącego w pobliżu stajen. - A zatem uważacie, że ktoś przejeżdżał konno zbyt blisko drzewa i podarł sobie płaszcz?

Ben skinął głową. - Na to wygląda.

- Rzeczywiście, wełna chyba nie wisiała tam długo. Widać, że jest zupełnie czysta - powiedział Rohan, obracając wełniany strzęp w ręce. Materiał musiał być w dobrym gatunku, a zatem z pewnością nie pierwszy lepszy łapserdak miał na sobie ten płaszcz. Wsunął materiał do kieszeni.

- A teraz pani, pani Beete. Proszę opowiedzieć, co pani słyszała.

- Jak pan wie, milordzie, moje mieszkanie znajduje się w odległej części domu. Obudziłam się w środku nocy i zdałam sobie sprawę, że usłyszałam coś niezwykłego. Podeszłam do okna i wyjrzałam. Na dole, tuż za drugim ogrodem, zobaczyłam pomiędzy krzakami mężczyznę.

- Dlaczego nie zaalarmowała pani wszystkich?

- No cóż, milordzie, najpierw nie bardzo wierzyłam swoim oczom, sądząc, że tylko mi się wydaje, a kiedy potrząsnęłam głową i ponownie wyjrzałam przez okno, nikogo już tam nie było. Możliwe, że tylko to sobie wyobraziłam, zważywszy na te powiewające na wietrze gałązki i kwiaty...

- A Elsie?

- Och, ta niemądra dziewczyna - powiedziała pani Beete. - Pracuje tu od niedawna i pewnie też chciała mieć swój udział w dramacie. W Braisley ma opinię płochej pannicy, która sporo przesadza i nieraz już się ośmieszyła. Lubi, kiedy się zwraca na nią uwagę.

- Jest bardzo młoda - powiedział Rohan, przypominając sobie kościste rudowłose stworzenie, z obawą spoglądające na niego spoza okropnego posągu na korytarzu drugiego piętra. - Pozwólmy jej na odrobinę płochości.

- Tak, milordzie. O to mi właśnie chodziło. Sądziłam, że pańskiej matce spodoba się ta dziewczyna, więc na razie patrzę przez palce na jej potknięcia.

- To bardzo miło z pani strony. A teraz, Fitz, powtórz mi, co powiedziała ci Elsie.

Fitz odchrząknął. Wyglądał na zmieszanego. - Powiedziała, że widziała w ogrodach mężczyznę. I że on nie był sam, lecz była z nim jakaś kobieta o bujnych blond włosach. Wydawali się bardzo zaprzyjaźnieni.

- Rozumiem. I co jeszcze wydało się Elsie podejrzanym?

- No cóż, postanowiła przekonać się, kim oni są. Jednak gdy zeszła do ogrodów, nikogo już tam nie było. To wszystko, milordzie.

- A zatem mamy w domu romansowych służących albo sąsiadów.

Fitz spojrzał na niego, najwyraźniej zaszokowany.

Pani Beete zaczerwieniła się. - To niemożliwe, milordzie. Nasi sąsiedzi ani służba nigdy się tak nie zachowują, zwłaszcza w ogrodach jego lordowskiej mości.

Ciekawe, co miałyby na ten temat do powiedzenia moja kochana mama, pomyślał. Będzie musiał powiedzieć jej o tym, gdy wróci z Włoch. Miał nadzieję, że zawita do Mountvale, chociaż wołała Londyn. Jednak czasami jej się zdarzało odpowiedzieć na zew jakiegoś lokaja pochodzącego ze wsi. Spojrzał na ubranych w czerwono - białe uniformy służących, stojących przed nim w szeregu. O, na

przykład ten - Augustus, Walijczyk - on z pewnością mógłby ściągnąć tu jego matkę. Ciemny jak grzech, o łobuzerskim spojrzeniu ciemnobrązowych oczu. Dobrze zbudowany i muskularny, nie miał więcej niż trzydzieści lat. Rohan mógł tylko potrząsnąć głową. Nie żeby ją winił. Był jej synem, jak często mu o tym przypominała, obdarowując go przy tym jednym ze swoich czarujących uśmiechów. Odkąd ukończył czternaście lat, ojciec przypominał mu o tym równie często, poklepując go przy tym tak mocno po ramieniu, że chłopak niemal wpadał na boazerię.

Potrzebował Pulvera. A także osobistego lokaja. Napisał krótki list do swego sekretarza i wysłał Augustusa do Londynu, aby sprowadził obu służących. Przygryzając w zamyśleniu koniec pióra, przypomniał sobie o ciotce Mirandzie, mieszkającej w Brighton. Oto odpowiedź na jego modlitwy. Oczywiście, Miranda z radością przyjedzie do Mountvale, aby odgrywać rolę przyzwoitki. W końcu wspomagał ją finansowo. Miał tylko nadzieję, że jeszcze żyje.

Pochylała się nad rabatką pierwiosnków, podziwiając ich białe, czerwone, różowe i złote kwiatki, tłoczące się ciasno na grządce. Zobaczył, jak lekko dotyka jakiejś roślinki o nieco pomarszczonych listkach. On także bardzo lubił pierwiosnki, choć nie miał zwyczaju chwalić się tym przed przyjaciółmi w Londynie. Prawdę mówiąc, ich ciepłe barwy ogrzewały mu serce.

Obok Zuzanny stało dwóch ogrodników. Bracia Ozzie i Tom Harker pracowali dla Carringtonów dłużej, niż on był na świecie. Obaj bardzo wysocy, szczupli i niemal łysi. Cała trójka rozmawiała teraz z ożywieniem. Jeżeli go wzrok nie mylił, Ozzie wyglądał na zasmuconego. Tom natomiast uśmiechał się od ucha do ucha. Ciekawe, co tam się dzieje, pomyślał.

- Dzień dobry!

Obaj mężczyźni wyprostowali się, lecz Zuzanna pozostała schylona. Usłyszał, jak pogwizduje z cicha. Skinął na Ozziego i Toma i przez chwilę przyglądał się, jak zbierają swoje narzędzia i oddalają się w kierunku sterty podkładek służących do szczepienia drzew.

- Wiedziałaś, że podczas deszczu pod liśćmi pierwiosnków chowają się wróżki? - zapytał z twarzą oddaloną zaledwie o kilkanaście centymetrów od jej ucha.

- O, tak - odparła, nie odwracając głowy. - A wiesz, że kiedy święty Piotr upuścił klucze do nieba, to tam, gdzie upadły, wyrosły pierwiosnki?

- Ooo, a czy ty wiesz, że pierwiosnek to symbol płochości i wolnej miłości?

Wreszcie odwróciła twarz i spojrzała na niego. Nie wyglądała ani na zaszokowaną, ani obrażoną. Uśmiechała się.

- Nie dziwię się, że o tym wiesz. Prawdę mówiąc, to chyba jedyny powód, że w ogóle słyszałeś o pierwiosnkach.

Spojrzał na nią chłodno i spokojnie. - Kochałaś George'a?

- Masz zamiar wytrącić mnie z równowagi? Chcesz, żebym odkryła przed tobą duszę? No cóż, powiem panu prawdę, milordzie. Nie ma powodu, by tego nie zrobić. Na początku, oczywiście, kochałam go. Później sprawy nieco się skomplikowały. Rzadko przyjeżdżał do Mulberry House.

- Innym razem opowiesz, jak było ci ciężko. Porozmawiajmy o wczorajszym wieczorze. Powiedzmy, że człowiek, który trzy razy włamywał się do Mulberry House, przyjechał za wami do Mountvale i w jakiś sposób udało mu się odkryć, w których pokojach was ulokowałem. Wśliznął się do domu tak, że nikt go nie zauważył i przekupił Mariannę obietnicą zakazanej zabawy, by nie płakała. A potem, jak sobie wyobrażam, do sypialni wszedł Toby i spłoszył intruza, który ukrył się za drzwiami. Toby pobiegł, by nas sprowadzić. Włamywacz skorzystał z okazji, aby niepostrzeżenie wydostać się z domu, ale zahaczył płaszczem o gałąź drzewa w pobliżu stajen i rozerwał go. -

Wyciągnął z kieszeni skrawek ciemnobłękitnej wełny i podał go Zuzannie. - Ben, jeden ze stajennych, znalazł to dzisiaj skoro świt. Nie sędzę, aby udało ci się rozpoznać materiał?

- Nie, nie wiem, skąd pochodzi. Wygląda na to, że intruz nie zdążył zdobyć tego, po co przyszedł. W pokoju nie było bałaganu, żadnych poprzewracanych kufrów ani porozrzucanych po podłodze papierów. Boże, on mógł skrzywdzić Toby'ego!

- Ale nie skrzywdził, więc nie myśl o tym. Spojrzała na niego. To dziwne, ale dopiero teraz naprawdę na niego spojrzała. Nadal tak bardzo się bała, że jej mózg ledwie pracował, a mimo to wpatrywała się w niego. Wydał jej się piękny. Wysoki, lecz niezbyt mocno zbudowany. Właściwie szczupły, o kształtnym ciele i zgrabnych nogach w obcisłych bryczesach z kozłej skóry. Twarz Rohana, o regularnych rysach, była niemal zbyt urodziwa, by mogło mu to wyjść na dobre. A te oczy - pomyślała, że pewnie wystarczy, by raz spojrzał na kobietę, a jej opór stopniuje niczym śnieg w słońcu. Były ciemnozielone, zimne niczym zimowe niebo, kiedy się gniewał i gorące niczym wzburzone morze, kiedy się śmiał. Lub robił inne rzeczy. Interesujące inne rzeczy. Na przykład z nią. Zadrżała. To śmieszne. Był kobieciarzem i teraz po prostu wypróbowywał na niej swoje sztuczki.

- Czy mogłabyś mi powiedzieć, dlaczego tak się we mnie wpatrujesz?

Potrząsnęła głową.

- Aaa... to może powiesz mi chociaż, o czym myślałaś?

Właściwie dlaczego nie? - Pomyślałam, że to dobrze, iż jesteś piękny. Z pewnością mężczyzna, który jest pożeraczem serc, nie odnosiłby zbyt wielkich sukcesów, gdyby wyglądał jak ropucha.

- Piękny? Ja? - Roześmiał się. I śmiał się coraz głośniejsze, aż pani Beete wychyliła się z okna i zawołała: - Milordzie, dobrze się pan czuje? Może przez cynaderki, które zjadł pan na śniadanie, rozboleła pana wątroba?

Roześmiał się znowu. Śmiał się i śmiał, w dodatku coraz głośniejsze. Nic dziwnego, iż pani Beete pomyślała, że musi być chory. - Tak, to z pewnością wątroba. Bo cóżby innego? - zawołał do niej.

- Dlaczego pani Beete sądzi, że źle się czujesz? - zapytała Zuzanna. - Według mnie wyglądasz doskonale. Uśmiechasz się i z pewnością nie dokucza ci wątroba. Nie chcesz powiedzieć? Trudno. A wiesz, że bracia Harker chcą mi podarować wyścigowego kociaka? Powiedzieli, że nauczą mnie, jak go trenować, lecz przebieg treningu musi być utrzymany w tajemnicy. Nigdy dotąd nie słyszałam o wyścigowych kotach, lecz sprawa wydaje się interesująca. Co o tym myślisz?

Roześmiał się znowu. A potem, zupełnie nagle, spoważniał. - Wyścigowy kociak? Nie, chyba źle ich zrozumiałaś.

- Ależ nie, naprawdę chcą mi go podarować.

- To nie w porządku - powiedział, kopiąc kamień czubkiem buta. - Mnie nigdy nie zaproponowali wyścigowego kociaka. Więc dlaczego tobie...? Dopiero cię poznali. Skąd wiedzą, że poradzisz sobie z jednym z ich wyścigowych kociaków? Możesz wszystko zepsuć.

- Jeżeli chcesz, pozwolę ci trenować go ze mną. Lepszy rydz niż nic. Miał zamiar przyjąć ofertę, choć nie spodobało mu się to. - Doskonale - burknął w końcu - ale i tak wolałbym mieć swojego.

ROZDZIAŁ 7

Rozsiadł się wygodnie w skórzanym krześle za mahoniowym biurkiem w bibliotece. Do tej pory zrobił wszystko, co mógł. Ktoś cicho zapukał do drzwi.

- Wejść! - zawołał.

Był to Fitz, z głową podniesioną wyżej niż kiedykolwiek podczas ostatnich pięciu lat. Nawet w swoich najgorszych czasach Fitz wyglądał dostojnie, niczym pan na włościach, lecz dziś przypominał króla.

- Zebrałem wszystkich ludzi, milordzie. Czekają na trawniku - oznajmił uroczyście.

Wszystkich, to znaczy ludzi z wioski, dzierżawców i całą służbę. Nawet pani Beete zajęła strategiczną pozycję pod jabłonką i stała tam z rękami złożonymi na obfitym łonie. Ozzie Harker trzymał na ręku jednego z najbardziej łownych kotów Rohana i drapał go pod brodą. Pręgowany kocur mrucał z rozkoszy. A przecież był na wpół dziki.

Na trawniku zebrało się co najmniej siedemdziesięciu pięciu mężczyzn i sporo kobiet. Zobaczył stojącą nieco z tyłu Zuzannę, z Marianną w ramionach i Tobym u boku.

Wszyscy spoglądali po sobie ponuro.

- Dziękuję, że przyszliście - zaczął. - Jak pewnie wszyscy już wiecie, wczoraj wieczorem jakiś człowiek włamał się do domu. Próbował przeszukać pokoje pani Carrington, lecz Toby go spłoszył. Nie wiemy, jak udało mu się zakraść do domu, ani skąd wiedział, które pokoje zajęła pani Carrington. Dziś rano Ben znalazł na drzewie w pobliżu stajni kawałek materiału. - Podszedł do najbliższych i podał im skrawek, by przekazali go dalej. - Chciałbym, żebyście mieli oczy otwarte. Jeśli zobaczycie jakiegoś nieznanego, ubranego w płaszcz tego koloru, poinformujcie natychmiast pana Fitz'a.

Zaoferował nagrodę, co zostało dobrze przyjęte, oraz po szklaneczce słynnego cydru pani Horsely dla wszystkich mężczyzn. Tylko po jednej szklaneczce, gdyż każda następna mogłaby spowodować, że porzuciliby swoje zajęcia i zaczęli wywijać na środku trawnika.

Nikt się nie dziwił, że poczęstunek spotkał się z większym aplauzem niż obietnica nagrody.

Potem wręczył Fitzowi zapieczętowaną kopertę. - Wyślij ten list, Fitz. To bardzo ważne.

- Do Londynu?

- Tak, to list do pewnego dżentelmena, któremu ufam. Filipa Merceraulta, wicehrabiego Derencourt.

- Nie mieliśmy tu takiego zamieszania, odkąd pańska matka spadła z gruszy prosto w ramiona Raymonda. Pamięta pan tego lokaja, Raymonda? Bardzo przystojny młody człowiek, dobrego charakteru i z poczuciem humoru. Zawsze myślę, że to szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, iż stał akurat pod gruszą, gdy spadła z niej pańska matka.

Czyżby Fitz pozwolił sobie na złośliwość? Na to wyglądało.

- Nie, Fitz, ta sprawa jest o wiele bardziej niepokojąca. Nie widziałeś Marianny na parapecie. To mogło być niebezpieczne. Prawdę mówiąc, Fitz, wolałbym się ponudzić.

- Jak rozumiem, ten sam człowiek już przedtem trzy razy włamał się do domu pani Carrington?

Skąd o tym wiedział? Rohan nie miał zamiaru teraz się nad tym zastanawiać, uniósł więc tylko brwi. Fitz wiedział o wszystkim.

- Na to wygląda. I właśnie dlatego napisałem do tego dżentelmena z Londynu. Śniadanie gotowe?

- Tak, milordzie. Panienna Marianna jest w pokoju dziecięcym z Betty. Panicz Toby poszedł do wioski, aby przedstawić się pastorowi, tak jak pan mu polecił.

- Tak. Pan Byam udziela lekcji, jak wiesz. Chciałbym, by Toby zdecydował, czy chce, aby pastor był jego nauczycielem. A pani Carrington? Chyba nie zaczęła jeszcze trenować swego kociaka?

- Nie, proszę pana. Kocięta przybędą dopiero w przyszłym tygodniu. Pan Harker nie lubi pośpiechu w tych sprawach. Uważa, że to źle wpływa na koci umysł. Pani Carrington oczekuje pana w pokoju śniadaniowym.

Zuzanna przełknęła plaster szynki. Plaster tak cienki, że niemal przezroczysty. Była to najwspanialsza szynka, jaką jadła kiedykolwiek w życiu.

- Napisałem do mojej matki, by zawiadomić ją, że została babcią, a także do ciotki Mirandy, która - jeżeli jeszcze chodzi po ziemi, a nie leży w niej - mogłaby tu przyjechać.

Przestała jeść. Przed śniadaniem przebrała się. Sukienka, którą miała na sobie, uszyta była z zielonego muślinu, nieco już spłowiałego z powodu częstego prania. Pod biustem ozdobiła ją ciemnozielona wstążka, rękawy były krótkie i bufiaste, a dekolot zabudowany ozdobną koronką. Błyszczące brązowe włosy Zuzanny, zebrane do tyłu i przewiązane lekko czarną wstążką, opadały jej ciężką falą aż na plecy.

- Niepotrzebnie robi pan sobie kłopot, milordzie. Jesteś pewien, że...

- Tak, jestem. Podobnie jak tego, że masz piękne włosy - powiedział, uświadamiając sobie, jak bardzo pragnie przesunąć jedwabiste pasma pomiędzy palcami - pragnienie, z którego nie zdawał sobie sprawy jeszcze wczoraj. Poskromił niewczesny apetyt i zajął się jajecznicą. Jakże pragnął przyciągnąć zasłonę jej włosów do twarzy i wdychać ich zapach, poczuć dotyk tych włosów na swoim policzku. Powinien bardziej nad sobą panować. To zupełnie do niego niepodobne. Odchrząknął, lecz słowa, które wydobyły się z jego ust, nie były bynajmniej tymi, z których chciał zrobić użytek. - Twoje oczy mają ładny, szarobłękitny odcień. Jednak sukienki, które widziałem do tej pory, nie wyglądają zbyt dobrze. Są takie, jakbyś nosiła je od dziesięciu lat i jakby miały się zaraz rozlecieć. Postanowiłem sprowadzić z Eastbourne szwaczkę, aby przyjrzała się twojej garderobie.

Widelec Zuzanny brzęknął o talerz. Jej twarz nie była już spokojna - zalał ją jaskrawy rumieniec. - Nie zrobisz czegoś takiego. Nie musisz robić nic więcej poza przekazaniem mi pieniędzy George'a. Sama potrafię o siebie zadbać. O Mariannę także. I o Toby'ego. Naprawdę, jesteś bardzo uprzejmy, ale nie chciałabym, abyś wydawał na mnie pieniądze. I nie chcę być twoją dłużniczką.

- Nie mogę dać ci dwudziestu tysięcy funtów. Nie owijając rzeczy w bawełnę, tak właśnie miała się sprawa.

- Lecz powiedziałaś mi...

- Powiedziałem ci, że musisz żyć jak jedna z nas. I że będziesz miała obowiązki wobec głowy rodziny, to znaczy, w tym przypadku, mnie. Testament ciotki Mariam nie pozostawia w tej kwestii żadnych wątpliwości.

- A co się stanie z tymi dwudziestoma tysiącami? Nawet jeśli będę tu mieszkała, nie będę mogła ich dostać?

- Och nie, będziesz miała pensję. Spadek będzie ci wypłacany w małych ratach co kwartał, do

końca życia.

- To bardzo dziwny warunek. A poza tym jestem wdową, wdową po George'u. Jesteś pewien, że on nie zamierzał po prostu narzucić nas swojej rodzinie? Na pewno wdowa nie może przejąć całości spadku?

Wzruszył ramionami, żując następny kawałek bekonu, taki jak lubił - chrupiący. Poruszał się teraz po niezbyt pewnym gruncie, lecz nie miał zamiaru ustąpić. - Przykro mi - powiedział. - Nie widzę możliwości obejścia tego. Należysz teraz do rodziny. Z testamentu wynika, że jesteście pod moją opieką. Nie musisz jednak tu mieszkać. Jeżeli wolałabyś przenieść się na plebanię do Tibolta, jakieś dwadzieścia mil na wschód, do Edgeton - on - Hough... Tylko że tam jest bardzo ciasno. Wątpię, czy starczyłoby miejsca dla Toby'ego. A poza tym Tibolt zamierza wkrótce się ożenić. Z pewnością nie chciałabyś zawadzać świeżo poślubionym małżonkom?

- Chcesz przez to powiedzieć, że jesteś jedynym Carringtonem?

- Jedynym, który wchodzi w grę. No, poza moją matką. Lecz ona bardzo lubi podróże i nie spędza w Anglii zbyt wiele czasu. Choć kiedy przyjedzie do Mountvale z wizytą i zobaczy swoją wnuczkę, być może westchnie z radości i zdecyduje się zapuścić korzenie. - Zmarszczył brwi. - Ale nie liczyłbym na to zbyt. Prawdę mówiąc, trudno mi sobie nawet to wyobrazić. Moja matka nie jest zbyt uczuciowa.

Roześmiała się, unosząc do góry dłonie. - Twoja matka wydaje się kimś bardzo szczególnym.

- Bo jest. Uwielbiam ją. A teraz, co do tych paru sukienek...

- Nie, nie mówmy o tym. Więc kiedy dostanę pierwszą ratę? Chciałabym ją odłożyć.

Jak u licha testament może zabronić komuś oszczędzania odziedziczonych pieniędzy? Wiedział tylko, że nie może dopuścić, by wyjechała z Mountvale. Dlaczego? Rozsądek nie miał z tym nic wspólnego. Nie wyjedzie i tyle.

- Jak sądzę, mogłabyś co nieco odłożyć. Ale ja chciałbym się trochę rozerwać. A ty będziesz pełniła rolę pani tego domu. Nie możesz być panią domu Carringtonów w tych sukienkach.

Skupiła uwagę na małym kopczyku jajeczniczy na skraju talerza. - Pomyślę o tym - powiedziała w końcu, nie patrząc na niego.

Była ciemna, burzliwa noc z rodzaju tych które zawsze wprawiały Rohana w niespokojny nastrój. Niecierpliwie przemierzał bibliotekę. Podszedł do biurka i napił się herbaty. Była zimna.

- Lordzie?

Na dźwięk jej głosu omal się nie potknął. Spojrzał w kierunku drzwi. Stała tam, z gęstymi włosami rozpuszczonymi i opadającymi ciemną falą wzdłuż pleców, ubrana w spłowiałe bladoniebieski szlafrok i ciemnoniebieską koszulę nocną, jedno i drugie bardziej odpowiednie dla pokojówki w nieokreślonym wieku niż młodej kobiety z jej sfery. Zarówno szlafrok, jak koszula z pewnością należały do jej matki, jeżeli nie babki. Ale właściwie nie miało to znaczenia. I tak wyglądała zachwycająco. Jeszcze wczoraj w ogóle nie dostrzegwał, jaka potrafi być pociągająca. Teraz wszystko się zmieniło. To nie ma sensu. Nie może pozwolić sobie na takie uczucia. Na miłość boską, przecież ona jest matką. I jest bardzo pociągająca. Co za absurd!

Postarał się, by te odczucia nie znalazły odbicia w jego głosie. - Już po północy - powiedział chłodno. - Czego sobie życzysz?

- Przypomniałam sobie o czymś, co mogłoby okazać się pomocne. Zobaczyłam światło pod drzwiami biblioteki i pomyślałam, że powiem ci o tym.

Wskazał jej krzesło. Gdy przechodziła przed kominkiem, pałace się dotąd spokojnie głównie

wybuchły snopem iskier, oświetlając jej sylwetkę, doskonale widoczną przez na wpół przezroczyste odzienie. Rohan przełknął głośno ślinę. Będzie musiał w najbliższym czasie wybrać się do Londynu. Jak najdalej od tej kobiety. Może wtedy wróci mu rozum. Po co dokładał do kominka?

Przełknął jeszcze raz. - Usiądź - powiedział, tym razem głośniejszym głosem. Jeżeli ona natychmiast nie odsunie się od ognia, to on za chwilę znajdzie się w bardzo kłopotliwej sytuacji i będzie musiał schronić się za biurkiem. A ona z pewnością domyśli się dlaczego.

Zwłaszcza że od dłuższej chwili nie odrywał wzroku od jej piersi i widać było, że ma trudności z jasnym sformułowaniem myśli.

Stała za krzesłem i pochyliła się lekko. Następne pasmo włosów zsunęło się z jej pleców na lewą pierś. To była bardzo uwodzicielska poza. Czy nie zdawała sobie z tego sprawy? A może robiła to celowo?

- I co wydało ci się tak ważne?

Podniosła na niego oczy. Głos Rohana brzmiał szorstko, a twarz pozostawała poważna. - Jesteśmy dziś w dziwnym nastroju, prawda, milordzie?

- Nie jestem w żadnym nastroju i zabraniam ci o tym mówić.

Nie mogła się powstrzymać, by się do niego nie uśmiechnąć. Był uparty, a mimo to czarujący. Wyglądał na znękanego. Nagle spoważniała. To ona sprowadziła kłopoty na jego dom. Wszystko przez ten list ojca.

Miała nadzieję, że pani Heron oskubie go z ostatniego pensa. A kiedy zabraknie mu pieniędzy na zakłady, będzie musiał pozostać w Mulberry House. Nawet w tej chwili baron zapewne przeklina ją i jej rodzinę za kłopotliwe położenie, w jakim się znalazł za ich przyczyną. Spojrzała w dół na swoje zaciśnięte dłonie i westchnęła.

- Przepraszam za wszystkie kłopoty. To moja wina, dobrze zdaję sobie z tego sprawę.

- Przecież musiałaś się liczyć z tym, że złodziej pojedzie za wami, prawda?

- Może i tak, lecz liczyłam raczej na to, że zrezygnuje, kiedy się dowie, dokąd jedziemy. To prawdziwy dom, nie to co Mulberry House. - Spojrzała na brokatowe obicie krzesła i zaczęła głaskać je delikatnie, jakby pieściła kota. Materiał był miękki i ciepły i Rohan nagle wyobraził sobie, jak by to było dobrze poczuć jej dłonie na sobie, czuć, że go pieścą. Zaklął po cichu. Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce znajdzie się w domu wariatów. Usłyszał jej głos, jeszcze bardziej żalony i przepraszający: - Tak, to było możliwe i wiedziałam o tym. Oznacza to, że choćbym nie wiem jak przepraszająca, nie jestem zbyt uczciwą osobą.

- Tak, masz zupełną rację.

Nie była przygotowana na ból, jaki sprawiły jej te słowa. Spojrzała na niego. - To z powodu dzieci. Nie mogłam dłużej narażać ich na niebezpieczeństwo.

- Wygląda na to, że pod tym względem niewiele się zmieniło.

Miał rację. Jego słowa przygnębiły ją. Próbowwała wyprostować ramiona, lecz okazało się to zbyt trudne. Powiedziała więc bardzo spokojnie: - Czy moja kwartalna pensja wystarczy na wynajęcie małego domku w pobliżu Mountvale, skoro już muszę korzystać z twojej opieki? Zabiorę dzieci i wyjadę stąd. Będziesz mógł żyć jak dotąd.

Spojrzał na nią z ukosa. - Co przez to rozumiesz: Będziesz mógł żyć jak dotąd? - powtórzył, naśladując potępiający i ironiczny ton jej słów.

Uniosła do góry brodę. Nic złego nie miała na myśli, chociaż to przecież prawda. Patrzył na nią tak, jakby miał zamiar wyrzucić ją przez okno biblioteki. Jak wcześniej zauważyła, było to duże

okno. Z pewnością by się zmieściła.

- Jesteś kawalerem - powiedziała, starając się, aby zabrzmiało to pojednawczo. - I masz opinię mężczyzny, który żyje, kierując się kaprysami i szukając w życiu wyłącznie przyjemności.

- Wystarczy. - Zanurzył palce w i tak już rozburzonych włosach. Ma bardzo ładne włosy, nawet kiedy są potargane, pomyślała. - Posłuchaj, to był mój pomysł, żebyście przyjechali do Mountvale i zamieszkali tu. Ta uwaga o domku jest po prostu śmieszna. Będziecie tam narażeni na niebezpieczeństwo, zupełnie jak w Mulberry House. Tutaj przynajmniej ty i dzieci jesteście stosunkowo bezpieczni. A zresztą to wszystko bzdury. Po co właściwie przysłaś? Cóż to za niezwyklej wagi informację miałaś mi przekazać? Zrozumiała tę odprawę i powiedziała: - Kiedy mniej więcej dwa lata temu George zabrał mnie do Oksfordu, jedliśmy razem obiad w gospodzie i wówczas przyłączyło się do nas kilku jego przyjaciół. Przedstawił im mnie.

- I jak cię potraktowali? - zapytał, nim zdążył się powstrzymać.

- Co za dziwne pytanie. - Dobry Boże, jej naiwność była przerażająca. Lecz teraz już wiedział na pewno, że nie zdawała sobie sprawy ze swego statusu.

Przez chwilę zastanawiała się nad jego pytaniem, a potem zaczęła mówić dalej: - Traktowali mnie dosyć uprzejmie, lecz według mnie za wiele było poklepywania po plecach - George'a, oczywiście - nienaturalnego podekscytowania i żartów, których nie rozumiałam. Kiedy wyszli, George wydawał się nieco zawstydzony. Poczzerwieniał. Powiedział, że odwiezie mnie do domu i zrobił to. A potem już nigdy nie zabrał mnie do Oksfordu.

- Jak nazywali się ci jego przyjaciele?

- Pamiętam tylko jedno nazwisko, ponieważ wydało mi się wtedy dosyć dziwaczne. Theodore Micah. Jeden z nich miał na imię chyba Lambert. Nie pamiętam nazwiska, a może to było właśnie nazwisko?

- Czy byli w wieku George'a?

- Nie, starsi, może o sześć czy siedem lat. Kiedy spytałam o nich George'a, powiedział, że to wykładowcy. Lecz oni nie wyglądali ani nie zachowywali się jak nauczyciele. Wydawało mi się, że w ogóle nie pasują do Oksfordu, zbyt krzykliwie ubrani i w ogóle... Dlatego pomyślałam, że powinnam ci o nich powiedzieć. Zastanawiałam się, czy nie mają czegoś wspólnego z włamaniami do Mulberry House. To z pewnością nie byli studenci. Ani dżentelmeni.

Rohan naprawdę nie chciał tego słuchać. Pragnął, by wszystko w jego pamięci pozostało niezmienione. Chciał móc wspominać George'a bez owego nieprzyjemnego uczucia, że został zdradzony. Kim, u licha, mogli być ci mężczyźni? Z pewnością doskonale orientowali się w terenie. Niech diabli wezmą jego tajemniczego brata!

- Dziękuję - powiedział głosem tak zimnym, jak wówczas, kiedy powiadomiono go o śmierci George'a. - To mało prawdopodobne, by mieli coś wspólnego z włamaniami. Byli pewnie po prostu trochę nieodpowiednimi towarzyszami zabaw. Większość młodych mężczyzn prędzej czy później wpada w nieodpowiednie towarzystwo. Lecz będę o tym pamiętał. Już późno, a Marianna z pewnością nie da ci pospać dłużej niż do szóstej. Wracaj do łóżka.

Nie chciał, by znów przechodziła przed kominkiem. Odwrócił się i podszedł do kredensu. Nie tknął karafki, choć po mężczyźnie o takiej reputacji oczekiwano zapewne, że będzie połykać koniak jak wodę.

- Dobranoc, milordzie.

Nie odezwał się ani nie odwrócił, by na nią spojrzeć. Nie mógł. Byłoby to zbyt bolesne.

O świcie był już przy stajniach. Wokół panował boski spokój, nawet ptaki nie opuściły jeszcze gniazd. Powietrze było chłodne, ożywiał je lekki wiaterek. Nie zwracał dziś większej uwagi na ogrody ani na nic innego.

Ach, co za błogosławiona cisza. Zobaczył swego najbardziej łownego kota Galahada, tego, którego Tom Harker trzymał na rękach wczoraj rano, maszerującego alejką z uniesionym ogonem. Wyglądał na doskonale odżywionego. Lecz nawet on zachowywał się cicho. Tak, cisza. A potem doszedł do drzwi stajni i usłyszał, jak Jamie wyśpiewuje coś najśłodszym głosem, jaki zdarzyło mu się dotąd u niego słyszeć.

Był słynny rumak z miasta

Brok Co, biedak, padł ofiarą srok

Rzadki to w świecie wypadek

By mieć aż tak lśniący zadek

Że sroki go dziobią co krok.

Nagle, jakby w odpowiedzi, Guliwer zarżał z widoczną przyjemnością. Inne konie odezwały się do wtóru, a potem dało się słyszeć wesołe parskanie Hery.

Wszedł do pogrążonej w półmroku stajni, gdzie Jamie czyścił Guliwera. Trzej inni stajenni przerwali swoje zajęcia i przyglądali mu się z podziwem. Gdy skończył, nagrodzili go pełnymi aprobaty pokrzykiwaniami, domagając się dalszych przyśpiewek. Lecz Jamie potrząsnął głową. - Przykro mi, chłopaki, ale nie mogę rozpieszczać tych rozkosznych maleństw, bo staną się nieznośne. Jedna przyśpiewka dziennie musi im wystarczyć.

Stajenni zobaczyli barona, który zatrzymał się w drzwiach stajni. Przez chwilę pomrukiwali coś, skonsternowani, a potem zapadła cisza.

- Jamie, mamy tu także osła, ma na imię Puck i przebywa zazwyczaj na północnym pastwisku. Mógłbyś od czasu do czasu zaśpiewać coś także jemu.

- Ostatni osioł, któremu próbowałem zaśpiewać, nie potraktował mnie zbyt przyjaźnie.

Guliwer zarżał głośno. Czyżby przeklęty koń rozumiał nawet żarty Jamiego? - Ten dzisiejszy limeryk był całkiem dobry - powiedział. - Ponurak, osiodłaj dla mnie Guliwera. I pośpiesz się, dzień jest zbyt piękny, by go marnować.

Ponurak był chudym czternastolatkiem o miękkim zarysie szczęki, słynącym z tego, że nikt nigdy nie widział go uśmiechniętego. Żaden koń nigdy nie próbował go kopnąć ani ugryźć. Reszta stajennych uważała, iż to dlatego, że mu współczują. Od kiedy skończył pięć lat, nikt się inaczej do niego nie zwracał.

Jamie podszedł do Rohana.

- A jeśli chodzi o tego chłopaka, co wołają na niego Ponurak, to założę się, że zmuszę go, by się uśmiechnął, i to jeszcze w tym tygodniu. Taaa... uporam się z tym do piątku, nie ma dwóch zdań.

- Stawiam funta - powiedział Rohan. Podali sobie dłonie.

- Już parę razy zauważyłem, jak zerka na mnie spod oka, gdy śpiewam moim konikom. Do piątku, milordzie, nie dłużej. To dziwne, że jest taki ponury, bo ojciec go nie bije ani nic takiego. Po prostu taki już jest, i tyle.

Rohan jeździł aż do dziewiątej, kiedy to bardzo zmęczony wrócił do Mountvale House. Na widok stojącego przed frontem eleganckiego powozu, zaprzęgniętego w cztery białe konie, stanął jak wryty. Zobaczył trzech forysiów, ubranych w czarne uniformy. Tylko woźnica miał na sobie czarno - srebrną liberię. Frontowe drzwi Mountvale House były szeroko otwarte, ukazując istną feerię jaskrawych

kolorów. Poczł, że serce bije mu gwałtownie.

- Najdroższy! Wróciłam!

ROZDZIAŁ 8

Charlotta Dulcina Carrington, baronowa Mountvale, przyjęła z rąk syna kryształowy kieliszek z szampanem. - ...i widzisz, kochany, byłam właśnie w Paryżu, gdy ogarnęło mnie to uczucie. Nie, nie patrz na mnie, jakbyś sądził, że odebrało mi rozum. To było coś jakby przecucie, bardzo dziwne przecucie. Zobaczyłam dziewczynę - a raczej kobietę, choć bardzo młodą - z wyrazem przerażenia na twarzy. Ty także tam byłeś, stałeś obok niej i wydawałeś się taki bezradny. Więc co miałam robić? Uświadomiłam sobie, że jestem ci potrzebna. Nie zawahałam się ani chwili i oto jestem. - Skrzyżowała swe piękne białe ramiona, co jeszcze bardziej uwydatniło zgrabny biust, i oznajmiła głosem bohaterki romansu: - Wróciłam, by zająć się wszystkim, mój synu. Cokolwiek zdarzyło się złego, zajmę się tym.

- Dziękuję, mamó - powiedział Rohan. Stuknął kieliszkiem o jej kieliszek i zmusił się, by wypić łyk. Nie cierpiał szampana. Obrzydliwy napitek. Prawdę mówiąc, prawie nie pijał alkoholu, lecz nikt o tym nie wiedział. I nikt by w to nie uwierzył, zważywszy jego złą reputację.

Jak zwykle wyglądała wspaniale, ubrana w czarującą suknię w kolorze mchu, dość mocno, lecz nie przesadnie wyciętą. Zawsze odznaczała się dobrym smakiem, czegokolwiek by on dotyczył.

- Wyglądasz doskonale, mamó.

- Tak, najdroższy, wiem o tym, lecz miło, że zauważyłeś. Jak zresztą mogłoby być inaczej, mężczyzna o tak romansowej naturze... zupełnie jak twój drogi papa. A teraz powiedz, kim jest ta przerażona młoda dama?

Usłyszeli zbliżające się szybkie kroki, a potem tupot stóp na kamiennej posadzce. - Czy to ty, Toby? Wejdz i poznaj moją matkę, baronową Mountvale.

Toby zrobił dwa kroki w przód, a potem podniósł wzrok i oniemiał. Tuż przed nim stała najpiękniejsza istota, jaką widział kiedykolwiek. Jasne włosy, bujne i gęste, zostały częściowo zebrane na czubku głowy, podczas gdy reszta zwisała po bokach i na karku, tworząc zalotne loczki. Fryzurę ozdabiały diamentowe spinki, które mieniły się blaskiem, gdy dama poruszała głową. Oczy kobiety przypominały barwę letnie niebo w pogodny dzień, nos był doskonały w kształcie, wąski i prosty, jak nos Rohana, a wargi miały delikatny różowoczerwony kolor, jakby ich właścicielka przed chwilą jadła truskawki. W końcu Tobyemu udało się oderwać wzrok od Zjawiska. Spojrzał na barona, potrząsnął głową i spytał: - Żartuje pan, prawda, baronie?

- Nie rozumiem.

Toby zerknął znów na Boginię. - Ta pani nie może być pańską matką. Jest młoda i piękna, i przypomina pana. Ale jej oczy nie są zielone, tylko niebieskie. Musi być pańską siostrą. Młodszą czy starszą siostrą?

- Nie mam siostry, Toby. Przestań się tak na nią gapić. Masz dopiero osiem lat. To moja matka, zapewniam cię.

Hrabina, która dotąd wpatrywała się w Toby'ego ze swego rodzaju rozbawieniem, uznała teraz, że chłopiec odznacza się nie tylko spostrzegawczością, ale jest bystry i inteligentny. Uśmiechnęła się

do niego czarująco: - Mój chłopcze, wydaje się oczywiste, że jesteś na dobrej drodze, aby w przyszłości stać się wspaniałym hedonistą. Jestem zdumiona i wdzięczna.

- Kim jest ten przystojny chłopiec, najdroższy? - zwróciła się do syna. - Nie wyciągnąłeś chyba jakiegoś swojego dziecka z kapelusza i nie przywiozłeś go tu? Musiałbyś go począć, gdy miałeś piętnaście czy szesnaście lat. Dobra robota, Rohanie. Bardzo dobra. Twój kochany ojciec byłby z ciebie dumny. Szkoda, że nigdy się nie dowiedział. Dlaczego nie powiedziałeś mu o tym uroczym chłopcu? Uprzymiśniłoby mu to ostatnie lata.

Toby podskoczył niczym kogucik, gwałtownie wyrwany z pełnego czci zapatrzenia. - Nie pochodzę znikąd, milady. Nazywam się Toby Hawlworth i jestem prawowitym dzieckiem, naprawdę.

- Czy to jego ojciec przysłał do ciebie tego ślicznego chłopca, abyś nauczył go światowego życia?

- Nie. Toby jest bratem tej przerażonej młodej damy, którą widziałeś w swoim śnie. Toby, przyprowadź Zuzannę. A jeśli Marianna już się obudziła, to niech Zuzanna ją przyniesie. Aha, i powiedz siostrze, że mamy gościa.

- Tak, proszę pana - powiedział Toby, rzucając ostatnie ukradkowe spojrzenie na tę niewiarygodnie piękną istotę, która z pewnością nie była matką Rohana.

- Uczesz się, Zuzanno.

- A co jest nie tak z moimi włosami, Toby? Dopiero co się czesałam. Co się z tobą dzieje?

- Nie masz takich włosów jak ona, Zuzanno. Proszę, zrób coś, bo będziesz się czuła jak pomywaczka.

Oparła dłonie na biodrach i spojrzała ostro na i brata. - Wpadasz tutaj i poganiasz mnie. A potem mówisz mi, żebym uczesała włosy. O co chodzi? Mamy gości?

- Przyjechał jeden gość. Rohan powiedział, że to jego matka, ale chyba żartował. Ona nie może być jego matką.

- Dlaczego?

- Jest przepiękna, Zuzanno. Uczesz się, proszę. Masz może jakieś błyszczące spinki, żeby wpiąć je we włosy?

- Nie, nie mam. - Podeszła jednak do toaletki i zaczęła poprawiać włosy. Zczesała je do tyłu i spięła w węzeł na karku. Uśmiechnęła się do Toby'ego w lustrze, a potem wyciągnęła parę loczków na uszy.

- No i co, lepiej?

Przez chwilę przyglądał się siostrze. - Trochę. A co będzie z suknią? Nie masz czegoś, co sprawiłoby, żeby twoja skóra wyglądała na bielszą i może, no, delikatniejszą i...

Nie znał właściwych słów, i trudno się dziwić, miał przecież dopiero osiem lat. Jednak to, co powiedział, uświadomiło jej, że na dole musi znajdować się rzeczywiście piękna kobieta. Ale z pewnością nie jego matka. Jego matka była matką dorosłego mężczyzny, a nie dzierlatką. I czy nie mówił jej, że przebywa na kontynencie? Może więc to sąsiadka? Albo kochanka? Lecz nawet mężczyzna tak zepsuty jak on nie sprowadziłby chyba kochanki do swego domu. A może? Na pewno Toby się myli. To nie może być jego matka.

- Chciałbyś, bym była bardziej apetyczna, tak?

- Chyba tak - powiedział Toby, marszcząc brwi.

- Domyślam się, co to znaczy, ale i tak, gdy słyszę to słowo, zawsze myślę tylko o jedzeniu.

Uśmiechnęła się do niego i uszczypnęła go w policzek. - A teraz lepiej?

- Jej usta tak wyglądają, jakby przed chwilą jadła truskawki.

O Boże!

Zuzanna nigdy się nie malowała. Żadna matka nie używała kosmetyków, przynajmniej żadna, z tych, które знаła. Kim była ta kobieta?

- Rohan powiedział, żebyś przyprowadziła Mariannę, jeżeli akurat nie ma jednego ze swoich napadów złości.

- Dobrze. Chodźmy po nią. Toby, czy to możliwe, że ta kobieta jest jednak jego matką?

Potrząsnął głową energicznie. - Nie, niemożliwe. Rohan zażartował sobie ze mnie. Jest o wiele za młoda, Zuzanno. Sama zobaczysz. Wygląda jak siostra, ale czyjego siostra nie umarła wiele lat temu?

- Tak mi się zdaje.

Czy rzeczywiście to jego matka, słynna piękność, którą tak podziwiał mąż i wszyscy wokół i która miała prawdopodobnie więcej kochanków niż większość kobiet ma sukien?

Dziesięć minut później stali już wszyscy troje w drzwiach salonu, Marianna pomiędzy Tobym a matką. Zuzanna nie miała ośmiu lat, nie stała jak zaczarowana i nie wpatrywała się w hrabinę, lecz dobrze rozumiała Toby'ego. Dama była naprawdę piękna. Nic dziwnego, że Rohan jest taki przystojny. I George. Ciekawe, czy pastor Tibolt też tak wygląda. Jeżeli przypomina matkę i braci, to młode damy w parafii z pewnością idą w zawody, by go zdobyć.

Obciągnęła na sobie starą, bladoniebieską wełnianą suknię, choć wiedziała, że to nic nie pomoże.

- Nareszcie jesteście. Wejdźcie i poznajcie moją matkę, baronową Mountvale. Mamo, czy to tę młodą damę widziałas w swoim śnie? Mam na myśli tę przerażoną.

- Tak - stwierdziła baronowa bez chwili wahania. - To ona. Jakie to dziwne, mój synu, że ty wyglądałeś na zupełnie bezradnego.

Zuzanna przeniosła spojrzenie z baronowej na Rohana. - Nie rozumiem. O czym mówicie?

- Porozmawiamy o tym później - powiedział Rohan.

- A kim jest ta słodka dziewczuszka? - spytała nagle Charlotta, spoglądając na Mariannę.

- To - powiedział Rohan, rozkoszując się wręcz słowami, z oczami błyszczącymi złośliwą radością - jest twoja wnuczka, mamo. Córka George'a. A to Zuzanna Carrington, wdowa po George'u. Toby jest jej bratem.

Ku ogólnemu zdumieniu baronowa padła na kolana przed Marianną. Nie uczyniła żadnego ruchu, aby wziąć małą w ramiona, ale po prostu wpatrywała się w twarz dziecka, które odwzajemniało spojrzenie, także wpatrując się w nią w milczeniu.

- Wygląda zupełnie jak George - powiedziała w końcu Charlotta. - Jest także bardzo podobna do mnie i do ciebie. Ale ma oczy twojego ojca. - Wstała, odwróciła się do Rohana i wybuchnęła płaczem.

- Mamo!

Przytulił ją do siebie, głaszcząc jej szczupłe plecy. - No, no, mamo, ona jest jeszcze bardzo mała, naprawdę. Nikt by nie uwierzył, że możesz być babcią.

- Tak, proszę pani, Rohan ma rację - wtrącił Toby. - Niech pani nie płacze. Nikt by nie uwierzył, że jest pani babcią Marianny. Wygląda pani raczej na jej matkę, tylko że ja nigdy nie widziałem tak pięknej matki. - Poczul przyływ natchnienia. - Myślę, że wygląda pani na jej starszą siostrę. Niewiele starszą. Zuzanna wygląda na starszą niż pani.

Baronowa Mountvale podniosła głowę. Ona nawet płacze pięknie, pomyślał Rohan. Łzy

błyszczały jak diamenty na jej gęstych rzęsach. Lecz co to? Ona się śmieje! - Och, kochanie, to najlepsze, co mogło się wydarzyć, nie rozumiesz? Oznacza, że George nie był całkiem zimnokrwisty, że nieco gorącej krwi płynęło w jego żyłach. Oboje z ojcem straciliśmy już nadzieję, ponieważ nigdy nie zwracał najmniejszej uwagi na młode damy, które mu przedstawialiśmy. A tymczasem on począł dziecko. I mało tego, zdobył się nawet na to, żeby poślubić tę śliczną dziewczynę. Ach, to wspaniałe! Zgodzisz się ze mną, że Marianna to istny portret George'a? Tak bardzo się cieszę, że chciałabym to uczcić. Niech Fitz przyniesie więcej szampana. Czy Toby już pija szampana?

- Dziewczyna prezentuje się całkiem nieźle - powiedziała baronowa do Rohana, kiedy wieczorem siedzieli razem w bibliotece. - A kiedy się ją odpowiednio ubierze, może być dosyć pociągająca. Zajmę się tym jutro. Czy musisz pić tę okropną herbatę, kochanie? Co by wszyscy powiedzieli, gdyby zobaczyli cię z filiżanką w dłoni?

Zapomniał o tym. Często zdarzało mu się zapominać, kiedy przez jakiś czas przebywał z dala od Londynu. Powiedział więc szybko: - To tylko chwilowy kaprys, mamó.

Nadal wpatrywała się w niego, zachmurzona. - Mam nadzieję. A co do wdowy po George'u. Co z nią zrobimy?

- Mieszka tu teraz. Napisałem do ciotki Mirandy. Jeżeli jeszcze żyje, może zamieszkałaby w Mountvale jako jej przyzwoitka.

- Nawet tak doświadczony wojownik jak Miranda z pewnością nie upilnowałby ciebie, mój synu. Zresztą kiedy ostatni raz o niej słyszałam, była już blisko uzyskania ostatecznej nagrody, a może nawet przeniosła się do wieczności. Nie mogę sobie przypomnieć. Wiesz, ona nigdy mnie nie lubiła. To dziwne, ale tak właśnie było. Lecz, jak przypuszczam, rzeczywiście będziesz potrzebował kogoś, zważywszy na twoją reputację niepoprawnego uwodziciela. Kiedy sprawa wyjdzie na jaw, wszyscy pomyślą, że Marianna jest twoim nieślubnym dzieckiem. - Przerwała na chwilę, zamyśliła się, a potem jej twarz nagle pojaśniała. - To byłoby całkiem do przyjęcia. Nie masz żadnych nieślubnych dzieci, a już najwyższy czas, abyś przedstawił jakieś towarzystwu i swojej kochanej mamie.

- Nie wydaje mi się, żeby Zuzanna zgodziła się, by jej córka została uznana za bękarta, mamó.
- Chyba masz rację. Prawowita Carringtonówna. Znakomicie, doprawdy. - Upiła jeszcze łyk szampana.

- A teraz, mamó, czy mogłabyś opowiedzieć mi o tej cudownej wizji? Powiedziałaś, że to Zuzanna jest tą kobietą, którą widziałaś w śnie?

- Tak, a ty stałeś za nią z tym bezradnym wyrazem twarzy. Wcale mi się to nie podobało, Rohanie.

- Mnie także się nie podoba. Nie pamiętasz nic więcej?
Baronowa zmarszczyła lekko twarz w zamyśleniu, co bynajmniej nie ujęło jej urody. - Wydawało mi się, że oboje znajdujecie się w jakiejś jaskini. Było tam dość ciemno, wszystko tonęło w półmroku. To było stare miejsce i wyglądało tak, jakby nikt nie przebywał w nim od wieków. Znajdowali się tam też inni ludzie, o twarzach zamazanych i nie do rozpoznania. Widziałam wyraźnie tylko wasze twarze. To wszystko. Przykro mi, kochanie, nie pamiętam nic więcej.

Nie wiedział, co o tym myśleć. Czy matka rzeczywiście miała jakąś wizję? - Co sądzisz o Mariannie?

- Moja wnuczka - powiedziała powoli, jakby smakując słowa. - Co za przygnębiająca myśl dla kobiety. Jest bardzo podobna do ciebie i George'a. Twój ojciec zawsze wzdychał, gdy wspominałam, że wszyscy chłopcy są podobni do mnie, mają tylko zielone oczy Carringtonów. Mawiał jednak, że to

sprawiedliwe, bo to ja wykonałam najtrudniejszą część zadania. Żałuję tylko, że George nawet nie wspomniał o swoim ślubie, lecz chyba był wówczas tak młody, że bał się naszej reakcji.

- Być może - powiedział, zastanawiając się, jak by tu odciągnąć jej uwagę od drażliwego tematu.

- Szkoda, że nie powiedział nam o Zuzannie, kiedy była przy nadziei. Z radością bym jej doglądała. I mogłabym udzielić jej paru rad, wiesz. Na przykład, jak radzić sobie z tym okropnym bólem. Nawiasem mówiąc, kochanie, to twoje narodziny sprawiły mi najwięcej cierpienia, lecz prawie już o tym zapomniałam.

- Dziękuję, mamó.

- Nigdy cię za to nie obwinałam, ale nieźle nakrzyczałam na twego ojca. O ile pamiętam, padło wówczas parę określeń, które z pewnością do niego nie pasowały. Biedny człowiek, taki był zawsze zdenerwowany, kiedy cierpiałam przy porodach, że nie mógł się zmusić, by przy mnie pozostać. Umykał zawsze do swoich kochanek, aby go pocieszyły. Czuł się bardzo winny, że sprowadza na mnie ten okropny ból. Po twoim przyjściu na świat, Rohanie, pojechaliśmy do Włoch. Uwielbiałam Wenecję, z balami maskowymi i przystojnymi mężczyznami, którzy... - no cóż, mniejsza z tym. - Jej smukłe białe palce powędrowały ku szyi i zdobiącemu ją brylantowemu naszyjnikowi. - Ten śliczny drobiazg dostałam za urodzenie Tibolta.

- A co papa dał ci po urodzeniu George'a?

- George urodził się tak szybko, że biedny papa nawet nie zdążył postawić stopy za progiem. Chyba dał mi kolczyki. A co do biednej Clarissy, to ponieważ była jedyną córką, obiecał dobrze ją wyposażyć. To było, oczywiście, bardzo ładne z jego strony, ja jednak powiedziałam, że chcę swoją nagrodę od razu. I wtedy podarował mi klacz. Pamiętasz Josephine, prawda? Miała takie piękne, wyraziste oczy i długi, słodki pysk.

Skinął głową.

- Spodziewam się, że ty także będziesz szczodry dla swojej żony, Rohanie. Musisz się ożenić, kochanie. Przykro mi, ale to przesądzone. Musisz począć dziedzica.

Westchnął, przesuwając dłonią po włosach.

- Wiem, mamó. Trochę zacząłem się już rozglądać.

- Zuzanna jak żywa stanęła mu przed oczami. On także widywał ją w snach, zupełnie jak jego matka.

- Nie znalazłeś nikogo, kto by ci się naprawdę spodobał?

- Nie, jeszcze nie.

Zorientował się, że coś tu było nie tak. Przyjrzał się baczniej swojej wspaniałej matce. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce i tym razem nie zawdzięczała ich kosmetykom. - Co ty zrobiłaś, mamó? - zapytał z wolna.

Dopiła szampana. - Będę musiała zadzwonić na Fitza.

- Ja zadzwonię, gdy tylko powiesz mi, co zrobiłaś. Bo to z pewnością nic takiego, co by mnie zbyt ucieszyło, prawda?

- Ma na imię Daphne. Wiem, to okropne imię - takie jakieś greckie - ale dziewczyna jest wspaniała, Rohanie. Jej pochodzenie dorównuje naszemu i z pewnością okaże się doskonałą żoną. To córka wicehrabiego Brackena. Sama kiedyś się nad nim zastanawiałam, lecz w końcu uznałam, że nie dość mi się podoba. Ale Daphne jest naprawdę piękna i ma okazały posąg. Nigdy nie ożeniłabym cię z jakimś brzydactwem.

Jęknął, a potem wstał i zaczął niespokojnie przemierzać pokój. Gruby dywan z Axminster tłumiał

jego kroki. Przyszedł Fitz i podał butelkę szampana. Matka nie powiedziała nic więcej, po prostu siedziała, obserwując go.

- Mam dopiero dwadzieścia pięć lat, i to od niedawna - powiedział w końcu. - Nie jestem jeszcze taki stary. Ożenię się, wiem, że muszę to zrobić, ale jeszcze nie teraz, mam. Daphne? Proszę, tylko nie Daphne. Powiedz mi, że ona mieszka we Włoszech...

- Nie, mieszka w Anglii, a dokładnie w Kent. Ale zna twoją złą reputację i rozumie, że taki już masz charakter. Nie będziesz musiał zmieniać trybu życia, kochanie, naprawdę. Będziesz mógł dalej hulać i zajmować się rozrywkami. Daphne zapewni ci dziedzica i będzie mogła pomyśleć o własnych przyjemnościach.

- Mamo, doceniam twoją troskę, lecz jestem zbyt młody, by poważnie myśleć o ożenku. A już zwłaszcza z kobietą o imieniu Daphne.

Jego droga matka przez chwilę przyglądała mu się uważnie, a w końcu skinęła głową. - Doskonale. Napiszę do lorda Brackena, że odczuwasz nie dającą się przewyciężyć animozję do stanu małżeńskiego. To rzeczywiście dosyć okropne imię. Szkoda, bo dziewczyna jest śliczna. Może zdołalibyśmy nakłonić ją do zmiany imienia? Jakie byś wolał? Jane? Victoria?

- Czy nie możemy po prostu zapomnieć o tej wspaniałej młodej damie? - Uśmiechnął się i uniósł kieliszek.

- A skoro już mowa o wspaniałości i urodzie, to jak ma na imię ten nowy lokaj? No wiesz, ten o rozkosznie zbójckim spojrzeniu ciemnych oczu? Wygląda na Walińczyka.

- Ma na imię Augustus. Pomyślałem, że może ci się spodoba.

- Jesteś dobrym synem - powiedziała Charlotta. Wstała, pocałowała go i podeszła do drzwi. Wychodząc, rzuciła jeszcze przez nadzwyczajnej białości ramię: - A co zamierzasz zrobić z Zuzanną? Nie chodzi o przyszły tydzień, lecz w ogóle.

Spuścił wzrok i przez chwilę przyglądał się swoim doskonale wyczyszczonym butom, a potem spojrzął na matkę. - Nie wiem. Lecz lepiej będzie, jeśli ci powiem o zapisie ciotki Mariam na rzecz George'a.

- W ciągu ostatnich lat straciłam nieco rozeznanie w sprawach rodziny, ale z pewnością wiedziałabym, gdyby była w niej jakaś Mariam. Może to jedna z wcześniejszych kochanek ojca, którą kazał nazywać ciotką, ponieważ traktował ją niemal jak członka rodziny?

- Nie, nie ma żadnej ciotki Mariam, ale Zuzanna nie musi o tym wiedzieć. Widzę, że wychodzisz. Kiedy wrócisz, opowiem ci, co zrobiłem.

ROZDZIAŁ 9

Nie, to na pewno pomyłka. To przecież nie może być baron Mountvale. Nie, niemożliwe. Zuzanna podkradła się nieco bliżej. A jednak. Klęczał właśnie przy rabatce, sadząc własnoręcznie nagietki o złocistopomarańczowych płatkach. Słyszała nawet, jak podśpiewuje pod nosem.

Ten uganiający się za kobietami, rozpustny baron sadzi nagietki? I trzeba widzieć, jak delikatnie się z nimi obchodzi, jak stara się, by nie uszkodzić korzeni!

Nie wiedziała, co o tym sądzić. Powiedział jej, że zaprojektował ten ogród dla matki. I że nie przepada za grzebaniem się w ziemi. Teraz też wcale nie grzebał się w ziemi, lecz bardzo fachowo sadił nagietki. I podśpiewywał.

Uświadomiła sobie, że nie spodziewał się jej o tej porze. Nie zważając na protest, teściowa zabrała ją rano do szwaczki w Eastbourne. Jednak kobieta była chora, wróciły więc dużo wcześniej, niż się ich spodziewano.

I zastała Rohana sadzącego kwiatki w swoim ogrodzie. Odeszła powoli. To, co zobaczyła, dało jej do myślenia. Tak, będzie musiała to przemyśleć.

Gdy Rohan wszedł do salonu przed lunchem, zobaczył matkę siedzącą na podłodze i usiłującą napoić Marianne herbatą. Zuzanna siedziała na krześle w rogu pokoju. Przez okna wpadało do pokoju słoneczne światło. W jego promieniach włosy matki błyszczały niczym jedwab. Ciekawe, co sądzi o niej taki męski facet jak Augustus, pomyślał. Na pewno ślinka mu cieknie.

Zuzanna przyłapała się na tym, iż wpatruje się w paznokcie barona. Nie, były czyste i wypolerowane jak zwykle. Ani śladu brudu. Ma bardzo ładne dłonie, pomyślała i zaraz zmarszczyła brwi, niezadowolona z siebie.

- Rohan!

Marianne z trudem wstała i pobiegła do Rohana, wyciągając do niego rękę. Pochylił się i podniósł ją tylko po to, by za chwilę podrzucić wysoko w powietrze.

- Wylałaś herbatę na babcie?

Z namaszczeniem przesunęła paluszkami po dołku w jego brodzie i uśmiechnęła się. - Kiedy dorosnę, chciałabym wyglądać jak Charlotta.

- Charlotta? Nazywasz babcie Charlotta?

- Tak, kochanie - odezwała się jego matka z podłogi. - Pewnych rzeczy nie da się zmienić, nie pozostaje więc nic innego, jak je zaakceptować. Nie ma jednak powodu, by sypać sól na rany, prawda?

- Oczywiście. Więc co robiłaś, mały łobuziaku, poza tym, że wylałaś herbatę na Charlotte?

- Ona opowiadała mi o dziadku. Dawałby mi słodycze.

- O tak, na pewno - powiedział Rohan, po raz pierwszy żalując, że nie ma przy nim George'a. Z rozkoszą by mu przylał.

- Rohan, jesteś prawie tak ładny, jak Charlotta. Wyciągnął palce z jej buzi i lekko ugryzł jeden. - Mężczyźni nie bywają ładni, tylko przystojni. To lepiej niż być ładnym.

- A mama jaka jest, ładna czy przystojna?

- Twoja mama jest dziewczynką. Musi być ładna, nie ma wyjścia.

Odwrócił głowę, słysząc śmiech Zuzanny. - Nie zaproszono cię na to przyjęcie?

- Nie kochanie, nie zaprosiłam jej. Jest zbyt uparta. Chciałam pożyczyć jej kilka moich sukien, aby nosiła je, zanim będziemy mogły znowu pojechać do Eastbourne, lecz odmówiła. Jest dumna, zbyt dumna. I dlatego musi cierpieć.

- Nie, nie chodzi o to, że jest dumna - powiedział Rohan. - Odmawia, ponieważ twoje suknie będą dla niej zbyt obszerne. To by ją upokarzało, więc broni się, jak może.

- Byłyby dobre na mnie - powiedziała Marianna.

- Porozmawiamy o tym za piętnaście lat - powiedział Rohan. - I co, Zuzanno, nie myślę się, prawda?

Zuzanna westchnęła. - To było dość nieprzyjemne, Rohanie. Gdy szłyśmy ulicą, wszyscy mężczyźni prawie mdleli na widok twojej matki. Jestem pewna, że brali mnie za jej pokojówkę.

- Jeśli to prawda, to tylko dlatego, że nie chciałaś pożyczyć ode mnie sukni - stwierdziła Charlotta rozsądnie. - No, może nie tylko. Mniejsza z tym. To i tak wyłącznie twoja wina. Aha, jest coś, o czym nie wiesz. Rozmawiałam z Rohanem i okazało się, że niezbyt dobrze zrozumiał postanowienia testamentu swojej zmarłej ciotki Mariam. Otóż pewną sumę - dokładnie pięćset funtów - możemy przekazać ci od razu, a potem dopiero nastąpią wypłaty w kwartalnych ratach. Czy to nie wspaniałe?

Zuzanna miała ochotę się rozplakać. Pięćset funtów! Dobry Boże, ileż można zdziałać, mając tyle pieniędzy! Mogłaby odnowić Mulberry House, zmienić dach, i...

- Nawet o tym nie myśl - powiedział Rohan, stawiając Marianne na podłodze.

- Skoro to moje pieniądze, to jak możesz mi mówić, co mam z nimi zrobić? A poza tym, skąd mogłeś wiedzieć, o czym myślałam?

- Twoja twarz doskonale odzwierciedla twoje myśli, Zuzanno. Przynajmniej ja to widzę. Nie wpakujesz ani jednego złamanego grosza w Mulberry House. Wydasz te pieniądze, aby odnowić siebie, nie ten zaniedbany dom, nie wspominając już o równie zaniedbanym i nie dbającym o nic tatusiu. A poza tym Toby i Marianna także potrzebują ubrań. Może nawet mogłabyś kupić Toby'emu kucyka. Trzeba go nauczyć jeździć.

Zuzanna spojrzała na teściową. Wstała. - Powstrzymuję się, proszę pani, lecz tylko dlatego, że to pani syn i nie chciałabym sprawić pani przykrości.

- Podziwiam twój hart ducha, moja droga - powiedziała Charlotta - lecz jeśli od czasu do czasu nie pofolgujesz sobie, by ulżyć wątrobie, wkrótce odbije się to na twoim zdrowiu.

- Doskonale - Zuzanna zebrała się w sobie i wrzasnęła: - Jak śmiesz wydawać mi rozkazy, skoro to moje pieniądze? Jesteś po prostu despotycznym bufo... - baronem!

- Ciekawe, jak naprawdę chciałaś mnie nazwać? Jesteś pewna co do tego testamentu, matko? Może dostać od razu pięćset funtów? Nie ma żadnych dodatkowych warunków?

Charlotta spojrzała na wspaniałą szmaragd, zdobiący środkowy palec jej lewej dłoni. - Przykro mi, kochanie, nic nie wiem o żadnych warunkach.

Wiedział, że gdyby chciała, mogłaby wymyślić na poczekaniu co najmniej tuzin, lecz wyglądałoby to tylko na to, czym w rzeczywistości było - mydlenie oczu. A zatem doskonale. Spojrzał na Zuzannę z nie skrywanym niezadowoleniem. - Wydasz te pieniądze tak, jak ci każę. Jestem panem tego domu, głową rodziny Carringtonów. Musisz mi być posłuszna.

- Nie jestem twoją poddaną. A skoro jest tu twoja matka, to nie potrzebujesz już gospodyni. Ona może pełnić honory domu.

- Nie podoba mi się, że wyglądasz jak nędzarka! Co sobie pomyślą sąsiedzi? Będą plotkować. Kiedy następnym razem pojawię się w wiosce, z pewnością spotka mnie jakiś afront.

- To była sukienka mojej matki.

Ledwie dostrzegalne drżenie w jej głosie powinno było go powstrzymać, lecz on już wskoczył na konia i ścisnął mu boki obcasami. - Twoja matka z pewnością nie chciałaby, żebyś wyglądała żałośnie. Widzę twoje kostki. Damy nie spacerują w takich krótkich sukniach. A poza tym opadają ci pończochy. Co za okropny widok. Proszę wykorzystać te pieniądze, by doprowadzić się do porządku, miła pani.

- Bardzo mi przykro, proszę pani - powiedziała Zuzanna - lecz nie potrafię się powstrzymać. - Podbiegła do Rohana i z całej siły dała mu kuksańca w żołądek.

Chrząknął, zginając się wpół. - Dobra robota - powiedział, kiedy odzyskał głos. - Cieszę się, że nie uderzyłaś mnie niżej. Mężczyzna zazwyczaj nieprędko może się odezwać, kiedy dostanie w... - Zobaczył, że Marianna przygląda mu się wielkimi zielonymi oczami.

- Mniejsza z tym. Idź do swego pokoju, Zuzanno. Możesz być pewna, że policzę się z tobą później.

- Mamo, dlaczego uderzyłaś Rohana?

O Boże. Co za głuptas z niej. Lecz zanim zdążyła wymyślić jakieś wyjaśnienie, Rohan powiedział: - Uczyłem ją, jak się bronić, Marianno. Słyszałaś, jak powiedziałem, że cios był dobry. Bo był. Będę ją dalej uczył. - Był niemal pewny, że Zuzanna warknęła.

- Zanim odejdziesz, Zuzanno - powiedziała Charlotta spokojnie, jakby nic się nie stało. - Syn wspominał o twoich kłopotach. Ktoś włamał się do twego domu, a potem do Mountvale. To mnie zaniepokoiło. Musimy usiąść razem i wspólnie zastanowić się, czego ten człowiek mógł chcieć. Kiedy uda nam się tego dowiedzieć, będziemy znali przyczynę.

Zuzanna z niedowierzaniem wpatrywała się w tę kobietę, spoglądającą na nią jasnym wzrokiem ze swego miejsca na podłodze. - Zgadzam się z panią. Ale czy pani go nie słyszała? Nie słyszała pani, jak do mnie mówił? Rozkazywał mi. Chyba pani tego nie aprobuje?

Charlotta owinęła sobie blond lok wokół palca, jednocześnie delikatnie wyciągając paluszki z buzi Marianny. Wzruszyła ramionami, sadzając sobie dziecko na kolanach. - Moja droga, on jest moim synem, moim najstarszym synem i nigdy dotąd nie przysparzał mi zmartwień. Przyjął wszystko, czego uczyłam go ja i jego drogi ojciec. Od najmłodszych lat zawsze starał się nas zadowolić. Wyrobił sobie reputację zadziwiającą wręcz jak na tak młody wiek. Jestem z niego bardzo dumna. Co ma zrobić matka takiego syna?

Zuzanna mrugnęła z niedowierzaniem raz i drugi i wzięła głęboki oddech. Nie pomogło. Usłyszała, jak mówi: - Ale, proszę pani, on jest rozpustnikiem.

- Nie jestem żadnym cholernym rozpustnikiem!

- Ależ tak, kochanie, jesteś. - Charlotta umilkła i zacisnęła wargi. - Lecz ja nigdy bym cię tak nie nazwała. To takie okropne słowo, takie wulgarne. „Rozpustnik”. Słyszac je, wyobrażamy sobie nieprzyjemnego typu, a wszyscy wiedzą, że baron Mountvale jest najbardziej czarującym spośród dżentelmenów. Damy wręcz za nim przepadają. Jeżeli nawet mówi się o jakichś ekscesach - a mam nadzieję, że się mówi - to doszło do nich wyłącznie z winy owych dam, które zbyt mu się narzucały. Ale to były pojedyncze przypadki, prawda, Rohanie?

- Tak, mam, oczywiście. - Nic nie mógł na to poradzić. Podniósł w górę dłonie i powiedział: - Zuzanno, w piątek urządzamy małe przyjęcie dla kilkunastu naszych sąsiadów. Byłbym wdzięczny, gdybyś ubrała się stosownie - jak przystoi wdowie po George'u, nie jak pani tego domu. A teraz zabieram Toby'ego na przejażdżkę. Powinien już wrócić z lekcji u pastora.

Myślałam, że chcesz, abym kupiła mu kucyka z moich pięciuset funtów.

- I kupisz. Zdecydowałem jednak, że Toby jest już za duży na kucyka. Kucyk będzie dla Marianny. Toby powinien mieć konia. Sam go wybiorę. Farma Branderleigh położona jest w pobliżu i są tam odpowiednie wierzchowce.

- Panowie - powiedziała Charlotta, gdy Rohan znikł im z widoku - nie lubią, kiedy im się sprzeciwiamy otwarcie, Zuzanno. Skoro byłaś żoną George; a, na pewno już się tego nauczyłaś.

- Nie, proszę pani. George rzadko przebywał w Mulberry House. Niewiele się nauczyłam.

- Ach tak - powiedziała Charlotta, zastanawiając się, czy George utracił cały zapal, gdy tylko poczał Marianne. To przygnębiające, jeżeli tak było rzeczywiście. - Przykro mi, moja droga.

- Mnie także było przykro, proszę pani.

Nie, niezupełnie, pomyślała, kiedy dźwigała Marianne na górę, aby ułożyć ją do poobiedniej drzemki.

W ostatnich dwóch latach rzadko go widywała. Wątpiła, czy jej mąż poznałby własną córkę, gdyby przypadkiem spotkał ją na ulicy. Lecz utrzymywał je, dopóki nie umarł.

Pięćset funtów. Gdy tylko dotarły do sypialni, zasiadła za małym biurkiem, wyjęła z szufladki kartkę papieru i przystąpiła do sporządzania listy.

Kiedy po zakończeniu pisania przekonała się, że na samej górze owej listy umieściła „ubrania”, miała ochotę wymierzyć sobie policzek.

Baron był rozpustnikiem, który z wielkim staraniem sadił nagietki. To bardzo dziwne. „Rozpustnik”. Charlotta miała rację, ten wyraz do niego nie pasował. Zabawne, zważywszy na jego reputację niepoprawnego uwodziciela.

Zuzanna spała głęboko, po raz pierwszy sama w pokoju. Marianna miała odtąd sypiać w pokoju dzieciennym, razem ze swoją nową opiekunką, Lottie. Betty wyjechała, aby zaopiekować się chorą matką. Zuzannie śnił się mężczyzna - obcy mężczyzna - przekopujący grządki. Cały czas powtarzał, że nie lubi cebulek, że one zawsze gniją i że nigdy już nie posadzi ani jednej.

Wyciągnął szarobrazową cebulkę, otrząsnął z ziemi i podsunął jej pod nos. - Powąchaj ją.

Nie chciała, a mimo to głęboko wciągnęła powietrze. Zaczęła się krztusić. Poczła omdlewająco słodki zapach, który nie wiedzieć czemu znalazł się w jej gardle i dławił ją. Nie mogła oddychać.

Próbowała walczyć. Obudziła się i zobaczyła, że stoi nad nią jakiś mężczyzna i przyciska do jej ust i nosa coś wilgotnego.

Próbowała się podnieść, odsunąć, ale mężczyzna trzymał ją mocno za kark i wpychał jej twarz głębiej w materiał. Wstrzymała oddech, na oślep bijąc pięściami, lecz on uderzył ją między łopatki, przez co mimo woli mocniej wciągnęła powietrze.

Poczła, że głowę ma dziwnie lekką i że zaczyna jej być niedobrze. A potem nie czuła już nic.

- Milordzie, pani Carrington zniknęła!

Fitz, blady jak jego własny kołnierzyk, dyszał ciężko w otwartych drzwiach sypialni barona.

- Jak to zniknęła? - Rohan potrząsnął głową, aby odpędzić resztki dziwnego snu. - Dopiero siódma, Fitz. Może wybrała się na poranną przejażdżkę lub poszła pobawić się z Marianną, wiesz, jak ta mała...

- Ona zniknęła, milordzie. Zniknęła! Elsie zajrzała do jej pokoju, gdy przechodziła tamtędy rano. Łóżko jest puste, pościel skotłowana i poszarpana. A pokój najwidoczniej został splądrowany.

- Splądrowany? Jesteś pewny? Mówiłeś, że Elsie to płocha dziewczyna, że lubi dramatyzować. Sprawdziłeś sam? - Zadając te pytania, już wyskakiwał z łóżka. Był nagi, a drewniana podłoga nieprzyjemnie ziębiła mu stopy.

- Pański szlafrok, milordzie. Tak lepiej. Ktoś może pana zobaczyć, chociaż pokojówki pewnie wolałyby, żeby pan tego nie wkładał. Tak, sprawdziłem, czy Elsie nie zmyśla. Pani Carrington zniknęła, milordzie. W jej sypialni jest jeden wielki bałagan. Ktoś ją porwał.

Rohan przez chwilę przeklinał, głośno i z upodobaniem. - Wszystkie drzwi były zamknięte, na zewnątrz mężczyźni z majątku patrolowali teren. A co z lokajami, którzy mieli pilnować drzwi jej sypialni?

- Nie wiem. - Fitz pobladł jeszcze bardziej. - O Boże, nie wiem. - Niemal wybiegł z pokoju, a Rohan deptał mu po piętach.

Żaden z lokajów nie został ranny. I żaden niczego nie zauważył.

Charlotta delikatnie i bardzo dokładnie zbadała Augustusa, aby przekonać się, czy nie odniósł żadnych obrażeń.

- Niczego nie widzieliście ani nie słyszeliście?

Czterej lokaje potrząsnęli przecząco głowami. Augustus powiedział: - Nie, milordzie. Czuwaliśmy, dopóki następnego nie zmienili nas o północy. Do tego czasu nic się nie działo.

Augustus wyrażał się bardzo poprawnie. Matka z pewnością to doceni. Baron potrząsnął głową. A cóż go obchodzi, jak mówi Augustus.

Włamywacz porwał Zuzannę, ale jak?

- Przepraszam, milordzie, ale Marianna koniecznie chce do mamy. Płacze tak strasznie, że Lottie nie może sobie poradzić. Jest tu nowa i Marianna jeszcze do niej nie przywykła.

- Już idę - powiedział Rohan. Wraz z innymi mężczyznami od sześciu godzin przeczesywał okolicę w poszukiwaniu Zuzanny. I, jak na razie, bez rezultatu. Bardzo się martwił, ale nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić. Miał zamiar coś zjeść, a potem kontynuować poszukiwania. Matka, ubrana w męski strój do konnej jazdy, właśnie wyruszyła z kolejną grupą.

Lottie próbowała uciszyć wrzeszczącą Mariannę, która na dodatek wierciła się dziko w jej objęciach. Rohan podszedł do niej i stanowczym głosem powiedział: - Marianno, uspokój się! Głowa mnie boli od tego wrzasku!

Zaskoczone dziecko, wsadziło palce do buzi i zaczęło je głośno ssać.

- Tak już lepiej.

Nagle bez ostrzeżenia mała rzuciła się ku niemu. Otumaniona nieustannym wrzaskiem, Lottie zagapiła się i byłaby ją upuściła, gdyby nie Rohan, któremu udało się złapać dziewczynkę w powietrzu.

Przytulił ją do siebie, czując, jak mocno bije mu serce. Mała oddychała gwałtownie. Męczyła ją czkawka. - Co ci jest, skarbie? Mamy teraz nie ma, ale niedługo będzie.

- Mama zawsze całuje mnie na dzień dobry.

Zabrzmiało to bardzo miło.

- Obudziłam się i mama nie przyszła mnie pocałować.

Pocałował ją w policzek. - Masz za to całusa od barona.

Paluszki dziecka powędrowały z powrotem do buzi.

- Jadłaś coś, Marianno? Dziecko zaczęło mocniej ssać palce.

Lottie potrząsnęła głową. - Nie udało mi się wmusić w nią ani kęsa, milordzie.

- Zabiorę ją na dół i razem zjemy drugie śniadanie.

Lottie z niedowierzaniem zapatrzyła się na pana Mountvale House, mężczyznę znanego szeroko ze swoich erotycznych ekscesów i szalonych wypraw. Czy z własnej woli trzyma w ramionach małe dziecko? I ma zamiar je karmić? Już teraz nie mogła doczekać się chwili, gdy znajdzie się w domu i opowie wszystkim, że baron nie zachowuje się tak, jak tego po nim oczekiwano. Dobry Boże, on chyba nawet lubi to dziecko!

Pani Horsely zjawiała się w jadalni z talerzem pełnym małych porcji wszystkiego, co bardzo młoda osobka mogłaby mieć ochotę zjeść.

Rohan zaniósł Marianne do okna. Toby już siedział za stołem. Był blady, przerażony i wyglądał na chorego.

- Daj spokój, Toby, znajdziemy ją - powiedział Rohan pewnym głosem. Było w nim o wiele więcej przekonania niż w rzeczywistości.

- Tak, proszę pana. Ale nie mogę jeść, bo zwymiotuję.

- Więc dobrze, nie jedz. Karmiłeś kiedyś Marianne?

Toby potrząsnął głową.

- A zatem, jak przypuszczam, będę musiał zrobić to sam. No cóż, malutka, spróbujesz trochę tych żółciutkich jajeczek?

Marianna przez chwilę wpatrywała się w jajka, a potem spojrzała na niego. Jej wielkie zielone oczy wypełniły się łzami, które zaraz spłynęły po policzkach.

- Chcę do mamy. Nie chcę żółtych jajek.

- Ja też nie chcę. W końcu to przecież lunch. Spróbuj tej orzechowej bułeczki. - Sam odgryzł kęs, a potem odłamał mały kawałek i włożył jej do buzi. Zjadła.

Czuł się tak, jakby niebiosa obdarzyły go swoją łaską. To było takie naturalne.

Lecz ten stan nie trwał długo. Po dziesięciu minutach miał już ochotę wyrzucić małą przez okno. Daria się bez przerwy, wypluwała jedzenie na jego kamizelkę i rozmazywała jajka palcami.

- Proszę pana, może mógłbym pomóc.

- Ty, Toby? Dzielny z ciebie chłopak, ale tej bitwy z pewnością nie mógłbyś wygrać. Żaden z nas nie może. - Westchnął i wymaszerował z pokoju z Marianną przewieszoną przez ramię. Wyczerpana płaczem i wrywaniem się, miała już tylko siłę ssać palce.

Rohan zabrał ją do gabinetu i usadowił się wraz z nią w starym bujanym fotelu ojca. Wkrótce znowu przyłączy się do poszukiwań.

Kto mógł porwać Zuzannę i z jakiego powodu? To musiał być ten sam mężczyzna, który zakradł się do domu pierwszej nocy po ich przyjeździe. Z pewnością nie był nim Tibolt. Nigdy w to nie uwierzy.

Fakt, że nie wie, jak to się stało, doprowadzał go do szaleństwa. Podobnie jak myśl, że Zuzanna jest w niebezpieczeństwie.

Po jakimś czasie Charlotta znalazła go śpiącego z Marianną przytuloną do piersi.

Szeroko otworzyła oczy, widząc tę niespodziewaną sytuację.

- Kochanie.

Otworzył oczy i zobaczył stojące przed nim Zjawisko. Potrząsnął głową. To była jego matka. - Powiedz mi, znaleźliście Zuzannę?

- Nie, nie znaleźliśmy.

Rohan zaklął, lecz cicho, by nie obudzić Marianny.

Obserwując go, baronowa rozmyślała o tym, jakim delikatnym, wspaniałym mężczyzną jest jej syn. Oczywiście, jego ojciec także uwielbiał swoje dzieci, choć Tibolt i George rozczarowali go, kiedy dorośli. Okazali się tacy poważni i pruderyjni. Ale to było później, gdy już wyrosli z krótkich spodenek. Co za szkoda, że jej mąż nigdy się nie dowie, iż George nie rozczarował go jednak do końca.

Rohanowi natomiast nawet nie przyszło do głowy, że zachowuje się delikatnie. Wiedział tylko, że nie może dopuścić, by Marianna znowu zaczęła histeryzować. Wstał. - Muszę jechać. Trzeba znaleźć Zuzannę. Nie może jej się nic stać, mamó, nie może.

- Znajdziesz ją - powiedziała Charlotta, wpatrując się w jego kochaną twarz. Położyła mu lekko dłoń na ramieniu. - Znajdziesz ją.

ROZDZIAŁ 10

Zuzanna jęknęła, złapała się za brzuch i zwymiotowała w stęchłą słomę. Wymiotowała, dopóki zupełnie nie opróżniła żołądka. Wreszcie padła na słomę, oddychając ciężko.

- Doszłaś do siebie. Nareszcie.

Męski głos, tuż obok niej. Czowała się tak słaba, że nie miała siły odwrócić głowę i spojrzeć na niego. Zrobiła to jednak. Twarz mężczyzny skrywała zawieszona wysoko chustka i naciśnięty na czoło kapelusz.

- Czego pan chce? - W ustach czuła niesmak, opuchł jej język. - Po co zabrał mnie pan z Mountvale? I jak udało się panu tam dostać?

Mężczyzna roześmiał się. - To jest pytanie, co?

Gdy skurcze w żołądku nieco zelżały, poczuła strach. Ręce miała związane przed sobą, stopy także. Ubrana była tylko w nocną koszulę. Rozpuszczone włosy opadały jej na plecy. - Czy mogłabym dostać trochę wody?

Chrząknął. - Tak. Ale najpierw cię stąd zabiorę. Nie mogę znieść tego smrodu. - Pochylił się, podniósł ją i przeniósł do innego, większego pomieszczenia, przesiąkniętego stęchlizną.

Ze ścian zwisały na wpół oderwane deski boazerii, nie było widać żadnych okien. Gdzie się mogła znajdować?

Mężczyzna opuścił ją na nieco większą stertę stęchłej słomy. - Nie ruszaj się, bo będę musiał zrobić ci krzywdę - przykazał.

Sprawdziła więzy wokół nadgarstków. Nie były zaciśnięte zbyt mocno, ale z pewnością nie udałooby się jej ich rozwiązać. Szybko zabrała się za więzy na kostkach. Słyszając, że mężczyzna powraca, błyskawicznie wyprostowała się. Podał jej dzbanek: - Pij.

Wzięła do ust nieco wody, wypłukała je i wypłuka wodę, a potem wypila łapczywie zawartość dzbanka i padła na słomę, oddychając gwałtownie.

Usiadł obok niej. Wydawał się wysoki, muskularny i młody. Musiał być także silny, skoro niósł ją, jakby ważyła nie więcej niż Marianna. Musi postarać się zapamiętać jak najwięcej, lecz strach sprawiał, że ledwie mogła myśleć. Zamknęła oczy.

Zobaczyła barona z jednym ze swoich krzywych uśmieszków. A potem zobaczyła w jego wielkiej brązowej dłoni nagietek, usłyszała, jak podśpiewuje pod nosem.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

- Tam, gdzie nikt cię nie znajdzie. Nie mam zamiaru tracić na ciebie zbyt wiele czasu. Powiesz mi, gdzie George ukrył mapę, i to zaraz.

Mapę? Jaką mapę? George nigdy nie mówił o żadnej mapie, nigdy nie pokazywał tej mapy.

- Nic nie wiem o żadnej mapie - powiedziała, podnosząc powieki. Zobaczyła, że w jego ciemnych oczach błysnął gniew, dodała więc szybko: - Przysięgam. Włamał się pan do Mulberry House trzy razy i nic pan nie znalazł. Udało się panu wedrzeć nawet do mojej sypialni w Mountvale i także bez skutku. Bo nic nie było do znalezienia. Nie ma żadnej mapy.

Mężczyzna pochylił się, złapał obiema rękami przód jej nocnej koszuli i rozdarł ją.

Zuzanna krzyknęła i odtrąciła go.

Bez trudu rzucił ją na słomę. - A teraz powiesz mi wszystko, i to szybko, albo cię rozbiore. Jeżeli dalej będziesz się upierać, wezmę cię siłą. George powiedział, że nie jesteś zbyt dobra w łóżku, ale trudno, jakoś się zmuszę.

- Proszę, nie mam żadnej mapy.

Rozchylił poły jej podartej koszuli. Odsunęła się, łapiąc gwałtownie powietrze. Pchnął ją i oparł dłonie na jej nagich ramionach. - Nie ruszaj się. Masz piękne piersi. Zaczynam się zastanawiać, czy George nie skłamał, mówiąc, że jesteś do niczego w łóżku. Może się bał, że cię dopadniemy, a tobie się to spodoba. - Wyciągnął przed siebie dłoń w rękawiczce i położył na lewej piersi dziewczyny. - I żadnych rozstępów po porodzie. Masz rozstępy na brzuchu?

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi ze strachu, było jej tak niedobrze, iż przez chwilę myślała, że znów zwymiotuje. Ale nie było czym wymiotować. - Proszę - szepnęła.

- Proszę, co? - Dłoń w rękawiczce nadal spoczywała na jej piersi. Zaciśnął palce.

- Proszę przestać. Proszę mnie posłuchać. Nic nie wiem o żadnej mapie. Nie zostało mi po George'u zbyt wiele. Dam panu to wszystko.

Zachmurzył się i odsunął nieco. - Co to za przedmioty?

- Kilka książek. George był wielkim miłośnikiem nauki. Wiem, że uwielbiał wszelkie mapy, ale żadnej mi nie zostawił. - Przypomniała sobie o małym medalionie, który jej kiedyś podarował. Był zbyt mały, by cokolwiek mogło się w nim zmieścić, postanowiła więc o nim nie wspominać. W końcu był to jedyny prezent, jaki jej kiedykolwiek podarował. Co do obrączki, były to tylko trzy rubiny osadzone w złocie. Sprzedała ją pół roku temu, kiedy jej ojciec przechodził szczególnie zły okres.

- Co jeszcze?

Patrzył na jej piersi. Starła się leżeć zupełnie spokojnie, ale nie było to łatwe. - Kilka listów. Lecz nie ma w nich żadnych map. I kamizelka, którą zostawił w Mulberry House. To wszystko.

Nie odrywając wzroku od jej piersi, powiedział chrapliwie: - Nie wiem, czy mam ci wierzyć. Nie, chyba raczej nie. Przynajmniej nie w tej chwili. - Zawisnął nad nią. Złapał za resztki koszuli i rozdarł ją do końca.

Zamarła, przerażona.

- Na brzuchu też nie masz rozstępów. Czyż nie jestem szczęściarzem?

Zaczęła walczyć. Podniosła nogi i kopnęła go. Złapała za ramię i odepchnęła na bok, a potem odtoczyła się od niego i uklękła. Potrzebowała jakiejś broni, czegokolwiek.

Zobaczyła grabie leżące obok na słomie. Z trudem podniosła się na nogi i złapała je związanymi dłońmi. Ledwie zdążyła się odwrócić, a już był przy niej.

- Ty przekłeta suko! - Oddychał ciężko, widać było, jak bardzo jest wściekły. Złapał ją, ale zdołała się uwolnić. Koszula zsunęła jej się z ramienia. Płonąc gniewem, odwróciła się do niego i zaatakowała, uderzając mocno grabiami w pierś.

Krzyknął, odchylił się do tyłu, przez chwilę jeszcze walczył, próbując odzyskać równowagę, lecz wreszcie zwałił się ciężko na słomę. Miała tylko chwilę, a przecież ze związanymi kostkami mogła posuwać się jedynie drobnymi kroczkami. Mimo to jakoś udało jej się dotrzeć do drzwi i zamknąć je za sobą na klucz. Niemal w tej samej chwili usłyszała, jak porywacz wali w nie pięściami, a potem kopie. Przegnięła futryna zadrżała lekko. Wiedziała, że nie wytrzyma długo.

Rozejrzała się szybko dokoła. Nie było dokąd uciekać. Miała zamiar rozwiązać stopy, gdy tylko uda jej się wymknąć. Teraz nie było na to czasu.

Za sobą słyszała złowieszczy trzask drewna. O Boże, za chwilę znów ją dopadnie.

Rohan i jego trzech sąsiedzi, wszyscy na koniach, przemierzali wschodnie łąki. Na szczycie wzgórza baron zatrzymał się na chwilę i spojrzał na rozciągający się przed nim teren. Coś zaświtało mu w pamięci. Dalej, na zachodzie, w klonowym lesie, czy nie było małej chatki na polanie, od wielu lat nie zamieszkaney? Kiedy był chłopcem, pewnego razu obozowali tam Cyganie, a chatki używali nie dla siebie, lecz dla swoich koni. Pamiętał, że bardzo go to wówczas zdziwiło. Zanieśli do chaty siano i wprowadzili tam konie.

Ale nie, chata z pewnością już dawno się zawaliła i teraz porasta ją las. W okolicy od lat nie było przecież Cyganów.

Mimo to odłączył się od towarzyszy i skierował Guliwera ku klonowemu zagajnikowi.

Zuzanna uświadomiła sobie, że uwięziono ją w rozwalającej się chatce. Lecz dwoje drzwi, prowadzących do owych małych pokoików, wyglądało jak nowe. Podobnie zamki. Czym było to miejsce? I po co zgromadzono tam słomę?

Dlaczego w ogóle marnuje czas na rozmyślenia o stęchłej słomie? Chyba traciła rozum. Musi uciekać. Wybiegła przez drzwi wejściowe, ledwo wiszące na zawiasach, jakby za chwilę miały odpaść pod własnym ciężarem. Znajdowała się teraz na małej polance pośród klonowego lasu.

Usłyszała go, usłyszała trzask wyłamywanych drzwi.

Ledwie zdążyła się ukryć między drzewami, a już słyszała jego wściekły ryk: - Do diabła z tobą, głupia suko! Nie chcę cię zabić, tylko odebrać, co moje! Wracaj tu albo pożałujesz, kiedy cię znajdę! Daleko nie zajdziesz!

O Boże! Posuwała się tak powoli! Czowała, jak sznury wrzynają się w jej ciało, gdy tylko próbowała zrobić większy krok. To beznadziejne. Ten zbir wkrótce ją dopadnie. Czy ziemia jest wilgotna? Czy widać na niej ślady stóp? Nie mogła czekać. Osunęła się na ziemię i zaczęła rozwiązywać więzy, pętające jej kostki. Nie szło jej to zbyt sprawnie.

Słyszała, jak krzyczy, przeklina ją i wygraża. Nie przerywała pracy. Wreszcie więzy puściły.

Mężczyzna przedzierał się przez las. Był po jej prawej stronie, niezbyt daleko, ale nie tuż - tuż. Słyszała go.

Zerwała się i pobiegła prosto w największy gąszcz, stawiając drobne kroki i co rusz uderzając się o gałęzie. Upadła. Nie zdążyła unieść związanych rąk, aby ochronić nimi twarz, toteż nałykała się brudu i zwiędłych liści.

W piersiach czuła dotkliwy ból, więc przez chwilę leżała nieruchomo, oddychając ciężko. Gdzie on jest? Wygrzebała się spomiędzy zwiędłych liści. Poraniona twarz piekła ją i szczypała, podobnie jak dłonie. Podniosła je do oczu i zobaczyła, że ma na palcach krew.

A potem nagle poczuła, jak ziemia pod nią drży. Był coraz bliżej. Jeszcze chwila i ją zobaczy. To, co zostało z jej nocnej koszuli, zwisało co prawda w strzępach, lecz nadal było białe. Błysk bieli pośród liści na pewno nie ujdzie jego uwagi.

Zaczęła się czołgać, starając się trzymać tak blisko gruntu, jak tylko było to możliwe. Gdy jego głos ucichł w oddali, zerwała się i pobiegła. Biegła, dopóki ostre klucie w boku nie zmusiło jej do przystąpienia. Oparła się o drzewo, oddychając ciężko.

- No, teraz cię mam.

Rohan wiedział, że chatka musi być gdzieś w pobliżu. Pamiętał to z dzieciństwa. Zmusił

Guliwera do stępa, gdyż drzewa zamknęły się wokół nich tak ciasno, że nawet trucht zdawał się niemożliwy.

A potem serce w nim zamarło.

Usłyszał kobiecy krzyk. - Nie, ty łajdaku, nie!

Wyciągnął pistolet z olstra. Wycelował w powietrze, lecz nie wystrzelił. Nie chciał, by odgłos wystrzału zaalarmował mężczyznę i uświadomił mu, że pomoc jest blisko. Nie wystrzelił, bo wówczas porywacz prawdopodobnie porzuciłby swoją ofiarę i uciekł. A on chciał go dopaść.

Pragnął tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Usłyszał kolejny krzyk, a po nim przekleństwo.

A potem był już przy nich. Mężczyzna leży na kobiecie. Do diabła, czyżby ją gwałcił? Koszula nocna Zuzanny jest w strzępach, a mężczyzna leży pomiędzy jej nogami. Boże, on ją dusi!

Porywacz spojrział w górę i ujrzał nad sobą łeb Guliwera. Na chwilę zamarł, niezdecydowany.

A potem jeszcze raz uderzył Zuzannę, zerwał się i zaczął uciekać. Rohan spokojnie uniósł broń i wypalił. Kula zwała mężczyznę z nóg i rzuciła go na drzewo.

Zuzanna z trudem się podniosła. Uklęka. Głowa okropnie ją bolała po ostatnim ciosie. Zobaczyła, jak Rohan strzela, a potem zsuwa się z szerokiego grzbietu Guliwera i biegnie ku niej. Odwróciła się powoli i zobaczyła porywacza leżącego pod drzewem. Czy był martwy? Oby nie. Pragnęła policzyć się z nim sama.

- Rohan - powiedziała głosem niewiele silniejszym od szeptu. - Przyszedłeś.

- Mój Boże - chwycił ją za ramiona i podniósł. - Nic ci nie jest? - Popatrzył na jej brudną twarz i potargane włosy. Nie chciał patrzeć na ciało, choć był przecież mężczyzną, który musiał sprostać swej reputacji. Więc tylko musnął ją spojrzeniem.

Przyszedłeś powtórzyła. - Modliłam się, żebyś przyszedł. Nic mi się nie stało, tylko jestem potłuczona.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, przyciągnął ją do siebie. Czowała spokojne bicie jego serca. Przytuliła twarz do szyi swego wybawiciela. - Przyszedłeś - powtarzała wciąż od nowa. - Tak bardzo się bałam.

- Prawie mu uciekłaś. Jak to się stało, że jednak cię złapał?

- Musiałam rozwiązać nogi. To dało mu czas.

- Już po wszystkim. - Zdjął surdut i okrył ją. Zapięła go ciasno na piersiach. Okrycie sięgało jej zaledwie do połowy ud, lecz zawsze było to coś.

- Zostań tutaj. Nie zabiłem go, tylko postrzeliłem w ramię. Muszę zobaczyć, co się z nim dzieje.

Kula trafiła dokładnie tam, gdzie celował, to znaczy w ramię. Mężczyzna padając musiał się jednak mocno uderzyć, stracił bowiem przytomność. Rohan zdjął mu stary kapelusz i chustkę maskującą twarz. Porywacz nie chciał, by Zuzanna go zobaczyła, nie miał zatem zamiaru jej zabić. To już było coś. Przez chwilę przyglądał się twarzy mężczyzny. Nigdy go dotąd nie widział. - Do licha - powiedział i wrócił do Zuzanny, która stała tam, gdzie ją zostawił, spoglądając to na niego, to na porywacza.

Rozwiązał jej ręce. Podeszedł do tego człowieka i związał mu nadgarstki z tyłu. - Teraz - powiedział - wracamy do domu. Wszyscy cię szukali, łącznie z moją matką.

Podniósł Zuzannę i bardziej delikatnie, niż można by oczekiwać, posadził ją przed sobą na koniu.

Powoli prowadził Guliwera pod sklepieniem drzew. Nie patrzył na nią, na jej białe, niczym nie osłonięte nogi, zwisające wzdłuż boków konia, a jego prawa dłoń dotykała wnętrza jej uda. A teraz

powiedz mi, co się właściwie wydarzyło - powiedział.

To pomogło jej się opanować. Mówiła powoli, lecz serce nadal waliło jej w piersi, a przeżyty strach zaciemniał myśli tak, że chwilami trudno mu było ją zrozumieć. Zdawał sobie jednak sprawę, że musi czymś zająć jej umysł. Zadawał zatem jedno pytanie po drugim, aż wreszcie uznał, że wie już wszystko.

W końcu, przyciskając ją mocniej do siebie, powiedział: - Bardzo dobrze się spisałaś, Zuzanno. Jestem z ciebie dumny.

Wyjechali z lasu. - A teraz odwróć się i trzymaj mocno.

Przycisnął ją do siebie i piętami spał boki Guliwera. Pognali tak, że ziemia pryskała im spod kopyt. Było jej zimno w nogi. I w brzuch. Próbowwała ciaśniej otulić się surdudem, lecz Rohan trzymał ją mocno.

Kiedy wjechali na podjazd, zobaczył, że zebrał się tam istny tłum. Co najmniej dwunastu służących, kilka powozów, w tym niektóre należące z pewnością do sąsiadów.

Zaklął. Powinien był podjechać od tyłu, od strony stajen. Powinien był...

Za późno. Dostrzeżono ich.

Ściągnął wodze Guliwera, spojrział w dół na jej gołe nogi i zwolnił uścisk, by mogła okryć się dokładniej. Nic z tego, surdut był za krótki. Nie mógł poprowadzić jej tak na schody. Wszyscy mężczyźni by ją widzieli.

Sprowadził konia z podjazdu, a potem zсадził Zuzannę. - Nie ruszaj się. Zdjął koszulę i podał jej. Włóż ją na siebie, a na to surdut.

Zachwiała się na nogach. Najwidoczniej nie mogła ubrać się sama. Włożył jej koszulę, która, dzięki Bogu, sięgała do kolan. Drżała teraz tak bardzo, że musiał pomóc jej zapiąć koszulę na piersiach.

A piersi były piękne.

Narzucił surdut na koszulę.

Dopiero gdy podprowadził Guliwera niemal do frontowych schodów Mountvale House, zorientował się, że sam jest nagi do pasa.

Na to jednak nic już nie mógł poradzić.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, krzyknął:

- Znalazłem ją! Nic jej nie będzie. Porywacz leży nieprzytomny w lasku klonowym, tuż przy opuszczonej chacie. Ozzie, ty wiesz, gdzie jest ta chata, przy której obozowali Cyganie. Idź tam i przyprowadź go.

Wszyscy wpatrywali się w niego. I w nią. W jego ramionach.

W tym momencie Charlotta zbiegła ku nim po schodach. Mężczyźni rozstąpili się, by zrobić jej przejście. - Kochanie, daj no tu szybko to biedne dziecko - zawołała. - Fitz, poślij po lekarza! - A potem podziękowała wszystkim drogim przyjacielom. Lecz ich uwaga po raz pierwszy nie była poświęcona w całości olśniewającej urodzie lady Mountvale. Nie, wszyscy mężczyźni wpatrywali się w obnażone, białe nogi Zuzanny, zaś oczy kobiet nie opuszczały nagiej piersi barona.

Sprytna z matki sztuka, że nazwała Zuzannę „dzieckiem”, pomyślał.

Kiedy jednak wnosił ją do domu przez otwarte drzwi, nie mógł się powstrzymać, by nie zakląć pod nosem. Jedynie Fitz się nie gapił. Miał na to zbyt wiele godności.

A potem usłyszał oklaski. Z początku mrugał tylko, nic nie rozumiejąc. Lecz nagle uświadomił sobie: oto znowu umocnił swą złą reputację. Spojrział w dół na białe nogi Zuzanny, a potem na jej

twarz i dostrzegł siniak na policzku.

- Uderzył cię?

- Tak. Bardzo mnie boli.

Zaklął. Biegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz i nadal trzymał ją w ramionach. Na podeście odwrócił się i zawołał: - Fitz, sprowadź lekarza, szybko! Nie zwlekaj, człowieku!

Fitz odwrócił się do lady Mountvale i przywołując dłonią Augustusa, stwierdził: - Zwykle w majątku jest bardzo spokojnie, kiedy przebywa tu jego lordowska mość.

Charlotta zmarszczyła brwi. - Nie powinno tak być, Fitz. Mężczyzna o jego reputacji i apetytach powinien wieść barwniejsze życie, gdyż inaczej staje się swoją własną parodią. Biedna Zuzanna. Będziemy mieli z nią problem, choć... może nie będzie tak źle. Pomyśl tylko o romantycznym aspekcie tej sprawy. Widziałeś minę barona, gdy niósł ją w ramionach? A jak męsko wyglądał z tą obnażoną piersią! - W jej głosie pobrzmiwała satysfakcja. I duma. Nagle zmarszczyła brwi. - Lecz ona jest wdową po jego bracie. Nic z tego nie będzie, choćby nie wiem co.

Fitz westchnął i po raz wtóry wydał Augustusowi polecenie, ten bowiem za nic nie mógł oderwać wzroku od niewiarygodnie pięknego Zjawiska, nadal odzianego w męski strój do konnej jazdy.

Spojrzał w górę na szeroką klatkę schodową. Baron rzeczywiście wydawał się wytrącony z równowagi. Nigdy dotąd nie widział go w takim stanie. Lecz matka barona miała rację. Mężczyzna nie może poślubić wdowy po swoim bracie, wszystko jedno, czy nosi jego koszulę i surdut, czy nie.

ROZDZIAŁ 11

Zuzanna jęknęła. Ból głowy przyprawiał ją o mdłości. Nie potrafiła nad nim zapanować. Wiedziała, że płacze, ale nie mogła powstrzymać łez.

Rohan zanurzył miękki lniany ręcznik w zimnej wodzie, wyżał go i położył na jej czole. - Za chwilę powinnaś poczuć się lepiej. Przykro mi, ale na razie nie mogę dać ci laudanum. Ten facet uderzył cię w głowę, nie możemy ryzykować. Postaraj się skoncentrować na moim głosie i na tym, co mówię. Oddychaj bardzo lekko. O tak, dobrze.

Zaczął do niej mówić. Z początku nie mówił o niczym ważnym, opowiadał o swoim pierwszym kucyku, Dobbsie, który miał imię po astronomie Jacko Dobbsie, jego uwielbianym nauczycielu z okresu dzieciństwa. - Miałem sześć lat, gdy nauczyłem go skakać. Myślałem, że potrafi skakać aż do gwiazd - mój nauczyciel docenił ten drobny żarcik. Nawet mój ojciec był zdumiony, że Dobbs potrafi skakać aż tak wysoko. Tyle że kiedy właśnie to udowodnił, przeskakując szczególnie wysoką kępę krzewów, ojciec nie był sam. Miał wtedy schadzkę z pewną damą z sąsiedztwa. Mimo to przerwał to, co akurat robił, i poklepał mnie po plecach, doceniając mój wysiłek. Jak sobie przypominam, także dama była pełna podziwu. Powiedziała, że kiedyś, przy odrobinie szczęścia i pewnej praktyce, mogę dorównać memu ojcu. Pamiętam także, że ojciec nie miał na sobie ani skrawka ubrania. Co do damy, to nakryła się koszulą ojca.

Zuzanna przez chwilę wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, a potem zachichotała. - A to dobre, wspominasz to tak, jakby takie przeżycia były częścią dzieciństwa każdego chłopca.

- Bo mogłyby. To znaczy ta część dotycząca ojca, umawiającego się na schadzki z damą z sąsiedztwa.

Roześmiała się znowu. Podobał mu się ten dźwięk.

- Nie rozśmieszaj mnie, bo bardziej mnie boli. Pan, milordzie - mężczyzna o takiej reputacji - z pewnością zaprowadził już wiele kobiet do tego uroczego zakątka. To musi być bardzo romantyczne miejsce.

- Bardzo. Masz rację, oczywiście. Mężczyzna o mojej reputacji z pewnością wykorzystałby wszystkie możliwości kolejnych podbojów. Chciałabyś obejrzeć to miejsce wraz ze mną, Zuzanno?

Jęknęła.

Do licha, co za nonsensy opowiada? Tyle że to był tylko pozorny nonsens. Bardzo chciał zabrać ją wszędzie, dokąd by tylko zechciała. Tak bardzo jej pragnął. - Czujesz się gorzej? Oddychaj płytko.

- Dalej jesteś nagi.

- Tylko od pasa w górę. Widziałaś już mężczyzn nagich od pasa w górę. W końcu byłaś mężatką. A, jest doktor Foxdale. - Potrząsnął dłonią mężczyzny: - Uderzono ją w lewy policzek i bardzo ją boli głowa. Poza tym, jak mi się wydaje, wszystko w porządku. Pomijając, oczywiście, te zadrapania na twarzy.

Doktor Foxdale ulokował się wygodnie przy boku młodej wdowy po George'u. Przez chwilę po prostu uważnie się jej przyglądał, oceniając rumieniec na policzkach, spojrzenie i rytm oddechu. A

potem przesunął delikatnie czubkami palców po jej głowie i rozpoczął delikatne badanie. Wciągnęła gwałtownie oddech.

- Nieźle jej ten łajdak przyłożył - powiedział, zwracając się nie do niej, lecz do barona. - A teraz, proszę pani, ile palców pani widzi?

- Trzy.

- Wspaniale. A teraz?

Liczyła jego długie palce, dopóki nie przekonał się, że jej mózg nie ucierpiał. Miał najciemniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała. - Wyzdrowieje pani - powiedział, a potem natychmiast zwrócił się do barona: - Ma twardą głowę. Podobnie jak większość moich pacjentek, jeśli już o tym mowa. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego tak jest. Przemycę te zadrapania na twarzy, ale to nic wielkiego. Może pan podać jej laudanum i niech śpi smacznie przez resztę dnia. To jej dobrze zrobi. Na pewno będzie posiniaczona, ale nic na to nie można poradzić.

Przemył jej twarz, wstał i uśmiechnął się. - Nie jest tak źle. Do widzenia, pani Carrington.

Ani słowa na temat nagiej piersi barona. Słyszała jeszcze, jak Rohan mówi do lekarza: - Za chwilę powinni przyprowadzić mężczyznę, który porwał panią Carrington. Postrzeliłem go w ramię, lecz upadek rzucił go na drzewo i pozbawił przytomności. - A więc zostanę jeszcze chwilę. Obaj mężczyźni wymienili uścisk dłoni, najwidoczniej bardzo z siebie zadowoleni. A baron był nagi do pasa. Ciekawe, czy doktor pozwoliłby sobie na jakiś komentarz, gdyby zobaczył barona bez bryczesów, pomyślała. Czy rzeczywiście Rohan mógł robić, co mu się podoba i nikogo to nie obchodziło? Wszyscy zdawali się go uwielbiać, i to nie bacząc na liczne ekscesy.

Po chwili wrócił ze szklanką wody w dłoni. Przyglądała się, jak odmierza krople laudanum. Obserwowała grę mięśni na jego brzuchu, kiedy pochylił się, odstawiając butelkę z lekarstwem na blat stołu. Nigdy dotąd nie widziała mężczyzny, który by tak wyglądał. George był chyba dosyć przystojny, lecz kiedy za niego wychodziła, była zbyt młoda, by właściwie ocenić jego urodę. Teraz wiedziała niewiele więcej. Żaden mężczyzna nie powinien być piękny, a baron jednak był. Jasnobrązowe włosy na jego piersi były miękkie i zwęzły się w prostą linię, znikającą pod bryczesami. Bolała ją głowa. Choć miała twardą czaszkę, i tak była chora. To pewnie jakieś odchylenie, wywołane chorobą. Kobieta nie powinna podziwiać swego szwagra, niezależnie od tego, jak wyglądał. Ona nie będzie. No, przynajmniej będzie się bardzo starała.

- Zaraz poczujesz się lepiej. - Uniósł jej głowę i nie spiesząc się napoił ją wodą z laudanum. Czują na policzku ciepło jego ciała.

- Dziękuję - powiedziała cichym głosem. Nie spojrzy na niego już ani razu. Skupiła uwagę na cherubinkach, które zdobiły sufit. Poczwała, jak ból powraca, a potem z wolna przycicha i opuszcza ją. Nie mogła skupić myśli. Usłyszała, jak jakaś kobieta o miękkim głosie, niebezpiecznie podobnym do jej głosu, mówi: - Wyglądasz bardzo ładnie, gdy jesteś nagi. Nigdy nie przypuszczałam, że mężczyzna może tak wyglądać. To sprawia, że czuję się dziwnie, i wcale nie z powodu rany. - A potem zasnęła.

Usiadł obok niej, uniósł jej bezwładną dłoń i przyjrzał się smukłym białym palcom. Uświadomił sobie, że zapomniał zapytać ją, co miała na myśli. A zatem wyglądał bardzo dobrze, tak? I to sprawiało, że czuła się dziwnie? Gdyby powiedział jej, jak on się czuje, uciekłyby z krzykiem. A może nie. Uśmiechnął się, a zaraz potem spochmurniał. Delikatnie położył na kołdrze jej dłoń i wstał. Był dżentelmenem.

Gdy otworzyła oczy, było już ciemno. Tylko kilka świec, ustawionych na małym biurczku, oświetlało pokój. Cienie tańczyły na ścianach, gęstniejąc ku kątom pokoju. Pokoju znanego i

bezpiecznego.

Głowa nie bolała jej już tak bardzo. Poczula, że spuchła jej twarz. Nie miała ochoty przeglądać się w lustrze. Wstała, ogarnęła się trochę i ruszyła powoli w kierunku okna. Odciągnęła grube ciemnożółte zasłony. Księżyc był w nowiu, a pojedyncze gwiazdy przeświecały przez chmury.

Przed świtem na pewno spadnie deszcz.

- Po co, u licha, wstawiałaś?

Odwróciła się powoli na dźwięk jego głosu. - Nie jesteś już nagi. - Miał na sobie bogato zdobiony, gruby brokatowy szlafrok z niemal do cna przetartymi łokciami. Najwidoczniej był to ulubiony szlafrok, noszony od wielu lat. Ale on nie miał aż tylu lat. Mężczyzna taki jak on z całą pewnością wiele czasu spędza jednak w szlafroku. A także bez szlafroka.

Czyżby dostrzegął w jej głosie nutkę rozczarowania? Tak, to na pewno było rozczarowanie. Jak miło! Uśmiechnął się. - Nie, nie jestem. Bardzo mi przykro, ale wydało mi się właściwe, by rozebrano cię z mojej koszuli.

- Na pewno była brudna.

- Owszem, ale i tak nie miałem zamiaru jej wkładać.

Zrobiła krok w jego stronę i zatrzymała się. - Nie ściągałeś jej ze mnie osobiście, prawda?

- Nie. Zajęły się tym moja matka i jej pokojówka Sabine. Poznałaś już Sabine? Nie? Nic straconego. To osoba jedyna w swoim rodzaju. Może wrócisz do łóżka? Nie stoisz chyba jeszcze zbyt pewnie na tych bosych stopach. Dalej boli cię głowa?

Potrząsnęła głową i zaraz gwałtownie wciągnęła powietrze, bo pojawił się ostry ból. Przez chwilę stała nieruchomo i wtedy ból zelżał. - Nie jest już tak źle. - Odwróciła się do niego.

Teraz on wciągnął gwałtownie powietrze, zaciskając pięści. - Twoja twarz... - Boże, zabiję tego sukinsyna!

Dotknęła palcami obolałego policzka. Był bardzo spuchnięty. Wyobraziła sobie, jak strasznie musi wyglądać. Wolą nie wiedzieć tego dokładnie.

- Mój Boże, nie wiedziałem, że masz tak poranioną twarz. Spójrz tylko na siebie. Wyglądasz okropnie. On nie mógł ci tego zrobić. Co się stało?

W jego głosie brzmiał czysty gniew. Stał blisko niej, a jego oczy zdawały się bardziej zielone niż wypielegnowana trawa na wschodnim trawniku. - Kiedy uciekałam z chaty, upadłam na twarz. To tylko zadrapania. Bardziej martwi mnie to, że nałykałam się ziemi i liści. - Próbowала się uśmiechnąć, ale skończyło się tylko na grymasie.

Wyciągnął dłoń i lekko przesunął palcami po jej policzku.

- Czy ten człowiek żyje? - zapytała.

- Tak, ale nadal jest nieprzytomny. Doktor Foxdale nie wie, czy kiedykolwiek odzyska świadomość. Mówi, że urazy głowy potrafią być zdradliwe. Musimy poczekać.

- Chodziło mu o jakąś mapę.

Rohan nie odezwał się, lecz ujął ją pod ramię i próbował zaprowadzić z powrotem do łóżka.

- Proszę, jeszcze nie. Nie mogę ciągle leżeć. Co z Tobym i Marianną?

- Marianna tak płakała, że w końcu miałem ochotę wyrzucić ją przez okno śniadaniowego pokoju, ale wiedziałem, że bardzo byś się gniewała. Na szczęście dla mnie i moich biednych uszu w końcu płacz tak ją wyczerpał, że usnęła mi na rękach.

Bez słowa wpatrywała się w niego. - Próbowalesz ją karmić? Nie zostawiłeś jej z Lottie?

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś taka zdziwiona. Nie było nikogo, kto mógłby się nią zająć. A

poza tym nie chciałem prosić nikogo innego. Następnym razem z pewnością to zrobię. Jeżeli zobaczę Jamiego, będę go błagał, aby zaśpiewał jej limeryk. Skoro skutkuje w przypadku koni, dlaczego nie miałoby uspokoić małej dziewczynki? Taby zgłosił się na ochotnika - dzielny młodzieniec - ale wiedziałem, że nie ma u niej żadnych szans. Bez trudu by sobie z nim poradziła. Teraz już wszystko w porządku, śpi jak suseł. Nie miałem pojęcia, że z takiej małej buzi może wydobyć się tyle hałasu. Obiecałem jej, że będzie mogła zobaczyć się z tobą jutro rano, więc lepiej się przygotuj. Nie zdziwiłbym się, gdyby uciekła Lottie i zakradła się tu przed świtem.

Wpatrywała się w niego bez słowa. On naprawdę to zrobił, nie żartował. Mimo wszystko to nie do wiary - W jej głosie nadal brzmiało niedowierzanie, kiedy spytała: - Chcesz powiedzieć, że położyłeś Marianne do łóżka?

- Nie kąpałem jej i nie przebierałem w nocną koszulę, lecz otuliłem ją, wyjąłem jej palce z buzi i przykazałem, by nie chrapała. A poza tym pocałowałem ją na dobranoc, skoro ty nie mogłaś tego zrobić. Bardzo jej się podoba ta szparka w mojej brodzie. A teraz chodź ze mną, zanim się przewrócisz.

Przed kominkiem stały dwa wytworne krzesła, obite kwiecistym brokatem. Posadził ją na jednym z nich, a potem przykrył jej nogi pledem. Usiadł. Krzesło ugięło się pod jego ciężarem, lecz dzięki Bogu wytrzymało. Nadal wpatrywała się w niego. Ten mężczyzna zajmował się trzyletnią dziewczynką? Nie do wiary. Jego wyczyny sprawiły, że bolała ją teraz cała głowa.

W tej chwili rozległo się pukanie. Rohan z rezygnacją popatrzył na drzwi. Otworzyły się i wmaszerowała Charlotta. Niosła tacę, a jej uśmiech rozświetlał najmroczniejsze zakątki pokoju.

- Obudziłaś się, moja droga, to dobrze. Teraz coś zjesz, a potem porozmawiamy.

Zuzannie zaburczało w brzuchu. Rohan uśmiechnął się, a potem roześmiał, widząc rumieniec pokrywający jej spuchnięty policzek. Był to już czwarty spośród całej gamy kolorów na jej twarzy.

- No widzisz - powiedziała swobodnie Charlotta - Najwyższy czas. Jesteś głodna, prawda? Och, twoja biedna twarz. Bardzo cię boli?

- Nie, proszę pani. Naprawdę nie jest tak źle. Wolałabym, by nie mówiła mi pani, jak okropnie wyglądam, bo wpadnę w ciężką melancholię. A jeśli chodzi o jedzenie, to zjadłabym nawet but, gdyby tylko był dobrze ugotowany i nieco posolony dla smaku.

- Proszę - powiedziała Charlotta, stawiając tacę na kolanach Zuzanny. - Możesz zwracać się do mnie lady Mountvale lub Charlotto, co bym wołała. To „proszę pani” sprawia, że czuję się stara i słaba, jakby zaraz miały zacząć wypadać mi zęby.

- Tak, Charlotto.

Rohan obrzucił matkę zamyślnym spojrzeniem. Wyglądała wspaniale ze swymi gęstymi włosami, opadającymi swobodnie na plecy i przewiązanymi lekko jasnoniebieską satynową wstążką, dopasowaną barwą do tego czegoś koronkowego jak piana, co ona zapewne nazywała szlafrokiem. Wyglądała olśniewająco. Zupełnie nie jak matka. Ona nigdy nie wyglądała jak matka. Urodziła czworo dzieci, mimo to jej figura ani na jotę się nie zmieniła. Westchnął. Wolałby, by sobie poszła, lecz wiedział, że tego nie robi. Nie było na to żadnej nadziei. Wstał i przysunął sobie jeszcze jedno krzesło.

- Zuzanna mówi, że ten mężczyzna szukał jakiejś mapy - powiedział bez żadnych wstępów, przyglądając się, jak dziewczyna podnosi do ust pierwszą łyżkę rosółu. - To pewnie ten sam facet, który włamał się przedtem trzy razy do Mulberry House i raz tu, do Mountvale. Tyle wysiłku z powodu jednej mapy?

- Mapa? - powtórzyła Charlotta, przyglądając się swoim doskonale wypielęgnowanym paznokciom. - To rzeczywiście dziwne. Masz rację, kochany, to wręcz niewiarygodne. Tyle zachodu z powodu mapy?

Zuzanna nie odzywała się, po prostu podnosiła do ust jedną łyżkę rosołu za drugą. - Właściwie to wcale nie takie dziwne - powiedział Rohan. - George od dzieciństwa uwielbiał wszelkie mapy, pamiętasz mamó? O ile sobie przypominam, kiedy miał dziewięć lat, podarowałaś mu mapę, która prawdopodobnie była planem haremu sułtana, z zaznaczonymi wszystkimi tajnymi przejściami. Spodziewałaś się, że to kiedyś zaprocentuje.

- Tak, ale myliłam się. Tym większa szkoda. A może zaprocentowało, skoro mamy tu Zuzannę i Marianne.

Ale kochany, nikt nigdy nie próbował ukraść żadnej z tych map. To musi być jakaś szczególna mapa. Może zaznaczony został na niej skarb? Tak, to byłoby doprawdy ekscytujące. Czyżby George, mój kochany stateczny i nudny George - który okazał się wcale nie taki stateczny - wpadł na trop jakichś skarbów?

Zuzanna zakrzuszyła się rosołem. - O tak, to z pewnością byłoby ekscytujące, Charlotto, ale nie sądzę. Gdyby to była jakaś mapa dotycząca skarbu, George pewnie coś by mi o niej wspomniał. Choć może i nie. Przysięgłam temu mężczyźnie, że niewiele zostało mi po George'u i że przejrzałam wszystkie te przedmioty. Mogłam mu uczciwie powiedzieć, że nie było wśród nich żadnej mapy.

- Oczywiście on ci nie uwierzył - stwierdził Rohan. Stał teraz przed kominkiem, pochylając się nieco w stronę okapu. - A co ci zostało po George'u?

Drzwi otworzyły się nagle i Fitz niemal wpadł do środka. Z trudem udało mu się utrzymać równowagę.

- Milordzie! Szybko!

- O Boże, co znowu? - spytała Charlotta i pośpieszyła za mężczyznami.

- Zaczekajcie! Nie mam zamiaru zostać tu sama!

- krzyknęła Zuzanna, gramoląc się z krzesła. Zakręciło jej się w głowie i omal nie upadła. Rohan odwrócił się, zobaczył, że macha do nich, zaklął głośno, lecz wrócił, wziął ją na ręce i pognął za Fitzem.

- Jeżeli głowa rozboli cię jeszcze bardziej, to będzie już tylko twoja wina - powiedział. - A ja nie zamierzam znowu przykładać mokrego ręcznika do twego czoła.

- Nigdy cię nie prosiłam, byś to robił. Mam prawo wiedzieć, co się dzieje.

Zatrzymali się nagle na podeście szerokiej klatki schodowej. Na dole z głową spowitą w bandażę i ramieniem na temblaku stał mężczyzna. Wywijał dziko strzelbą i krzyczał: - Odejdźcie, wy małe nędzne kreatury! Z drogi! Zwrócił strzelbę w kierunku dwóch lokajów, którzy próbowali zejść go od tyłu. Wycofali się.

- Oddajcie mi tę przeklętą mapę. Jest moja!

- Spojrzał na górę i spostrzegł barona z kobietą w ramionach. Kobieta George'a, piękną kobietą, która go okłamała i ugodziła grabiami w podbrzusze. Chętnie by ją zastrzelił, ale to nic by mu nie dało.

- Do diabła z wami! - wykrzykiwał. - Oddajcie mi mapę! Powiedzcie, gdzie ona jest, albo powystrzelam te nędzne kreatury!

Rohan powoli postawił Zuzannę na podłodze. Oparł ją o Fitzę, który miał ją teraz podtrzymywać. Potem zaczął powoli schodzić ze schodów.

- Jaką znów mapę? - zawołał tonem towarzyskiej konwersacji. - Musisz wyrażać się dokładniej, bo nie wiem, o co ci chodzi. Ona mi wszystko opowiedziała. Nie wie, co o tym myśleć. Ale ja wiem. Mogę ci pomóc. Czy chodzi o mapę tej niedostępnej jaskini w północnej Kornwalii, w pobliżu St. Agnes?

- Nie, o tę ze Szk... O nie, nie dam się podpuścić! Ty przeklęty sukinsynu! Nie ty jesteś mi potrzebny, tylko ona! - Wycelował w Rohana i nacisnął spust. Zuzanna próbowała oderwać się od Fitz'a, lecz trzymał ją mocno. Więc tylko z przerażeniem obserwowała rozgrywającą się niżej scenę. Wydawało jej się, że od wystrzału minęła wieczność. Kiedy mężczyzna wycelowwał broń, Rohan przykucnął i odsunął się. Kula trafiła w portret któregoś z przodków - szesnastowiecznych Carringtonów, przedstawiający bardzo przystojnego dżentelmena o łobuzerskim spojrzeniu ciemnozielonych oczu, tak charakterystycznym dla wszystkich Carringtonów. Portret przez chwilę kołysał się na boki, aż wreszcie jego ciężar sprawił, że hak nie wytrzymał i płótno runęło. Ciężka złożona rama jakoś wytrzymała. Obraz uderzył o schody, odbił się i zaczął zsuwać po włoskim marmurze, aż wreszcie utknął w holu na podłodze. Mężczyzna jak zaczarowany wpatrywał się w sunące ku niemu płótno, które zachowywało się jak żywe i zamierzało go dopaść. Chciał strzelić do obrazu, lecz okazało się, że w strzelbie nie było już naboju.

Krzyknął i rzucił się do ucieczki, lecz obaj lokaje przytrzymali go.

Rohan podszedł do unieruchomionego przez służbę mężczyzny. Napastnik miał złowieszczy wygląd - omiatał otoczenie dzikim wzrokiem i szczyrzył białe zęby. Jego usta poruszyły się, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Jak się nazywasz? Jeżeli mi powiesz, może będę w stanie ci pomóc.

Mężczyzna splunął mu prosto w twarz.

Rohan powoli wytarł plwocinę rękawem. - Może odgadnę, jak się nazywasz? Jesteś Theodore Micah?

Chociaż zdawało się to niemożliwe, twarz mężczyzny jeszcze bardziej zbielała. - Skąd o nim wiesz? - Jego oczy były zimne i szare, jakby się zapadły w głąb czaszki. Potem dał się słyszeć dziwny gulgoczący dźwięk i ni stąd, ni zowąd mężczyzna zwałił się na podłogę, pociągając za sobą zaskoczonych lokajów.

Rohan pochylił się i przyłożył palce do szyi mężczyzny, szukając pulsu. Był słaby i nieregularny.

Spojrzał na leżący portret, z którego spoglądał szesnastowieczny przodek. Przez chwilę Rohanowi zdawało się, że twarz na portrecie przybrała bardzo zadowolony wyraz. Nie, to niemądre. Przecież to tylko nic nie znaczący portret. Zachmurzył się. Tamten facet po prostu padł, bez żadnych wyraźnych przyczyn.

- Słuchajcie, ten człowiek żyje. Poślij jeszcze raz po doktora, Fitz. Niech pokojówka przyniesie parę kocy. Chyba nie powinniśmy go ruszać.

- Milordzie - odezwał się Fitz z twarzą bielszą niż twarz mężczyzny, leżącego u ich stóp - widział pan, jak ten portret go zaatakował? To pański stryjeczny dziadek, Fester Carrington. O Boże! - Teraz już wszyscy wpatrywali się w obraz, który leżał spokojnie pół metra od powalonego mężczyzny.

Rohan podniósł płótno i wręczył Fitzowi, który wziął je do rąk z najwyższą niechęcią i widocznym lękiem. Pozbywszy się obrazu, baron powiódł spojrzeniem po lokajach. - Jak to się mogło stać? Jak ten diabeł wydostał się z pokoju i skąd wziął strzelbę?

Augustus wysunął się przedszereg, z wysoko uniesioną brodą i ściągniętymi ramionami. - Ja jestem za to odpowiedzialny, milordzie. Zaglądałem do niego mniej więcej co pół godziny, lecz

ciągle był nieprzytomny. I pewnie w końcu przysnąłem. To wyłącznie moja wina.

Rohan przez dłuższą chwilę przyglądał mu się uważnie, a potem powiedział: - Porozmawiamy o tym rano, Augustusie.

ROZDZIAŁ 12

Była już prawie północ.

- Powinnaś się położyć, Zuzanno.

- Jeszcze nie. Z pewnością śniłyby mi się koszmary. Jak on mógł tak po prostu paść, Rohanie?

Tak błyskawicznie? Nawet go nie tknęłaś. Ani nikt inny.

- Prawdopodobnie dał o sobie znać uraz głowy. A przynajmniej doktor Foxdale tak uważa, badał go przed chwilą. Nie martw się, dowiemy się, o co tu chodzi, nawet jeżeli ten facet nigdy się już nie obudzi.

- To nie jest Theodore Micah.

- Nie, ale on wie, kim jest Theodore. Miałaś rację, że powiedziałaś mi o tych dwóch mężczyznach, znajomych George'a. Przypuszczałem, że są w tę sprawę zamieszani, bo potrzebowaliśmy jakichś konkretnych nazwisk, lecz nie bardzo w to wierzyłem - aż do dzisiejszego wieczoru. Tak, siedzą w tym po same uszy.

- Mam nadzieję, że on się obudzi.

- Jeżeli nie chcesz iść jeszcze do łóżka, to dokończ rosół, który ugotowała dla ciebie pani Horsely, i opowiedz mi wszystko do końca.

Znowu rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

Rohan wstał i podchodząc do drzwi, rzucił przez ramię: - Myślałem, że przyjdzie prędzej, lecz pewnie pocieszała biednego Augustusa. Nie zdziwiłoby mnie to ani trochę.

- Jest bardzo przystojny - przyznała Zuzanna.

- Te jego porywające czarne oczy... Aż ciarki chodzą mi po plecach.

Rohan chrząknął. Zuzanna zachichotała. Wydawało jej się, że słyszy, jak mruknął pod nosem:

- Kobiety!

Charlotta już się opanowała. Zajęła miejsce tuż obok Zuzanny. - Zdążyłaś opowiedzieć coś Rohanowi, moja droga?

- Dopiero zaczynaliśmy, mamgo. A teraz, Zuzanno, pamiętasz, zanim nam przerwano, wspomniałaś coś o przedmiotach, które należały do George'a.

- Kamizelka, parę książek. Nie powiedziałam mu o medalionie. Jest bardzo mały i z pewnością nie zmieściłaby się w nim żadna mapa.

- Gdzie są książki i kamizelka?

- Zostawiłam je w Mulberry House. Ale ja je już przeszukałam, Rohanie. Nie jestem zupełnie pozbawiona rozumu i mnie też przyszło do głowy, że te włamania muszą mieć coś wspólnego z George'em. Sprawdziłam więc bardzo starannie wszystkie trzy książki i nawet odprułam podszewkę od kamizelki. Nie było tam żadnej mapy. A on nie pozostawił w Mulberry House nic więcej.

- W porządku, więc gdzie ten medalion?

- Ale...

- Przynieś go, Zuzanno.

- Zawsze mam go na szyi. - Uniosła włosy tak, by Charlotta mogła odpiąć zameczek.

Charlotta zrobiła to i już miała otworzyć medalion, kiedy jej wzrok padł na dłoń syna wyciągniętą w niedwuznacznym geście. Westchnęła z rezygnacją i podała Rohanowi medalion. Złoty łańcuszek zwisał jej między palcami.

- Wiem, że to nie było dla ciebie łatwe, mamo, niemniej dziękuję.

Charlotta westchnęła znowu. - Szkoda, że musiałam ci go dać, bo bardzo bym chciała znaleźć mapę ze skarbami. - Spojrzała na Zuzannę. - Kiedy jest się kobietą, ciągle trzeba iść na kompromis.

- To z pewnością pierwszy raz, kiedy poproszono cię, abys przystała na coś, co choćby z daleka przypomina kompromis - powiedział jej syn, bawiąc się medalionem. - Nasz ojciec zawsze powtarzał, że kompromis to diabelski wynalazek.

Medalion miał kształt serca, był niezbyt oryginalny, wykonano go jednak starannie i ze złota dobrej próby.

- Jeżeli przestaniecie się przekomarzać, pokażę wam, jak go otworzyć. Sami widzicie, że jest zbyt mały, by w nim coś ukryć.

Otwarcie medalionu zajęło jej tylko chwilę. - Widzicie, tu na dole jest taki mały zatrzask. - W środku po jednej stronie umieszczono miniaturę George'a, po drugiej Marianny.

Dlaczego nie Zuzanny? - pomyślał Rohan, biorąc od niej medalion. Ostrożnie wyjął portrecik Marianny, nie większy niż jego paznokieć. Przysunął medalion do świecy i bardzo uważnie zbadał złotą ściankę, ale niczego tam nie znalazł. Złoto było idealnie gładkie. Wyjął miniaturę George'a. Gdy ją namalowano, George nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Uśmiechał się. Ubrany w zdobioną koronkę koszulę, z za długimi włosami, wyglądał nieco sztywno. Rohan potrząsnął głową, odpędzając wspomnienia. George to George, teraz już nie żył, lecz pozostawił po sobie niezły bałagan. Co jeszcze zrobił, o czym nie wiedzieli?

Położył miniaturę na stole i zbliżył medalion do świecy. Ścianka nie była tak gładka, jak ta po drugiej stronie.

- No, no - wycedził - i cóż my tu mamy? Charlotta niemal spadła z krzesła, próbując przysunąć się do niego.

Zuzanna odsunęła gwałtownie talerz z rosółem. - Na Boga, co tam znalazłeś? Powiedz natychmiast! Nie gap się na to, jakby za chwilę miało cię ugryźć! Mów albo ja cię ugryzę!

Rohan tymczasem dotykał cieniutkiej szczeliny w złocie, tuż przy brzegu medalionu. I nagle, choć sam nie bardzo wiedział, jak tego dokonał, szczelina rozszerzyła się. Wręczył medalion Zuzannie. - Wyjmij ten papier, ja mam zbyt grube palce. Tylko uważaj, Zuzanno.

Charlotta westchnęła i przysunęła się bliżej.

Zuzannie udało się przycisnąć opuszkę palca do skrawka papieru, który przykleił się do skóry. Powoli wyciągnęła go z wnętrza schowka. Papier upadł na stół, a na nim wylądował maleńki złoty kluczyk. Rohan podniósł klucz. - Jak coś tak małego może otworzyć zamek?

Charlotta wzięła kluczyk od syna i położyła sobie na dłoni. - Chyba coś jest na nim napisane, kochanie. Ale to może poczekać. Czy to jest mapa?

- Rozwiń - powiedział Rohan.

Po rozwinięciu okazało się, że kawałek papieru ma wielkość połowy dłoni Zuzanny. Była to rzeczywiście mapa - poplamiona, spłowiała i bardzo trudna do odczytania. - Gdy podpuściłem tego człowieka, zaczął coś mówić o Szkocji, pamiętacie? - przypomniał sobie Rohan.

- Pamiętam, kochany. To było bardzo sprytne z twojej strony. Jesteś nie tylko rozkosznie

rozpustny i zły, twoja inteligencja błyszczy jaśniej niż słońce.

- Zaraz zrobi mi się niedobrze - powiedziała Zuzanna ot, tak sobie.

Charlotta zignorowała ją. - Twój drogi ojciec czasami zgadzał się ze mną, kiedy mówiłam, że odziedziczyłeś po mnie bystry umysł. Dowiodłeś tego teraz ponad wszelką wątpliwość. Brawo, kochanie.

- Chyba zwymiotuję - powtórzyła Zuzanna. Spojrzała na Rohana, który nie zwracał uwagi na żadną z nich. - Skoro wiesz już tyle i jesteś tak okropnie mądry, to może wiesz także, o jakie miejsce w Szkocji chodzi? I co otwiera ten kluczyk?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - powiedział, najwidoczniej pogrążony w myślach. - A przynajmniej na razie nie mam. A teraz bądźcie cicho. Obie. Mamo, czy mogłabyś wysłać lokaja - może być Augustus, jeśli chcesz - by przyniósł moje szkło powiększające z gabinetu? Powinno być w górnej lewej szufladzie biurka.

Charlotta uniosła swoje doskonale zarysowane jasne brwi i powiedziała: - Jestem zdumiona, że wiesz, gdzie szukać tego rodzaju rzeczy, kochanie. Z pewnością mężczyzna o twojej reputacji nie powinien zaprzętać sobie pamięci takimi sprawami. O czymś takim powinien pamiętać dobry służący, lecz nie ty, pan tego domu, baron...

- Proszę, mamo, potrzebujemy szkła...

W kilka minut później Rohan studiował już zapamiętałe pożółkły kawałek papieru. - To rzeczywiście mapa - powiedział bardziej do siebie niż do obu kobiet. - A właściwie, niestety, tylko połowa mapy.

Jest ślad po przecięciu. Widzicie te linie, które prawdopodobnie oznaczają rzekę? Znikają nagle z tej strony. A te klocki mają zapewne oznaczać domy. Aaa, są tu także jakieś słowa, tak małe, że nie potrafię ich odczytać.

Zwłaszcza z Zuzanną i matką leżącymi mu niemal na plecach.

- Siadaj, Zuzanno. Mamo, od twoich perfum kręci mi się w głowie. Proszę, odsuńcie się. Dobrze, a teraz popatrzmy, co tu mamy.

- Rohan, wpatrujesz się w to już od godziny - powiedziała Zuzanna, przysuwając się znów do niego. - No, dalej, mów, co widzisz? Co tam jest napisane?

Wyprostował się. - Napis brzmi: „Przeszukaj pomieszczenie poniżej linii przyływu”, co oznacza, że to miejsce musi znajdować się blisko morza. Ale którego morza? Na wschodnim czy zachodnim wybrzeżu? Następny wyraz został przecięty na pół, zostały tylko dwie litery: DU.

- Jakie pomieszczenie? - spytała Zuzanna. - W jednym z tych domów?

Dobre pytanie. Zmarszczyła brwi i ponownie zapatrzyła się na skrawek papieru, a potem podniosła wzrok na Rohana. - Te kręte linie oznaczają rzekę. Ale którą?

- Nie mam pojęcia.

- I co oznacza to DU? - zapytała Charlotta. - Pierwsze litery nazwy jakiegoś miasta? Sklepu? To przygnębiające. Miałam nadzieję, że mapa okaże się dokładniejsza, nawet jeśli to tylko połowa mapy. Ta na nic się nam nie przyda.

- Myślę, że te klocki rzeczywiście oznaczają domy, stojące przy jakiejś ulicy, w jakimś szkockim mieście, położonym nad rzeką - powiedział Rohan.

- Skąd wiesz? - spytała Charlotta, marszcząc białe, gładkie czoło. Rohan przesunął placem wzdłuż linii klocków. - Tak, teraz rozumiem. Jesteś bardzo inteligentny, kochanie.

- Tak, mamo.

- Przepraszam bardzo - wtrąciła Zuzanna - ale ja też widzę, że te klocki muszą oznaczać ulicę. Jestem tak samo mądra jak Rohan.

Charlotta spojrzała na nią z namysłem. - Nie znam cię jeszcze na tyle dobrze, by to ocenić. A teraz, po co George'owi była potrzebna ta mapa? I dlaczego tak starannie ją ukrył? I jeszcze ten klucz...

- A właśnie - przerwał jej Rohan. - Kluczyk. Położył go sobie na dłoni, przysunął bliżej świecy i przez chwilę wpatrywał się w niego przez szkło powiększające. Skrzywił się. Zdał sobie sprawę, że Zuzanna i matka znów siedzą mu na plecach. - Nie mogę odczytać, co na nim wygrawerowano - powiedział w końcu.

Zuzanna wzięła szkło powiększające i spojrzała przez nie na klucz. - To chyba po łacinie - powiedziała w końcu. - Tak, to wygląda na imię, lecz jest tak niewyraźne, że nie potrafię odczytać.

- Ani ja - powiedział Rohan po chwili. - Jesteś pewna, że to łacina, Zuzanno? Jesteś tylko kobietą. Czy to nie może być niemiecki lub greka?

- Nie, kochanie, ta uwaga nie przynosi ci chluby. Zgadza się, że jeszcze zbyt wcześnie, aby ocenić inteligencję Zuzanny, ale z pewnością nie jest kompletną ignorantką.

- Dziękuję, Charlotto. Niech pomyślę. Tak, to na pewno łacina.

Ktoś zapukał do drzwi. Rohan uniósł brwi.

- O, a to kto znowu? - powiedziała Zuzanna, w geście zniecierpliwienia unosząc ręce i ruszając ku drzwiom.

- Do licha, jesteś jeszcze za słaba. Zuzanno, zaczekaj. - Zatrzymała się. Objął ją w pól i podtrzymał. - Proszę wejść.

Na progu stał Toby w nocnej koszuli. - Nie mogłem wytrzymać - powiedział rozdrażniony. - Powiedzcie mi, co tu się dzieje? Dowiedzieliście się czegoś?

Rohan zaniósł Zuzannę do łóżka. - Zostaniesz tu i nie chcę słyszeć żadnego narzekania. - Otulił ją, a potem zwrócił się do Toby'ego. - W medalionie, który George dał twojej siostrze, znaleźliśmy połówkę mapy, a na niej napis: „Przeszukajcie pomieszczenie poniżej linii przyływu”. I dwie litery, które stanowią zapewne początek nazwy miasta. Twoja siostra sądzi, że na małym kluczku, który znaleźliśmy wraz z mapą, znajdują się jakieś łacińskie słowa. Nie przypuszczam, żebyś potrafił je odczytać?

- Właśnie - powiedziała Charlotta, podchodząc bliżej. - Potrafiłbyś?

Toby spojrzał na Charlotte, na jej śliczny nocny strój i zająknął się. - Ja...ja... spróbuję. Przez chwilę przyglądał się kluczukowi, a potem zanurzył pióro w atramencie i napisał coś na kawałku papieru. - To rzeczywiście łacina - powiedział, spoglądając na Rohana. - Chyba łacińskie imię. Leo i dwie rzymskie litery I i X.

- Leo - powtórzył Rohan. - Tak, masz rację. Leon IX, papież. To robi się coraz bardziej interesujące. Chodź ze mną do biblioteki, Toby. Musimy czegoś poszukać. Nie, mam, zostań z Zuzanną, bo inaczej ona pójdzie za nami, spadnie ze schodów i skręci sobie kark.

Charlotta nie wyglądała na nazbyt uszczęśliwioną. Spostrzegła jednak, że Zuzanna już spuszcza nogi z łóżka, powiedziała więc szybko: - Doskonale, zostaną tutaj. Ale musicie obiecać, że się pośpieszycie.

- Dobrze, obiecujemy.

I rzeczywiście, po dwudziestu minutach byli już z powrotem w sypialni Zuzanny. Rohan uśmiechał się i zacierał dłonie, a Toby wyglądał na mocno zmieszanego. - I co? - zapytała Zuzanna,

próbując usiąść, lecz Rohan lekko pchnął ją z powrotem na poduszki. - Czego się dowiedzieliście?

- Leon IX był papieżem w jedenastym wieku, a dokładniej od 1049 do 1054 roku.

Kobiety wpatrywały się w niego w milczeniu.

- Jak to możliwe, że klucz należący do papieża z jedenastego wieku znalazł się w naszym posiadaniu? A jednak - mówił dalej Rohan - udało nam się odkryć coś jeszcze. Mapa odnosi się do jakiegoś miejsca w Szkocji. A co mógł mieć wspólnego Leon IX ze Szkocją? To były niebezpieczne czasy, pełne przemocy. Żaden papież nie odwiedził Szkocji, lecz może jakiś Szkot wybrał się do Rzymu, aby odwiedzić papieża? Sprawdziliśmy z Tobym, jacy królowie panowali w Szkocji za pontyfikatu Leona IX i okazało się, że tylko jeden. Makbet. Został zamordowany w 1057 roku przez Malkolma, który obwołał się królem. Zdarzyło się to, gdy papież już nie żył.

- Obwołał się królem? - powtórzyła Charlotta. - Lecz u Szekspira to Makbet jest uzurpatorem.

- To z powodu polityki - powiedział Rohan, zerkając w dół na trzymany w dłoni kluczyk. - Gdy Szekspir pisał swą sztukę, Jakub VI Szkocki właśnie objął tron po królowej Elżbiecie I, i stał się tym samym Jakubem I Angielskim. Nie, prawdziwy Makbet był legalnym władcą. Był niezwykle popularny, a podczas jego rządów Szkocja zaznała tyle pokoju, że mógł... - urwał i z szerokim uśmiechem spojrzał na obie kobiety. A potem zaczął pogwizdywać.

- Jeżeli nam zaraz nie powiesz, zrobię z ciebie miazgę - zagroziła Zuzanna. - No już, wyrzuć to z siebie. Czego się dowiedziałeś?

- Makbet czuł się tak pewnie na tronie, że mógł pozwolić sobie na pielgrzymkę do Rzymu i wizytę u papieża.

- Leona IX?

- Tak, Zuzanno, to bardzo możliwe. Podobnie jak to, iż papież dał mu coś i Makbet przywiózł z sobą to coś do Szkocji. Jutro Toby spróbuje się tego dowiedzieć. Oczywiście, możemy się mylić i cała ta sprawa może nie mieć nic wspólnego z Makbetem, ale to dobry początek poszukiwań.

- Zastanawiam się, gdzie jest druga połowa mapy - podjęła wątek Zuzanna. - I co takiego papież mógł dać Makbetowi?

- Nie wiem - ciągnął Rohan. - Lecz jedno wydaje się bardzo prawdopodobne. Uważam, że miejscem, w którym najłatwiej będzie nam znaleźć odpowiedź, jest Oksford. To stamtąd pochodzi połówka mapy i stamtąd przyjechał nasz więzień. Tak, udam się tam jutro.

- O tak, proszę pana - wyrzucił z siebie Toby, unosząc się na palcach z podniecenia. - To właśnie musimy zrobić. Tam mieszkał George. On musiał coś wiedzieć. A poza tym moglibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o tych jego kolegach. Mógłbym pojechać z panem?

Rohan spojrzał na Toby'ego i dostrzegł podniecenie w ciemnoniebieskich oczach chłopca. Przypomniał sobie swoje odczucia, gdy był w podobnym wieku. Powiedział więc: - Pomyślę o tym. Najpierw musimy poczekać, żeby się przekonać, czy ten łajdak się obudzi. Nie tracę nadziei, że w końcu powie nam coś pożytecznego.

- Co takiego papież mógł dać Makbetowi? - nie dawała za wygraną Zuzanna. - To musiało być coś zupełnie wyjątkowego, swego rodzaju skarb. Ale dlaczego?

- Makbet był dobrym człowiekiem - powiedział Rohan. - I z pewnością godnym zaufania. A może papież musiał dać mu to coś. Może nie miał wyjścia. - Uniósł dłonie. - To wszystko przypuszczenia, lecz na początek będą musiały wystarczyć.

- Jest jeszcze jedna sprawa, mój drogi. Zapomniałeś o kolacji i balu w piątek wieczorem? Wszyscy zostali już zaproszeni i, oczywiście, wszyscy przyjęli zaproszenie.

- Spójrz na Zuzannę, mammo. Nie sądzę, aby do piątku jej twarz nadawała się do pokazywania.

- On ma rację, Charlotta - powiedziała Zuzanna. - Moja twarz wygląda tragicznie.

- Dwa dni. Hmm. - Charlotta lekko przesunęła palcami po zasinionych miejscach na twarzy Zuzanny. - Do piątku powinny już być na tyle mało widoczne, że odrobina właściwego makijażu da sobie z nimi radę. Sabina jest w tym naprawdę dobra. Powiem jej, żeby się tobą zajęła.

- Ona nie powinna używać kosmetyków. Charlotta wyprostowała się, spojrzała na syna i uniosła nieco swe doskonale brwi. - Dobry Boże, dlaczego?

Nie miał lepszej odpowiedzi: - Nie potrzebuje ich. Będzie wyglądała głupio. Albo jak tancerka.

- On wie, o czym mówi - powiedziała Charlotta z widoczną satysfakcją. - Mam na myśli tancerki z opery.

- Nie możesz odwołać przyjęcia - powiedziała Zuzanna. - Jeżeli będę wyglądała bardzo źle, po prostu nie przyjdę.

- Doskonale - powiedział Rohan, widząc, że nie uda mu się postawić na swoim. - Używaj sobie tych kosmetyków, których, jak uważa matka, potrzebujesz.

Charlotta skinęła głową, a potem powiedziała spokojnie: - I nie życzę sobie żadnych protestów z twojej strony, Zuzanno. Włóżysz którąś z moich sukien. Wątpię, czy Rohan pozwoliłby ci wstać jutro na tak długo, byś zdążyła odbyć przymiarki do nowej.

Rohan poczuł gwałtowny przypływ pożądania. Była chora, leżała w łóżku, lecz najwidoczniej nie miało to żadnego znaczenia. - Idę się położyć. Toby? Idziesz ze mną?

Do piątku Zuzanna czuła się już doskonale. Sińce na twarzy niemal zupełnie zbiały. Rohan zdawał sobie sprawę, że matka zasypie biedną Zuzannę pudrem od stóp do głowy, ale nic nie powiedział.

A napastnik w końcu się ocknął, lecz nie zamierzał powiedzieć ani słowa. Po prostu odwracał głowę do ściany, kiedy ktoś wchodził do pokoju.

- Szkoda, że nie mam żadnych narzędzi do ściskania kciuków - powiedział Rohan dostatecznie głośno, żeby mężczyzna go usłyszał. - Chyba pojedę do wioski i zapytam kowala.

Żadnej reakcji.

Marianna nie odstępowała matki na krok, reagując gwałtownym płaczem, kiedy ta próbowała oddalić się choć na chwilę. Rohan zaczął się już nawet zastanawiać, czy dziecko nie trzyma Zuzanny za rękę nawet, gdy robi siusiu.

Toby wraz z pastorem Byamem przeglądali księgi w poszukiwaniu jakichkolwiek wzmianek o Makbecie, królu Szkocji i jego panowaniu.

Rohan i Toby mieli wyjechać do Oksfordu w sobotę rano.

- Wiesz, że nie będziesz mogła z nami pojechać - powiedział baron do Zuzanny. - Marianna nie odstąpi cię na krok, a ja nie życzę sobie powtórki naszej pierwszej podróży. To był koszmar. A poza tym ta wyprawa może okazać się niebezpieczna.

- Więc nie bierz ze sobą Toby'ego.

- Zastanowię się nad tym - obiecał.

Był ciepły, księżycowy wieczór. Jeśli chodzi o gości, spodziewali się około trzydziestu osób, niemal wyłącznie sąsiadów.

Rohan krążył niespokojnie u podnóża schodów, czekając na Zuzannę i zerkając na swoją matkę, wyglądającą olśniewająco w jasnobrzozkwiniowej sukni, opływającej wdzięcznie jej ciało. Jeden z lokajów tak się w nią wpatrywał, że z wrażenia upuścił paterę, która od wielu lat zdobiła środek

dużego stołu.

Gdzie jest Zuzanna? A potem usłyszał, że ktoś chrząka, i to głośno. To chrząkał Toby, stojący u szczytu schodów. - Rohan? Milady? Jesteście gotowi?

Gdzieś z tyłu rozległo się coś w rodzaju jęku i słaby głos powiedział: - Och, Toby, jak mogłeś?

- Fanfary - powiedział Rohan głośno. - Zaczynamy. - Roześmiał się. A potem ona pojawiła się obok Toby'ego. Barona замуrowało. Z wrażenia nie mógł się poruszyć, tylko wpatrywał się w nią. - Zuzanna? - zapytał z niedowierzaniem, a jego głos wyrażał tłumione emocje. Nie mógł oderwać od niej oczu, śledził każdy ruch dziewczyny, kiedy schodziła po schodach wciąż bliżej i bliżej.

Stąpała tak ostrożnie i wolno, że mimo woli zaczął się zastanawiać, czy nowe pantofelki nie uciskają jej stóp. Przysięgała mu przecież, że już się dobrze czuje i nie ma zawrotów głowy.

- Jestem zadowolona - powiedziała Charlotta. - Muszę pochwalić Sabinę, choć ona i tak wie, że jest genialna.

- O mój Boże! - wyrwało się Rohanowi, choć wcale nie zamierzał powiedzieć niczego podobnego. Widział z pewnością mnóstwo kobiet piękniejszych niż Zuzanna, lecz w okamgnieniu ich twarze znikły z jego pamięci, jakby ich tam nigdy nie było.

Zatrzymała się i po raz pierwszy spojrzała mu w oczy. Przesunęła językiem po dolnej wardze. - Dobrze wyglądam? To suknia twojej matki, lecz podobno kolor jest dla mnie odpowiedni. Nigdy nie nosiłam niczego w tym odcieniu błękitu. Nie jest za jasny? A może zbyt ciemny? To wspaniała suknia. Nigdy nie miałam niczego tak ślicznego. Sabina uczesała mnie. Podobają ci się wszystkie te warkoczyki, loczki i tak dalej?

Jakoś udało mu się opanować. - Podoba mi się ten odcień błękitu i kolor wstążki we włosach. Wyglądasz dobrze. Tak, wszystko w porządku. Jesteś gotowa? Chyba słyszę pierwszych gości. Mamo, chodź tutaj, uśmiechnij się do wszystkich słodko, a przede wszystkim przekonaj biedną Zuzannę, że nie wypłoszy nam gości.

- Tak, kochanie. Nie przynosisz mi wstydu, Zuzanno.

- Dziękuję, Charlotto.

- A gdzie Marianna? Nie protestowała, gdy wychodziłaś?

Zuzanna uśmiechnęła się, choć była tak zdenerwowana, że miała ochotę zemdleć. - Obiecałam jej ciasto z jabłkami, jeżeli nie będzie czepiała się mojej spódnicy.

Toby, podobnie jak Rohan, cały w czerni, roześmiał się i potrząsnął głową. - Marianna to świnka. Zapytałam ją, co woli: Zuzannę czy ciasto, a ona krzyknęła ile sił w płucach: ciasto.

- To brzmi interesująco - powiedziała Charlotta.

Pierwsi pojawili się lord i lady Dauntry. Rohan lubił lorda Dauntry, który znał się na gospodarstwie i dobrze traktował swoich poddanych. Miał liczne, bardzo udane potomstwo. Jego żona to już zupełnie inna sprawa. Lady Dauntry rządziła swoim mężem, czterema córkami, dwoma synami, a nawet pretensjonalną panią Gibbs, miejscową matroną, wywodzącą swój rodowód od Wilhelma Zdobywcy. Rohan wierzył, że lady Dauntry z pewnością odfiletowałyby rybę językiem, nie przerywając konwersacji.

Aż do wieczora nie zdawał sobie sprawy, co naprawdę zaprzęta umysł tej damy. Kolacja upłynęła w miłej atmosferze, po czym zaczęły się tańce.

Rohan zatańczył kotylicion z Zuzanną, a potem taniec szkocki z matką. Wszyscy z ciekawością przyglądali się Zuzannie i wymieniali uwagi o niej. Mimochodem podchwycił kilka rozmów o tym, jak to przyjechał do Mountvale z nagą Zuzanną, siedzącą mu na kolanach. Nie zaskoczyło go to

specjalnie. Ogólnie rzecz biorąc, był raczej dumny ze swoich sąsiadów. Byli wobec Zuzanny uprzejmi - oczywiście, kiedy akurat o niej nie rozmawiali.

Przyglądał się, jak tańczy z Amosem Mortimerem, nieco zasuszonym starszym dżentelmenem, który zajmował się hodowlą świń - nie na sprzedaż, lecz trzymał je jako zwierzęta domowe. Zuzanna tańczyła pięknie. Co do pana Mortimera, to choć jego chude nogi wyglądały, jakby ani chwili dłużej nie były w stanie utrzymać ciężaru ciała, stary dżentelmen jakoś tańczył. I robił to dobrze.

Zbliżała się północ, kiedy Toby przypadł do niego w chwili, gdy kończył kolejny taniec szkocki. - Szybko, Rohanie! Proszę cię, pośpiesz się! Dopadły Zuzannę i chyba mają zamiar rozprawić się z nią. Wygląda tak, jakby zaraz miała na nie splunąć. Albo się przewrócić. Puder opadł jej z twarzy i widać siniaki. Pośpiesz się, musisz to przerwać. Tylko ty możesz je powstrzymać.

- Kto? Co przerwać? O czym mówisz, Toby? - Lecz Toby już wypadł z sali balowej i gnał na górę, a Rohan deptał mu po piętach. Czyżby porywacz uciekł? I porwał Zuzannę?

Toby zatrzymał się gwałtownie przy otwartych drzwiach pokoju wypoczynkowego dla dam. Kiwnął ręką, przyzywając Rohana, a potem przytknął palec do ust.

ROZDZIAŁ 13

- Naprawdę, już czuję się dobrze, proszę pani - mówiła Zuzanna do pani Hackles na pozór swobodnie, lecz Rohan widział, że tak naprawdę ma ochotę krzyczeć. - To bardzo miło z pani strony, że tak interesuje się moim zdrowiem. Przyznaję, że przez jakiś czas czułam się nieco wstrząśnięta.

Lady Dauntry wysłała swoją armię, aby zmiękczyła wroga. Teraz sama przygotowywała się do ataku. Spojrzała słodko na Zuzannę i powiedziała: - Widzę, że drogiej Charlotte udało się zamaskować sińce na twojej twarzy.

- Tak.

Trzy damy okrążyły ją, odcinając dostęp do drzwi. To było dziwne. Czego chciały? Lady Dauntry mówiła dalej: - A co do reszty, to chyba zbyt swobodnie poczyniałaś sobie z tym młodym Peterem Briarem, biedakiem. On z pewnością nie dałby się nabrać na takie sztuczki, ot co.

O czym ona mówi? Zuzanna odpowiedziała tylko: - Tak, rzeczywiście, gdy taniec się skończył, z trudem łapałam oddech. A dlaczego Peter Briar miałby być taki biedny?

- Jak już powiedziałam, poczyniałaś sobie zbyt swobodnie.

Zuzanna umiała rozpoznać cios, kiedy dosięgał jej głowy. Miała ochotę wyjść, lecz obie damy skutecznie blokowały przejście.

Pani Hackles, sekundująca lady Dauntry we wszystkim, postanowiła dobitniej wyrazić to, co tamta zaledwie sugerowała, na wypadek gdyby sens tej impertynencji umknął uwagi Zuzanny: - Ale to nie był pierwszy raz, kiedy poczyniałaś sobie zbyt swobodnie, prawda? Wszyscy widzieliśmy cię nagą w ramionach barona. Trzymał rękę na twoim nagim udzie. Pani Goodgame była wstrząśnięta, podobnie lady Dauntry i ja. Tak, baron cię przywiózł w ramionach. Ubrał cię w swoją koszulę i surdut. Z pewnością widział cię nagą.

- Przecież zostałam porwana - powiedziała Zuzanna, unosząc dłonie w geście protestu, jakby chciała odgrodzić się nimi od atakujących ją kobiet, lecz szybko je opuściła. To było beznadziejne. - Naprawdę zostałam porwana. Mężczyzna, który mnie porwał, jest tutaj. Zapytajcie lokajów. Albo Charlotte. Zapytajcie barona.

- Nie o to chodzi, moja droga - powiedziała pani Goodgame, której kolej, aby zaatakować Zuzannę, najwidoczniej właśnie nadeszła. - Chodzi o to, że baron przywiózł cię tutaj i osobiście położył do łóżka. Skąd o tym wiemy? My wiemy wszystko. I pewnie sam zdjął z ciebie koszulę i surdut. To do niego podobne. Dokładnie ci się przyjrzał, biedna pani Carrington. Dokładnie.

- Tak - powiedziała lady Dauntry, odrzucając wszelkie pozory grzeczności. - Wszyscy wiemy, że świeżo owdowiała kobieta nie powinna zachowywać się w ten sposób.

- Ale ja jestem wdową już prawie od roku.

- Rok to prawie nic dla kobiety o twojej pozycji. I rzeczywiście, w obecności przystojnego szwagra pozbyłaś się wszelkich pozorów moralności. Uwiodłaś biednego barona? To i tak nie ma znaczenia, wiesz o tym.

- Nie - powiedziała pani Hackles, pierwszy głos w chórze lady Dauntry - nie uda ci się zrobić

go w małżeństwo, tak jak prawdopodobnie udało ci się to z biednym George'em, który pewnie nigdy przedtem nie widział młodej dziewczyny. Co za szkoda, zważywszy na jego rodziców. Nie, brat nie może poślubić żony brata. Takie jest prawo. Pewnie o tym nie wiedziałaś. Lepiej będzie, jak zabierzesz to swoje dziecko i zostawisz biednego barona i jego nadzwyczajną matkę w spokoju. Wprosiłaś się do nich, a to takie pospolite zachowanie.

Zuzanna tylko wpatrywała się w nie bez słowa. W głowie, która nie bolała jej już od dwóch dni, znów coś pulsowało. Oczy bolały ją od samego patrzenia na trzy kobiety, które zagarniały ją w coraz ciaśniejszy krąg, przyglądając się z rozkoszą, z jaką trzech katów przyglądałoby się pokojowi pełnemu skazańców. Chętnie wyszłaby z pokoju, ale wiedziała, że chcąc tego dokonać, musiałyby zwalić z nóg co najmniej jedną z dam.

Spróbowała posłużyć się rozsądkiem. Przesunęła po nich wzrokiem, rozłożyła dłonie w geście bezradności i zapytała: - Ale co ja takiego zrobiłam?

- Rozebrałaś się i próbowałaś uwieść barona, udając, że ten mężczyzna cię zranił - powiedziała lady Dauntry. W jej głosie nie słychać było wahania. - Rozmawialiśmy o tym. Nie jesteś tu mile widziana. Prawdę mówiąc, zastanawiamy się, czy w ogóle byłaś żoną biednego George'a. Drogi baron z pewnością dowie się wszystkiego i wyrzuci cię stąd razem z chłopakiem i małym bękartem.

Zuzanna była gotowa rzucić się na wszystkie trzy damy naraz. Miała nadzieję, że złamie którejsz rękę, nogę, a może nawet rozwali głowę. Jak śmia tak nazywać Marianne! Już miała ruszyć do ataku, gdy usłyszała spokojny męski głos.

- Drogie panie, mam nadzieję, że nie przeszkadzam. - To Rohan śpieszył jej z odsieczą, z właściwym sobie wdziękiem przyciągając uwagę napastniczek. Nie zawahawszy się ani chwili, wszedł do pokoju wypoczynkowego, o którego istnieniu, jako dżentelmen, nie powinien mieć nawet pojęcia. Zuzanna cofnęła się gwałtownie i spojrzała na niego. Jak długo stał za drzwiami? Co zdążył usłyszeć? O Boże, i co ma zamiar zrobić?

Rohan zaś mówił dalej swobodnie: - Jak to miło mieć takich troskliwych sąsiadów, prawda, Zuzanno? Wyglądasz nieco mizernie. Próbowałem zatrzymać cię w łóżku, ale uparłaś się, by wstać. I zobacz, co z tego wynikło. Poproszę matkę, by zaraz do ciebie przyszła.

- Drogie panie, bardzo się cieszę, że tu jesteście, bo gdyby Zuzanna zemdląła, będzie miał kto się nią zająć. Dziękuję wam bardzo za waszą troskę i wspaniałomyślność.

- Milordzie - nalegała pani Dauntry - z pewnością pani Carrington nie czuje się jeszcze zbyt dobrze, by tańczyć z taką werwą. Powiedziałyśmy jej o tym.

- Tak, chyba słyszałem... Drogie panie, słuchałem waszych słów i nie mogę przestać się dziwić. Zważywszy, że jej twarz wygląda niczym pole bitwy, naprawdę sądzicie, że ona to zaplanowała? A może to te barwidła sprawiły, że tak okropnie wygląda? Zapytuję sam siebie, czy to miał być podstęp?

- Domyślamy się, że pan żartuje - powiedziała pani Hackles głosem, który mógłby ogłuszyć konia z odległości dwudziestu metrów. - Co prawda w pańskim głosie jest zbyt wiele sarkazmu, by mógł to być dobry żart, ale przyjmujemy go. Tak czy inaczej, trzy dni temu ona była zupełnie naga.

- A pan ją trzymał - powiedziała lady Dauntry.

- Mój zacny mąż zauważył, że trzymał pan dłoń na jej nodze, wysoko na jej nodze. Nagiej nodze. Oczywiście, był wstrząśnięty.

- I trochę zazdrosny?

- Mój panie! Celowo zbacza pan z tematu - orzekła lady Dauntry.

Wszystkie trzy damy najwidoczniej gotowe były omawiać ten temat w nieskończoność. I nagle Rohan zdał sobie sprawę, że to się nigdy nie skończy. Zuzanna zostanie odrzucona przez towarzystwo. Stanie się pariasem. Był niepoprawnym marzycielem, kiedy przypuszczał, że wszystko dobrze się ułoży i jego sąsiedzi sprostają sytuacji. Chyba rzeczywiście powinien był dać jej te dwadzieścia tysięcy i odesłać ją. Tak, tak właśnie należało postąpić. To była jedyna właściwa rzecz, jaką mógł zrobić. Zasluzowała na to, nieważne, co zrobił George. Poza tym, gdyby ją odesłał, nie musiałby jej widywać i wszystkie problemy rozwiązałyby się w jednej chwili. Tak, tak właśnie powinien był postąpić.

Zamiast tego powiedział: - Prawdę mówiąc, drogie panie, usłyszałem, że podajecie w wątpliwość, czy Zuzanna kiedykolwiek była żoną George'a, i zastanawiałyście się, czyjej dziecko nie jest przypadkiem bękartem. Pozwólcie, że będę z wami szczery, ponieważ znacie mnie od dzieciństwa i zawsze miałyście na względzie tylko moje dobro.

Wziął głęboki oddech i wyrzucił to z siebie, nie patrząc na Zuzannę. - Otóż miałyście absolutną rację. Pani Carrington nigdy nie była żoną George'a.

Zuzanna od dobrej chwili przyglądała się Rohanowi, podziwiając sposób, w jaki radził sobie z trzema harpiami, spokojnie, stanowczo i z humorem. Lecz kiedy to powiedział, zaczęła wpatrywać się w niego z niedowierzaniem. W głowie pulsowało jej boleśnie, ogarnęły ją mdłości. Poprawiła się na krześle. Zamknęła oczy. Jeżeli nie będzie ich otwierała dostatecznie długo, być może wszystko samo zniknie.

- Wszystko w porządku, ukochana - powiedział Rohan, uśmiechając się do niej uspokajająco. Ukochana? To słowo sprawiło, że natychmiast otworzyła oczy. Co on kombinuje? O Boże, czuła, że cokolwiek to było, z pewnością jej się nie spodoba.

- Tak. Widzicie, moje drogie, to nie George był jej mężem przez wszystkie te lata, lecz ja. Zuzanna jest moją żoną od ponad czterech lat. Właśnie tak. A Marianna jest naszym ślubnym dzieckiem.

Trzy damy wyglądały tak, jakby właśnie spróbowały nieświeżego śledzia.

- To absurdalne!

- Bez sensu!

- Dalej żartujesz sobie z nas, mój chłopcze!

Rohan rozłożył ręce. Naprawdę wyglądał na zakłopotanego, nawet się nieco zaczerwienił. - No cóż, będę zupełnie szczery. Zaslugujecie panie na to.

Widzicie, próbowałem jakoś przygotować moją drogą matkę. Jak wiecie, nie życzyła sobie, bym ożenił się zbyt wcześnie, a tymczasem byłem jeszcze zupełnie zielony, kiedy poznałem i poślubiłem Zuzannę. Ale zakochałem się w niej. Wiedziałem, że nie mogę uczynić jej swoją kochanką. Ona jest damą. Nie chciałem też łamać serca rodzicom. Tak bardzo chcieli widzieć we mnie libertyna, który mógłby być podziwiany w towarzystwie... Zdawali sobie sprawę, że do osiągnięcia takiej pozycji potrzebne są lata praktyki i doskonalenia wrodzonych talentów. Nie chciałem także, aby mój ojciec uznał, iż nie potrafię zapanować nad swymi, hmm... męskimi żądzami. Jak wiecie, mój ojciec wierzył głęboko, iż mężczyzna powinien panować nad sobą i zawsze troszczyć się to, by przede wszystkim zadowolić damę.

- Wszystko, co powiedziałaś o swoich drogich rodzicach, z pewnością jest prawdą, baronie - odezwała się pani Goodgame. - I ty naprawdę ożeniłeś się z tą dzierlatką? Gdy miałaś zaledwie dwadzieścia jeden lat? To nie ma sensu.

- I nawet nie wspomniałeś o tym rodzicom? - powątpiewała pani Hackles, unosząc swoje imponująco gęste brwi. - Na pewno jakoś by się z tym pogodzili, skoro już ją poślubiłeś. I mówisz, że ona jest damą? Spójrz tylko na nią, na tę zbyt luźną suknię, te kosmetyki na twarzy.

- To suknia mojej matki i to ona umalowała Zuzannę, by ukryć siniaki.

- No cóż, na drogiej Charlottcie ta suknia z pewnością prezentowałaby się zupełnie inaczej. Wyglądałaby w niej jak anioł, a nie żalosne dziewczątko.

Zuzanna z niedowierzaniem wpatrywała się w lady Dauntry. Miała ochotę wrzasnąć, że jest damą, i że co prawda jej biedny ojciec hazardzista jest na wpół Irlandczykiem, ale jej matka była córką szlachcica, nim popełniła mezalians. Wiedziała, że jeśli otworzy usta, to zacznie krzyczeć, a potem się rozchoruje. Ale co robić? I co ten Rohan wyprawia, przyznając się do małżeństwa z nią? Chyba źle usłyszała. A może dla niego był to po prostu kolejny żart?

Podszedł bliżej do trzech dam, które wpatrywały się w niego, jakby właśnie uciekł z domu wariatów.

- Wy wszystkie macie na sercu moje dobro, wiem o tym. Chcecie mnie chronić. Ale tu nie chodzi o ochronę, lecz o to, by przekonać moją matkę, że kocham żonę i córkę, i że już pora, by - że tak powiem - ukazały się szerszemu ogółowi. To ja wymyśliłem kłamstwo, że Zuzanna była żoną George'a. Spójrzcie tylko na jej żalospną twarzyczkę. Nawet bez tych siniaków i makijażu wygląda żalospnie. Pytam was, czy ktoś taki może z sukcesem przeprowadzić jakikolwiek sprytny plan? Nie, to wręcz niemożliwe. Ale jest słodka i jest matką mojego dziecka. Jestem za nią odpowiedzialny. Nie mogę jej wyrzucić. I co, drogie panie, czy jeśli matka nie będzie chciała zaakceptować Zuzanny, będę mógł liczyć na wasze wstawiennictwo?

Lady Dauntry była w rozterce. Już wyostrzyła sobie język, a teraz zabierano jej filet.

Pani Hackles z ochotą zgodziła się, że dziewczyna wygląda żalospnie. Cóż innego mogła powiedzieć?

Pani Goodgame westchnęła, mimo woli wzruszona. Cóż za romantyczna historia! Rohan Carrington rozczarował je wszystkie, lecz przecież poślubił tę dziewczynę, a ona urodziła mu dziecko. Co robić? Westchnęła znowu. Uświadomiła sobie, że jej droga przyjaciółka, ich przywódczyni, lady Dauntry, wygląda tak, jakby ktoś dobrze przyłożył jej w głowę. A zatem to ona będzie musiała stawić czoło tej sprawie.

- Almerio, Elso, posłuchajcie powiedziała w końcu. - Nie możemy zawieść naszego kochanego chłopca. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, musimy pomóc drogiej Charlottcie, wytłumaczyć jej, że powinna zaakceptować tę dziewczynę. Ale, mój drogi, jedno pytanie. Po co ta cała historia z George'em?

- Żebym mógł przywieźć Zuzannę do domu. I przygotować matkę. Marianna jest jej wnuczką. Nie zniósłbym, gdyby moja droga mama zapała się swojej krwi.

Wydawał się naprawdę przygnębiony.

- Doskonale - oświadczyła ponuro lady Dauntry. - Nie chcemy, byś cierpiał z powodu tego, co się tu wydarzyło. Jeżeli droga Charlotta nie zdoła zaakceptować tego stanu rzeczy, my z nią porozmawiamy. Zrobimy to dla ciebie, drogi chłopcze. Wyłącznie dla ciebie.

Rohan obdarzył je chłopięcym uśmiechem, wyrażającym taką ulgę i wdzięczność, że z pewnością mógłby rywalizować w sztuce aktorstwa z Edmundem Keanem.

Zuzanna postanowiła poczekać, aż damy opuszczą pokój. Dopiero wtedy go zamorduje.

Lady Dauntry, przyjrząwszy się Zuzannie, spostrzegła, że dziewczyna jest bardzo blada, pomimo

barwideli, które sprawiały, że wyglądała tak żałośnie. - Drogi baron miał rację, biedaczek. - Wygląda pani na chorą, milady. I niech się pani tak nie wpatruje w nas jak osoba niespełna rozumu. Teraz, kiedy jest pani żoną barona, musi pani się zachowywać stosownie do swojej pozycji.

Milady? O Boże.

- Tak - mówiła dalej lady Dauntry, odzyskując opanowanie - należy przyjąć, że mężowi wolno ubrać żonę we własny surdut i koszulę. I wieźć ją konno, trzymając dłoń na jej nagim udzie, a potem zanieść ją do sypialni. Tak, przyjmujemy to i postaramy się, by nasi mężowie nie patrzyli na ciebie jak na ladaco. Uwierzmy nawet w to, że naprawdę zostałaś porwana i że nasz drogi chłopiec cię uratował. - Przerwała, spoglądając znacząco na panią Hackles.

- Tak - zgodziła się pani Hackles, ochoczo ruszając, kiedy już jej mentorka wyznaczyła kierunek. - Przejdziemy do porządku nad tą dziwną historią, którą opowiedział nam nasz drogi chłopiec. No cóż, gdyby mój syn zrobił coś takiego, z pewnością chciałabym poznać swoją wnuczkę, lecz nie wiem, jak zachowa się Charlotta.

- Matka już zaakceptowała Marianne, Bogu dzięki - powiedział swobodnie Rohan. - Chodzi, tylko o to, że ona dalej sądzi, iż mała jest córką George'a, nie moją.

- To już coś - wtrąciła pani Goodgame. - Po prostu droga Charlotta nie spodziewa się niczego podobnego. Z pewnością zawsze sądziła, iż poślubisz dziewczynę, którą ci sama wybierze, podobną do niej lub jakąś niedołągę, która nie odezwie się nawet słowem, kiedy mąż opuści ją, by powrócić do swoich kochanek. Zdaniem Charlotty inna żona nie wchodzi w rachubę.

Lady Dauntry wbiła w Zuzannę przenikliwe spojrzenie. - Czy jesteś podobna do drogiej Charlotty?

- W jakim sensie? - Zuzanna czuła się tak, jakby odgrywała małą rolę w jakimś przedstawieniu, o którym nic nie wiedziała. Nie знаła nawet zakończenia. Być może wszyscy aktorzy lada chwila przestaną grać i wybuchną głośnym śmiechem.

- Chyba dopiero niedawno poznałaś swoją teściową - zagadnęła pani Goodgame. - Charlotta jest jedyna w swoim rodzaju. Jest tak piękna, że może robić wszystko, na co ma ochotę i z kim ma ochotę. To zupełnie paradoksalne. Jej drogi mąż, baron, uwielbiał ją. Na szczęście przejawiał podobne upodobania. Wszystko układało się doskonale, dopóki nasz drogi chłopiec nie potknął się i nie przewrócił. Masz dopiero dwadzieścia pięć lat, Rohanie, i jesteś już ojcem. I to nie niemowlęcia, lecz sporego dziecka. Masz żonę. To niepojęte. Nie wiem wręcz, co powiedzieć.

Chyba nigdy nie zdarzyło się, by pani Goodgame nie wiedziała, co powiedzieć.

- Być może jesteś niedołągą - odezwała się pani Hackles, pochylając się nad Zuzanną i lekko dotykając wachlarzem jej dłoni. - To nawet lepiej. Nie ma mowy, byś kiedykolwiek stała się taka jak Charlotta, choćbyś się nie wiem jak starała. Nie jesteś na to dość ładna. Nie powiedziałaś ani słowa w swojej obronie. Z pewnością nie jesteś zbyt błyskotliwa. Raczej nudna. A poza tym nie masz w sobie jej słodyczy, jej boskiego wyrafinowania. Tak, z pewnością jesteś fajtłapą i nigdy nie będziesz nikim więcej, o ile to wszystko ma jakoś funkcjonować.

Zuzanna zerwała się, czując, jak ból głowy gwałtownie narasta, a żołądek wywraca się jej do góry nogami. Szybko podbiegła do zasłony w kącie pokoju i zwymiotowała do stojącej tam umywalni.

- Tak - usłyszała jeszcze pełen nie skrywanej satysfakcji głos lady Dauntry - ona jest fajtłapą, więc jesteś uratowany, mój chłopcze. Z pewnością osoba taka jak Charlotta lub jakakolwiek kobieta, która miałaby w sobie choć trochę hartu ducha, nie zechciałaby zamieszkać gdzieś z boku i

zadowalać się byle czym. Gdyby nie była taką ofiarą, już dawno stanęłaby na progu twego domu z dzieckiem w ramionach i zażądała należnego jej miejsca. Lecz ona nie zrobiła niczego takiego. Została tam, gdzie ją umieściłeś. Dobrze ci będzie z taką fajtlapą Będziesz mógł dalej żyć w zgodzie ze swoją naturą mimo posiadania żony. Patrz, co osiągnąłeś w ciągu tych kilku ostatnich lat. Dorosłeś do wyobrażeń swoich rodziców. Jeszcze nie straconego.

Odgłosy kolejnego ataku mdłości dobiegły zza zasłony. Modlił się, aby Zuzanna wymiotowała jeszcze przez chwilę. To zajęłoby jej usta. I żeby Toby pozostał w korytarzu i także trzymał buzię na kłódkę!

Uściskał dłonie lady Dauntry. - Oddanie i szczerą troską pań bardzo mnie poruszyły. - Uśmiechnął się do każdej z nich. Mężczyzna o jego reputacji potrafi znaleźć uśmiech dla najgorszej jędzy. - Może mogłybyście zobaczyć się z matką jutro. Z pewnością uda wam się przekonać ją, że Zuzanna jest dla mnie odpowiednią żoną, żoną niedołągą. Upewnijcie się, że naprawdę ma zamiar zaakceptować to małżeństwo. Dziękuję paniom.

I jeszcze pochyła głowę w ukłonie, stwierdziła Zuzanna, zerknąwszy za siebie. Nie do wiary. Damy wyszły, rozmawiając z ożywieniem o tym, jakich argumentów użyją nazajutrz wobec drogiej Charlotty.

Zuzanna wyprostowała się i orzekła: - Nie jestem żalosna. Potrafię przeprowadzić każdy plan. A teraz cię zabiję.

Toby wpadł do pokoju i chwycił rękę Zuzanny. Jego oczy podejrzenie błyszcząły: - Nie zabijaj go, dopóki mi nie powie, dlaczego powiedział tym damom, że jest twoim mężem.

Oboje wpatrywali się w niego nieustępliwie. Rohan dostrzegł, że dłonie Zuzanny mimo woli zacisnęły się w pięści. Nadal była blada - puder gdzieś znikł i bez trudu mógł dostrzec na jej policzku żółtozielony siniak. Piękna suknia wisiała na niej jak na kołku.

- Czy możesz wytrzeć twarz, Zuzanno? powiedział spokojnie.

- Nie, nie mogę. Nie teraz. Odpowiedz mu, Rohanie, zanim zdrętwieją mi pięści.

Spojrzał na budzącą współczucie dziewczęcą postać przed sobą, a potem na Toby'ego, wyglądającego jak zszokowany pastor w burdelu, i uśmiechnął się. - Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłem.

ROZDZIAŁ 14

Siedzieli naprzeciw siebie niczym zaprzyjaźniona para małżeńska, spędzająca ze sobą długi wieczór.

- Pytałaś mnie, dlaczego zrobiłem coś tak okropnie zaskakującego - powiedział wreszcie Rohan, żałując, że to nie ona zaczyna rozmowę. - Powiedziałem ci, że nie wiem, dlaczego tak postąpiłem, ale, do licha, zrobiłem to i niczego już nie da się odwołać. Nie sądzę jednak, żeby to było całkiem głupie. Uważam, że gdybyś za mnie wyszła, rozwiązałyby to wszystkie problemy. Nie, nie żałuję, że to zrobiłem.

I, ku jego zdumieniu, tak wyglądała prawda. Nie żałował ani trochę. Chciał, by za niego wyszła. Nic dziwnego, że kłamał z takim przekonaniem, choć wiedział, że skłonienie Zuzanny do małżeństwa nie będzie wcale łatwiejsze niż przyznanie przed światem, że ona już jest jego żoną.

Zuzanna traciła cierpliwość. - Rohanie, w dawnych czasach byłbyś pewnie wspaniałym księciem i rycerzem, rozumnym i łaskawym. Lecz to, co powiedziałeś tym trzem starym czarownicom, było czystym kłamstwem. I na dodatek niemądrym, ponieważ każdy może z łatwością to sprawdzić. Byłam żoną George'a. W ten sposób tylko pomnożyłeś moje problemy. Gdybyśmy byli małżeństwem, byłoby to małżeństwo wbrew prawu. - Nie, nie byłoby.

Lecz ona tylko potrząsnęła głową, najwidoczniej myśląc już o czymś innym. - Po prostu mnie odeślij. Nigdy więcej o mnie nie usłyszysz. Nie jesteś za mnie odpowiedzialny. Nim ciebie poznałam, radziłam sobie całkiem nieźle.

Uniósł filiżankę, jakby jej salutował. - To już jest kłamstwo, które nie może nie wytrzymać bliższego zbadania.

- No, przynajmniej zazwyczaj jakoś sobie radziłam. George przysyłał pieniądze, mówiłam ci o tym, aż do swojej śmierci.

- Ile ci wysyłał?

Zajrzała do swojej filiżanki, jakby szukając tam natchnienia. Liście herbaty utworzyły na dnie naczynia skomplikowany wzór. Dobrze, że w pobliżu nie ma żadnych Cyganów, pomyślała. Wolą nie wiedzieć, co mogliby wyczytać z tych liści.

- To naprawdę nie twoja sprawa, ale mogę ci powiedzieć. George nie miał zbyt wiele pieniędzy, lecz o tym z pewnością wiesz. Był w Oksfordzie i miał tylko pensję, którą mu wypłacałeś.

- Tak? Nie bardzo mogę sobie przypomnieć, ile mu wypłacałem?

- Dawałeś mu dwadzieścia funtów na kwartał. George wysyłał nam dziesięć.

Poczuł gwałtowny przypływ gniewu. Gdyby George był teraz w pokoju, z rozkoszą rozbiłby mu głowę o boazerię. Lecz najpierw powiedziałby mu, co o nim myśli. - Dziesięć funtów - powtórzył. - Całe dziesięć funtów na kwartał. Tak, Zuzanno, z pewnością musiało ci się znakomicie powodzić. Dlaczego nie chcesz za mnie wyjść?

- Przestań udawać, że nie rozumiesz. - Westchnęła. - Posłuchaj. Nie mogę zostać twoją żoną. To byłoby kolejne kłamstwo. Ile razy mam ci powtarzać? Zaczekaj. Przed chwilą powiedziałeś, że to nie

byłoby wbrew prawu. Co miałeś na myśli? Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem? Czyżby te wstrętne staruchy się myliły?

- Tak, wiem o czymś, o czym ty nie wiesz i te babsztyłe nie myliły się. - Dopił herbatę, odstawił ostrożnie filiżankę na spodek, a potem filiżankę wraz ze spodkiem na intarsjowany stolik stojący pomiędzy nimi. Będzie musiał ją zranić i to sprawiało mu ból. Nie było jednak innego wyjścia.

Zuzanna czuła, że nie zniesie tego oczekiwania ani chwili dłużej. Ten przeklęty baron kpił z niej. To nie było fair. Zamachnęła się i z całej siły rzuciła spodkiem i filiżanką o kominek: - To jakiś nonsens! Przestań mnie dręczyć! Powiedz, co masz do powiedzenia i skończmy z tym! - zawołała. - Opadła z powrotem na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

- Milordzie...

Rohan westchnął. Powinien był wiedzieć, że Toby nie da się tak łatwo zapakować do łóżka, przyjmując na wiarę słowa Rohana, że wszystko jest pod kontrolą.

- Tak, Toby, wejdz proszę. Twoja siostra trochę straciła panowanie nad sobą, lecz zaraz wróci do równowagi.

- Ale ona nigdy dotąd nie rzucała niczym w kominek. Szkoda takiej ładnej filiżanki. Pewnie była bardzo cenna. Pani Beete na pewno się to nie spodoba.

- O, to jedna z korzyści bycia lady Mountvale. Można rzucać w kominek, czym tylko się zechce.

Zuzanna podniosła twarz. - Toby, widzisz tę wielką, ohydną wazę, stojącą na podwyższeniu? Proszę, przynieś mi ją. Mam zamiar rozbić ją na upartej głowie jego lordowskiej mości.

- Milordzie, ona nigdy przedtem nie groziła, że kogoś uderzy...

- Więc zostaw tę wazę tam, gdzie stoi. Moja matka jest do niej przywiązana. Lepiej spokojnie przeczekać ten atak wściekłości.

- Moja wściekłość narasta, a nie przechodzi. Toby, podaj wazę. Nie słyszysz, co do ciebie mówię?

Toby skinął głową. Stał wyprostowany niczym struna, bliżej siostry niż barona.

- Nie wierzysz mi, że on kompletnie zwariował?

- Uważam, że on próbuje cię chronić, Zuzanno. Te stare damy z rozkoszą rozerwałyby cię na strzępy i pogrzebały pod dywanem. I zrujnowały twoją reputację. Prawda, milordzie?

- Tak. Wszystkim trzem sprawiłoby to wielką przyjemność. Uratowałem ją, ale czy ona mi dziękuje? Nie, Toby. Spójrz na nią, nie ma w niej cienia wdzięczności.

- Toby, podaj mi, proszę, ten posążek, przedstawiający mężczyznę trzymającego kulę ziemską na kolanie. Jest chyba wystarczająco ciężki.

Rohan podniósł rękę. - Tak, Toby, wiem. Jej wściekłość nigdy dotąd nie trwała tak długo. Posłuchajcie mnie oboje. Będę z wami szczerzy...

- Tak jak z tymi trzema damami?

- To było co innego. Nie miałem innego wyjścia, więc postąpiłem tak, jak uznałem za stosowne.

- Ale, milordzie, dlaczego pragnie nas pan zatrzymać? Zuzanna ma rację. Nie ponosi pan za nas odpowiedzialności. Nawet nas pan nie zna. Przynajmniej niezbyt dobrze. To prawda, że jest pan szwagrem Zuzanny, lecz gdyby dał nam pan te dwadzieścia tysięcy George'a, miałby pan nas z głowy. Wiem, że mężczyzna o pańskiej reputacji z pewnością nie życzy sobie, by jakieś dzieci czepiały się jego rękawa, nie mówiąc już o żonie. To bardzo skomplikowane, tym bardziej że i tak nie może pan poślubić Zuzanny.

- On ma rację, Rohanie. Uwolnisz się od nas. Możesz po prostu powiedzieć sąsiadom, że to był

żart i że naprawdę nas wyrzuciłeś.

Zerwał się z wściekłością na równe nogi, przewrócił krzesło i krzyknął: - Do licha! Zamknijcie się!

Brat i siostra w milczeniu wpatrywali się w barona. Twarz mu poczerwieniała, a na szyi widać było pulsującą żyłę. Już nie wydawał się spokojny, obojętny i ugrzeczniony. Ani rozbawiony.

- O Boże - powiedziała Zuzanna, spuściwszy z tonu. - No dobrze, nie będę już niczym rzucała. Widzę, że teraz twoja kolej na atak wściekłości. Ale chyba się z nami zgadzasz. Na miłość boską, przecież wcale mnie nie znasz! Co ci przyszło do głowy, by proponować mi małżeństwo? W dodatku małżeństwo wbrew prawu? To nie ma sensu.

Rohan popatrzył najpierw na Zuzannę, a potem na Toby'ego. - Mógłbym cię poślubić i byłby to legalny związek.

Zuzanna dalej potrząsała głową.

Jego głos brzmiał teraz niezwykle delikatnie. On także potrząsnął głową i stwierdził: - Przykro mi, Zuzanno, lecz nigdy nie byłaś żoną George'a. Te damy miały rację, Marianna jest bękartem.

Zuzanna drżała teraz tak mocno, iż z trudem wypowiadała słowa. - Nie, nie, to niemożliwe - szepnęła. - Rohanie, przecież pokazałam ci świadectwo ślubu. To była śliczna ceremonia, bardzo prywatna, oczywiście, lecz pastor był taki uprzejmy...

- Przykro mi, naprawdę. Posłuchaj, ten człowiek musiał być uprzejmy, bo George zapłacił mu niezłą sumkę, aby udawał, że udziela wam ślubu. Zorientowałem się, gdy tylko zobaczyłem świadectwo ślubu. Znam tego człowieka. Nazywa się Bligh McNally. Znany jest z tego, że trudni się owym niesławnym procederem i całkiem niezłe prosperuje. Oszukał już wiele młodych dziewcząt. George tak naprawdę wcale się z tobą nie ożenił. Bardzo mi przykro, Zuzanno. To było oszustwo.

Toby miał twarz bielszą niż brzuch ryby.

Zuzanna siedziała sztywno niczym kij od szczotki.

W końcu odezwała się głosem niewiele głośniejszym od szeptu: - Skoro wiedziałeś, że to oszustwo, dlaczego nie ujawniłeś tego w momencie, kiedy pokazałam ci świadectwo?

Rohan spojrzał jej prosto w oczy. - Z początku nie mogłem w to uwierzyć, choć prawda aż biła w oczy. Zawsze uważałem George'a za poważnego młodego człowieka, oddanego wyłącznie studiom, uczzonego, siedzącego po uszy w swoich mapach. Powiedział mi, że chciałby wyruszyć na daleką wyprawę i zostać sławnym kartografem. Zawsze uważałem go za człowieka dobrego, delikatnego i uprzejmego. Nie mogłem uwierzyć, że zrobił coś takiego. A poza tym nie mogłem zniszczyć wam życia, nie poznawszy wprawdzie ciebie ani Marianny. Nieważne, co zrobił George, Marianna nadal pozostaje moją bratanicą. Postanowiłem zyskać na czasie. Dlatego was tutaj przywiozłem. I podtrzymywałem to kłamstwo aż do dzisiejszego wieczora.

- Ten spadek też wymyśliłeś, prawda?

- Nie musiał tu niczego wymyślać, Zuzanno - stwierdził Toby spokojnie. - Skoro nie byłaś żoną George'a, to nawet gdyby był jakiś spadek, i tak nie miałabyś do niego prawa.

- Wymyśliłem go. - Gdy te słowa wymknęły mu się, zrozumiał, jaką krzywdę jej wyrządził. Nie miała już teraz niczego, nawet iluzji wyboru.

- Rozumiem - powiedziała Zuzanna, wpatrując się w kominek, gdzie z wolna dopalały się głownie. - A teraz ty czujesz się winny z powodu tego, co zrobił George i jesteś gotów poświęcić się, poślubić mnie i uznać Mariannę za swoją córkę?

Twarz Rohana wyrażała coś w rodzaju zmieszania, lecz w jego głosie nie było śladu

niepewności. - Tak, coś w tym rodzaju - powiedział tylko.

- Ale, milordzie, Zuzanna ma rację. Jesteśmy dla pana obcymi. Gdyby mój ojciec nie próbował naciągnąć pana na pieniądze, pewnie nigdy by pan o nas nie usłyszał.

- Ale zrobił to i teraz was znam. Posłuchaj, Zuzanno, czy to taki zły plan? Będę tolerancyjnym mężem i dobrym ojcem dla Marianny. Postaram się nawet jakoś dać sobie radę z Tobym, chociaż przyprawia mnie o pokrzywkę i zmusza do szukania ratunku w butelce z powodu swoich dzikich wybryków.

- Milordzie, nie mam na sumieniu żadnych dzikich wybryków!

- Wiem, i to chodzi, prawda? Byłbyś moim szwagrem i to byłoby miłe, ponieważ bardzo cię lubię. Lubię was wszystkich. Zostańcie tutaj. Zostańcie ze mną. Bądźcie moją rodziną. Będę was chronił, a chroniąc was, ochronię także pamięć George'a. Nie chcę, by ludzie dowiedzieli się, co wam zrobił. By dowiedziała się o tym moja matka. Bo, pomijając swobodny tryb życia, nasza rodzina zawsze przestrzegała pewnych zasad.

I choć bez końca folgowali swoim zachciankom, nigdy nie skrzywdziliby kogoś niewinnego. Teraz została już tylko matka, lecz nie chcę jej zranić. Musicie wiedzieć, że bardzo się martwię tym, czego mogę dowiedzieć się w Oksfordzie. Podobnie jak wy.

Zuzanna wstała i wygładziła suknię - suknię Charlotty. Taka piękna toaleta i cała pognieciona.

Wyraziła się dosadnie: - To nie ma sensu. Jesteś kobieciarzem, mężczyzną, który zmienia kobiety równie często, jak krawaty, mężczyzną, który kocha kobiety. Toby, bądź łaskaw zatkać sobie uszy.

- Och, Zuzanno, nie bądź niemądra. Wszyscy z najwyższym uznaniem wyrażają się o dzielności barona i jego wigorze. Wszyscy są z niego dumni.

- To właśnie bardzo mnie dziwi, lecz dajmy temu spokój. Rohanie, muszę być z tobą szczerą. Nie jestem niedołągą i nigdy też nie będę taka jak Charlotta.

- Wyłożyłaś to zupełnie jasno. - Potarł szczękę. - Doskonale zdaję sobie sprawę, czym i kim nie jesteś. Lecz w ciągu kilku najbliższych lat z pewnością zdołałbym cię nauczyć, jak być kimś, kim w rzeczywistości jesteś.

Najbliższe lata. Dość tego. Dłużej już nie wytrzyma. Uważała się za mężatkę, a nią nie była. Była tylko kobietą z nieślubnym dzieckiem, ponieważ zaufała młodemu mężczyźnie, który wydawał się jej odpowiedni - spokojny, delikatny i godny zaufania. Nieźle sobie z niej zakpił. Kim był naprawdę George? I dlaczego to zrobił?

Teraz to już nie miało znaczenia. Nic nie działało się naprawdę. Nie wiedziała, co myśleć. - Wyjedziemy stąd jutro rano, Tobo. Wrócimy do Mulberry House - powiedziała tylko.

Nie mogła znaleźć więcej słów. Każde spojrzenie na Rohana przypominało jej, jak była głupia, jaka naiwna. Nie, dłużej już tego nie zniesie. Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z biblioteki.

- Tobo, zostań tutaj, zaraz wrócę. A potem wspólnie zastanowimy się, co dalej.

- Nie sądzę, aby Zuzanna mogła teraz rozsądnie myśleć, milordzie.

- Ja na jej miejscu też byłbym wytrącony z równowagi. - Jezu, to, co jej właśnie powiedział, mogłoby okaleczyć psychicznie każdego.

Dzisiaj zostawi ją w spokoju, lecz jutro z pewnością nie pozwoli jej wyjechać z Mountvale.

Na górze Zuzanna natknęła się na Lottie, która odchodziła od zmysłów, trzymając zanoszącą się od płaczu Marianne.

- Dałam jej dwa ciastka z jabłkami, pani Carrington... milady. Tylko dwa, tak jak mi pani kazała. Ale rozboleł ją brzuch i nie wiem, co robić.

Od absurdu do spraw przyziemnych. Zuzanna wzięła córkę na ręce, starając się ją uspokoić.

- To się zdarza, Lottie. To nie twoja wina. Zobaczę, czy pani Beete nie ma czegoś, co by jej pomogło.

Przynajmniej nie wrzasnęła na Lottie, że nie jest żadną milady.

- Ja się tym zajmę - powiedział Rohan, podchodząc. Spojrzał na płaczącą Mariannę, przytuloną do ramienia matki. - Za chwilę, malutka, na pewno poczujesz się lepiej.

- Rohan.

- Zaraz wracam, Marianno. - Zuzanna niespokojnie przemierzała podest, próbując jakoś uspokoić dziecko. Po chwili baron wrócił, trzymając w dłoni szklaneczkę. Marianna spojrzała na nią i zakwiliła.

Uniósł jej brodę i powiedział: - Posłuchaj, mały łobuziaku, musisz to wypić. Pani Beete zawsze mi to dawała, gdy byłem małym chłopcem. To działa i nie jest wcale złe w smaku. A za chwilę będziesz mogła zatańczyć ze mną szkocki taniec w holu.

Marianna czknęła. - Nie umiem.

- Nauczę cię, lecz najpierw musisz sprawić, żeby twój brzusek znowu poczuł się dobrze.

Ku zdumieniu Zuzanny Rohan przechylił głowę dziecka i zaczął poić je lekarstwem. Marianna, zazwyczaj wojownicza, potulnie wypila wszystko do końca. - Znakomicie. A teraz zniosę cię na dół. Kiedy poczujesz ochotę, żeby zatańczyć, będziemy w pobliżu pianina i będę mógł zacząć cię uczyć.

Marianna wyciągnęła do niego ramiona. Bez cienia wahania pozwoliła mu wziąć się na ręce. Ufała mu. Rohan nie odezwał się do Zuzanny ani do Lottie - po prostu odszedł, trzymając w ramionach uszczęśliwioną Mariannę z palcami w buzi. Odgłos ssania słyhać było jeszcze z odległości dobrych dziesięciu metrów.

- No dobrze - powiedziała Zuzanna do Lottie.

- Muszę się pakować. Jutro rano wyjeżdżamy.

- Jego lordowska mość zabiera was do Oksfordu?

Z pewnością Lottie doskonale orientowała się w tym, co baron powiedział trzem starym armatom. Do tej pory zapewne wiedzieli o tym wszyscy w posiadłości, a wkrótce cała południowa Anglia nie będzie mówiła o niczym innym.

- Prawdopodobnie - powiedziała tylko, nie wyrażając chęci dalszych wyjaśnień. Gdy znalazła się w swojej sypialni, zastała tam czekającą Charlotte, olśniewającą w kremowej, jedwabnej kreacji z koronek i piór. Blond włosy baronowej spływały swobodnie na plecy i nawet z daleka widać było, jak bardzo są miękkie i jedwabiste.

- A to ci dopiero - oznajmiła, kiedy Zuzanna zamknęła za sobą drzwi. - Nigdy nie spodziewałabym się takiej sensacji. Trzeba się do niej przyzwyczaić. Mój drogi syn przedstawił mi tylko ogólny zarys sytuacji, więc przyszedłem do ciebie. Nie pomiń żadnych okropnych szczegółów, Zuzanno. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek czuła się tak wyprowadzona w pole. Lecz, rzeczywiście jest w tym trochę rozczarowania. Mój drogi chłopiec nie mylił się. Miałam co do niego szerokie plany.

- Lady Dauntry uważa, że pani chciałaby ożenić go albo z kimś podobnym do siebie albo z jakąś niedołągą, przy której będzie mógł dalej swobodnie wieść rozpustne życie.

- Cóż za spostrzegawczość ze strony drogiej Reginy! Tyle lat się znamy, a ona nadal potrafi mnie zaskoczyć. Oczywiście nie zdarza się to zbyt często. Czy Regina nie jest czarującym imieniem? Szkoda że właścicielka do niego nie dorosła. Tak, Regina pogrzebałaby cię pod dywanem - chyba tak

właśnie określił to Toby? I nie tylko Regina. Almeria i Elsa też miały w tym swój udział. Wszystkie trzy zasiadły nad tobą niczym Parki, ale prym wiodła Regina. I nagle zjawia się Rohan i oznajmia, że przez cały czas byłaś jego żoną. Pięć lat to kawał czasu. Zastanawiam się, czy powinnam mu wierzyć. Czy to prawda, że nigdy nawet nie poznałaś biednego George'a?

Zuzanna wpatrywała się w Charlotte bezradnie.

- Wyglądasz na bardzo zmęczoną, Zuzanno. Podejdz tu i usiądź. No, chodź, siadaj. Rohan zajmie się Marianną. Czy to takie dziwne? Widziałam, jak bierze ją na ręce, zupełnie jak by robił to od lat. Ale nie robił, prawda? Czy był przy tobie, gdy się rodziła?

- Nie, nie był. Nie było czasu. Dziecko urodziło się za wcześnie.

- Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego Rohan przywiózł cię tutaj jako wdowę po George'u. Dlaczego nie przedstawił cię jako swoją żonę, jeżeli naprawdę nią jesteś?

Tonęła szybko. Za chwilę jej nos zniknie pod warstwą ruchomych piasków. Co robić? Powiedzieć Charlotte prawdę? Ze ukochany, a w rzeczywistości pruderyjny, syn George okłamał ją i zdradził, by dostać się do cudzego łóżka? Jaki mężczyzna mógłby zrobić coś takiego?

Bardzo młody i pozbawiony skrupułów. Była jednak pewna, że Rohan nigdy nie zachowałby się w ten sposób. Potrząsnęła głową.

- Wymyślasz jakieś kłamstwo, które mogłoby mnie zadowolić?

- Nie, niezupełnie. Po prostu wolałabym, żebyś najpierw porozmawiała z synem.

- Boisz się więc, że każde z was będzie mówiło co innego?

Zuzanna tylko wbiła w nią bezradne spojrzenie. Zaczynała być w tym dobra.

Charlotta wstała i przeciągnęła smukłymi palcami po piórach zdobiących rękaw peniuaru. - Miałam zamiar nacieszyć się nieco Augustusem, a potem wrócić do Włoch. Zawsze uwielbiałam Wenecję. Prawdę mówiąc, zastanawiałam się nawet, czyby nie zabrać Augustusa ze sobą. A teraz to zamieszanie. Pomówię z Rohanem. A potem zobaczymy. Spij dobrze, moja droga.

W rezultacie Charlotta nie przeklęła jej ani nie zastrzeliła. Zuzanna usiadła na krześle i na chwilę zamknęła oczy. Odpocznie trochę, a potem zacznie się pakować.

Obudziła się w środku nocy, zupełnie skostniała z zimna. Na dodatek wypaliła się świeca, a w ciemnościach nie sposób było cokolwiek zobaczyć. Trudno, spakuje się rano.

Jakoś udało jej się rozebrać. Przewiesiła przez poręcz krzesła olśniewającą suknię Charlotty i wsunęła się pod prześcieradła.

Kiedy już znowu zasypiała, nagle uświadomiła sobie, że Rohan z pewnością dawał George'owi więcej niż nędzne dwadzieścia funtów na kwartał. A George nie zatroszczył się nawet o to, czy jego córka ma co jeść. Poczula, jak łzy wielkie niczym groch i gorące gromadzą się pod powiekami i z wolna spływają po policzkach. Całe jej życie było kłamstwem. Jej głupota nie miała granic. Nic dziwnego, że George nie chciał przedstawić jej rodzinie. Co miałby powiedzieć? „To moja kochanka ze swoim bękartem?”

Nigdy nie wątpiła, gdy mówił, że jego ojciec, a potem najstarszy brat wydziedziczą go, a co za tym idzie ją i Marianne. Musi dać mu więcej czasu - wciąż jej to powtarzał. Już wkrótce, obiecywał, będą zawsze razem, będą rodziną i wszyscy się o tym dowiedzą. Nic dziwnego, że ostatnio tak rzadko odwiedzał Mulberry House. Zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później wszystko się wyda. A może wcale go to nie obchodziło. Może po prostu mu się znudziła. Nie chciał dłużej znosić jej nieustannego dopytywania się, czy rozmawiał już z bratem. Nie chciał ich. Ani jej, ani ich córki.

Gdyby nie to, że już był martwy, z rozkoszą by go zabiła.

Łudziła się przez blisko pięć lat, a teraz miała ochotę umrzeć. Obwiniła siebie bardziej niż George'a. Zawsze uważała, że jest inteligentna i zna się na ludziach.

Płakała, dopóki nie rozbolało jej gardło i nie zabrakło łez, lecz nawet wtedy ból, który ścisnął jej serce, wcale nie zelżał. George okłamywał ją, bo była tak mało warta, że nie zasługiwała na nic więcej niż tylko ten fikcyjny ślub.

ROZDZIAŁ 15

- I to właśnie zrobił George, mamó. Nie pominąłem żadnego szczegółu. - Poczuł rozpierającą go wściekłość i gniew na George'a, który odszedł i nigdy nie będzie musiał stawić czoła konsekwencjom swoich uczynków.

Nie miał zamiaru mówić o wszystkim matce, ona jednak okazała się sprytniejsza. Zakradła się do jego sypialni o świcie i wyrwawszy go z najgłębszego snu, bez trudu wyciągnęła z niego całą historię. Miał ochotę dać sobie kopniaka. Lecz złe już się stało i nic nie można było na to poradzić. A może tak było lepiej, kto wie?

A jednak teraz, kiedy już w pełni się obudził, dalej był wściekły. Matka nie patrzyła na niego, lecz stała przy oknie, spoglądając na piękne tarasowe ogrody. - Bardzo mi przykro, mamó - powiedział. - Nie chciałem, żebyś wiedziała, nie było takiej potrzeby. Ale ty chciałaś być sprytniejsza i przyłapałaś mnie w chwili słabości.

Powoli odwróciła do niego twarz. - Tak, kochanie, tuż po obudzeniu nie bywasz zbyt bystry. - Umilkła i zaczęła niespokojnie przemierzać sypialnię syna. O tej porze, oczywiście, leżał jeszcze w łóżku. W przeciwieństwie do syna Charlotta zawsze była rannym ptaszkiem. O tej porze jej umysł pracował na najwyższych obrotach. A na nieszczęście dla Rohana była dopiero szósta.

Rohan nadal nie żałował swego wczorajszego postępowania. Nie zmienił zdania w żadnej kwestii, a już na pewno w sprawie poślubienia Zuzanny.

Uwielbiał jej imię. Tańczyło mu na języku. Wyobrażał sobie, że nawet w gniewie przyjemnie będzie je wymawiać.

- Widzisz, kochany, choć bardzo mi miło, że próbowałeś uchronić mnie przed poznaniem prawdy o George'u, powinnam była wiedzieć, że ty nigdy nie poślubiłbyś potajemnie młodej dziewczyny i nie trzymałbyś jej w ukryciu. Przeciwnie, afiszowałbyś się z nią i rozpieszczał, tak jak masz zamiar zrobić to teraz z Zuzanną i Marianną. Nie, nie będziemy dłużej przejmować się George'em. Przede wszystkim musimy pomyśleć o małej i o Zuzannie.

Znowu zaczęła przemierzać sypialnię. - Prawie pięć lat - powiedziała w końcu, bardziej do siebie niż do syna. Spojrzała na Rohana, który wydawał się tak doskonale zrównoważony, mimo zmierzwionych włosów i zarostu. - Kim naprawdę był George? - powiedziała w końcu, niezdolna porzucić ten temat. - Ten młody człowiek, którego nie rozpoznaję?

- Nie wiem, mamó. Mam zamiar pojechać do Oksfordu i dowiedzieć się tego. Nie ma wątpliwości, że znał człowieka, który porwał Zuzannę. Przykro mi, mamó.

- Wiem. Mnie także. Kiedy masz zamiar wyjechać?

- Gdy tylko uda mi się przekonać Zuzannę, aby została moją żoną. Nikt więcej - ani przyjaciele, ani sąsiedzi, nawet Fitz - nie może się domyślić, jak sprawy naprawdę wyglądają. To, czego się dowiem, także zatrzymam dla siebie.

- Tak, tak będzie najlepiej. Uważam, że powinieneś poślubić Zuzannę, zanim wyjedziesz do Oksfordu. Ona jest bardzo dumna. George oszukał ją, wystrychnął na dudka i teraz trudno będzie się

jej pozbierać. Pewnie czuje się wykorzystana, niepotrzebna, niechciana i nic niewarta. Tak, musisz się z nią ożenić, i to jak najprędzej, bo inaczej może spróbować uciec, by zaoszczędzić ci tej ofiary. Bardzo cichy ślub. Jak szybko będziesz mógł zdobyć zezwolenie?

- Prawie natychmiast.

- Zaadoptujesz Marianne?

- Oczywiście. - Podrapał się po piersi, lecz spostrzegł, że matka mu się przygląda, więc szybko podciągnął kołdrę pod brodę. Ona jednak patrzyła jakby przez niego, właściwie go nie widząc. No cóż, jest przecież jego matką.

- Przynajmniej nie będziemy musieli się o nią martwić, gdy już zostanie twoją żoną. Ona wie, jak sprawy się mają. Będzie mogła pozostać w Mountvale House, gdzie jest tak miło i bezpiecznie, a ty wrócisz do Londynu i będziesz dalej robił to, w czym jesteś taki dobry.

- Dlaczego miałbym chcieć mieszkać samotnie w Londynie? Nie, mam, jeżeli pojedę do Londynu, to ona i dzieci pojedą tam ze mną.

Baronowa nie powiedziała ani słowa, tylko wpatrywała się w syna. - Ona nie jest taka jak ja ani nie jest niedołągą. Powiedziała mi to wczoraj wieczorem. Ale, jak wiesz, nie jest też niczym więcej. Tak, biedna Zuzanna. I nie chodzi tu tylko o ciebie. Pomyśl o swoich kochankach, najdroższy, o przyjęciach, klubach, operze...

- Jestem pewien, że Zuzanna potrafi docenić operę... - Nagle zdał sobie sprawę, z kim rozmawia. Spojrzał w dół na wystające spod kołdry stopy. Odchrząknął. - To znaczy, kiedy będę miał ochotę na jakąś przygodę, upewnię się najpierw, czy ona nie będzie się nudzić. Wiesz, że potrafię temu podołać.

Jej piękna twarz nie wyrażała już wątpienia. Nie było jeszcze siódmej, matka nie zdążyła się jeszcze umalować, przez okna wpadał jasny blask słońca, a ona nadal była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widział. - Tak właśnie postępował twój drogi ojciec. Ja także postępowałam podobnie. To właśnie stanowi podstawę małżeńskiego szczęścia. Mąż i żona muszą troszczyć się o siebie, być wrażliwymi na potrzeby drugiej strony i pozwalać jej żyć po swojemu. Nigdy nie zapomnę, jak drogi lord Westminster zginął na polowaniu. Byłam zrozpaczona, doprawdy zrozpaczona. Twój drogi ojciec był przy mnie aż do pogrzebu.

Nagle wyraz jej twarzy zmienił się gwałtownie.

- Oczywiście wiesz o tym, że zanim Zuzanna będzie mogła pofolgować swoim zachciankom, musicie począć dziedzica. Wyjaśniłeś jej to, prawda?

- Mamo, nie sądzę, by to się na coś przydało. Obawiam się, że Zuzanna nie będzie pokorną żoną.

- Podniósł szybko dłoń, by ją powstrzymać. Nie życzył sobie, by jego matka zaczęła udzielać Zuzannie rad, jak ma utrzymać przy sobie kobieciarza. Lecz matka wyglądała na przerażoną. - Nie martw się, mam, poradzę sobie z nią, zobaczysz. Nie ma potrzeby, byś wyjaśniała jej cokolwiek. Pozwól, że sam to zrobię, dobrze?

- Chyba tak, najdroższy. Mężczyzna o twojej reputacji z pewnością potrafi skłonić kobietę, by podzieliła jego punkt widzenia, bez względu na to, czy jest jego żoną, czy nie.

- Tak, masz rację. A teraz pozwól, że się ubiorę i sprawdzę, czy Zuzanna nie ulotniła się w nocy. Obiecuj mi, że nie będziesz z nią rozmawiać.

- Obiecuję. A jak tam brzusek Marianny?

- Usnęła mi na rękach w bibliotece i nawet się nie zorientowała, że w pobliżu nie ma żadnego fortepianu. Chyba dzisiaj będę musiał nauczyć ją szkockiego tańca. Tak, z pewnością te wszystkie

podskoki i galopy bardzo jej się spodobały. I jeszcze Fitz bębniący na fortepianie... - Uśmiechnął się.

Sama myśl o synu, mężczyźnie o reputacji bezwzględnego kobieciarza, tańczącym z małą dziewczynką, sprawiła, że baronowa wysoko uniosła swe doskonałe brwi.

W pół godziny później Rohan pogwizdując zbliżał się do sypialni Zuzanny.

Sabina, pokojówka matki, układała szczotki na toalecie. Przez ostatnie trzy lata dziewczyna na próżno usiłowała skokietować barona. Teraz więc, gdy tylko ją zobaczył, zatrzymał się natychmiast i zaczął się cicho wycofywać.

- Aaa, tu pan jest, milordzie. Chciał się pan zobaczyć z panią? Niestety, nie ma jej tutaj. Ale jest kobieta o bardziej interesujących nawykach, która z pewnością potrafiłaby pana zadowolić, bardziej...

- Sabino, gdzie jest lady Mountvale?

- Ma pan na myśli pańską żonę?

Jak mógł sobie w ogóle wyobrażać, że każda służąca w promieniu pięćdziesięciu mil nie będzie znała wszystkich szczegółów? - Tak, moją żonę. Gdzie ona jest?

- Coś mruzczała do siebie, ale nie wiem dokładnie co. Spytała mnie, gdzie jest jej kufer, ale gdy zapytałam, po co jest jej potrzebny, nie odpowiedziała. Zrobiła tylko taką minę... no, zmieszaną i wyszła z pokoju.

Rohan zatrzymał się w progu, obdarzył Sabinę szerokim uśmiechem i powiedział: - Jestem teraz żonaty, Sabino.

Złożyła dłonie pod biustem tak, by jeszcze bardziej uwydatnić jego kształt i bezczelnie zapytała: - I co z tego?

Uniósł dłonie w geście rezygnacji i wyszedł. Co za diabeł siedzi w tej kobiecie? - O, Toby. Dokąd się wybierasz?

- Szukam Zuzanny, milordzie.

- Spróbuj w pokoju dzieciennym, a ja zapytam Fitz'a.

Żaden z nich jej nie znalazł.

- Być może - powiedział Fitz z szacunkiem, należnym nowej pani na Mountvale - jej lordowska mość jest z braćmi Harkerami i uczy się, jak tresować wyścigowe kocięta. Ozzy mówił mi, że kociak jest już prawie gotowy, by wystartować w barwach jej lordowskiej mości.

Jej lordowska mość. Skoro Fitz uznał ją za taką, sprawa była przesądzona. Nikt - nawet hrabia Northcliffe w najbardziej wielkopańskim nastroju - nie odważyłby się dyskutować z Fitz'em. To zabawne, jego kamerdyner tak łatwo zaakceptował nową panią, a nie umiał zdecydować, czy zajmowanie się wyścigowymi kociętami nie uwłacza przypadkiem jej godności.

- Nie, prędzej schowała się i planuje, jak by tu ode mnie uciec. - powiedział Rohan.

- Ja także brałbym to pod uwagę, gdyby wasza lordowska mość ożenił się ze mną i trzymał mnie w ukryciu przez cztery lata.

- Co za przerażający pomysł!

Jak to już miał w zwyczaju, postanowił odwiedzić porywacza, aby przekonać się, czy przypadkiem nie zmiękł dostatecznie, by zacząć mówić. Drzwi prowizorycznego aresztu były otwarte, a na straży stał lokaj Rory.

Zuzanna była w środku, stała nad więźniem. Nadal wyglądał bardzo blado i miał obandażowaną głowę.

- Zostań na zewnątrz, Rory - powiedział spokojnie Rohan. Wszedł do środka i cicho zamknął za

sobą drzwi.

- Dlaczego nie chcesz powiedzieć mi prawdy? - pytała, najwidoczniej nie po raz pierwszy.

- Zabieraj się stąd - powiedział krótko mężczyzna i splunął parę centymetrów od sukni Zuzanny.

Co za paskudny zwyczaj.

- Byliście z George'em przyjaciółmi, prawda? Pamiętam, że byłeś jednym z mężczyzn, których poznałam tego dnia w gospodzie. Nazywałeś się Lambert, czyż nie?

- A ty byłaś laleczką George'a. Tak, wiedziałem, że to ty. Wyobrażałaś sobie, że jesteś jego żoną. Ale się uśmialiśmy! I kosztowało go to zaledwie dziesięć funtów na kwartał! Najtańsza kochanka, jaką można sobie wyobrazić. - Mężczyzna roześmiał się. Był to bardzo przykry, wulgarny śmiech, lecz Zuzanna nie dała się zbić z tropu.

- Nie wierzę ci. Kłamiesz, bo George nie żyje i nie może się bronić. Proszę, powiedz mi prawdę. Muszę znać prawdę. Ty jesteś Lambert czy Theodore Micah?

Odwrócił twarz do ściany.

- Jesteś Lambert, prawda?

Teraz mężczyzna zareagował. Bez pośpiechu odwrócił do niej twarz. - Daj mi tę przekłętą mapę, a powiem ci wszystko o George'u.

- Nie ma żadnej mapy. A jeśli nawet jest, to nie wiem gdzie. Mówiłam ci. To szczerza prawda.

- To by znaczyło że George schował ją gdzie indziej. Zastanawiam się...

- I zastanawiaj się dalej, Lambert - powiedział Rohan, wychodząc z kąta. - Teraz, kiedy już wiemy, kim jesteś, szybko dowiemy się, o co tu chodzi.

- Ty nędzny typie! George ostrzegał nas, że jeśli tylko będziesz miał się czego ucześcić, możesz dowiedzieć się wszystkiego. Masz dość rozumu. Powiedział też, że był bardzo ostrożny, bo chociaż wydajesz się taki leniwy i łagodny, to pewnych zakamarków twej duszy wolałby nie zgłębiać. Wygląda na to, że jednak nie był dość ostrożny, co? Jeżeli zaczniesz szukać, możesz znaleźć tę przekłętą rzecz. Ale bez mapy nie dasz rady. Nie będziesz nawet wiedział, gdzie zacząć.

Co powiedziawszy, z powrotem odwrócił się do ściany.

- Myślę, że już czas, by trafił pan do więzienia, panie Lambert - powiedział Rohan powoli. Był jednak pewien problem. Ten człowiek wiedział o fikcyjnym małżeństwie George'a. Co będzie, jeżeli oznajmi o tym wszem wobec? Nie pora teraz na litość, pomyślał. Czas działać.

Lambert nie poszedł do więzienia. Jeszcze tego samego popołudnia doktor Foxdale zbadał go po raz ostatni i orzekł, że stan jego zdrowia nie budzi większych obaw. Następnie dwaj lokaje odwieźli go pod strażą do Eastbourne, gdzie został przekazany kapitanowi Muldoonowi wraz z długim listem od lorda Mountvale. I tak, chcąc nie chcąc, pan Lambert został marynarzem w służbie Jego Królewskiej Mości. Miał tam pozostać przez najbliższe sześć lat lub do śmierci, zależy, co nastąpi wcześniej.

W tej sprawie nie było już nic do zrobienia. Rohan natknął się na Zuzannę, pogrążoną w głębokiej dyskusji z Ozziem. - ...tak, tak, milady, są różne sposoby, żeby zmusić kociaka do biegu. Na przykład ten stary dowcipniś pan Bittle staje nad biednym burasem i klaszcze mu tak głośno nad samym uchem, że kociak prawie rozum traci ze strachu. Co prawda rusza natychmiast, i to ze zjeżonym futrem i sterczącym ogonem, ale co z tego, skoro z reguły biegnie w stronę najbliższej stojącej damy i chowa się pod jej spódnicę.

Uśmiechnęła się, rozbawiona, myśląc jednocześnie: Muszę z tym skończyć. Wszyscy zwracają się do mnie, jak do żony barona. Co za okropna pomyłka. Muszę wyjechać.

- Dziękuję ci, Ozzy. Muszę już iść, mam coś ważnego do załatwienia.

Odeszła ze spuszczoną głową, a Rohan doskonale wiedział, o czym myśli. Poszedł za nią - gdzieżby? - do swego gabinetu. Zamrugał ze zdumienia, kiedy zobaczył, jak bez pośpiechu i bardzo stanowczo otwiera jedną po drugiej szuflady jego biurka i wyciąga z jednej z nich mały sejf, na nieszczęście dla niej zamknięty.

- Nie sądzisz, że prościej byłoby wyjść za mnie za męża, niż zostać oskarżoną o kradzież? Wiesz, że to karalne?

Zuzanna westchnęła głęboko. Potrząsnęła raz jeszcze kasetką, po czym odłożyła ją na dno szuflady. - Oddałabym ci - powiedziała głosem tak pozbawionym wszelkiego wyrazu, jak rosół, który ugotowała dla ojca, gdy jego wnętrzności zbuntowały się przeciw zbyt dużej ilości whisky.

- Jak?

Trafił w sedno. Stała sztywna i wyprężona niczym Diana. Brakowało jej tylko łuku i strzał. Podniosła do góry brodę. - No cóż, myślałam o tym, żeby pojechać do Oksfordu i znaleźć sobie opiekuna, który będzie płacił mi więcej niż dziesięć funtów na kwartał.

- Wiesz, Zuzanno, kłopot George'a polegał na tym, że nie wiedział, jak ustrzec się poczęcia. Gdyby Marianna się nie urodziła, pewnie dalej cieszyłby się tobą, nie martwiąc się o potomstwo. Powiedziałaś mi, że w ostatnich dwóch latach rzadko cię odwiedzał. To dlatego, że bał się, iż znowu będziesz miała dziecko. Nie pomyślała o tym, czuła tylko ból odrzucenia. - Skąd mężczyzna o twojej reputacji może wiedzieć, co czuł czy planował George? Może wcale nie było tak, jak mówił ten okropny człowiek? Może powiedział to tylko dlatego, że chciał mnie zranić. Uciekłam mu, a ty go postrzeliłeś.

- To możliwe, ale nie to jest najważniejsze. Dlaczego po prostu z tym nie skończyć? Wyjdź za mnie, Zuzanno. Postaram się o pozwolenie choćby jutro. Miejscowy pastor, wielebny Byam, to stary przyjaciel rodziny. Nigdy nas nie zdradzi. Możemy wziąć ślub choćby pojutrze. A potem nie będziesz się już musiała martwić, jak by tu ukraść mi pieniądze.

- To prawda. Będę zbyt zajęta zastanawianiem się, z którą ze swoich kobiet śpiesz, kiedy nie jesteś ze mną.

- Wiem. To problem nie do przewyciężenia, co? Mężczyzna o mojej reputacji musi żyć zgodnie z nią, prawda? A może zapomnielibyśmy o moich kobietach. - Machnął ręką i pstryknął palcami. - O, już po problemie. Co ty na to?

- George mnie zdradził. Nie zniósłabym następnego małżeństwa z mężczyzną, który nawet nie udaje, że mnie nie zdradza.

- Być może - powiedział bardzo powoli, ważąc słowa - być może moglibyśmy rozważyć pomysł, że nie będziemy się zdradzać. Będziemy tylko ty i ja. Myślę, że mógłbym złożyć taką obietnicę. A ty?

Spojrzała na niego, jakby miała ochotę zdzielić go po głowie.

- Nie bądź śmieszny! Nie chcę, by jakiś okropny mężczyzna jeszcze kiedykolwiek mnie dotykał. Nienawidziłam tego. Nic, tylko pot, jakieś ohydne chrząkanie i ciężar na piersi. To takie poniżające...

- Przerwała i spojrzała przestraszona, jakby powiedziała bluźnierstwo. Przycisnęła dłoń do ust.

Zaczerwieniła się aż po korzonki włosów. - Zapomnij, że to powiedziałam - wykrztusiła przez palce. - Nie powiedziałam tego, dobrze? Nie, z pewnością jestem zbyt dobrze wychowana, bym mogła powiedzieć coś takiego, prawda?

- Ale powiedziałaś. Przykro mi.

- Nie, musiałeś mnie źle zrozumieć. Proszę, Rohanie, pozwól mi ukraść trochę pieniędzy.

Wyjedziemy i nigdy już nie będziesz musiał się nami przejmować.

Przyjrzał się swemu paznokciowi, krótkiemu i wypolerowanemu. Chciał włożyć w nią palec, chciał... - Wiesz, Zuzanno, miłość fizyczna między kobietą a mężczyzną nie musi być okropna i krępująca. Nie rozumiem, dlaczego kochanie się miałoby być poniżające. Co tu poniżającego? Człowiek się poci, to prawda, ale to nie jest wcale takie okropne, kiedy cała rzecz sprawia ci przyjemność.

Patrzyła na niego, jakby właśnie wyrosło mu trzecie ucho. Znowu uniosła do góry podbródek. - Ponieważ niczego nie powiedziałam, nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

Podszedł do niej. Wziął ją za rękę i odciągnął od biurka. Przycisnął ją do siebie. Próbowala się wyrwać, opierając dłonie na jego piersi, lecz był silniejszy, a na dodatek zdecydowany. - Powiedz „tak”, Zuzanno.

Bez słowa wpatrywała się w jego szyję. Potrząsnęła głową.

Zaczął powoli głaskać dłońmi jej plecy, łagodnie, kojąco. - Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko powiesz „tak”.

W końcu podniosła oczy i spojrzała na dołek w jego brodzie. - Jesteś bardzo miły, pomimo swojej reputacji. Byłabym godną pożałowania kobietą, gdybym zgodziła się przyjąć twoją propozycję. Nie miałabym honoru. Twój brat uważał, że nie jestem warta nic ponad to, co może uzyskać ode mnie w łóżku, a i tego nie było zbyt wiele. Nie sądził, bym była warta więcej niż dziesięć funtów na kwartał. Czy na pewno nie chcesz się poświęcić, aby naprawić nierozważny czyn George'a?

ROZDZIAŁ 16

- Rzeczywiście, straszne mi poświęcenie.

- To poważna sprawa, Rohanie. George nie chciał mnie ani swojej córki. Nie byłyśmy dla niego dość ważne. Dlaczego miałbyś pragnąć czegoś, co zupełnie nie miało wartości dla twego brata?

- To, co zrobił George, było nikczemne. Nie miałem z tym nic wspólnego. Posłuchaj mnie, Zuzanno. Nie pozwolę, żebyś mówiła w ten sposób o sobie...

- Kiedy to prawda. Jestem mniej warta niż jakakolwiek kochanka. To fakt. Tylko dziesięć funtów za kwartał. Powiedz mi, ile wydajesz co kwartał na swoje kochanki? I czy jakakolwiek miała tyle szczęścia, by przetrwać choć trzy miesiące?

Chwyił ją za ramiona i potrząsnął. Popatrzył jej w oczy i powiedział powoli i wyraźnie: - Nie dam się sprowokować. Powtórzę ci jeszcze raz. Jesteś warta bardzo wiele. I nie waz się patrzeć na te przekłete pantofle. Spójrz na mnie! Już samo patrzenie na ciebie sprawia mi przyjemność. Przysłuchiwanie się, jak Marianna ssie palce też sprawia mi przyjemność. I to, jak Toby mówi mi, że nie ma na sumieniu żadnych dzikich wybryków. Jesteś inteligentną, czułą kobietą. Chcę, żebyś została moją żoną. Zestarzejmy się razem i miejmy tuzin dzieci!

- Mężczyzna o twojej reputacji nie chciałby mieć tuzina dzieci - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. A potem umilkła, twarz jej spochmurniała. - Aaa, rozumiem. Gdybym była nieustannie w ciąży, nie mogłabym mieszkać z tobą w Londynie i przeszkadzać ci szukać przyjemności gdzie indziej.

Powstrzymał gniew. Mężczyzna o jego reputacji powinien umieć zaakceptować właściwą ocenę swego charakteru. Jeden Bóg wie, ile się napracował, by ludzie wyrobili sobie o nim taką opinię. Odetchnął głęboko i powiedział spokojnie, lecz z wielką pewnością: - Mógłbym w ogóle nie jechać do Londynu. Spacerowałbym sobie po ogrodzie, poklepywał cię po brzuchu i opowiadał bajki mojemu dziecku. I pewnie ciągle miałbym na twarzy ten idiotyczny uśmiech świadczący o zadowoleniu.

- Nie zrozumiałaś mnie - powiedziała. Nadal wpatrywała się w jego twarz, a wszystko, co czuła, wyrażały jasno jej czyste rysy. - Jesteś uważany za wielkiego kobieciarza, mężczyznę o niezwykłych apetytach. Wszyscy podziwiają cię za to, tak jak podziwiali twego ojca i podziwiają matkę. Słyniesz jako znawca kobiet. George twierdził, że żaden mężczyzna nie cieszy się opinią tak wspaniałego rozpustnika. Śmiał się przy tym i zacierał dłonie. Teraz rozumiem, dlaczego się śmiał. Próbował ci dorównać. Zastanawiam się, czy na pewno byłam jego pierwszą kobietą. Nie, dość tego. Dlaczego, na miłość boską, miałbyś chcieć mnie poślubić i mieć ze mną tuzin dzieci?

- Czy uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział, że nic z tego, co o mnie mówią, nie jest prawdą?

- Nie.

- Czy widziałaś, odkąd tu przyjechałaś, bym pędził do jakiejś kobiety?

- Jestem tu dopiero niewiele ponad tydzień.

- Tak, ale mężczyzna o mojej reputacji musi mieć kobietę co najmniej dwa razy dziennie. Może

nawet nie tę samą kobietę. No, wiesz, jedna rano, druga wieczorem. Czy nie to właśnie słyszałaś?

Przełknęła ślinę. Trzeba przyznać, że nie owijał niczego w bawełnę. - A zatem postanowiłeś ograniczyć się ze względu na mnie, doceniam to. - Nagle jej oczy rozszerzyły się. - Żartowałeś, prawda? Dwa razy dziennie? To niewyobrażalne, to barbarzyństwo. I grzech. Nawet największy rozpustnik na świecie nie mógłby mieć tylu kobiet, by zmieniać je dwa razy dziennie.

Miał ochotę się roześmiać, ale nie zrobił tego. - Czy uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział, że już się wyszumiałem, że miałem tyle kobiet, iż starczyłoby dla dwunastu, i teraz gotów jestem się ustatkować i zadowolić jedną kobietą, a tą kobietą jesteś ty?

Na to nie mogła już tak szybko odpowiedzieć: nie. Mogła tylko wpatrywać się w niego bezradnie. - Ale dlaczego ja? Jestem nikim, mniej niż nikim. Jestem warta tylko dziesięć funtów na kwartał. I urodziłam już dziecko twemu młodszemu bratu. Dlaczego ja? Nie wolałbyś jakiejś dziewicy o świetnym pochodzeniu i równie świetnym majątku? Słyszałam, że rozpustnicy wolą dziewice, że zwykle...

- A gdzie to dowiedziałaś się tyle o rozpustnikach?

Zaczerwieniła się i było jej z tym bardzo ładnie. Zapragnął ją pocałować. Pragnął robić z nią o wiele więcej, lecz pocałunek wydawał się dobry na początek.

- Noo, chyba od pani Bingly, miejscowej szwaczki, która w młodości była pokojówką u pewnej damy w Londynie.

- No cóż, być może przeciętny rozpustnik i hulaka rzeczywiście wolałby dziewicę - powiedział, wyciągając ją z przepaści, w której zakopała się tak głęboko, że pewnie przebiłaby się na drugą stronę globu, gdyby tylko pozwolił jej dalej mówić. - Lecz ja nie jestem przeciętny. Ani trochę. I dlatego to, czego pragnę, musi się różnić od pragnień innych ludzi. A ja pragnę ciebie. I Marianny. I Toby'ego. Lecz będę szczery: ani trochę nie pragnę twego ojca.

Niełatwo było ją przekonać, gdy raz ugruntowała w sobie jakiś pogląd - musiał to przyznać. Jej dłonie ugniatały jego ramiona. Sprawiało mu przyjemność, że ona zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy. - Nawet nie spojrziałbyś na mnie po raz drugi, gdyby nie ta paskudna sytuacja. Nie spojrziałbyś na mnie, nawet gdybym przedefilowała przed tobą zupełnie naga.

Ich spojrzenia niemal się skrzyżowały, lecz Rohan nie był niedoświadczonym chłopcem. Ojciec zawsze powtarzał mu, że mężczyzna, który nie panuje nad swymi żądzami, niewart jest splunienia. - Nie liczyłbym na to zbytnio. Mówiłem ci już, że podoba mi się twój nos? Jest ładny, smukły i na samym koniuszku lekko zadarty.

Pocałował ten koniuszek. - Spojrzałbym na ciebie co najmniej trzy razy. Gdybyś przedefilowała przede mną naga, podziękowałbym Bogu za ten szczodry dar i natychmiast przerwał tę defiladę. Jesteś piękna, choć nie w zwykły sposób. Dlatego powinnaś mieć mężczyznę, który też nie jest zwyczajny. Wyjdź za mnie, Zuzanno. Nauczę cię czerpać z małżeństwa przyjemność. Wspólnie dowiemy się, co jest dla nas ważne, a co nie. Razem weźmiemy się za bary z życiem. Nie będę zawstydział cię w łóżku. Ani poniżał. Przysięgam ci, że jeśli będą jakieś jęki, to co najmniej połowa z nich dobiedzie się z twoich ust. Będziemy pocili się razem, Zuzanno.

Jego przekłety głos wstrząsał nią do głębi. Jego słowa, tak gładkie i brzmiące tak prawdziwie, kusiły, by w nie uwierzyć. Lecz ona została już oszukana. I to nie przez mistrza, jakim był baron, ale przez bardzo młodego mężczyznę, niemal chłopca. I nie sprawiło mu to większej trudności. Okazała się potwornie głupia i łatwowierna. Tak, szaleństwem byłoby mu uwierzyć. Nie mogła tego dłużej słuchać, nie potrafiła mu zaufać. Lecz on nadal trzymał dłonie na jej plecach, nie pozwalając jej się

odsunąć.

Kiedy się odezwała, miał ochotę złapać ją za gardło i potrząsnąć. - Musisz mnie wysłuchać - powtarzała nieskładnie. - Prędzej czy później mnie znienawidzisz. Mówiłam ci, że nie znoszę tych wszystkich rzeczy, które mężczyźni robią kobietom. Dla mnie są wstrętne, odrażające. Na samą myśl o nich robi mi się niedobrze. To okropne musieć rozbierać się w obecności mężczyzny, który ma prawo zrobić z tobą wszystko, co tylko sprawi mu przyjemność. Nie, nie narażę się na to nigdy więcej. Powiedziałam ci prawdę. Wiem, że te sprawy są ważne dla mężczyzn, może nie aż tak, by robić to dwa razy dziennie, przynajmniej jeśli chodzi o normalnych mężczyzn, ale są ważne, a skoro tak, to jak długo potrwa, zanim wrócisz do Londynu, żeby cieszyć się względami kobiety bardziej chętnej niż ja?

Drżała na całym ciele. Tak to jest, kiedy się ma opinię uwodziciela, pomyślał z goryczą.

- Mogę złożyć ci obietnicę. Przysięgę.

Pocałował ją przelotnie w usta.

Jego wargi były ciepłe. Zamrugła i spróbowała się odsunąć, lecz nie pozwolił jej na to.

- Jaką przysięgę? Jaką obietnicę? Nie lubię potu, a ty nie możesz przysiąc, że nie będziesz się pocił na mnie.

Nie wytrzymał, po prostu musiał się roześmiać. - Zobaczmy, co się da zrobić. Moja obietnica brzmi tak: najpierw musisz za mnie wyjść. Jeżeli potem zdecydujesz, że nie możesz znieść mnie jako mężczyzny lub moich wymagań, albo że nie odpowiada ci wspólne życie, pozwolę ci odejść. Lecz będzie chroniło cię moje nazwisko i do końca życia nie zabraknie ci pieniędzy. Marianna także zostanie zabezpieczona finansowo, będzie nosiła moje nazwisko, a kiedy nadejdzie czas, zajmie w towarzystwie właściwe jej miejsce. Nigdy niczego jej nie zabraknie. Dobrze wyjdzie za mąż. Dopilnuję tego. Zapewnię Tobie stosowne wykształcenie. Najpierw w Eton, potem w Cambridge. Z pewnością nie będzie to Oksford, obiecuję ci. Tak brzmi moja przysięga.

Boże, oferował jej cały świat. Dlaczego? A poza tym był jeszcze jeden problem, wcale nie małej wagi. - Ale ty musisz mieć dziedzica.

- Tak, to prawda, przyjemnie byłoby mieć także syna, skoro mam już córkę. Tak, Marianna zostanie moją córką. Będzie mówiła do mnie „tatusiu”. No cóż - następne słowa nie przysły mu łatwo - jeżeli zdecydowanie nie będziesz mogła mnie znieść, to trudno, obejdę się bez dziedzica. Nasz ród nie wymrze, mam przecież młodszego brata. Po mojej śmierci on przejmie tytuł.

- O, to nieuczciwe. Nie mogę się na to zgodzić. Ale jeżeli dam ci dziedzica, a potem zapragnę odejść, to co wtedy? Nie będę mogła zabrać ze sobą mojego syna.

Co za diabeł podsuwał jej coraz to nowe argumenty? A ten był już szczytem wszystkiego.

Jak dalece był pewny siebie? Nie, pytanie powinno brzmieć inaczej: jak mógł w ogóle zwątpić w swój dar przekonywania i swoje uwodzicielskie zdolności? Mężczyzna o jego reputacji nie powinien mieć żadnych wątpliwości.

- Jeżeli dasz mi dziedzica, a potem będziesz chciała odejść, będziesz mogła zatrzymać chłopca przy sobie, dopóki nie nadejdzie pora szkoły. Będę jednak obecny w jego życiu przez cały czas. Zgoda?

- Nie, to zbyt okrutne. Nie jestem potworem. Zapomnij o tym.

Pokonywały ją własne argumenty. Obserwowanie, jak Rohan się miota, mogłoby być nawet fascynujące, gdyby sprawa nie była aż tak poważna.

- Więc co sugerujesz? Nie, nic poza małżeństwem nie wchodzi w grę. Zapomnij o ucieczce z

Marianną i Tobym. Nie pozwolę na to. Ani na to, byś opuściła mnie z moim dziedzicem.

Przez chwilę zagryzała dolną wargę, zastanawiając się nad jego słowami. Była już prawie zdecydowana, wiedział o tym, ale do szału doprowadzał go wyraz zwątpienia w jej oczach. W końcu powiedziała dokładnie to, czego się spodziewał. - Wynika z tego, że nie mam innego wyjścia?

- Tak, coś w tym rodzaju.

- A zatem nie ma powodu, by się upierać. Przyjmuję twoją obietnicę. Na jak długo?

- Pięćdziesiąt lat.

Złapała go za szyję i zaczęła nim potrząsać. - Ze wszystkiego stroisz sobie żarty! Nie wzięłeś poważnie niczego, co powiedziałam! - Spojrzała mu w oczy. Były to piękne oczy, zielone niczym gęsta trawa na skraju ogrodów Mountvale.

Lecz co miały z tym wspólnego jego oczy? - Uważasz, że powody, dla których nie chcę cię poślubić, nie są poważne, prawda?

- Bo nie są. A masz jakieś poważne powody?

Zacisnęła dłonie na jego barkach i wbiła wzrok w krawat, delikatny, a zarazem doskonały - zupełnie jak jego właściciel. Tylko że ten właściciel był kobieciarzem. O Boże. Przełknęła ślinę. - Wydawało mi się, że kocham George'a.

Poczuł gwałtowny przyływ gniewu, który jednak zaraz minął. Nie było już George'a, a życie biegło dalej i niesło z sobą możliwość zmian. Dzięki Bogu, nic już nie było takie samo. Przyjął pozę odpowiedzialnego mężczyzny, którym w gruncie rzeczy był.

- Zuzanno, wiem, że mnie nie kochasz, przynajmniej jeszcze nie. Znasz mnie zaledwie od tygodnia. Ja też cię nie kocham. Jak którekolwiek z nas mogłoby wzbudzić w sobie głębokie uczucie zaledwie w tydzień?

- A zatem ma to być małżeństwo z rozsądku i wyrachowania, przynajmniej z mojej strony?

- Nie tylko z twojej. Mojej rodzinie bardzo zależy, aby ochronić reputację George'a, nie splamić honoru rodziny. Jeśli ktokolwiek poweźmie takie podejrzenie, dowie się bardzo szybko, że twoje małżeństwo było oszustwem. Ten fałszywy pastor, Bligh McNally, jest dobrze znany. Nie, to jedyne rozwiązanie. Ochronię w ten sposób George'a i honor rodziny. A ty naprawdę zostaniesz jedną z nas. Wszystko będzie znów, jak należy.

Uśmiechnął się do niej szeroko. - A ja będę miał córkę i syna, a jeśli będziesz chciała mnie zadowolić, to nawet sześciu synów.

- Pozwolisz mi odejść?

Przez chwilę sądził, że chodzi jej o to, co będzie za pięćdziesiąt lat. Lecz nie. Mówiła o dniu dzisiejszym, o tym, czy pozwoli jej zniknąć ze swego życia. Puścił ją, lecz nie odsunął się. - Nie.

Zaczęła przemierzać pokój długimi, powolnymi krokami, ze zmarszczonymi brwiami i wyrazem skupienia na twarzy. Zupełnie jak matka, pomyślał. Zuzanna nie była tak piękna jak ona, lecz miała w sobie jakiś tajemniczy urok, była w niej głębia i wewnętrzna kondensacja, która różniła ją od innych. Była jedyna w swoim rodzaju. Dla niego była wiele warta. A co go obchodzą inni? Po prostu jej pragnął. Przez chwilę rozmyślał o zrzędzeniach losu, a potem potrząsnął głową. Jakakolwiek była, pasowała do niego. Była kobietą, którą Bóg stworzył dla niego.

Przyglądał się jej usatysfakcjonowany. A ona dalej przemierzała pokój, zatrzymując się co jakiś czas, gdy nawiedziła ją jakaś szczególna myśl. Potem potrząsała głową, jakby pragnęła doznać oświecenia, i ruszała dalej. Dobrze, pomyślał, najwidoczniej zbija własne argumenty. Tym lepiej dla niego. Usiadł wygodnie w fotelu i odchylił głowę na oparcie. Obserwował, jak się porusza. Robiła

to z wielką gracją. Z pewnością nawet pocić się będzie przyjemnie.

Nagle odwróciła się i spojrzała mu w twarz. - Czuję to przez skórę. Z czego się śmiejesz?

- Gdybym ci powiedział, pewnie od razu pobiegłabyś do biblioteki, złapała tę paskudną chińską wazę i rozbiła mi ją na głowie.

- Na pewno przyszło ci na myśl coś obrzydliwie męskiego.

- Nie mylisz się.

Usiadła i poprawiła wokół siebie spódnicę. Nie zauważył przedtem, że znowu miała na sobie jedną z trzech brzydkich sukienek, bladoszara i zupełnie wyblakła. Paskudztwo było zapięte niemal pod brodę. A na dodatek źle uszyte. Tkanina, puszczone luźno od piersi, nie została związana wstążką, co podkreśliłoby jej figurę, a płaski stanik bezkształtnie zakrywał piersi. Bezsilnie załamywała dłonie. Uniósł brwi.

- Odezwij się do mnie, Zuzanno.

- Ciągle myślę o tej sprawie z dziadkiem. Żeby zajść w ciążę, będę musiała pozwolić ci robić te wszystkie rzeczy - i to Bóg wie, jak długo.

- Te rzeczy to kochanie się, przynajmniej tak będą się nazywały dla nas. Szkoda, że nie wiesz, o co tu chodzi. Ale uwierzysz, zaufaj mi.

- Kochanie się? - powtórzyła cierpko. - To jakiś wynalazek, wymyślony dawno temu przez mężczyzn, by bałamucić kobiety.

- Wcale tak nie uważam. Ale nie jestem ekspertem od starożytności, moja opinia może więc nie być miarodajna.

Gdyby miała pod ręką tę chińską wazę, z pewnością rozbiłaby mu ją na głowie. - I nie ma żadnej gwarancji, że za pierwszym razem urodzi się chłopiec. Być może będę musiała to znosić latami, nim w końcu spłodzisz dziedzica.

- To prawda. - Ich spojrzenia omal się nie skrzyżowały. - Podoba mi się myśl, że najpierw urodzisz pięć dziewczynek. Nie wpadaj w panikę, Zuzanno, to nie będzie trwało aż tak długo, jeżeli nie będziesz chciała. Najwyżej jakieś dwadzieścia lat.

Zuzanna się wzdrygnęła.

Co ten idiota George jej zrobił? - myślał Rohan. Przecież wiedział, o co chodzi. Wielu mężczyzn nie miało pojęcia o tym, czego potrzeba kobiecie, wielu miało potrzebną wiedzę, lecz nie zależało im, by się nią posługiwać. On sam uważał, że każdy mężczyzna powinien zostać poddany rygorystycznemu treningowi, by się nauczyć, jak dać zadowolenie kobiecie. Ojciec zadbał o to, by wszyscy jego synowie znali sztukę kochania.

Miał czternaście lat, gdy jego rodzic zatarł dłonie, poklepał go po ramieniu i zaprowadził do swojej najbardziej utalentowanej przyjaciółki, Marie Claire, młodej Irlandki z Wexford, która przez następne pół roku dawała mu po trzy lekcje tygodniowo. Co prawda, jak przyznała po latach, po trzech tygodniach nie potrzebował już żadnych lekcji, ale kochanie się z nim sprawiało jej wielką przyjemność, a poza tym, wyznała ze śmiechem, ojciec Rohana płacił jej niezłą sumkę za kształcenie syna w sztuce miłości. Spróbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek czuł się skrepowany przy Marie Claire. Chyba nie.

Nadal widywał się z nią od czasu do czasu. Była wspaniałą przyjaciółką. Po śmierci ojca tak cierpiała, że Charlotta odwiedzała ją niosąc słowa pocieszenia. I, prawdę mówiąc, obie kobiety bardzo się zaprzyjaźniły.

George i Tibolt też przeszli stosowne przeszkolenie. Nie było powodu, by George zachowywał

się jak nieudolny nowicjusz. Co prawda nie pobierał nauk u Marie Claire, ale z pewnością ojciec zatroszczył się, by była to odpowiednia kobieta. A jednak George postąpił jak prostak. Dlaczego? Musiał być jednym z tych mężczyzn, którzy ani trochę nie dbają o rozkosz kobiety. Rohan zupełnie nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Zuzanna podjęła inny temat: - Moja matka była córką szlachcica, który był w służbie Jerzego III w koloniach i za jakiś uczynek został nagrodzony szlachectwem. Jeśli chodzi o mego ojca, to był drugim synem, na wpół Irlandczykiem i do tego bez grosza przy duszy. Dziadek wydziedziczył matkę, kiedy za niego wyszła. Widzisz więc, że moich przodków dałoby się zaakceptować tylko przy dużej dozie dobrych chęci.

- Rozumiem, więc twoja rodzina nie wywodzi się od Wilhelma Zdobywcy?

Zmarszczyła brwi. - Nie mam zielonego pojęcia. A przecież powinnam to wiedzieć, prawda? Mogłabym napisać do dziadka. Nie znam go co prawda, ale być może nie będzie chciał mnie karać za to, co moja matka zrobiła przed tylu laty. Mama zwykle mawiała, że wśród wszystkich dżentelmenów nosił najbardziej wykrochmalone krawaty. Śmiała się, że z łatwością mógłby sobie odciąć nimi głowę. Może dlatego nie mógł spojrzeć w dół i przyjrzeć się swojej córce. Wątpiła też, czy kiedykolwiek widział ją inaczej niż ze sporej odległości.

- To brzmi bardzo dziwnie. Być może jacyś twoi przodkowie mają jakiś związek z kijami do palanta... - Uniósł dłonie. - Nie, nie, daj sobie spokój z tą wazą! No dobrze, znalazłem sposób, byś czuła się mniej winna z powodu swego nie najlepszego pochodzenia. Obniżę ci kwartalną pensję i w ten sposób powetuję sobie twoje braki.

- Napiszę do mego dziadka - powiedziała stanowczo. - W moim drzewie genealogicznym musi być coś, co pozwoli ci z większym szacunkiem myśleć o moich przodkach. - A potem, ku jego zadowoleniu, opuściła głowę i wyszeptowała: - Nie chcę, żebyś się za mnie wstydził.

Wszystko wskazywało na to, że była bliska podjęcia decyzji. Znakomicie. - Kim jest twój dziadek?

- To sir Francis Barrett z Coddington w Yorkshire.

- To niezłe nazwisko. Zobaczymy. Wymyśliłaś jeszcze jakieś udręki?

- Sądzę, że nie zamierzasz powiedzieć matce prawdy.

- Już to zrobiłem. Z mamą nie tak łatwo sobie poradzić. Obudziła mnie dziś rano przed szóstą i w pół godziny wyciągnęła ze mnie całą prawdę.

Uświadomił sobie, że matka dała mu zarazem do ręki wspaniałą broń, ostateczny argument, który powinien zamknąć sprawę. Przez chwilę przyglądał się swoim paznokciom, a potem uśmiechnął się do Zuzanny. - Matka uważa, że powinniśmy pobrać się jak najszybciej. Prawdę mówiąc, natychmiast. To, co zrobił George, oczywiście bardzo ją zmartwiło, ale uważa, że przede wszystkim należy chronić ciebie i Marianne, a małżeństwo ze mną to najlepszy sposób. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - Widzisz, Zuzanno, moja matka nie tylko zawsze wie, co jest właściwe, lecz doskonale orientuje się, kiedy nadchodzi czas, by wygzekwować to, co wydaje się jej niezbędne.

Zuzanna westchnęła głęboko.

- Nasz ślub jest niezbędny. Westchnęła jeszcze raz, tym razem głębiej.

Jest moja, pomyślał.

ROZDZIAŁ 17

Bardzo skromnego ślubu udzielił im wielebny Byam, pastor o pięknej siwej głowie i głębokim, dźwięcznym głose, od lat wspomagany finansowo przez rodzinę Carringtonów. Pastor był uosobieniem dyskrecji, jak ognia unikał plotek i rzadko rzucał gromy na swoją trzódkę. Lubił barona pomimo jego reputacji. Mały salonik probostwa został ładnie udekorowany przez Charlotte. Pastor rozumiał konieczność zachowania dyskrecji, nawet przed służbą. Dlatego ślub wyznaczono na niedzielny wieczór, kiedy wszyscy parafianie zazwyczaj siedzieli bezpiecznie w domach, spokojni, że wypełnili swoje cotygodniowe religijne obowiązki.

Pastor Byam poklepał Toby'ego po ramieniu i szepnął mu do ucha w przelocie: - Twoja siostra jest śliczna. To wielki dzień dla Carringtonów. Pomyśl tylko, nasz baron się żeni!

- Tak, właśnie - wtrącił Rohan. - Podoba się pastorowi moja wybranka?

- Bardzo, milordzie. Obawiałem się, że ożeni się pan gdzieś na Hanover Square w Londynie i nawet nie będzie mnie przy tym. Tymczasem rzeczywistość przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Zachowamy wszystko w głębokiej tajemnicy. Jestem pewien, mój chłopcze, że twój drogi ojciec, kiedy już otrząsnąłby się z szoku, z pewnością pochwaliłby twoje postępowanie. Jesteś dobrym i szczodrym człowiekiem. A teraz, milordzie, lepiej udzielę wam tego ślubu, zanim panna młoda umknie nam sprzed ołtarza.

I rzeczywiście, Zuzanna wyglądała tak, jakby lada chwila miała unieść spódnicę i czmychnąć. Rohan stanął więc szybko obok niej i mocno ujął jej dłoń. Była to bardzo zimna i wilgotna dłoń.

Zuzanna, nie bez udziału matki Rohana, była ubrana w bladożółtą jedwabną suknię, obramowaną wokół stanika i skraju spódnicy jaśniejszą koronką. Podobna w odcieniu wstążka opasywała jej tors poniżej biustu. Wytworną fryzurę zdobiły zbliżone kolorystycznie wstążki. Wyglądała olśniewająco.

Rohan przełknął ślinę. Zauważył, że jest bardzo blada.

Uśmiechnął się do niej. Dostrzegł czujność i malujące się na twarzy napięcie i zaczął modlić się w duchu, aby wytrzymała do końca ceremonii. Był to jej drugi ślub z Carringtonem. Tyle że ten był prawdziwy. Charlotta zorientowała się, że Zuzanna nadal nie jest przekonana o słuszności swojej decyzji, toteż postarała się tak ją zająć, że dziewczyna z trudem znajdowała czas, by głębiej odetchnąć, a co dopiero mówić o zastanawianiu się nad tym, do czego się zobowiązała.

Rohanowi zdawało się, iż pastor zapytał niemal od razu, czy panna młoda chce wziąć jego, barona Mountvale, za męża. Lata służby duszpasterskiej przekonały go, że nie ma sensu przedłużać ceremonii, zdarzało się bowiem, iż pod wpływem napięcia panna młoda mdlała i padała jak martwa na posadzkę lub uciekała z kościoła. Rozpoczęcie ceremonii od przysięgi na ogół zapobiegało takiemu rozwojowi wypadków. Mimo to zarówno on, jak i Rohan odetchnęli z ulgą, gdy na pytanie pastora Zuzanna bez wahania odpowiedziała: „tak”. I głośno przełknęła ślinę.

I w pięć minut było po wszystkim. Rozpromieniony pastor Byam, składając im gratulacje, powiedział: - Udzielenie wam ślubu sprawiło mi wielką przyjemność, milordzie i milady. Droga lady Charlotta postarała się o szampana, abyśmy mieli czym wznieść toast. Lecz najpierw, milordzie,

może pan pocałować pannę młodą.

A zatem jestem mężatką, pomyślała Zuzanna, wpatrując się w bardzo stary pierścień ze szmaragdami i diamentami, który, jak jej wyznał Rohan, pozostawał w rodzinie Carringtonów od siedemnastego stulecia. Wyszła za mąż po raz drugi, tyle że tym razem ślub był prawdziwy, a jej mąż - jej prawdziwy mąż - był człowiekiem bardzo miłym i dobrym. Wiedziała o tym na pewno.

Lecz miał opinię jednego z najbardziej chutliwych mężczyzn w Anglii! Kochać się dwa razy dziennie! Coś podobnego! To niewyobrażalne. Z pewnością nie będzie oczekiwał tego od niej, nie, na pewno nie. Była jego żoną, nie kochanką. Mężczyźni nie robią tego z żonami, kiedy one zajdą już w ciążę. George nie zmuszał jej do niczego, odkąd została poczęta Marianna. A nawet wtedy, gdy dziecko przyszło na świat. Zuzanna miała nadzieję, że kochanki zarabiają mnóstwo pieniędzy. Może nawet żądają za swoje usługi opłaty. Wiedziała, że robią tak prostytutki, więc dlaczego nie kochanki? A może kochanki omawiają warunki od razu na początku, biorąc pod uwagę, ile razy dziennie lub w tygodniu mężczyzna będzie chciał to z nimi robić? Tak, to brzmiało rozsądniej.

- O czym myślisz Zuzanno? Masz takie nieobecne spojrzenie. I przyśpieszony oddech. Wyglądasz, jakbyś była gotowa stąd odlecieć, gdy tylko trafi się jakaś miotła.

- Ręczę ci, że nie chciałbyś wiedzieć.

- Powiesz mi o tym później, bo teraz przede wszystkim mam ochotę cię pocałować. - Pochylił się ku niej, ale Zuzanna odsunęła się szybko i powiedziała: - Mówiłeś, że jeśli ktokolwiek powieźmie jakieś podejrzenia, będzie mógł sprawdzić, że moje poprzednie małżeństwo było oszustwem. A czy taki ktoś nie może wypytać pastora Byama i dowiedzieć się, że dopiero co wzięliśmy ślub? Nie pomyślałam o tym wcześniej. Boże, wszystko na nic. Rohan, to...

- To już się stało - powiedział i pocałował ją. A potem zapewnił z ustami tuż przy jej ustach: - Pastor Byam przyrzekł, że nikomu o tym nie powie, choćby mu wrywano paznokcie. Jesteś teraz moja, Zuzanno. Zgodnie z prawem. Nasz sekret jest bezpieczny.

Jest jego. Zamknęła oczy, gdy pocałował ją ponownie. Był to delikatny pocałunek, jakby na próbę.

Nie próbowała się odsunąć. Wiedziała, że gdyby to zrobiła, oboje poczuli by się zakłopotani. Stała spokojnie, pozwalając mu się całować, podczas gdy jego dłonie spoczywały lekko na jej ramionach.

Nie było to wcale takie nieprzyjemne. Prawdę mówiąc, poczuła nawet, że jakieś nowe, podniecające uczucie rodzi się w głębi jej brzucha. Bardzo dziwne uczucie, które zniknęło natychmiast, gdy przestał ją całować.

Uśmiechnął się do niej i dał jej lekki prztyczka w nos. - Dobrze się spisałaś. Wprawdzie twoje „tak” było nieco przerażone, lecz powiedziałaś je bardzo szybko. Jestem z ciebie dumny. A teraz, lady Mountvale, napij się pani szampana?

Skinęła głową. Lady Mountvale. Tym razem wszystko działa się naprawdę. Zobaczyła, jak pastor Byam śmieje się z czegoś, co powiedziała Charlotta, a Toby bawi się ze starym terierem Byama, Bushym. Powoli odwróciła się od niego. Od swego męża.

Jeszcze dwa tygodnie temu pracowała w swoim ogródku z rękami brudnymi jak święta ziemia, zamartwiając się o pieniądze, o swoje kwiatki, o ojca, bez końca się o coś martwiąc. Lecz była panią swego losu. Była odpowiedzialna za Toby'ego i Marianne, a także za ojca. I nie musiała z nikim sypiać.

A teraz była damą bez żadnych kłopotów finansowych. Musiała tylko złożyć przysięgę

mężczyźnie, którego ledwo знаła. Teraz należała do niego, był za nią odpowiedzialny. Wydawało się, że nie bardzo skorzystał na tej transakcji, a jednak się uśmiechał. Wydawał się całkiem zadowolony. Dlaczego? Nie tylko przysporzyła mu obowiązków, lecz także naraziła go na niebezpieczeństwo. Czyżby był szalony, skoro wyglądał na szczęśliwego?

Nie była tak naiwna, by sądzić, że naprawdę mu się podoba. Pewnie uznał, że jest niebrzydka, i to wszystko. Przez całe życie otaczały go piękne kobiety. Nie, uratował po prostu honor rodziny. Poza tym wszystko, co jej powiedział... nie, nie mogła sobie pozwolić, by w to uwierzyć.

Wręczył jej kieliszek, a potem odwrócił się i głośno wznosił toast: - Za moją piękną pannę młodą, Zuzannę Carrington, która uczyniła mnie szczęśliwym.

- Patrzcie, patrzcie - dobiegło ich od strony Toby'ego, który właśnie spróbował szampana, zaserwowanego mu przez jego boginię, Charlotte.

Opuścili probostwo wkrótce potem. Przez chwilę przyglądali się, jak pastor gasi świece, pogrążając domostwo w ciemności. Światło świec było nie tylko przyjemne dla oka, ale i praktyczne. Rohan nie życzył sobie, aby ktokolwiek, kto ich przypadkiem zobaczy, zaczął się zastanawiać, co tam robili. - Już po wszystkim - powiedział, wsiadając do powozu. - I co o tym sądzisz, mamó?

- Uważam, kochanie, że doskonale to zniósłeś. Wspaniała robota, warta twego zacnego ojca. Na pewno byłby zadowolony, gdyby znał Zuzannę i Toby'ego, że nie wspomnę o małym łobuziaku.

- Marianna łobuziak - powiedział Toby i ziewnął. - Podoba mi się.

- Tak, rzeczywiście dobrze to zniósłem. Musimy pamiętać, że po prostu przyjęliśmy zaproszenie pastora na obiad. Wspaniały obiad, co do tego wszyscy z pewnością się ze mną zgodzą. Trochę to niezwykle, ale nie tak niezwykle, jak spojrzenie, którym obrzucił mnie Fitz, kiedy mu o tym powiedziałem. To spojrzenie mówiło wyraźnie: wiem, że coś knujesz. Zuzanno, nie wolno ci podskakiwać, ilekroć ktoś ze służby nazwie cię milady. Teraz naprawdę nią jesteś. Skończyło się udawanie. To wszystko dzieje się naprawdę. Zgoda?

Wzdrygnęła się, odpędzając od siebie myśl o tym, co zdarzyło się przed chwilą i kim się dzięki temu stała. A zwłaszcza kim się nie stała. Zamiast* tego odchrząknęła i powiedziała: - Ozzy obiecał, że przyniesie mi jutro mojego kociaka.

- Wydaje mi się, że comiesięczny wyścig ma się odbyć w przyszłą sobotę. Może nas tu nie być.

Nas. Czyżby zamierzał zabrać ją ze sobą do Oksfordu?

Pobiegła spojrzeniem ku jego twarzy. Uśmiechnął się do niej szeroko, lecz nie powiedział nic więcej.

- Powiedziałem matce, aby trzymała Sabinę z daleka od ciebie.

Odwróciła się powoli. Wszystkie jej rzeczy zostały przeniesione do apartamentów barona, on sam zaś właśnie wchodził do jej sypialni przez drzwi łączące oba pokoje. Miał na sobie stary błękitny szlafrok, najwidoczniej sobie go upodobał. Wiedziała, że pod szlafrokiem jest nagi. Wydawał się jednak taki swobodny, że trudno jej było czuć się zagrożoną.

- Dlaczego nie miałabym korzystać z jej pomocy? Nadal miała na sobie piękną suknię Charlotty.

- Odwróć się - powiedział. - Pomogę ci się rozebrać.

- Dlaczego?

- Co? Ach, Sabina. - Wpatrywał się w jej nagi kark, gdzie kilka niedbałych loczków wiło się wokół jasnej skóry. Jego opalone palce odbijały ciemno od tej białej skóry. - Sabina dawałaby ci rady albo wmawiałaby ci, że nie będziesz umiała mnie zadowolić.

Co takiego?

No cóż - powiedział powoli, przerywając, by ucałować jej kark. - Podobam się jej i, krótko mówiąc, chętnie zaciągnęłaby mnie do łóżka.

Zesztywniała bardziej niż młody dębczak, który posadził w zeszłym roku na miejsce obumarłego klonu w dolnym ogrodzie.

Pocałował skrawek ciała, który właśnie odsłonił i rozpiął następny mały guziczek. Chyba nie zdawało mu się, że zadrżała. Trochę, lecz wystarczająco, aby zachęcić go do dalszych działań. Nigdy oczywiście nie pójdę do łóżka z nikim spośród służby. Tego się nie robi.

- Oczywiście? Nawet jeśli pokojówka jest ładna, a na dodatek jest Francuzką?

- Och, to, że jest Francuzką, nie ma z tym wiele wspólnego. Angielskim damom sprawia przyjemność nazywanie Francuzek dziwkami. To nieprawda i angielskie damy dobrze o tym wiedzą. To po prostu taka rola, którą uwielbiają grać.

Odpiął następne trzy guziki. Widział teraz jej koszulę, z pewnością także należącą do jego matki. Uszyta z bladożółtej koronkowej tkaniny stanowiła istną ucztę dla zmysłów.

Delikatnie zsunął jej suknię z ramion, lecz nie zdejmował rękawów. Po prostu zostawił ją tak, skrepowaną własną garderobą niczym więzień. A potem delikatnie, jedno po drugim zsunął jej cienkie ramiączka koszulki i ucałował każdy skrawek ciała, skrywany przedtem przez cieniutkie wstążeczki.

- Rohan?

- Hmmm?

- Gdybyś rozpiął jeszcze kilka guzików, to resztą mogłabym zająć się sama.

- Nie.

- Nie mogę się ruszyć. To całowanie po całym ciele bardzo mnie rozprasza.

Chciał jej powiedzieć, że całowanie jeszcze nawet się nie zaczęło, lecz zmilczał. Nie chciał jej spłoszyć. - Nie lubisz, jak cię całuję?

Chwila bolesnej ciszy, a potem: - Nie jest tak źle. Prawdę mówiąc, to nawet dosyć przyjemne, lecz denerwuję się, bo wiem, do czego to prowadzi. Do tych innych rzeczy, które są po prostu okropne.

- Hmm - powiedział tylko, kiedy ramiączka koszuli znalazły się w okolicy jej łokci. Zdjął jej koszulę. Niestety, bielizna nie dała się opuścić poniżej pasa. Ale to mu wystarczy, przynajmniej na razie. Otoczył ją ramionami i nie dotykając jej biustu, zsunął koszulkę do pasa.

Westchnęła gwałtownie i odsunęła się. Zwrócona do niego twarzą, desperacko próbowała wciągnąć na ramiona koszulkę i suknię, ale nie mogła dać sobie rady. Skrzyżowała więc tylko ręce obronnym gestem, żeby zasłonić piersi.

- Wyglądasz prześlicznie.

Potrząsnęła głową. Cofnęła się o krok, potem o drugi.

- Nie mam zamiaru cię zgwałcić, Zuzanno. Plecami niemal opierała się o ścianę. Uśmiechnął się do niej i podszedł bliżej bez słowa. Gdy stał już obok niej, powiedział: - Chcę tylko otoczyć cię ramionami. Opuść ręce. Nawet nie spojrzę na twoje piersi. Nie będziesz musiała się wstydić. Podejdź bliżej i pozwól mi cię przytulić. Niczego więcej nie pragnę.

Cóż za gigantyczne kłamstwo, pomyślał. Lecz kogo to obchodzi?

Nie poruszyła się. Ujął ją za nadgarstki i z wolna opuścił jej ręce tak, że zwisały swobodnie wzdłuż boków. Nie patrzył w dół. Najważniejsze to patrzeć jej cały czas w oczy, napominał sam siebie. Potem przyciągnął ją powoli i objął ramionami. Uczucie było niewiarygodne. Teraz dzieliła

ich od siebie już tylko tkanina szlafroka, lecz to nie miało znaczenia. Czuł miękkość jej ciała, delikatnie poddającego się uściskowi. Żałował, że nie może zerwać z siebie tego przekłętego szlafroka, by poczuć wreszcie jej piersi na swoich. Zadrżał na samą myśl.

- Pocałuj mnie, Zuzanno. Tylko taki mały pocałunek, żeby pokazać mi, że się nie tak bardzo boisz. I że się cieszysz, że jesteś moją żoną.

Zamknęła oczy i zacisnęła usta.

Wpatrzył się w te zaciśnięte usta. Czy George nawet nie całował jej jak należy? Poczul nagły przypływ pogardy, ale niemal natychmiast zastąpiło go uczucie głębokiej ulgi. Dotknął jej ust czubkiem palca.

- Otwórz troszkę usta i lekko ugryź koniec mojego palca. Nie mocno, tylko lekko ściśnij zębami.

Otworzyła szeroko oczy. - Po co?

- Nie, nie tak szeroko. Tylko na tyle, byś mogła uchwycić zębami koniuszek mego palca. Po co, pytasz? No cóż, chyba nie będzie to dla ciebie niemiłe, a mnie sprawi przyjemność. - Czubkiem palca przesuwał powoli po jej dolnej wardze, leciutko, delikatnie. Aż wreszcie zamknęła znów oczy, rozchyliła lekko usta i ugryzła go.

Nie było to lekkie szczygnięcie. Ale nie zaczął też krwawić. Roześmiał się. - Niech będzie na początek. A teraz trochę delikatniej. Nie do krwi, zgoda?

Położył palec na jej ustach i czekał. W końcu rozchyliła wargi. Co prawda nie dość szeroko, ale, jak powiedział, na początek dobre i to.

- Jeszcze trochę, Zuzanno.

Zrobiła to, o co ją prosił. Poczul nagły skurcz przyjemności. Ciekawe, czy ona też to czuje, pomyślał. A potem, ku jego zdumieniu, Zuzanna zaczęła ssać koniec jego palca. Pomyślał, że chyba zaraz umrze. Spojrzał na swój palec w jej ustach i o mało nie padł z wrażenia.

Jego nagła sztywność i szklisty wzrok nie uszły jej uwagi, bo natychmiast wypuściła palec z ust.

- O to ci chodziło?

Jej usta były teraz wilgotne. Z najwyższym trudem powstrzymywał się, by na nie nie patrzeć. - To był tylko początek - powiedział. - A teraz chciałbym cię pocałować. Nic wyuzdanego, Zuzanno, nic, co wprowadziłoby cię w zakłopotanie, po prostu mały pocałunek, lecz chciałbym, byś nieco rozchyliła usta, tak jak wtedy, gdy przygryzałaś mój palec.

Nie dał jej czasu na protesty, po prostu pochylił się i odnalazł wargami jej usta. - Rozchyl wargi - powiedział. I rozchyliła je, lecz tylko trochę. Powoli, ostrożnie przesunął językiem po jej dolnej wardze, a potem delikatnie wsunął go jej w usta.

Podskoczyła, naciskając dłońmi na jego pierś. Nie mogła się jednak odsunąć, ponieważ była naga do pasa. Dostrzegł tę rozterkę w jej oczach - pięknych i jakże wyrazistych.

Przesuwał dłońmi w górę po jej plecach, aż sięgnął ucha. Odsunął jej włosy, spojrział na ucho, pochylił się, pocałował je, a potem powoli pociągnął za płatek ucha. Kiedy przeciągnął językiem po linii małżowiny, znów drgnęła, lecz tym razem chyba z zaskoczenia. A może z zainteresowania?

- Po co to robisz? - Jej głos, ciepły i miękki niczym dym, owionął mu szyję.

- Nie sprawia ci to przyjemności?

- Sama nie wiem. Jest dziwne. Twój język... nie przypuszczałam, że język może być taki ciepły i, no cóż, to też jest trochę pobudzające. Tak samo się czułam, gdy całowałeś mnie po ceremonii.

Pobudzające. To zbyt wielkie słowo na to, co w swojej niewinności zrobiłem. - Ale nie było to wcale niewinne. Zamierzał ją uwieść. Jego oddech szeptał jej do ucha. Przywarła do niego, wbijając

palce w jego ramiona.

Jego stan był żalospny. Uwodzenie to niełatwy proceder, a powodzenie osiąga się za pomocą drobnych kroczków. Puścił jej ucho i zanurzył dłonie we włosy. Wyciągnął szpilki i rzucił je na podłogę. Przez chwilę masował głowę Zuzanny, ciesząc się jej bliskością i czuł, że się rozluźnia. Począł owijać pasma jej włosów wokół swojej dłoni, podziwiając ich gęstość i miękkość. Wargi jego poszukały jej ust i tym razem rozchyliła je dla niego.

Jęknął prosto w te rozchylone usta. Nie miał takiego zamiaru, a jednak uczynił to. Jej ciepło, nagłe oddanie i uległość - to było dla niego zbyt wiele. Dla niej najwidoczniej także. Odsunęła się gwałtownie, zasłaniając dłońmi piersi, bielsza niż księża koloratka. Zobaczyła, że wpatruje się w jej piersi, i prześliczny rumieniec zalał jej twarz falą aż po linię włosów.

Przestraszył ją. I wprawił w zażenowanie.

Cholera!

Uśmiechnął się do niej łobuzersko, modląc się, by nie spojrziała na dół jego ciała, wówczas bowiem od razu wiedziałaby, jak bardzo jest gotowy, by rzucić ją na łóżko i natychmiast w nią wejść. Lecz nie zrobiła nic takiego. Po prostu wpatrywała się w niego, śmiertelnie przerażona, niezdolna się poruszyć ani odezwać.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem - udało mu się w końcu wykrztusić. - Rozchyliłaś dla mnie usta i sprawiło mi to taką przyjemność, że nie zdołałem się powstrzymać. Ten jęk był naturalnym następstwem tego, co zrobiłaś wcześniej. Nie miałem zamiaru wydawać takiego odgłosu. Po prostu stało się. Lecz jeden jęk to chyba nic tak bardzo okropnego, prawda?

Poruszyła grdyką i potrząsnęła głową. - Jeżeli się odwrócisz, pomogę ci zdjąć suknię. Słyszac, jak z przerażeniem wciąga powietrze, dodał szybko: - Chciałem powiedzieć, że uwolnię cię od sukni, żebyś mogła włożyć nocną koszulę. Nie zrobię nic na siłę, Zuzanno.

ROZDZIAŁ 18

Odwróciła się do niego plecami. Zapatrzył się na to białe ciało, które zadrżało lekko pod jego dotykiem. Odpiął pozostałe guziki, a potem pomógł jej uwolnić ramiona. Mogła teraz naciągnąć z powrotem suknię na piersi. Niedobrze.

- Pamiętasz, Zuzanno, obiecałaś mi pięćdziesiąt lat.

- Nie, nie zgodziłam się co do szczegółów. Prawdę mówiąc, nie bardzo pamiętam, co w końcu ustaliliśmy. Chodziło o dziedzica?

- Dziedzic to dopiero początek. Zajmie nam jakieś dziesięć lat.

- Jak to możliwe? W ciążę z Marianną zaszłam niemal od razu. - Odwróciła się do niego twarzą, bardziej spokojną teraz, gdy suknia bezpiecznie zakrywała jej piersi. Poczula się pewniej, kiedy je zasłoniła.

- No cóż, nie ma mowy, żebym robił ci co roku dziecko, Zuzanno. Nie chcę, by moja żona rozchorowała się albo zmarniała wskutek zbyt wielu porodów. Nie chcę, żebyś zestarzała się przed trzydziestką.

Zbyt często widywałem takie kobiety. Tobie się to nie zdarzy. Nie, zajdziesz w ciążę, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila. Nie jestem zwierzęciem i nie zamierzam ryzykować twojego życia.

- Powiedziałeś przecież, że chcesz mieć dwanaścioro dzieci.

Uśmiechnął się do niej, lekko dotykając jej nosa czubkiem palca. - Zobaczymy.

- Masz zamiar trzymać mnie blisko siebie, nawet kiedy nie będziesz mnie używał?

- Co za dziwaczne określenie... Przez używanie rozumiesz zapewne kochanie się? Oczywiście, że tak. Zapamiętaj sobie, będziemy kochali się aż do zupełnego wyczerpania, aż mokrzy od potu nie będziemy w stanie zrobić nic więcej, jak tylko rozanieleni uśmiechać się do siebie. Są sposoby, aby kobieta nie zaszła przy tym w ciążę, a ja zamierzam się nimi posłużyć. A co do dzieci, to zobaczymy. Razem postanowimy, ile ich chcemy mieć. Z pewnością nie będziesz cały czas chodzić w ciąży.

- Moja matka zmarła w połogu. Byłam wtedy małą dziewczynką. Mimo to umarła.

- Ty nie umrzesz. Nie dopuszczę do tego. No, jak dotąd radziłaś sobie całkiem dobrze. Zostawię cię teraz, byś mogła się przebrać w nocną koszulę. Przyjdź do mnie, gdy będziesz gotowa.

- Nie wiem, czy tego chcę.

- Powiedziałem ci, że nie będę cię zmuszał. Byłoby mi miło, gdybyś wreszcie w to uwierzyła. Ale chcę ci powiedzieć, że skoro już jesteś moją żoną, będziesz sypiała przy moim boku, dopóki nie wyniosą nas obojga nogami do przodu.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w swoje pantofle. Potem uniosła gwałtownie głowę i krzyknęła: - Próbujesz mnie zwieść! Jesteś dla mnie miły, żeby mnie zwabić, a kiedy już będę spała, zrobisz ze mną, co zechcesz i nie będę mogła cię powstrzymać. Po raz pierwszy poczuł, jak z jej powodu ogarnia go ślepa furia. Miał ochotę potrząsać nią, aż zacznie błagać o litość, ale nie zrobił nic takiego. Został tam, gdzie stał, z rękami zwisającymi swobodnie. Potem wzruszył ramionami, odwrócił się i odszedł do swojej sypialni. Po chwili usłyszała jego spokojny głos: - Masz dziesięć

minut.

I rzeczywiście odczekał dokładnie dziesięć minut. Ani śladu Zuzanny. Prawdę mówiąc, spodziewał się, że przyjdzie. Był zdumiony. Spodziewał się, że go posłucha, ponieważ była kobietą, która dotrzymuje obietnic. Wprawdzie nic mu nie obiecała. Nic, oprócz posłuszeństwa, pomyślał. A może nie słyszała, co mówił do niej podczas ceremonii pastor Byam. Tak, spodziewał się, że kiedy minie dokładnie dziesięć minut, Zuzanna wśliźnie się przez drzwi łączące obie sypialnie ze spuszczoną głową, śmiertelnie przerażona i gotowa uciec z byle jakiego powodu. Jednak Zuzanna nie przysłała. Zaskoczyła go. Musiał się uśmiechnąć, bo od dawna żadnej kobiecie nie udało się go zaskoczyć. Pytanie tylko, co ma teraz zrobić?

Nie miał specjalnego wyboru. Otworzył drzwi do jej pokoju i spostrzegł, że jest pogrążony w ciemności. - Zuzanno? Żadnej odpowiedzi. Podeszedł do łóżka. Było puste. Nie czuł się zbyt pewnie. W końcu to jego noc poślubna. Postanowił, że nie będzie się kochał z żoną. Okazał się więcej niż wyrozumiały. A jednak wprawił ją w zmieszanie, choć wiedział, że to, co robił, było dla niej czymś nowym i niespodziewanym. Mimo to jego pieczyoty sprawiały jej przyjemność. A potem jęknął - wydał odgłos charakterystyczny dla mężczyzny ogarniętego pożądaniem, który zapewne zaraz straci nad sobą kontrolę. Czy nie wiedziała, że on nigdy nie traci nad sobą kontroli? I kto, u diabła, przejmowałby się jednym jęknięciem? A potem wyszedł. Chyba nie oczekiwała, że rzuci się na nią, kiedy do niego przyjdzie? Może jednak tego właśnie się spodziewała. Może nie wyraził się dosyć jasno... Wszystko jedno, powinna była mu zaufać.

Do diabła z tym. To przez ten jęk uciekła, szukając bezpieczeństwa gdzie indziej.

Dał jej dziesięć minut, żeby zebrała w sobie odwagę. A ona miała czelność zniknąć.

Był wściekły.

Takie zachowanie byłoby nie do przyjęcia u żony. U panny młodej zaś oznaczało całkowite odrzucenie.

- Zuzanno, gdzie jesteś? Może schowałaś się za boazerię i pomalowałaś na brązowo, by trudniej było cię znaleźć?

Cisza. Do licha z nią. Z przyjemnością by ją udusił.

Nie miał zamiaru przeszukiwać domu, by znaleźć swoją żonę. Mężczyzna powinien mieć trochę godności. I dumy. Duma bywała bardzo przydatna w takich sytuacjach, zwłaszcza że nic innego mu nie pozostało.

Wrócił do swojej sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi dzielące oba pokoje. Ulżyło mu. Miał nadzieję, że Zuzanna przeziębii się w ukryciu. Nic go to nie obchodzi. Zdjął szlafrok i rzucił się na łóżko.

Pościel była zimna, lecz tylko przez chwilę. Jego gniew rozgrzał ją bardzo szybko. Niemądra dziewczyna. Rano zastanowi się, co z tym zrobić.

Przewrócił się na bok i zaczął liczyć koty. Ozzie Harker nauczył go liczyć koty, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Ozzy powiedział wówczas, że bardzo trudno jest liczyć owce, bo są puszyste, jednego koloru, bardzo do siebie podobne, a poza tym beczą tak samo. Czy mógłby sobie wyobrazić wyścigową owcę? Nie, z pewnością nie. Te niemądre stworzenia po prostu stanęłyby na torze, rozglądając się wokół głupkowato.

Koty to coś zupełnie innego. Bywają pręgowane, cętkowane i marmurkowe. Tyle rodzajów kotów. Niektórzy mali rozbójnicy są bardziej czarni niż najgłębiej skrywane przyjemności grzesznika - bez żadnych aluzji do ojca Rohana, naturalnie. Nie powinien zapominać też o tych wspaniałych,

białych, długowłosych kotach, które nie pobiegyby, nawet gdyby następca tronu rozebrał się przed nimi do rosołu. Ale komu chciałoby się biegać, mając na widoku taką nagrodę? No i...

Doliczył się jeszcze pięciu kotów - samych pręgowanych - a potem usnął. Nie śniło mu się jednak nic przyjemnego.

Zuzanna klęczała, wypinając w jego stronę pośladki, które zdawały się tańczyć mu przed oczami. Bawiła się ze swoim nowym kociakiem. Ozzie Harker siedział obok niej na podłodze, zachęcając ją, by sama nadała kotu imię.

Kociak, o którym mowa, nie wyglądał na zbyt wielkiego entuzjastę wyścigów. Leżał na złożonych dłoniach Zuzanny i najwyraźniej drzemał. Powoli, starając się nie przeszkodzić kotu, Zuzanna wstała, odwróciła się i omal nie wypuściła zwierzaka z rąk.

- Rohan - powiedziała głosem zupełnie bez wyrazu. - O Boże, to ty, prawda?

- Owszem, to ja. A przynajmniej tak mi się wydaje. Dzień dobry, Zuzanno, Ozzy. To twój przysły czempion?

Tak, milordzie. A co, nie jest piękny? Chodź tu, obudź się, mały diable, i pokaż jego lordowskiej mości, na co cię stać. - Podrapał kociaka pod brodą wielkim, szorstkim paluchem. Kot otworzył ślepią i przeciągnął się. Jego łapy śmiesznie zwisały ze złożonych dłoni Zuzanny.

Roześmiała się i podniosła kociaka do twarzy. - Jesteś kochany - powiedziała czule, całując zwierzątko i przytulając policzek do miękkiego, czarnego futerka.

Rohan wolałby, by przytuliła się do niego.

- Jak on się nazywa?

- Jeszcze nie wiem. Masz jakiś pomysł? Ozzy opowiadał, że jako chłopiec wiele czasu spędzałeś z kotami. I że na pewno wyhodowałbyś wspaniałego czempiona, gdybyś nie był dziedzicem i nie musiał iść w ślady matki i ojca.

- Tak, rzeczywiście spędziłem z nimi wiele czasu. A co to tego zucha - przesunął palcem po białym brzuchu kotka o czarnym grzbiecie, na którym tu i ówdzie widać było oazy szarości. - Może Goździk?

- Ale to takie romantyczne - powiedziała Zuzanna, wpatrując się w niego. Gdyby próbowała odgadnąć, jak Rohan może nazwać kociaka, z pewnością opowiedziałaby się za jakimś wybitnie męskim imieniem, jak Brutus, Szatan, może nawet Cezar. - Dlaczego Goździk?

- Jak wiesz, goździki kwitną w lipcu i mają piękne kwiaty, które bardzo intensywnie pachną, zwłaszcza wieczorem. Ja najbardziej lubię te różowofioletowe. Wkrótce będzie lipiec, a ten maluch też pachnie słodko.

- Skąd mężczyzna o twojej reputacji może wiedzieć tyle o goździkach?

- Jestem człowiekiem renesansu, moja droga, interesuję się wieloma sprawami. Spójrz tylko na ten pyszczek. Nie sądzę, żeby był bardzo wytrwałym biegaczem ani też takim, który by potrafił przechytrzyć przeciwnika, lecz będzie fruwał, lekko i wysoko. Tak, nazwiemy go Goździk.

- Kogo nazwiemy? - zapytał Toby, wchodząc do gabinetu.

- Tego oto zucha.

- Chyba brzmi nieźle, prawda, Ozzy?

- Tak, całkiem dobrze, milordzie - przytaknął Ozzy, wstając. - Przepraszam, milady, muszę już iść do ogrodów. Tom pracuje dzisiaj przy różach. Przy tych szykownych kwiatkach zawsze jest najwięcej roboty. - Pozdrowił Rohana i wyszedł z pokoju.

- Dziękuję, Ozzy - krzyknęła za nim Zuzanna. - Spotkamy się jutro rano na lekcji z Goździkiem.

Wbiła wzrok w kotka, który spał teraz na jej kolanach. - Jest fantastyczny, prawda?

- Tak, rzeczywiście - powiedział Rohan.

- Jakich lekcji można udzielać kotu? - spytał Toby. - On chce tylko jeść, Bawić się i spać.

- Niezbyt wielu, jest jeszcze za mały - powiedział Rohan. - Na razie będzie to coś, co można by nazwać wstępem do ścigania się. Sam zobaczysz. Jedliście już śniadanie?

Podniósł kotka z kolan Zuzanny, podrapał go lekko pod brodą i położył sobie na ramieniu. Taki naturalny odruch. Zuzanna tylko przez chwilę obawiała się, że kociak spadnie. Nie spadł. Nie, Rohan wiedział, co robi.

Ruszyła za nim do pokoju śniadaniowego. Toby opuścił ich i pobiegł na lekcje do pastora Byama.

Zostali sami. Rohan nadal trzymał kociaka na ramieniu.

Kiedy srebrna pokrywa półmiska została uniesiona, a zapach bekonu wypełnił pokój, kociak zaczął marszczyć nos. - Nie, nie będziesz jadł na stole - powiedział Rohan, sadzając zwierzątko na dywanie obok swego krzesła.

Pokroił mały kawałek bekonu, położył go na talerz i postawił przed kotkiem, a obok umieścił mały spodeczek mleka. - Nie może jeść zbyt wiele bekonu, ma jeszcze słaby żołądek. Ale taki kawałek mu nie zaszkodzi - powiedział obojętnie.

- Jedziemy dziś do Oksfordu?

Rohan wyprostował się na krześle. Kociak chleptał mleko. Co do bekonu, to pożarł go dwoma łapczywymi kęsami.

- Dlaczego pytasz?

- Wczoraj powiedziałaś, że pojedziemy.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że mogłabyś chcieć ze mną jechać. Musiałabyś dzielić ze mną pokój we wszystkich gospodach po drodze. Nie miałabyś się gdzie schować.

- Och, o to ci chodzi.

Spuściła oczy i wpatrywała się w posmarowaną masłem grzanekę, którą trzymała w dłoni.

- Tak, o to. A ja z pewnością zaczekam, aż zaśniesz, a potem rzucę się na twoją szlachetną i nieskalaną osobę.

- Jest taka możliwość, lecz mimo to chciałabym spróbować. - Podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Chcę uporządkować ten cały bałagan. Muszę dowiedzieć się, co przedstawia mapa i dlaczego ci ludzie są zdecydowani na wszystko, by tylko ją dostać.

- Przerwała na chwilę i wzięła głęboki oddech. - I, co najważniejsze, pragnę dowiedzieć się, kim naprawdę był George.

Mówiła serio, a on sprowadzał wszystko do seksu. Westchnął. Nadal miał ochotę obedrzeć ją ze skóry, ale nie było czasu na kłótnie. - Nie jestem pewien, czy to bezpieczne - powiedział w końcu. Nasz pan Lambert, niech Bóg ma go w opiece na dalekich morzach, nie był przyjemnym człowiekiem. Nie spodziewam się, by inni - a tam, gdzie chodzi o złe uczynki, zawsze są jacyś inni - byli od niego choć odrobinę lepsi. A mogą być niebezpieczni.

Pochyliła się ponad stołem i oparła łokcie na blacie. - Myślałam już o tym. Doceniam twoją troskę, ale pamiętaj, George był moim mężem...

- Ciszey, proszę.

- Masz rację, przepraszam.

- Musisz wyrzucić to z pamięci. Ostrzegam cię, z reguły nic, o czym wiedzą państwo, nie jest

tajemnicą dla służby. Musimy być bardzo ostrożni. Fitz ma uszy jak stąd do stajen, a nawet jeszcze dłuższe.

- Rozumiem. Przyrzekam, że będę ostrożna. Wracając do rzeczy, naprawdę wiele o tym myślałam. Masz chyba przyjaciół w Oksfordzie? Jakąś rodzinę, u której mógłbyś zatrzymać się na tydzień lub dwa? Wtedy ja i Marianna byłybyśmy bezpieczne, bezpieczniejsze nawet niż w gospodzie.

- Nie spędziłaś chyba nocy, zastanawiając się, jak by tu pokrzyżować mi szyki. Do licha, czego się tak boisz? Dobrze, zastanowię się nad tym. A co do miejsca, w którym mogliśmy się zatrzymać, to już o tym myślałem. Mam przyjaciela, który mieszka w wiejskiej posiadłości niedaleko Oksfordu. To Philip Mercerault, wicehrabia Derencourt, mój szkolny kolega. Pewnie jest teraz w Londynie. Napisałem do niego w zeszłym tygodniu, wspominając, że wybieramy się do Oksfordu. Nie mam pojęcia, czy dostał ten list, ani czy jest teraz u siebie, w Dinwitty Manor. Nie, nie śmieć się. Posiadłość nazwano tak na cześć żony jednego z jego przodków, która weszła do rodziny w siedemnastym wieku.

- Musiała być panią tego domu.

- Bez wątplenia. Mimo to nazwanie domu jej imieniem to chyba przesada. Jeżeli to ci odpowiada, możemy wyjechać już jutro.

- Auu!

Rohan roześmiał się. Kociak zaczął właśnie wspinać się po spódnicy Zuzanny, wbijając jej przy tym w nogę pazurki.

Roześmiała się, wzięła kociaka na ręce i zaczęła zasypywać go małymi, szybkimi pocałunkami. Zupełnie tak, jak pragnął, by całowała jego.

ROZDZIAŁ 19

- Rohan!

Marianna, najwidoczniej w doskonałym humorze, kołysała się na biodrze Lottie. Zobaczywszy Rohana, natychmiast zsunęła się na podłogę i pobiegła do niego, wyciągając chudziutkie ramionka. Wziął ją na ręce i posadził sobie na kolanach. - Jesteś głodna, łobuziaku? Aaa, widzę, że nie chodzi ci o jedzenie. Ten malec nazywa się Goździk i musisz obchodzić się z nim bardzo ostrożnie. To mały chłopczyk, a ty jesteś dużą dziewczynką.

Po chwili Marianna goniła już kotka po pokoju, chichocząc ze szczęścia i popiskując. Wyglądało na to, że kociak bawi się równie dobrze.

- Muszę powiedzieć Ozziem, że kociak miał już dziś pierwszą lekcję - rzekł Rohan. - To była lekcja przetrwania. Dla kota wyścigowego nigdy nie jest za wcześnie na taką lekcję. Spójrz tylko na nich. Spójrz, jak on fruwa. Mam nadzieję, że będzie z niego czempion, Zuzanno.

Wpatrywała się w Rohana z niedowierzaniem. Ten mężczyzna - jej nowy mąż - miał być libertynem? Kobięciarzem? Rozpustnikiem? I cieszy go obserwowanie, jak mała dziewczynka bawi się z kotem? I wiedział wszystko o goździkach? - Wiesz, że można używać goździków jako przyprawy? Do dżemów i sosów? - powiedziała powoli, nie patrząc na niego.

- Z pewnością. Skoro tak wspaniale pachną, niczym egzotyczna przyprawa. - Dostrzegł wyraz twarzy Zuzanny i umilkł. - Powiedz mi, o czym myślisz?

- Jest pan dla mnie zagadką, milordzie. Tyle fragmentów układanki nie pasuje do całości... Zaczyna mi się wydawać, że układanka, jaką widzi świat, niewiele ma z panem wspólnego.

Roześmiał się. - Czy to oznacza, że od tej pory przestaniesz rozpoczynać każde zdanie od: „mężczyzna o twojej reputacji”?

- Reputacja - powtórzyła powoli, pochmurniej. - Te trzy stare wiedźmy uważały mnie za dziwkę, dopóki nie wkroczyłeś i nie uratowałeś mnie, choć w dość szczególny sposób. A przecież nie jestem dziwką. Nie sądzisz, że to ciekawe?

Spojrzał na nią i nagle zapragnął jej tak mocno, że nie był w stanie się odezwać. Skinął więc tylko głową.

Jego żona nie była dziewicą, co, wbrew pozorom, jeszcze pogarszało sprawę. Nigdy dotąd nie spotkał się z takim problemem. Sprawa będzie wymagała mnóstwa przemyśleń, planowania i doskonałej strategii.

Wysłał następny list do Phillipa Merceraulta, tym razem do Dinwitty Manor, informując go, że byłoby im przyjemnie, gdyby mogli zatrzymać się w jego domu. A potem zamyślił się. Myślenie jednak szybko go znudziło. Wziął więc od Lottie Marianne i pojechał z nią na przejażdżkę na Guliwerze. Dziecko krzychało z radości, a koń parskął, odwracając łeb od czasu do czasu. Wjechali właśnie na wiejską drogę, i zobaczyli odkryty powóz lady Dauntry, w nim zaś samą właścicielkę w wysokim czepku, ozdobionym czterema fioletowymi strusimi piórami. Pióra puszyły się tak jaskrawię, że nie można było oderwać od nich wzroku.

Uśmiechnął się do niej i pozdrowił, pytając o zdrowie.

- Baronie - wskazała głową. - Czy to ta mała dziewczynka?

- Moja mała dziewczynka, Marianna. Przywitaj się z lady Dauntry, łobuziaku.

- Dzień dobry. Mogę dostać takie pióro?

Ku zdumieniu Rohana lady Dauntry sięgnęła do kapelusza, odpięła pióro i wręczyła je Mariannie, która natychmiast rozpromieniła się, uszczęśliwiona.

- Dziękuję, milady - powiedział Rohan. - To bardzo miło z pani strony. Czy nie jest rozkoszna?

- Tak, i bardzo do pana podobna. Nie miał pan racji, trzymając je obie tak długo z dala od Mountvale, lecz wreszcie tu są i tylko to się liczy. Dotrzymał pan zobowiązań. Ośmielę się przypuszczać, że Charlotta musiała być zaskoczona?

Marianna powiewała piórem nad głową Guliwera, który parsknął, wyciągając łeb we wszystkie strony i starając się za wszelką cenę dosięgnąć pióra pyskiem.

- Dość tego dobrego, łobuziaku - powiedział Rohan. - Guliwer może nas zrzucić. - Nie myśląc o tym, co robi, pochylił się i pocałował dziewczynkę w skroń.

Lady Dauntry wydała dziwny odgłos, coś w rodzaju pss... zaskoczona. - Pański ojciec zwykł całować pana w ten sposób, kiedy był pan małym chłopcem. Wracając do Charlotty...

- Matka uwielbia je obie. Bardzo dobrze zniosła wiadomość o moim wczesnym małżeństwie.

- Rohan - zawołała Marianna, przesuwając mu piórem po twarzy.

- Chyba zaczyna się nudzić. Lepiej zabiorę ją stąd, zanim coś zbroi. Miło mi było spotkać panią, milady.

- Nie nazywa pana tatusiem. Ale nic w tym dziwnego, pewnie nie widywał jej pan zbyt często. Na pewno to się wkrótce zmieni. Proszę powiedzieć drogiej Charlottesie, że wkrótce ją odwiedzę. - Co powiedziawszy, ukuła woźnicę w plecy laseczką. Mężczyzna drgnął gwałtownie. Koń też podskoczył.

Doskonale się złożyło, pomyślał Rohan, podtrzymując Marianne, która nic nie rozumiała. Podskakiwała teraz na jego kolanie, przysłuchując się parskaniu Guliwera.

Pora była wracać. Kiedy zbliżyli się do stajni, usłyszeli, jak Jamie wyśpiewuje na cały głos:

Pewna panna niezwykle chuda

Nader ochoczo grała na dudach

A przy tym chudnąc aż do przesady

Przez słomkę wpadła do lemoniady

I pływa tam sobie - maruda.

Marianna wybuchnęła śmiechem, a potem odwróciła się do Rohana. - Co to są dudy?

Pocałował ją w nos. - To taki instrument muzyczny. Chodź, poszukamy mamy. Jamie, u ciebie wszystko w porządku? - Uświadomił sobie, że zapomniał porozmawiać z nim o ostatnich wydarzeniach i nowym statusie Zuzanny.

Lecz zanim zdążył powiedzieć słowo, Jamie odezwał się: - Wszystko rozumiem, milordzie. Nie pisnę ani słówka. Nie musi pan się martwić, że będę latał i kłapał ozorem.

- Dziękuję. Przepraszam, że nie porozmawiałem z tobą wcześniej.

- Nie ma się czym przejmować. No, Marianno, chodź do Jamiego.

- Jak to się dzieje, że możesz recytować limeryki w najczystszej angielszczyźnie, a za chwilę tak kaleczyć język?

- To kwestia talentu, milordzie. Wyłącznie talentu.

Im robiło się później, tym Zuzanna bardziej cichła. Gdy zegar wybił w końcu dziesiątą, już tylko w milczeniu wpatrywała się w swoje buty.

- Co się z tobą dzieje? - spytała Charlotta, pochylając się, aby przyłożyć dłoń do jej czoła.

Spojrzała na matkę męża, przybierając najbardziej żalospny wyraz twarzy, jaki Rohan kiedykolwiek widział. - Nic takiego, Charlottko. Jestem po prostu zmęczona.

- Rozumiem - powiedział Rohan, zasłaniając usta dłonią, by ukryć ziewnięcie. - Zupełnie jak ja.

Charlotta spojrzała na nich z uśmiechem. - A zatem powinniście się pożegnać i pójść na górę. Ach, rozkosze małżeństwa! - Westchnęła. - Brakuje mi twego ojca, kochanie. Wierz mi, Zuzanno, to nie do wiary, ale on z wiekiem stawał się coraz lepszy. Tak, nawet przy swojej żonie. - Westchnęła jeszcze raz, a potem uśmiechnęła tym swoim słodko - gorzkim uśmiechem. - Twój ojciec i ja bardzo sobie chwaliliśmy, że nasze sypialnie przylegają do siebie. Mogliśmy po prostu otworzyć drzwi, a potem ramiona. Bardzo mi go brakuje. Masz szczęście, Zuzanno, bo ojciec Rohana zadbał o to, by jego syn uzyskał biegłość w sztuce kochania. A skoro już o tym mówimy, to widziałam się z Marie Claire, gdy byłam w Londynie. Przesyła ci uściski.

- Kim jest Marie Claire? - spytała Zuzanna.

- To właśnie ta czarująca kobieta wprowadzała kiedyś Rohana w tajniki miłości. Ile to lat miałeś wtedy, kochanie? Czternaście? Twój ojciec uważał, że powinieneś być zacząć wcześniej, ale ja omówiłam tę sprawę z Marie Claire i zgodziłyśmy się, że czternaście lat to w sam raz.

Zuzannie z trudem przychodziło uwierzyć, że oto siedzi sobie w salonie arystokratycznego domu i słucha swojej teściowej, z sympatią wyrażającej się o kobiecie, która uczyła jej syna sztuki miłości, będąc zarazem kochanką jej męża.

- Mnie nikt niczego nie uczył - powiedziała w końcu, podnosząc wysoko brodę. Nie będzie się zachowywać jak głupia gęś.

- Kobiety nie potrzebują tego tak bardzo jak mężczyźni - powiedziała Charlotta, poklepując ją po kolanie. - A właściwie potrzebują, jednak one o wiele szybciej się uczą, jak sprawiać rozkosz. A poza tym potrzeby mężczyzn nietrudno przewidzieć i zaspokoić, prawda, kochanie?

- Tak, mamó, z pewnością - powiedział Rohan niezwykle poważnie. - Damy należy uczyć bardzo ostrożnie. I delikatnie. Tak zawsze powtarzała mi Marie Claire. To kwestia zaufania.

Charlotta spojrzała na niego z dumą. - Masz rację. A teraz może byście już poszli się położyć? Zuzanno, jeżeli Rohan choć trochę przypomina swego ojca, musisz być bardzo szczęśliwa.

Zuzanna wyglądała tak, jakby miała ochotę krzyczeć.

Rohan ujął jej dłoń i zmusił, by wstała. Bez słowa wziął ją na ręce, ze śmiechem powiedział matce „dobranoc” i poniósł swą żonę po schodach.

- Dużo o tym myślałam.

- Hmm?

- Wiem, co mówię, Rohanie. Możesz zacząć od dziś robić mi dziecko.

- Co za wspaniały pomysł - powiedział, zacieśniając uścisk.

- Chciałam powiedzieć, że nie będę więcej uciekać. To było niegodne. Stchórzyłam i bardzo cię za to przepraszam. Wiem, że to ważne, więc trzeba to zrobić.

- Serce zaczyna mi szybciej bić...

- Po co ten sarkazm?

- Rzeczywiście, być może nie jest potrzebny, lecz okaż mi nieco tolerancji, Zuzanno, bo mogę nieźle natrzeć ci uszu za ten wczorajszy wybryk. Gdzie w końcu spałaś?

- W pokoju dzieciennym z Marianną.

- Tak? I co na to Lottie?

- Wstałam, nim przyszła.

- Więc jednak troszczysz się o pozory. Dobre i to.

- Nie przypuszczam, by twoja matka choć raz się rozczarowała.

- Jak się domyślam, chodzi ci o te okropne męskie żądania? Oczywiście, że o to ci chodzi.

Posłuchaj, Zuzanno, gdyby jakiś mężczyzna rozczarował moją matkę, powiedziała by mu o tym. A potem nauczyłaby go, jak ma ją zadowalać.

Rzuciła się w jego ramionach i uderzyła go nosem w twarz.

- Ale ja nic nie wiedziałam! I dalej nie wiem! Nie mogłabym nikogo nauczyć!

- Po dzisiejszej nocy będziesz mogła nauczyć papieża, gdyby zaszła taka konieczność.

Odsunęła się. - Umiem chodzić.

- Wiem o tym, ale trzymanie cię na rękach sprawia mi przyjemność. Gdzie Goździk?

- Z Tobym. Po tej porannej szkole przetrwania z Marianną przespał cały dzień, tylko przenosił się z miejsca na miejsce, gdzie grzało słońce.

- Gdy byłem chłopcem, sypiało ze mną pół tuzina kotów. Ostatnio nie było tu żadnego, zbyt wiele czasu spędzałem w Londynie. Ozzy powiedział, że to byłoby nie w porządku wobec kotów, gdyby spodziewały się zastać mnie w łóżku, a potem co noc przeżywały rozczarowanie. Mogłyby nawet stracić apetyt.

Roześmiała się słodko, melodyjnie. Chyba wreszcie poczuła się odprężona. To dobrze, pomyślał.

- Czy mam sprowadzić parę sztuk, by z nami sypiały?

Śmiech urwał się jak ucięty nożem.

- Czasami miewają pchły, zwłaszcza latem. Lecz małżonkowie mają ciekawsze rzeczy do roboty, kiedy są razem.

- Ciekawsze niż wspólne łapanie pcheł? - Roześmiała się znowu, lecz umilkła, gdy tylko otworzył drzwi sypialni. Jego sypialni. Zatrzasnął za sobą drzwi nogą, a potem opuścił Zuzannę powoli na podłogę, starając się, by mogła poczuć każdy centymetr jego ciała.

- A teraz, moja droga, potraktujemy cię jak wyścigowego kota. Przygotuj się na pierwszą lekcję.

- Jako wstęp do szkoły przetrwania? Roześmiał się, objął ją mocno i powiedział: - To nie ty będziesz musiała nauczyć się, jak przetrwać, lecz ja.

ROZDZIAŁ 20

Zwilżyła usta. - Mam posłać po Mariannę?

- O nie, to nie Marianna będzie goniła cię po sypialni. Prawdę mówiąc, nikt nikogo nie będzie gonił. To tylko ja będę cię uczył, jak śmiać się, kopać nogami i jęczeć, gdy rozkosz stanie się nie do zniesienia.

Wpatrywała się w niego, jakby nagle wyrosła mu druga głowa.

- Najpierw cię rozbierzemy. - Tym razem nie próbował jej całować, nie, po prostu jednym ruchem ściągnął z niej suknię, pozostawiając ją tylko w koszuli. Poprzedniej nocy popełnił duży błąd, pozostawiając ją samą. Przestraszył ją, pomimo doskonałej techniki i długiej gry miłosnej.

- Nie ruszaj się. - Rozebrał się błyskawicznie i stanął przed nią zupełnie nagi.

Wciągnęła gwałtownie powietrze i cofnęła się o krok. Poczuł, że zawodzi go cierpliwość. Nie był próżny, lecz wiedział, że ma zgrabne ciało, na którym próżno by szukać choć kilograma zbędnego tłuszczu. Co tydzień spędzał dwa dni w sali gimnastycznej, mięśnie więc miał dobrze rozwinięte, choć nie na tyle, by ją odstraszyła jego muskulatura. Nie był też zbyt owłosiony, jak jeden z jego przyjaciół, któremu włosy rosły nawet na plecach. - Daj spokój, Zuzanno, z pewnością widziałas już nagiego mężczyznę.

- Prawdę powiedziawszy, nie - powiedziała, wpatrując się z uporem w jego brzuch. - Nie widziałam. George zawsze gasił świece. Mogłam go tylko czuć.

- Żartujesz sobie ze mnie - powiedział. Miał przy tym tak przerażony wyraz twarzy, że musiała się roześmiać. Nie było to jednak łatwe, gdy tak stał przed nią nagi, spoglądając na jej koszulę wzrokiem, jakim myśliwy przygląda się szczególnie dorodnemu bażantowi.

- Nie, nigdy się nie rozbierał, dopóki światło nie było zgaszone. Nie zdawałam sobie sprawy, nie miałam pojęcia...

- To nie ma znaczenia, nie przejmuj się tym. Zaufaj mi, Zuzanno.

Podszedł do niej i bez wahania zdjął z niej koszulę, a potem po prostu przyciągnął ją szybko do siebie. - Teraz - powiedział - zapomnij o wszystkim, co było do tej pory. Jesteś moją żoną. Od tej chwili jesteśmy tylko my dwoje.

W sposobie, w jaki stykały się z sobą ich nagie ciała, było coś niewiarygodnie intymnego, choć przecież nie robił właściwie nic, po prostu ją przytulał. Nie było to nieprzyjemne, chyba tylko naciskanie jego członka na brzuch. George sprawił jej ból. A na pewno nie był zbudowany tak jak Rohan. Chociaż właściwie trudno powiedzieć.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - spytała drżącym głosem, gdy pieścił jej szyję.

- Nie bądź niemądra - odparł, podnosząc głowę. - To wspaniały pomysł. - Wziął ją na ręce, podszedł do łóżka i rzucił ją na nie. Wylądowała na plecach, z rozłożonymi szeroko nogami i ramionami.

- Wspaniale. Nie ruszaj się. - Położył się obok, nie dotykając jej; jedynie przyglądał się jej ciału. Odwrócił się i przysunął bliżej świecznik.

Próbowała się odsunąć, lecz chwycił ją za ramię i przytrzymał. - Nie, Zuzanno. Nie zachowam się jak dzikus. - Wiedział, że tego oczekuje. Niech diabli wezmą George'a.

Patrzył teraz wyłącznie na jej twarz i ona o tym wiedziała. Pochylił się pocałował ją - był to długi, niespieszny pocałunek, który trwał dopóty, dopóki nie rozchyliła dla niego ust.

- Dobra robota - szepnął jej w usta i natychmiast ujął dłonią jej piersi. Ciężar tej piersi, ciepło jej ciała sprawiły, że jego dłoń zaczęła drżeć, a szczęki zacisnęły się kurczowo.

A jego żona, niemal spadła z łóżka.

Nie zabrał dłoni, tylko nieco wygodniej ją ułożył. - Nie sprawiam ci bólu. Ani trochę. Nie jest ci przyjemnie? To moja ręka, Zuzanno. To ja cię dotykam. Będę robił to codziennie przez następne pięćdziesiąt lat, więc lepiej oswoj się z tą myślą. Tak, weź głęboki oddech, udawaj, że cierpisz przeze mnie. To dopiero początek. Tego mężczyźni o mojej reputacji potrzebują jako zachęty.

- Wstydzę się. Powiedziałeś, że nie będę musiała się wstydzić.

- Kłamałem. - Zaczął ją znowu całować. Tym razem sama rozchyliła wargi. Uśmiechnął się do siebie. - Takie małe kłamstewko, którego wymagała sytuacja. Za trzy minuty w ogóle nie będziesz się wstydzić. A może nawet za minutę. Chcesz wiedzieć dlaczego?

- Noo, tak.

- Bo otworzysz tę zaciśniętą na moim przedramieniu dłoń i przesuniesz ją na mój brzuch. Tam rozprostujesz ją, poczujesz moje ciało, a potem przesuniesz ją niżej. Będziesz mnie pieściła, Zuzanno.

Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Rohan nie przestawał mówić, jak będzie go pieścić, trzymając przy tym cały czas dłoń na jej piersi. To nie miało sensu. Gdyby to od niej zależało, wstałaby jak najszybciej z tego łóża grzechu, poszła do swojej sypialni i włożyła koszulę nocną, w której wyglądała na dwanaście lat.

Przesunął lekko kciukiem po jej piersi. Podskoczyła.

- Przyjemnie, prawda?

- Nie, to okropne.

- A zatem to ja będę musiał uczyć Marianne, że zawsze należy mówić prawdę. Wstydź się, Zuzanno. Jeszcze chwila, a zaczęłabyś jęczeć.

Przesunął dłoń na jej brzuch. Z pewnością dłonie mężczyzny nie powinny spoczywać na brzuchu damy, po prostu tam leżeć, nic nie robiąc. O, teraz jego dłoń poruszyła się i powędrowała powoli z w dół. Wiedziała, że to coś złego, że nie powinien tego robić. Czy tego właśnie chciał od niej? Nie, z pewnością żadna porządna kobieta przy zdrowych zmysłach nigdy nie robiła czegoś tak upokarzającego. A jednak nie wyczuwała w nim ani śladu żądzy. Nie leżał na niej, nie dyszał ciężko, ani nie usiłował zgnieść jej pod sobą. Nawet nie jęczał. Może, jeśli spróbuje mu wytłumaczyć... - Posłuchaj, Rohanie, nie mógłbyś...

Poczuła, że jego palce sięgnęły najtajniejszych zakamarków jej ciała, miejsca, do którego nikt jeszcze nie zbliżył dłoni. George nigdy jej tam nie dotykał. Powinna coś powiedzieć. Powinna stanowczo zaprotestować.

Jęknęła, gdy jego palce lekko wsunęły się do środka.

- Tak - powiedział i zaczął całować ją namiętnie, aż wreszcie nie była w stanie myśleć. Nigdy dotąd tak się nie czuła. Umysł nigdy jej nie zawiódł, no, może z wyjątkiem chwili, kiedy wyobraziła sobie, że kocha George'a i zgodziła się za niego wyjść. A potem on zgwałcił ją w ciemności. Po tym bardzo trudno jej było powiedzieć mu, że go kocha.

Jego palce zaczęły poruszać się w rytmie, który miał ją rozbudzić, rytmie, którego żadna dama z pewnością nie powinna znać, a który sprawiał, że miała ochotę unieść biodra i napierać na jego palce, tańczyć i krzyczeć jednocześnie. Zamiast tego jęknęła znowu. - To okropne - zawołała, przerażona tym, co się z nią dzieje, a potem jęknęła jeszcze raz i uniosła biodra do góry.

Rohan wpatrywał się w jej twarz, w ten wyraz absolutnego zdziwienia, kiedy jej oczy rozszerzyły się na chwilę, zanim rozkosz wstrząsnęła całym jej pięknym ciałem.

Zuzanna rzucała się teraz dziko, napierając na jego palce. Wsunęła dłonie we włosy Rohana, przyciągając w dół jego twarz, by mógł ją całować. On zaś nie przestawał jej pieścić, raz mocniej, raz delikatniej, wsuwając w nią głęboko palce, to znów przesuwając nimi delikatnie pomiędzy jej udami. I oto miał ją, niepomierną na nic, doznającą czegoś, czego powinna doznać każda istota ludzka, czegoś, czego - miał nadzieję - doznawać będzie każdej następnej nocy przez całe ich wspólne życie. Gdy poczuł, że skurcze łagodnieją, zmniejszył nacisk, głaszcząc ją tylko leciutko, aż wreszcie jej oczy odzyskały prawie normalny wyraz. Wtedy wsunął się na nią i wszedł w nią jednym głębokim pchnięciem.

Jęknęła i wypchnęła biodra w górę tak, że wszedł w nią bardzo głęboko, dotykając głębi jej łona. Była ciasna, czuł, jak jej ciało pulsuje wokół niego, sprawiając, że niemal oszalał z pożądania. Wiedział, że nie sprawia jej bólu.

Chciał, aby trwało to długo, a przynajmniej choć chwilę dłużej, lecz nie miał już na to wpływu. To jej rozkosz sprawiła, że nie potrafię nad sobą zapanować, pomyślał. Lecz teraz i tak nie miało to znaczenia. Poruszyła się, trzymając go mocno, z twarzą przy jego szyi i nagle zalała go taka fala rozkoszy, że niemal stracił świadomość.

Zdawało mu się, że umiera. Serce biło mu jak szalone, walczył o każdy oddech. Jakoś udało mu się unieść na łokciach i kiedy wreszcie odzyskał zdolność mówienia, zapytał: - I co, teraz się nie wstydzisz, prawda?

Spojrzała na niego, czując przenikające jej ciało rozkoszne dreszczyki, niczym wspomnienia cudownych chwil. Gardło miała ściśnięte. Gdyby spróbowała teraz stanąć, z pewnością nogi załamałyby się pod nią. Poruszył się lekko, ona zaś poczuła go w sobie. Naprawdę go poczuła. Był mężczyzną, obcym, a mimo to był w niej.

- To okropne.

- Hmmm.

Powrócił jej rozsądek. Nie mogła uwierzyć, że to robiła. I czuła. To było nie do zniesienia.

Wstyd i łzy dławili ją w gardle. Nie mogła ścierpieć samej siebie.

- Zachowywałam się jak zwierzę.

- To znaczy, na przykład, jak ptaszek?

Jej spojrzenie wyrażało takie zagubienie, że sam poczuł się jak zwierzę. Pochylił się i pocałował ją. - Bardzo piękne, bardzo wrażliwe zwierzę. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżyłem, Zuzanno.

Wydawał się zdziwiony. To nie mogła być prawda. Był przecież libertynem, chutliwym satyrem, mężczyzną zepsutym do szpiku kości. Miał pewnie więcej kobiet, niż było ludności w wiosce Mountvale. A ona była po prostu jego kolejną kobietą, niczym szczególnym nie wyróżniającą się od innych. Nawet nie położyła mu płasko dłoni na brzuchu. I nie przesunęła jej niżej, by go popieścić.

Całował jej usta i czubek nosa.

- Wiesz, że nie musisz mnie oszukiwać. Jestem twoją żoną.

Mogłaby przysiąc, że przez chwilę dostrzegła w jego spojrzeniu gniew. Niemal widziała, jak fala

gniewu przetacza się przez to smukłe ciało. Jego ciało. Nadal był w niej. Nie zsunął się z niej i nie przewrócił na plecy. Nie, dalej był z nią, a nawet znów zaczął się poruszać, powoli i delikatnie. Nagle przerwał.

- Nie mogę. Byłbym samolubnym zwierzakiem. Miałaś zbyt długą przerwę - powiedział z rozczarowaniem w głosie. - Nie chcę, żeby cię bolało. Ale obudzę cię wcześniej rano. Polubisz to, Zuzanno, przekonasz się.

Podniósł się i spojrzał w dół, przyglądając się sobie, gdy się z niej wysuwał. Zamknął oczy, dłonie nadal zaciskał na jej udach, a potem zanurzył się jeszcze raz głęboko, westchnął i wyszedł z niej.

Ukląkł pomiędzy jej nogami z opuszczoną głową, oddychając ciężko. Spojrzał na nią i lekko jej dotknął. - Jesteś piękna, Zuzanno. - Natychmiast poczuła, jak jej ciało zaczyna pulsować. To było przerażające. Pragnęła, by jej dotykał, pragnęła...

Odsunął dłoń. - Może następnym razem ty mnie popieścisz. Mężczyźni lubią to tak samo jak kobiety. - Odsunął się od niej lekko i zaklął. Wstał i odszedł. Wrócił po chwili, niosąc miskę z wodą i ręcznik. - Nie ruszaj się.

Zmył z jej ciała swoje soki. Zuzanna była tak zaszokowana, że choćby chciała, i tak nie mogłaby się poruszyć. Zamknęła oczy. Woda przyjemnie chłodziła rozgrzane ciało. Co za cudowne uczucie. - Może nie będzie cię bolało - powiedział i delikatnie wsunął w nią owinięty ręcznikiem palec.

Czuła się tak, jakby opuściła własne ciało i stała teraz obok, przyglądając się kobiecie, która leżała na łóżku niczym uliczna dziewczka. Bo i była nią, skoro leżała spokojnie, ciesząc się przyjemnością płynącą z tego, że jej dotykał. Chciała, by wsunął palec głębiej. Chciała wbić się na ten palec, chciała... Lecz on już się odsunął.

Podniósł ją i wsunął pod kołdrę. Zdmuchnął świece. Wyciągnął się obok niej i mocno przytulił do siebie. Rozplakała się.

Rohan milczał, głaszcząc ją tylko uspokajająco po włosach, splątanych teraz, gdyż okazała się tak niepohamowana w miłości. Uśmiechnął się do siebie. Wspomnienie jej namiętności sprawiło, że poczuł w sobie boską moc. Nagle spochmurniał. Nie okłamał jej. Naprawdę nigdy dotąd nie czuł się tak z żadną kobietą. A ona mu nie uwierzyła.

Oczywiście, nigdy nie był żonaty. Być może to słowa wielebnego Byama spowodowały tę tajemniczą, przerażającą reakcję. Zbyt dużo było w tym przyjemności, zbyt mało samokontroli. Stracił nad sobą panowanie i wcale mu się to nie podobało. Ciekawe, czy ona też tak to odczuwa, pomyślał. Przypomniawszy sobie zagubiony wyraz jej oczu i doszedł do wniosku, że tak to właśnie musiało wyglądać. Miał nadzieję, że o to chodziło. Żona nie powinna się bać męża. Powinna go pragnąć, brać to, co najlepsze, i czerpać z tego przyjemność.

A ona wywiązała się z tego bardzo dobrze. W końcu jej szloch zamienił się w cichą czkawkę. Nadal milczał, cóż bowiem miałby jej powiedzieć? Po jakimś czasie wyczuł, że jej ciało rozluźnia się. Zasnęła.

Znał ją dopiero od dwóch tygodni.

Nie obudził jej wcześniej następnego ranka, a to z bardzo prozaicznego powodu: sam zasnął i obudziło go dopiero delikatne pukanie. Leżała obok niego ciepła i odprężona, z nogą przerzuconą przez jego brzuch. Jej włosy łaskotały go w nos.

Pukanie powtórzyło się.

Dlaczego nie obudził się wcześniej?

Westchnął, delikatnie odsunął ją od siebie, okrył starannie i włożył szlafrok.

- Dobry Boże - powiedział, kiedy otworzył drzwi. - To ty, Tinker. Szybko się zjawileś.

- Tak, milordzie. Pan Pulver także przyjechał. Zachorował na dyfteryt i nie mogłem go zostawić.

Opiekowałem się nim. Lecz teraz jesteśmy tu obaj i zaopiekujemy się panem.

- Już się mną zaopiekowano, i to bardzo dobrze. Ale dziękuję ci, Tinker. Twoja nieobecność na pewno nie przysłużyła się moim krawatom.

- Pan Fitz powiedział nam, że pan się ożenił. Ożenił! I to nie dopiero co, ale przed wielu laty, zanim jeszcze umarł pański ojciec. I ma pan dziecko, dziewczynkę. Jest pan ojcem. I trzymał pan to wszystko w sekrecie. Nie powiedział pan nawet mnie. Nic a nic. To takie niezwykle, milordzie. Nawet pan Pulver nic o tym nie wiedział. Gdyby tak strasznie nie bolało go gardło, pewnie sam by panu powiedział, jak bardzo dotknął go taki brak zaufania. Nie mogę w to uwierzyć, milordzie, żeby pan, mężczyzna o takim temperamencie, mógł...

- Nie mógłbyś wyrażać się jaśniej, Tinker? Tak, jestem żonaty. Gdybyś spojrział w głąb sypialni, zobaczyłbyś moją żonę. W łóżku. Tak, trzymałem moje małżeństwo w sekrecie, nawet przed matką. Czy to ci poprawia samopoczucie? A teraz, czego chcesz?

Nagle zza Tinkera wyłonił się Pulver. - Nie mamy zamiaru się wtrącać, milordzie - przemówił ochryple - lecz musi pan zdawać sobie sprawę, jak bardzo jesteśmy zaskoczeni. Wprost brak nam słów, by to wyrazić.

- Powiedziałbym, że jedyne, czego wam brak, to odrobina oleju w głowie. Cieszę się, że nie skrzeczysz jak ropucha, Pulver, ale twój głos i tak brzmi okropnie. Idź do pani Beete. Ona zna lekarstwo na każdą chorobę. A potem połóż się do łóżka i nie wstawaj przed dwunastą. A teraz, może byście mi wreszcie powiedzieli, czego chcecie?

Nagle wynędzniała twarz Tinkera przybrała wyraz najwyższego zdumienia. - Mój Boże, zostałem ugryziony!

Spojrzał w dół i zobaczył małą dziewczynkę. Uśmiechała się do niego. Jednak gdy tylko się poruszył, błyskawicznie umknęła, chwytając Rohana za nogę.

Ten zaś natychmiast pochylił się i podniósł ją. - Dzień dobry, łobuziaku. Dobrze spałaś? I co, wysłałaś już krew z pana Tinkera?

- Stał mi na drodze - powiedziała Marianna, spoglądając na obu mężczyzn z wysokości ramion Rohana.

- Tinker, Pulver to moja córka, Marianna. « - Wygląda zupełnie jak pan, milordzie. Rohan nie zawahał się ani chwili. - Tak, rzeczywiście.

- Być może odziedziczy po babce jej wspaniały charakter - powiedział Tinker. - O rany - dodał szybko, unosząc krzaczaste brwi. - A zatem jej olśniewająca lordowska mość jest teraz babką. To przerażające i wręcz nie do pomyślenia. Absurdalne. Musi być załamana.

- Nie martwcie się tak. Matka cieszy się, że mam Marianne. I żonę. Poznacie też Toby'ego, młodszego brata mojej żony. To dobry chłopak, uczy się u pastora Byama. Gdy przyjdzie pora, wyślemy go do Eton. Powieście mi wreszcie, o co chodzi?

Marianna odsunęła się od niego. - Mama - powiedziała i odsunęła się jeszcze bardziej.

O nie. Wszystkie rozkoszne wizje budzenia Zuzanny, obserwowania, jak piękne oczy, zamglone snem, nabierają dzikiego wyrazu, gdy wchodzi w nią głęboko, zniknęły niczym sen. - Biegnij - powiedział, stawiając dziecko na podłodze.

Obejrzał się i zdążył jeszcze dostrzec, jak mała wspina się na łóżko, zsuwając przy tym z Zuzanny

większą część kołdry.

Usłyszał jęk Zuzanny, a potem jej śmiech. - Dzień dobry, kochanie. Jak ładnie dziś wyglądasz. Chodź tu i przytul się do mnie.

Rohan usłyszał jeszcze, jak mała ssie palce. Uśmiechnął się i spojrzał na Tinkera i Pulvera. Wpatrywali się w niego, jakby wyrosły mu nagle kły i jakby zaraz miał zacząć toczyć pianę z ust.

Spoważniał. - O co chodzi? Nadal jest wcześniej i nie sądzę, by wybuchł pożar w zachodnim skrzydle. Pani Beete nie umieściła żadnego z was na strychu?

- No cóż - powiedział Pulver. - Chodzi o to, że panna Lily zjawiała się w pańskim domu w Londynie. Przyszła, bo bardzo martwi się o pana. Nie wiedzieliśmy, co się stało, ponieważ nie dał pan znaku życia poza tym listem, wzywającym nas tutaj. Nie wiedzieliśmy, co jej powiedzieć. Jest zdenerwowana, milordzie. Nie wściekła, bo to do niej niepodobne, ale zdenerwowana.

- Do licha! - zaklął. Zapomniał, że Lily w ogóle istnieje, co nie wystawiało mu najlepszego świadectwa.

- Pomyśleliśmy, że chciałby pan o tym wiedzieć - powiedział Tinker złowieszczo. Zniżył głos i dodał z naganą: - Pański ojciec, milordzie, nigdy nie zapominał o takich sprawach.

Rohan przewrócił oczami. - Dziękuję, że mnie poinformowaliście. Pulver, skoro tu już jesteś, dam ci robotę. Nie, zaczekaj, lepiej połóż się i poleż do lunchu. A potem zajmij się tą górą rachunków od dzierżawców. Jeżeli będę miał ochotę się pomęczyć, przyłączę się do ciebie później. Lecz, mówiąc uczciwie, na twoim miejscu nie liczyłbym na to zbyt. I zamknął im drzwi sypialni przed nosem.

ROZDZIAŁ 21

Odwrócił się i zobaczył Zuzannę. Siedziała na łóżku, okryta po brodę, gdyż poza kołdrą nie miała na sobie ani strzępka. Marianna siedziała jej na kolanach i śpiewała piosenkę, która podejrzanie przypominała jeden z limeryków Jamiego.

Podszedł do łóżka i wsunął się pod kołdrę. - I co, łobuziaku, zaśpiewasz mi tę piosenkę?

- Muszę porozmawiać z Jamiem - powiedziała Zuzanna, wzdychając.

- Rzeczywiście, coś mi ta melodia przypomina - pochylił się i pocałował żonę w policzek.

Rozsunął palce i zaczął przeczesywać nimi splątane włosy Zuzanny. Patrzyła na niego bez słowa.

- Nadal czujesz się jak zwierzę? - zapytał, masując jej skórę głowy.

- Marianna tu jest.

- Dlaczego bawisz się włosami mamy, Rohan?

- Bo ma najpiękniejsze włosy na świecie - powiedział bez zastanowienia - miękkie jak futro norki. Uwielbiam ich dotykać. Mama spała niespokojnie w nocy, więc się splątały i teraz próbuję je rozplatać.

Zuzanna parsknęła.

- Co to jest norka?

- To takie zwierzątko futerkowe. Na urodziny dostaniesz mufkę z norek. - Marianna przyglądała mu się, przechyliwszy główkę na bok, zupełnie, jak robił to George. Podniosła rączkę i dotknęła włosów Zuzanny.

- Miękkie - powiedziała i wpakowała place z powrotem do buzi. Ułożyła się wygodnie na piersi matki. Odgłos ssania cichł stopniowo i wreszcie mała usnęła. - Martwi mnie, że staramy się zatrzeć pamięć po George'u, jakby nigdy nie istniał. Zabrałem mu nawet dziecko. Czy kiedyś powiemy jej prawdę? Nie wiem, Zuzanno, lecz nie jest mi z tym lekko.

Leżała naga w jego łóżku ze śpiącą Marianną na piersi. Czowała się dziwnie, choć nie tak dziwnie, jak zeszłego wieczoru. Wyczuła w jego głosie powagę i ból. Chrząknęła. - George nie zasługuje, by zatrzeć po nim pamięć. Jednak, z drugiej strony, nie zasługuje by mieć taką córkę jak Marianna.

- Był bardzo młody.

- Ja byłem jeszcze młodsza. Czy to go usprawiedliwia?

- Nie, z pewnością nie, ale kobiety lepiej umieją unikać życiowych pułapek niż mężczyźni.

George był jeszcze chłopcem.

- Chłopiec nie potrafiłby zaaranżować fikcyjnego ślubu ani nie zadawałby się z kimś takim jak pan Lambert.

- Tak, rzeczywiście, masz rację. A jednak, szczerze mówiąc, mam nadzieję, że w Oksfordzie dowiemy się czegoś, co choćby częściowo go usprawiedliwi.

- Usprawiedliwi jego nielegalną działalność?

- Tak.

- Rohan, odkryjemy prawdę. A potem będziemy musieli jakoś się z nią pogodzić, jakakolwiek

będzie. Mam nadzieję, że George nie był łajdakiem, ale to, czego się o nim do tej pory dowiedziałam, nie brzmi zachęcająco. Możemy wyjechać dzisiaj?

- Jutro rano, obiecuję. Odwlekam to, prawda? Ale jest tyle do zrobienia. Ci dwaj mężczyźni, których widziałaś przy drzwiach, to Tinker, mój osobisty służący, a przedtem służący mego ojca. To ten mały, przysadzysty. A ten kościsty, który wygląda, jakby miał zamiar zaraz wskoczyć do trumny, to Pulver, mój sekretarz. Muszę ich ulokować, a potem wprowadzić Pulvera w sprawy majątku. Jeżeli nie będzie pracował, zupełnie przestanie jeść. Nie chcę być za to odpowiedzialny.

- Przyjechali tylko po to, żeby ci powiedzieć o twojej kochance?

- Słyszałaś, prawda?

- Tak się o ciebie martwiła, że przyszła do twego domu? Czy to przyjęte, żeby kochanka odwiedzała dom swego protektora?

- Nie, ale widzisz, Lily nie jest zbyt dobra w pisaniu. Prawdę mówiąc, przychodzi jej to z wielkim trudem. Trocheja nauczyłem, lecz kiedy jest zdenerwowana, zapomina nawet, jak się pisze jej imię.

- Uczyłeś swoją kochankę pisać?

- Dlaczego nie?

- Nie wystarczył ci sam seks?

- Nawet mężczyzna o mojej reputacji potrzebuje czasem zająć się czymś innym. Polubiłabyś Lily.

- Przerwał na chwilę, zapatrzył się na wiszący przed nim na ścianie portret dawno zmarłego Carringtona i dodał: - Znam ją od bardzo dawna. Nie jest już młodą dziewczyną. To dojrzała kobieta.

- Czy to takie niezwykle?

Podniósł brew. Miał rozwichrzone włosy. Ponieważ był blondynem, jego szczeka dopiero zaczynała pokrywać się zarostem. Jednak na piersi widniały kępki jasnych włosów. Zuzanna pogładziła tę pierś, czując, jak włosy przesuwają się jej pomiędzy palcami. Całkiem przyjemne uczucie.

- Aaa, rozumiem. Ona uczy nowe kobiety, które trafiają do twego haremu.

- A co pani wie o haremach, lady Mountvale? Spojrzała na niego z zakłopotaniem. - Niezbyt wiele. Tylko tyle, że teraz najwidoczniej należę do jednego z nich.

Uniósł dłoń i pogładził ją po włosach. - Mam zamiar zabrać się za twoją fryzurę od drugiej strony. Ta jest już zupełnie gładka.

Westchnęła i oparła policzek na jego ramieniu. Marianna usłużnie przesunęła się i teraz leżała rozpostarta na nich obojgu.

Drzwi otworzyły się i do pokoju zajrzał Toby.

- Toby, zanim wejdiesz, znajdź Fitza i powiedz mu, że śniadanie zjemy tutaj. Możesz się do nas przyłączyć. Jak widzisz, Marianna już to zrobiła. - Odczekał, aż za Tobym zamkną się drzwi i niemal natychmiast zapytał: - A gdybym ci powiedział, że nie mam żadnego haremu?

- Daj spokój, mężczyzna o twojej reputacji? Masz tuziny kobiet. Nie powinnam być zdziwiona, że straciłam przez ciebie głowę zeszłej nocy. Jesteś znany ze swoich wyczynów, prawda?

- Prawdę mówiąc - powiedział, zamyślając się nagle - zeszła noc była i dla mnie niespodzianką. Kiedy pieściłem cię palcami, po prostu eksplodowałaś. Dobra robota, Zuzanno.

- Nie miałam takiego zamiaru. W ogóle nie wiedziałam, że mężczyzna może robić coś podobnego z kobietą.

- Owszem, może. To, i wiele innych rzeczy. Tak właśnie wygląda namiętność. Człowiek

przestaje nad sobą panować. Tak było ze mną zeszłej nocy. Miałem nadzieję, że uda nam się powtórzyć przedstawienie dziś rano, ale co można zrobić?

Marianna odpowiedziała głośniejszym ssaniem palców.

- I co, moja droga, zadowolili cię zeszłej nocy? Nie powinna być zaszokowana, wiedziała, że nie powinna - a jednak rozmowa z teściową o tych wszystkich rzeczach, które jej syn wyprawiał z nią w łóżku, by sprawić jej przyjemność, wciąż wydawała jej się niestosowna. Wyprostowała ramiona, przełknęła głośno ślinę i powiedziała: - Tak, Charlotto, owszem. - Cóż, jeśli wpadłeś między wrony, musisz krakać jak i one.

- Mój słodki chłopiec - powiedziała Charlotta. - Nigdy mnie nie rozczarował. - Przybrała rozmarzony wyraz twarzy, a rozmarzona Charlotta musiała wyglądać po prostu bosko. - Nigdy nie zapomnę, jak jego drogi ojciec odkrył, że Rohan czyta książkę o projektowaniu ogrodów. O projektowaniu ogrodów, Zuzanno! Jednak drogi chłopiec szybko zrozumiał swój błąd. Błyskawicznie zdał sobie sprawę, że mężczyzna o reputacji jego ojca prędzej dałby się poćwiartować na kawałki, niżby przeczytał książkę o projektowaniu ogrodów. To było tylko drobne potknięcie, naprawione niemal natychmiast. Nie, mój piękny chłopiec nigdy nie zrobił mi zawodu. Wręcz przeciwnie, stanowił inspirację, wyjąwszy ten drobny błąd, ślub z tobą w tak młodym wieku. Ale to można zrozumieć, zważywszy, iż młodym chłopcom często dokuczają nadmiar temperamentu, a młode damy nie stanowią dobrego materiału na kochanki. Tak, jak było z tobą, moja droga. - Westchnęła. - Tak, to taki kochany chłopiec.

Wreszcie umilkła. Zuzanna wpatrywała się w nią bez słowa. Jak dobrze, że nie ma tu Rohana, pomyślała. Ciekawe, co by powiedział na wynurzenia matki. Bo ona z pewnością tylko poklepałaby go po głowie.

- Wyjeżdżamy jutro do Oksfordu - powiedziała w końcu. - Chciałabym zapytać, czy moglibyśmy powierzyć twojej opiece Marianne.

- Oczywiście, kochanie, z przyjemnością. Ale, Zuzanno, musisz mieć odpowiednie stroje. Spójrz tylko na siebie. Rohan powiedział mi, że macie zamiar odwiedzić Phillipa Merceraulta, jeżeli oczywiście przebywa akurat w Dinwitty Manor. Lecz nawet jeżeli nie będzie go w domu, to służba zna Rohana i z pewnością będziecie mogli się tam zatrzymać. A Phillip - jak mi mówiono - to też chłopiec o dobrym oku i mistrzowskiej technice. Może nie tak mistrzowskiej, jak Rohan, ale zawsze.

A ja jestem tylko obiektem, na którym ćwiczy tę mistrzowską technikę, pomyślała Zuzanna. Czyżby Rohan odgrywał swoją rolę tak jak ten słynny aktor, Edmund Kean, odgrywał Makbeta? Szkoda, że nie wiedziała - nie szczędziłaby mu oklasków, gdy tylko wróciła jej zdolność myślenia. Nadal czuła się oszołomiona tym, co jej się przydarzyło. Nie przypuszczała, że to w ogóle możliwe. Musiała naprawdę stracić głowę.

- Zuzanno?

- Tak... A, moje suknie. Naprawdę uważasz, że wyglądam biednie?

- Wyglądasz jak uboga krewna. Nie chcesz chyba przynieść Rohanowi wstydu? Jesteś teraz baronową Mountvale. Masz obowiązki. A poza tym, żona musi być zawsze ubrana lepiej niż kochanki jej męża. Jeśli jest inaczej, mści się to na mężczyźnie. Nie chcesz chyba, aby myśłano, że nasz drogi Rohan jest skąpcem?

- Nie, oczywiście, że nie. A, Charlotto, skoro już mowa o kochankach, Tinker powiedział, że Lily przyszła do domu Rohana. Martwiła się, ponieważ nie dawał znaku życia.

- Dobrze zrobiła - powiedziała Charlotta, przytakując. - Biedna kobieta musiała odchodzić od

zmysłów. Zwykle Rohan bardzo uważa, by informować swoje kobiety, na jak długo wyjeżdża i kiedy wróci. Wiem, że ojciec uświadomił mu, że to jego obowiązek, a Rohan nigdy nie uchyła się przed wypełnianiem obowiązków. Domyślam się, że już wysłał posłańca do Londynu, by przywrócić spokój jej duszy. I innym duszom, naturalnie, także.

- Naturalnie. Wygląda na to, że znasz tę Lily.

- Oczywiście. Była z Rohanem prawie sześć lat, co jest dość dziwne jak na niego. Wydaje mi się, że była jego pierwszą kochanką po przeniesieniu się do Londynu. Pamiętam także, iż studiował coś wówczas w Oksfordzie, nie wiem co. To także było dziwne, zgodziliśmy się co do tego z jego droгим ojcem. Dlaczego, na miłość boską, nasz drogi chłopiec miałby tracić choć chwilę przyjemności po to, by studiować coś w Oksfordzie? Owszem, Lily i Rohan bardzo się lubią, i tak być powinno. Żaden mężczyzna nie chciałby przecież kochanki obojętnej i chciwej.

- Nie, z pewnością nie - powiedziała Zuzanna. Chciało jej się płakać. - Sądziś, że ona przeegzaminowała wszystkie kochanki, jakie Rohan miał od tej pory?

- Bardzo interesujące pytanie - powiedziała Charlotta zadumana, nalewając sobie z niewiarygodnym wdziękiem filiżankę herbaty. - Wcale by mnie to nie zdziwiło. Lily to bardzo inteligentna kobieta. Gdyby uznała, że jakaś dziewczyna nie jest odpowiednia dla Rohana, z pewnością postarałaby się dyskretnie odsunąć ją do niego. Tak, będę musiała go zapytać.

Nagle przerwała i odsunęła filiżankę od ust. - Nie jesteś chyba zazdrosna, prawda? - zapytała, z niedowierzaniem unosząc brwi.

- Zazdrosna o co, mam?

Charlotta podniosła wzrok i zobaczyła swego pięknego syna stojącego w drzwiach ze wzrokiem wbitym w żonę i wyrazem głębokiego zainteresowania na twarzy. - Och, mój kochany, właśnie rozmawialiśmy o Lily. Prosiłeś ją może, by przyglądała się bliżej każdej dziewczynie, którą masz zamiar wziąć pod opiekę?

Ich spojrzenia niemal się skrzyżowały. Nie mógł uwierzyć, że matka naprawdę to powiedziała. A właściwie mógł. Zerknął na Zuzannę. Wydawała się zimna i obojętna, lecz było w niej coś jeszcze. Chyba gniew. To spostrzeżenie bardzo go zaniepokoiło. I ucieszyło. Z trudem powstrzymał uśmiech. - Nie - powiedział z całą powagą, na jaką mógł się zdobyć.

- Lily nigdy tego nie robiła.

- To wcale nie taki zły pomysł - powiedziała Zuzanna, podnosząc wyżej brodę, a z jej błękitnych oczu wionęło takim chłodem, że mogłaby zamrozić herbatę w filiżance. - Na pewno żaden mężczyzna nie chciałby mieć kochanki obojętnej i chciwej.

- Tak, to prawda - powiedział Rohan, w zamyśleniu pocierając podbródek. - Jestem pewien, że to twoje słowa, mam. Ciekawe. Chyba powinienem się nad nimi zastanowić. A co z tą zazdrością? - zapytał, zwracając się do matki.

- Och, nic takiego, doprawdy - odparła obojętnie, najwidoczniej starając się ochronić Zuzannę, co także sprawiło mu wielką przyjemność. - A teraz, Rohanie, posłuchaj mnie przez chwilę. Zuzanna musi mieć jakieś stroje, zanim pojedziecie do Dinwitty Manor. Jesteś zdecydowany wyruszyć już jutro?

- Chciałbym - powiedział, podchodząc do kominka i opierając się o półkę. - Zuzanna także. Najwyższy czas, abyśmy dowiedzieli się prawdy.

- No cóż - powiedziała Charlotta wstając i strzepując spódnice. - W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zajrzeć do szafy i polecić Sabine, aby dopasowała na ciebie co najmniej cztery

suknie. Dobry Boże, ty nawet nie masz pokojówki!

- Postaramy się o nią w przyszłości. Tymczasem ja będę jej pokojówką. Przynajmniej podczas tej wyprawy.

Oczy Charlotty przybrały tęskny wyraz. - Nigdy nie zapomnę, jak twój ojciec lubił rozpinać te wszystkie guziczki w moich sukniach. Im były mniejsze, tym większą sprawiało mu to przyjemność. Twój ojciec miał bardzo wyrafinowane gusta, mój chłopcze.

Twarz Rohana spłonęła rumieńcem.

Charlotte wzdrygnęła się. - No, dość już o tym. Muszę zapędzić Sabinę do roboty. Gdzie jest Marianna? Chciałabym ją zobaczyć, zanim odejdę do swoich obowiązków. - Co powiedziawszy, odpłynęła z pokoju, pozostawiając po sobie nikły zapach jaśminu i szelest jedwabiu.

- To nie do zniesienia - powiedziała Zuzanna cicho.

Nawet nie udawał, że nie wie, o co jej chodzi. - Wyobrażam sobie. Dla mnie to także nie jest łatwe. Na szczęście moja matka, jak już zapewne wiesz, nie należy do osób, które by gdziekolwiek zapuściły na dłużej korzenie. Niedługo pewnie wyjedzie, prawdopodobnie do Wenecji. - Spojrzał w dół na swoje lśniące buty z cholewami. - Ona jest jedyna w swoim rodzaju, wiesz o tym.

Czuła się taka bezradna, zwyciężona przez kobietę, która nie dość, że była miła, to jeszcze troszczyła się o nią. - Ona podchodzi do tego tak rzeczowo.

- Tak, zawsze taka była. Jak się domyślam, oskarżyła cię, że jesteś zazdrosna?

- Źle zrozumiała coś, co powiedziałam, kiedy rozmawialiśmy o kochankach. Powiedziałam ci już, że nie jestem pokorną żoną, ale nie jestem też jak twoja matka.

- Powiedziałem jej to.

- I nadal chciała, byś mnie poślubił?

- Tak, bo myśli, że się zmienisz pod wpływem jej nauk i nieustannego orszaku kobiet wchodzących i wychodzących z mojej sypialni.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił.

- Zuzanno, powiedziałem ci już, że nie mam zamiaru pozwolić, by jakiegokolwiek inne kobiety paradowały przed twoim nosem.

- Tak, ale...

- Żadnych ale. Zaufaj mi. A co do naszego wyjazdu. Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł zabierać ze sobą Toby'ego. Prawdę mówiąc, umówiłem się z pastorem, że weźmie go na wybrzeże, żeby studiować botanikę. Chyba będzie wolał to, niż włączyć się z nami po Oksfordzie.

- Tak, już mi o tym wspominał. Jest bardzo podekscytowany. Prawdę mówiąc, on...

Nagle od strony holu dobiegł ich głośny jęk.

Rohan rzucił się do drzwi tak szybko, że niemal przewrócił starą zbroję, która stała zbyt blisko wejścia. Zaklął, kiedy zobaczył Toby'ego, leżącego na podłodze z rozrzuconymi szeroko rękami i nogami. Ozzy Harker stał nad nim, kiwając łagodnie głową.

- Boże święty, co tu się stało?

Zuzanna przypadła do brata i potrząsnęła go delikatnie za ramię. - Nic ci się nie stało?

Toby spojrział na siostrę z niesmakiem, usiadł i powiedział: - Wszystko w porządku. To przez Goździka. Wskoczył mi z rąk, a Ozzy powiedział, że mogę go złapać, a nawet na niego krzyknąć, jeśli będzie potrzeba. Pognałem za nim i potknąłem się o jedną z zabawek Marianny.

Podniósł się i wyciągnął spod siebie mały drewniany klocek z podobiznami twarzy po każdej stronie.

A potem obejrzał się na Ozziego i uśmiechnął: - Goździk jest szybki, naprawdę szybki. Widział pan, jak frunął nad podłogą? Nie miałem szansy go złapać.

- Ma w sobie krew czempiona - powiedział Ozzy i znowu pokiwał głową, rozradowany. - Tom będzie zadowolony, tak, na pewno będzie zadowolony, milordzie. Ten maluch ma parę w nogach.

- Gdzie ten przeklęty kot? - spytał Rohan, rozglądając się wokół. A potem usłyszeli głośny śmiech, dobiegający z górnego podestu schodów.

To była Marianna, biegająca w kółko, podczas gdy kociak usiłował wspiąć się na jej sukienkę. Obok stała Charlotta i uśmiechała się, nie próbując odegnać zwierzaka.

Zuzanna oparła się o ścianę i wybuchnęła śmiechem.

ROZDZIAŁ 22

Kiedy przybyli do Dinwitty Manor, okazało się, że właściciel, Phillip Mercerault, przebywa akurat w rezydencji. Nie, nie otrzymał pierwszego listu Rohana, wysłanego do Londynu, ponieważ tam go nie było. Otrzymał jednak drugi list, wysłany prosto do Dinwitty Manor. Przywitał się z Zuzanną, starannie ukrywając zdziwienie. Dama opisana w liście to jedno, zaś dama, którą się poznaje osobiście, to coś zupełnie innego.

- Przyjechałeś z wizytą? - zapytał, kiedy skończyły się powitania.

- Tak.

- Nie mów mi tylko, że to twoja wizyta poślubna? Nie sądziłem, że aż tak przestrzegasz konwenansów.

- Nie, to nie jest nasz miesiąc miodowy. No, może coś w tym rodzaju. Pisałem ci, że jesteśmy po ślubie dopiero pięć dni.

- Ach tak.

Zuzanna spojrzała na niego zaskoczona, powiedział więc: - Jak ci mówiłem, Phillip i ja przyjaźnimy się już tak długo, że trudno powiedzieć, kiedy to się w ogóle zaczęło. Pewnie wtedy, kiedy przewróciłem go i dałem mu wycisk. Tak czy inaczej, napisałem mu prawdę. On nikomu nie powie, prawda, Phillipie?

- Nie szepnąłbym słówka nawet wyścigowemu kotu, gdybym takiego posiadał, a nie posiadam, bo bracia Harker nigdy nie uznali mnie za godnego, aby powierzyć mi kota.

Spoglądała to na jednego, to na drugiego. Mężczyźni tego rodzaju zawsze potrafili zbić ją z tropu. Phillip Mercerault był przystojny - choć nie tak przystojny jak Rohan. Starszy od barona o rok czy dwa, był niemal równie wysoki, o wyrazistych rysach i otwartym spojrzeniu. Wyglądał na człowieka, którego mało co potrafi wyprowadzić z równowagi. Na pewno nie zdołałby tego uczynić chłopak uganiający się po holu za wyścigowym kotem. Zuzanna odniosła wrażenie, że Phillip Mercerault chętnie się śmieje.

- Proszę mi wybaczyć - mówił właśnie. - Musi pani być bardzo zmęczona. Jak znam barona, przebył drogę z Londynu do mojej samotni w jeden dzień.

- Przyjechaliśmy z Mountvale - powiedział Rohan. - I zajęło nam to trzy dni.

- I trzy noce, jak przypuszczam. A ja tutaj stroję sobie żarty. Przejdźcie, proszę, do salonu. Nie wątpię, że w ślad za wami wkrótce pojawi się tam herbata.

- Gospodyni i kucharka to pocziwe dusze i rozpieszczają mnie bez umiaru - dodał, zwracając się do Zuzanny. - Problem polega na tym, że postawiły sobie za cel utuczenie mnie, tak jak próbowały to zrobić z moim ojcem. W obu przypadkach poniosły klęskę, choć ciasta kucharki są po prostu wspaniałe.

- To taki dziwny dom - powiedziała Zuzanna i zawstydzila się, ponieważ nie była to zbyt taktowna uwaga.

Lecz Phillip tylko uśmiechnął się do niej. - Mam nadzieję, że pod moimi rządami stanie się

jeszcze dziwniejszy. Na końcu zachodniego skrzydła planuję wybudować wieżę z blankami. Tylko jedną. Uwielbiam ekscentryczność i brak harmonii. Dinwitty Manor cieszy się szczególną opinią. Nieznajomi przyjeżdżają, by obejrzeć ten dom. Jeżeli kiedykolwiek zabraknie mi funduszy, zacznę po prostu pobierać opłaty za wstęp. Tak, przy odpowiednich opłatach, gdyby udało nam się umieścić Dinwitty Manor w turystycznych przewodnikach, moglibyśmy rozpropagować ekscentryczność w całej Anglii. Czy nie opadła pani szczęka, gdy zobaczyła pani mauretańskie łuki tuż obok skrzydła z epoki Tudorów?

- O ile pamiętam, śmiała się do rozpuku - powiedział Rohan. - A potem dała mi kuksańca, ponieważ nie uprzedziłem jej, czego ma się spodziewać. To wspaniały dom, Phillipie. Poza modą. A te średniowieczne akcenty bardzo mi się podobają.

- Zastanawiałem się także, czyby nie założyć średniowiecznego herbarium. Może mógłbyś mi w tym pomóc?

Zuzanna jadła cytrynowy placek. Złapała się za niego, gdy tylko lokaj postawił przed nimi srebrną tacę.

- Oczywiście, porozmawiamy o tym później. - Zerknął na Zuzannę, lecz ona nie odrywała wzroku od placka.

- Przepyszne - powiedziała, wycierając palce w najbielszą i najdelikatniejszą serwetkę, jaką kiedykolwiek widziała lub jakiej używała. - A co do pańskiego domu, to z pewnością się panu powiedzie. - Znowu spojrzała na tacę z przysmakami. Rohan roześmiał się. - Kiedy się ożenisz, nie możesz dopuścić, by twoja żona spędzała tu naraz więcej niż tydzień, gdyż wkrótce okaże się, że masz za żonę bardzo grubą damę.

Odwrócił się do Zuzanny, która właśnie wepchnęła do ust ostatni kawałek ciasta. - Co do ciebie, to jesteś zbyt szczupła. Jedz, bo nie zostaniemy tu dłużej niż cztery dni. Do piątku powinnaś osiągnąć właściwe kształty.

- Jestem ciekawy, co naprawdę sprowadziło was do Dinwitty Manor. W liście nie ma o tym ani słowa. Mam nadzieję, że będę mógł okazać się pomocny.

Zuzanna i Rohan rozmawiali już o tym w drodze do Dinwitty Manor, położonego zaledwie o pięć mil na wschód od Oksfordu. Phillip wiedział doskonale, co dzieje się w mieście i w kolegiach. Miał wszędzie przyjaciół i znał wszystkich, kogo znać należało. A poza tym przyjaźnił się z Rohanem od lat. Nic zatem dziwnego, że baron niemal natychmiast zdecydował, iż zwierzy mu się ze wszystkiego. Prawdę mówiąc, i tak nie był w stanie zastanawiać się nad tym zbyt długo, skoro przez cały czas myślał tylko o tym, by jak najszybciej rozebrać Zuzannę i położyć ją na plecy.

Nim przyjechali do gospody w Mosely, pieścił ją w powozie przez ponad godzinę. Gdy w końcu byli na miejscu, Zuzanna tak dalece straciła nad sobą panowanie, że ledwie zamknięwszy drzwi sypialni, natychmiast rzuciła się na niego. To było wspaniałe, pomyślał, posyłając jej pełen zadowolenia, rozanielony uśmiech.

Przełknęła bułeczkę, wpatrując się w niego. Dobrze wiedziała, o czym myśli. O tej gospodzie w Mosely, pachnącej słodko piwem i potem, i o nich dwojgu w sypialni. Zachowywała się jak szalona, zupełnie straciła nad sobą panowanie. Znowu była zwierzęciem. To nie powinno się wydarzyć. Przynęła się bliżej i mocno ugryzła męża w ucho.

Jęknął i szybko odsunął się od niej.

- Jak śmiesz patrzeć na mnie w ten sposób, Rohanie Carrington!

- Rozkosze małżeńskiego pożycia - powiedział Phillip, sięgając po ciasto. Uśmiechnął się do

swoich gości. - Pozwalam sobie na dwa kawałki dziennie, nie więcej. Nie dam się utuczyć.

Zuzanna miała ochotę odpowiedzieć mu żartem, lecz była zbyt zajęta przeżuwaniami malutkiego kawałka morelowego ciasta o chrupkich brzegach.

Rohan i Phillip Mercerault odwiedzili wielebnego Bligha McNally następnego popołudnia. Udali się do jego małego mieszkanca na drugim piętrze osiemnastowiecznej kamienicy przy High Street.

- Na ile zamierzasz być delikatny? - zapytał Phillip.

- Myślałem o tym, żeby połamać mu obie ręce.

- Dobry początek. Powinno wystarczyć, żeby przyciągnąć jego uwagę. A potem coś bardziej wyrafinowanego?

- Coś w tym rodzaju. Chcę poznać prawdę, Phillipie. Całą prawdę. - Uderzył pięścią w drzwi.

Odpowiedziała mu cisza. Uderzył znowu, tym razem znacznie mocniej.

Bez rezultatu.

Przycisnął ucho do drzwi. Nic.

- Może wyszedł, aby zaślubić następną niewinną dziewczynę jakiemś bezwartościowemu pijaczkowi. Wybacz, Rohanie.

- Nie przepraszaj. George był, jaki był. A za to, co zrobił Zuzannie, gdyby żył, zamordowałbym go osobiście. I moja matka także.

- Ach tak, wspaniała Charlotta. Zapukaj jeszcze raz, Rohanie.

Zapukał. A potem nacisnął klamkę. Spodziewali się, że drzwi będą zamknięte, ale nie były.

Rohan obejrzał się przez ramię na przyjaciela i uniósł pytająco brwi.

Za drzwiami widać było długi, wąski korytarz, a po prawej salonik. Pusty. Na końcu korytarza znajdowała się sypialnia. Tym razem drzwi były zamknięte, przynajmniej na klamkę.

Nagle usłyszeli kobiecy chichot.

- Już się martwiłem - powiedział spokojnie Rohan. - Teraz wiemy przynajmniej, że łobuz żyje.

- Przypuszczałeś, że może być inaczej?

- Mówiłem ci, ten Lambert to łajdak bez skrupułów. A tam, gdzie jest jeden łajdak, prawdopodobnie znajdują się i inni. - Ostrożnie nacisnął klamkę. Dobrze naoliwione drzwi otworzyły się bezgłośnie. Obaj mężczyźni weszli do pokoju. Ich wzrok przyciągnęło stojące naprzeciw wejścia wielkie łóżko, a na nim naga rudowłosa kobieta, dosiadająca równie nagiego mężczyzny.

- Witamy wielebnego - powiedział Rohan jowialnie.

Kobieta odwróciła się, spostrzegła dwóch obcych mężczyzn i krzyknęła, przestraszona. Zeskoczyła z mężczyzny i szybko okryła się kołdrą. Co do mężczyzny, to choć widać było, że jest oszołomiony, szybko zebrał się w sobie, potrząsnął głową i usiadł.

Spojrzał na nich, nie skrupowany swoją nagością, i zwrócił się do kobiety: - Zrób nam herbaty, Lynn. I ubierz się, bo chyba już dzisiaj nici z zabawy.

Głos miał głęboki i słodki jak miód. Głos, który budził zaufanie i przynosił pociechę. - Baron Mountvale, jak przypuszczam. I hrabia Derencourt?

- Pański widok nie sprawia nam specjalnej przyjemności, więc niech się pan ubierze - powiedział Rohan, rzucając mężczyźnie szlafrok. - Czekamy na pana w salonie.

- Przypuszczam, że nie mam wyboru - powiedział McNally, przyglądając się obu mężczyznom z namysłem. - Nie, chyba nie mam. Co za szkoda, że jedyna droga ucieczki prowadzi przez frontowe drzwi. Na pewno zauważylibyście, gdybym spróbował się wymknąć.

- Możesz na to liczyć, McNally - powiedział Rohan. - Jak również na to, że zastrzelilibyśmy cię

bez wahania. Sprawiłoby to nam wielką przyjemność.

Po mniej więcej dziesięciu minutach wielbny Bligh McNally wszedł z ociąganiem do salonu, poprzedzany przez Lynnę z tacą, która pilnie domagała się polerowania.

- Siadajcie panowie.

- Postaw herbatę i wyjdź - powiedział Rohan do kobiety.

- Tak, Lynnę, możesz już iść. Będziesz trzymała buzię na kłódkę, prawda? Nie trzeba nam niczyich zdziwionych spojrzeń.

- Tak, milordzie.

Phillip Mercerault uniósł brwi. - Milordzie? Czy ona przypuszcza, że jesteś lordem? Dobry Boże, chyba nie jest aż tak naiwna?

McNally wzruszył ramionami. - Najwidoczniej jest. Czasami nie trzeba nawet im płacić. Biedna, kochana Lynnę nie jest zbyt bystra. Co za szkoda, że zaczniesz brać ode mnie pieniądze, gdy tylko lepiej rozeznasz się w swoim fachu. A teraz, czym mogę służyć? Nie przypuszczam, by któryś z was chciał się ożenić? Mam nowe świadectwa. Nawet wy musielibyście dobrze im się przyjrzeć, by odkryć oszustwo.

Rohan uśmiechnął się do mężczyzny, który był teraz w wieku, w jakim byłby jego ojciec, gdyby nie przydarzył mu się ten pechowy wypadek z powozem. Wielbny był chudy jak tyka i miał gęstą brodę. Wyglądał jak metodysta. Pewnie dlatego młode dziewczęta wierzyły, że jest tym, za kogo się podawał. Rohan podszedł do oszusta, ujął jego dłoń w mocny uścisk i wykręcił mu rękę daleko za plecy.

McNally jęknął, spróbował się uwolnić, lecz nie dał rady. - Cco... dlaczego pan to robi, milordzie?

- Żeby przyciągnąć twoją uwagę, McNally. A teraz chcę, żebyś wysilił swoją wspaniałą pamięć i przypomniawszy sobie coś, co zdarzyło się pięć lat temu. Udzieliłeś wówczas jednego z tych swoich fikcyjnych ślubów mojemu bratu, George'owi i młodej damie, Zuzannie Hawlworth.

- To było tak dawno, milordzie. Nie jestem już młodzieniaszkiem. Musi pan zrozumieć, że trudno jest...

Rohan wzmocnił uścisk i McNally jęknął. Baron szepnął oszustowi do ucha: - Jeżeli szybko nie wróci ci pamięć, przysięgam, że je złamię.

- No dobrze, już dobrze. Proszę mnie puścić. Powiem wam, co wiem.

Potarł ramię i zapytał: - Co właściwie się stało, milordzie? Ta młoda dama przyszła do pana po śmierci brata? A pan natychmiast zorientował się, że nie było żadnego ślubu? Chciała pieniędzy? Czy nadal wierzy, że jest jego żoną, czy też opuścił ją dawno temu?

- To nie twoja sprawa, McNally. Mów, co wiesz. - Uczynił ruch, jakby znów zamierzał złapać McNally'ego za ramię.

Wielbny odchylił się do tyłu, rozkładając przed sobą dłonie. - No dobrze, już dobrze. Przypomniałem sobie. Była wiosna. Chyba maj. Piękna pora roku. Młody Carrington przyszedł do mnie i poprosił, abym odprawił jeden z tych moich ślubów. Zgodziłem się, bo w końcu z tego żyję, a on zapłacił mi sześćdziesiąt funtów, moją zwykłą opłatę, gdy młody człowiek jest bardzo bogaty i ma wpływowych krewnych. Nie widziałem młodej damy aż do dnia ślubu. Była bardzo młoda, świeża i przestraszona, lecz młody George zawrócił jej w głowie nie gorzej niż każdy z tych młodych lajdaków, z którymi miałem przedtem do czynienia. Uspokajał ją, całował w nos i przekonywał, że to najlepsze, co mogą zrobić. Czy go nie kocha? Czy nie chce być z nim? Doprawdy, milordzie, młody

Carrington był w tym dobry. - Przerwał i nalał sobie mocnej brandy. - Panowie?

Obaj skinęli głowami. Rohan powiedział tylko: Dalej. Czuł się tak, jakby zaraz miało mu pęknąć serce. Jego najmłodszy brat, taki zawsze poważny, taki uczony, okazał się przeklętym łajdakiem.

- Jak już mówiłem - kontynuował McNally, kiedy już wręczył im po szklaneczce brandy - młoda dama była przestraszona, ale i podniecona. Naiwność i głupota tych młodych kobiet nigdy nie przestaną mnie zadziwiać. Ta przynajmniej miała choć trochę oleju w głowie i właśnie dlatego ją zapamiętałem. Była bardzo młoda, nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat, można powiedzieć: prosto ze szkolnej ławki. I była damą, nie jakąś tam panienką, której mężczyzna może po prostu zapłacić. Oczywiście, nie miała pojęcia, jak powinien wyglądać prawdziwy ślub, ale spytała mnie, czy nie powinni mieć zgody rodziców, skoro żadne z nich nie jest pełnoletnie. Naplotłem jej bzdur, tych samych co wszystkim innym, i w końcu udało mi się ją przekonać. Młody Carrington wydatnie mi w tym pomógł. Pamiętam, że nawet zrobiło mi się jej żal.

Wzruszył lekko ramionami i dolał sobie brandy. - Choć, prawdę mówiąc, pozbyłem się wyrzutów sumienia już dawno temu. Człowiek musi jakoś żyć, a od czasu do czasu dobrze jest móc sobie pozwolić na drobne przyjemności. Nie jestem chciwy. Lecz ona była takim słodkim stworzeniem... Może mógłby mi pan powiedzieć, co się z nią stało? Wiem, że pański brat, a jej tak zwany mąż, utonął blisko rok temu. Bardzo niefortunny wypadek. Proszę przyjąć moje kondolencje. Co się z nią stało? Rzucił ją, kiedy się znudził? Wielu młodych tak postępuje, wie pan o tym. Przyszła do pana czy nie? Chciała czegoś, prawda?

- Już powiedziałem, że to nie twój interes, McNally. A teraz chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o mężczyznach, którzy tego dnia towarzyszyli memu bratu. - Był to strzał na ośle, lecz okazał się celny. McNally przytaknął.

- Mężczyźni... - powtórzył, osuszając do dna szklaneczkę. - Nie byli tak młodzi, jak Carrington. Nie, pewnie mieli z pięć, sześć lat więcej. I byli odpowiednio ubrani, a mimo to George odprawił ich, zanim zjawiała się młoda dama. Pamiętam, że nawet zastanawiałem się wtedy, kim mogą być, i tak dalej. Najwidoczniej byli z nim zaprzyjaźnieni.

- Jak się nazywali?

- No wie pan, milordzie, chyba nie oczekuje pan...

Jęknął, gdy Rohan znów mocniej wykręcił mu ramię. - Nazwiska - powiedział cicho prosto do ucha oszusta. - Wolałbym nie pytać raz jeszcze.

- O mój Boże, jak mam pamiętać ich nazwiska? - jęknął. Pot spływał mu kroplami po czole. Spojrzał na wicehrabiego, lecz ten przeklęty dżentelmen siedział sobie jak gdyby nigdy nic na kanapie, sączył jego brandy, machał nogą i zdawał się tak obojętny, jak waż wygrzewający się na słońcu. - No dobrze - powiedział wreszcie bez tchu. Nie podobało mu się, że ulega, lecz umiał poznać, kiedy mężczyzna jest zdecydowany na wszystko. - Wolałbym o nich nie mówić, bo to niebezpieczne typy. Zabiliby bez wahania, gdyby mogło okazać się to dla nich korzystne. Przysięgam, że nie mam pojęcia, dlaczego przyszli z młodym Carringtonem.

- Nazwiska.

- Lambie Lambert i Theodore Micah. Dziwne nazwiska, prawda? Są wszędzie tam, gdzie dzieje się coś nielegalnego. Siedzą po uszy w każdym łajdactwie. Wydawali się bardzo zaprzyjaźnieni z młodym George'em. Jeżeli pański brat zadawał się z takimi łajdakami, to niedobrze dla niego. Brak mu było doświadczenia w przestępczej działalności, a ci dwaj zjedliby go w kaszy. Nie, nie miałyby z nimi żadnych szans.

- A ty nie jesteś łajdakiem?

- Nie, nie w ten sposób. Każdy z nich bez mrugnięcia okiem mógłby wbić człowiekowi sztylet w serce - A ja nie chciałbym mieć do czynienia z nikim takim.

- Tak, ty jesteś regularnym świętym, co, McNally? Ty tylko sprowadzasz nieszczęście na młode damy.

- Napisała do pana, prawda? Chociaż to dziwne. Minał już prawie rok. Dlaczego czekała tak długo?

- Nie napisała do mnie. - Rohan puścił ramię mężczyzny. McNally natychmiast odsunął się od barona, potarł obolały bark i sięgnął po swoją szklaneczkę. Wypił brandy i w końcu, kiedy już się nieco uspokoił i prawie wróciła mu zdolność myślenia, zapytał: - Więc po co pan tu przyszedł? I skąd pan o tym wie? Dlaczego interesują pana ci mężczyźni?

- A to - powiedział Phillip Mercerault, wstając i przeciągając się leniwie, jakby przed chwilą kochał się z kobietą - nie powinno cię obchodzić, McNally. Dowiedziałeś się już wszystkiego, Rohan?

- Chwileczkę, Phillipie. Widziałeś z moim bratem jeszcze jakichś mężczyzn, McNally? Nie chodzi mi o studentów, lecz o dorosłych mężczyzn.

- Nie. Chociaż właściwie... był taki jeden. Przysięgam panu, że kiedy go po raz pierwszy zobaczyłem, nie wiedziałem, kim był. Stał w cieniu.

- Powiedziałeś, że go z początku nie rozpoznałeś. Lecz potem najwidoczniej ci się udało. Kto to był?

McNally zmarszczył brwi, udając głęboki namysł. Nalał sobie jeszcze brandy, lecz nawet nie umoczył w niej ust. - To było jakiś czas po tym, jak udzieliłem młodemu Carringtonów! ślubu. Byłem akurat w jednej z tych księgarń na High Street, wiecie panowie, o jakich księgarniach mówię, chodzą tam wszyscy studenci. Można w nich kupić stare rękopisy, a nawet pierwsze wydania z szesnastego wieku. Pamiętam, że zauważyłem, jak młody Carrington wstępuje do jednego z tych sklepów. Ponieważ byłem tam umówiony z przyjacielem, wszedłem za nim. No cóż, zobaczyłem, że młody George spotkał się z mężczyzną, tym mężczyzną z cienia, którego wówczas nie potrafiłbym nawet opisać. Stał z tyłu sklepu, ukryty w mroku. Rozmawiali spokojnie przez jakieś dziesięć minut. Załatwiłem swoje sprawy, lecz coś w tej dwójce nie dawało mi spokoju. Otaczała ich jakaś zła aura. Potem ten drugi poklepał młodego Carringtona po ramieniu i wyszedł. Głowę miał przez cały czas opuszczoną, a rondo kapelusza mocno naciągnięte na twarz, ale i tak go poznałem.

- No, dalej - poganiał go Rohan, którego cierpliwość była na wyczerpaniu. - Skończ z tymi gierkami. Kim był ten człowiek? I jak wyglądał, kiedy już udało ci się go zobaczyć?

- Już mówię, milordzie. Wyglądał bardzo podobnie do młodego Carringtona - powiedział w końcu McNally, a w jego głosie dał się wyczuć smutek i wielkie znużenie. - Ma pan jeszcze jednego brata, prawda, milordzie?

Rohan nie poruszył się. Wszystko w nim zamarło. Nie był w stanie odezwać się ani zareagować w jakikolwiek inny sposób, by pozbyć się tej lodowatej pustki, która zawładnęła jego wnętrzem.

- Oczywiście, że ma, wiesz o tym doskonale, McNally - powiedział Phillip, wstając. Podeszedł szybko do nich. - Kto to był, u licha?

- To był Tibolt Carrington - powiedział McNally - - I co z tego, milordzie? Dwaj bracia mają prawo się spotkać. Co w tym dziwnego? Są przecież braćmi. Mogą się spotykać. Rozmawiają przez chwilę, a potem jeden z nich wychodzi.

- Przestań udawać. Twój sarkazm nie podoba mi się ani trochę. Nie słyszałeś, o czym mówili?

- Nie, milordzie. Jeszcze brandy? Przeszmuglowano ją z Calais w zeszły wtorek.

Wiesz, że mój drugi brat jest duchownym? - powiedział Rohan bardzo powoli. - Sługą bożym?

Pobożnym młodym człowiekiem, który pewnego dnia może zostać biskupem Canterbury? Błyskotliwym młodzieńcem, akolitą i protegowanym samego biskupa Roundtree? Oczywiście, że ich spotkanie nie było niczym więcej, jak tylko spotkaniem dwóch braci. Już jako chłopcy byli sobie bliscy. Dlaczego usiłujesz dać nam do zrozumienia, że było w tym coś więcej?

- Mogę się mylić. Lecz pytam pana, dlaczego ktoś miałby spotykać się z własnym bratem w zakamarkach starej księgarni? Przysiągłbym, że działo się tam coś więcej. Nie chcieli, by ktoś ich zobaczył. Ale kto? Lambert lub Micah? Pamiętam, że zastanawiałem się nad tym wówczas przez kilka dni. Nigdy więcej nie widziałem ich razem. Przykro mi, milordzie.

- Nie, Rohan, nie ma powodu, żeby zabijać tego łajdaka - przekonywał Phillip Mercerault, starając się odciągnąć barona od McNally'ego. - Usłyszeliśmy już dosyć, przynajmniej na razie. McNally nie będzie mógł wyjechać z Oksfordu, żebyśmy się o tym nie dowiedzieli. - I, zwracając się do wielebnego, dodał: - Jeżeli przypomnisz sobie coś jeszcze, przyślij wiadomość do Dinwitty Manor.

McNally może sobie być łajdakiem, pomyślał Rohan, ale z pewnością nie jest głupcem. Zdaje sobie sprawę, że naprowadzenie na trop dwóch wpływowych dżentelmenów z pewnością nie może mu zaszkodzić. - Tak, milordzie. Będę o tym myślał codziennie o zmierzchu i może coś sobie przypomnę.

- Lepiej się postaraj - powiedział Phillip. - Chodź, Rohan, dajmy mu już dzisiaj spokój. Wrócimy tu jutro, jeśli będziemy mieli jeszcze jakieś pytania. Jestem pewien, że ten miły dżentelmen będzie na nas czekał i z radością nam pomoże.

- Oczywiście, milordzie - powiedział McNally, nadal rozcierając ramię.

- Tak - zgodził się Rohan. - A zatem do jutra.

ROZDZIAŁ 23

- Powinnam cię zabić! Niech będą przeklęte te twoje piękne oczy! Zostawiłeś mnie tutaj, żebym obżerała się tymi wspaniałymi ciastami i bułeczkami, bo nic innego nie miałam do roboty! A teraz chyba pęknę z przejedzenia! Zobacysz, będę chodziła jak kaczką, i będę musiała nosić gorset! To wszystko twoja wina, bo zostawiłeś mnie samą w tym rajku obżartuchów. I co robiłeś? Z kim rozmawiałeś? Naprawdę, Rohan, to nie w porządku z twojej strony, wymykać się po kryjomu, kiedy śpię. Odplącę ci za to.

Położył jej delikatnie dłoń na ustach i przyciągnął ją do siebie. Pocałował jej włosy. - Naprawdę uważasz, że mam piękne oczy?

Phillip Mercerault potrząsnął głową. - Tyle mu nagadałaś, Zuzanno, a on usłyszał tylko komplement, którego z pewnością nie miałaś zamiaru powiedzieć... A może miałaś?

Odsunęła się na tyle, na ile pozwalał uścisk jego ramion. - To było niezamierzone. Phillip ma rację. Dlaczego uczepliłeś się akurat tego? Jestem zła, Rohan, naprawdę wściekła. Twoje oczy są piękne, ale to nie ma nic do rzeczy. A teraz, mów, czego się dowiedziałeś.

- Powiem ci, jeżeli mnie pocałujesz.

- Proszę pana, to dom dżentelmena. A pan jest jego gościem. To niestosowne, to...

Pocałował ją leciutko, a potem dał prztyczka w nos.

- Sugeruję, Rohanie, żebyś opowiedział Zuzannie o naszych przygodach. Nie chciałybyś brać w nich udziału, Zuzanno, wierz mi. A teraz, może wy dwoje przeszlibyście się po ogrodzie i porozmawiali o oczach Rohana i o tym, czego się dziś dowiedzieliśmy. Wiesz, że on...

- Wystarczy, Phillipie. Zabieram Zuzannę na długi spacer. Zobaczymy się na obiedzie.

Phillip uśmiechnął się łobuzersko: - Jako gospodarz powinienem się cieszyć, ilekroć wasze ścieżki przetną się z moimi, choćby zdarzało się to nie wiem jak rzadko.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Zuzanno. I tak spędzi przyjemnie czas, sporządzając plany tej swojej wieży z blankami.

- A żebyś wiedział. - Co powiedziawszy, zasalutował im żartobliwie i odszedł.

- To taki interesujący mężczyzna - powiedziała Zuzanna, spoglądając w ślad za nim. - Zauważyłam już wczoraj, że jest przystojny, nie tak przystojny, jak ty, oczywiście, ale fascynujący. Dlaczego dotąd się nie ożenił”?

- Bo jest rozpustnikiem, pożądlivym satyrem... pomóż mi, zabrakło mi słów, żeby opisać męczyznę o jego reputacji.

- Przestań się ze mnie naśmiewać. Chcę usłyszeć wszystko. Chcesz pójść do ogrodów? Bardzo dobrze. Co prawda zwiedziłam je już dokładnie i poznałam trzech ogrodników Phillipa, lecz mogę to zrobić jeszcze raz. Są naprawdę śliczne. Nie tak piękne, jak w Mountvale, ale i tak urocze. Choć żaden z ogrodników nie ma wyścigowego kota. Chodźmy, milordzie.

Wolałby zabrać ją do łóżka, ale nic z tego. Od trzech dni cierpiała na damskie przypadłości i ta przymusowa wstrzemięźliwość doprowadzała go do szaleństwa.

- Podoba ci się ogród?

- Dopiero co powiedziałam, że jest śliczny. Doskonale zaprojektowany. Tyle w nim kolorów, tyle odcieni, nie mówiąc już o tych rozkosznych ścieżynkach. Dlaczego pytasz? Dla mężczyzny o twojej reputacji ogród to po prostu ogród, miejsce, gdzie można pospacerować i może od czasu do czasu coś powąchać.

- Nie wiesz wszystkiego, Zuzanno.

Przez chwilę przyglądała mu się z namysłem. - Nie, nigdy tak nie twierdziłam. Pokazujesz innym tylko cząstkę siebie i czasem zastanawiam się, czy i ona jest prawdziwa.

Pocałował ją znowu i uśmiechnął się. - Chodźmy na spacer. Dowiedziałem się czegoś, co wstrząsnęło mną do głębi. Mam nadzieję, że może ty będziesz miała jakieś pomysły. Widzisz, chodzi o to, że teraz Tibolt także wydaje się w to wmieszany.

- Ten pastor?

- Tak, ten pastor.

Dwa poranki później baron i baronowa Mountvale opuścili Dinwitty Manor, żegnani przez gospodarza, który machał do nich, dopóki nie zniknęli za zakrętem.

- Jak myślisz, kiedy Phillip skończy budować wieżę?

- Zastaliśmy go tu o tej porze tylko dlatego, że chciał dopilnować rozpoczęcia prac. Odwiedzimy go znowu na jesieni, do tego czasu budowa powinna być już skończona. Phillip nigdy nie zasypia gruszek w popiele.

Co za dziwna przenośnia. Skinął głową, zamyślony. Poranek był mglisty, powietrze chłodne, jakby za chwilę miał spaść deszcz.

- Co za szkoda, że nie dowiedzieliśmy się wczoraj niczego więcej - powiedziała. Skinął głową i położył sobie jej odzianą w rękawiczkę dłoń na udzie, a potem przycisnął ją swoją dłonią.

- Ta gospoda, w której byliśmy wczoraj, ta, do której kiedyś zabrał mnie George... To miejsce przywołało tyle wspomnień. To było prawie pięć lat temu, Rohan. Byłam taka młoda i naiwna. Prawdę mówiąc, głupiutka.

- Nie, nie byłaś głupia. Po prostu dałaś się nabrać młodemu mężczyźnie, który doskonale wiedział, czego chce i jak to osiągnąć. Na miłość boską, miałaś siedemnaście lat! Bardzo dobrze sobie poradziłaś, Zuzanno, zważywszy na okoliczności.

- Dziękuję. Szkoda, że nikt nie potrafił nam nic powiedzieć o Lambercie czy Micahu. Ten człowiek naprawdę nazywa się Lambie Lambert?

- Najwidoczniej tak. Uważam, że Micah ukrył się gdzieś, gdy Lambert nie wrócił. Jeżeli ma choć trochę rozumu, zakopał się głęboko w jakiejś jaskini. Może w tej samej, w której bawiliśmy się jako chłopcy. George mógł mu o niej powiedzieć.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem powiedziała: - Wiesz co, Rohan? Musimy znaleźć jakiś sposób, by go wywabić. Jeżeli zastanowimy się razem, na pewno uda nam się coś wymyślić.

Popatrzył na nią. Miała na sobie śliczny kapelusik z kremowej słomki, przybrany małymi jedwabnymi stokrotkami i zawiązany pod brodą bladożółtą wstążką. Wyglądała elegancko i bardzo kobieco, a jednak słowa, które usłyszał, naprawdę wyszły z jej ust. Z pewnością kobieta nie powinna zajmować się planowaniem strategii tego rodzaju - to było cechą męskiego umysłu, a przynajmniej powinno być.

- Nawet o tym nie myśl. Nie chcę, żeby ten drań choć zbliżył się do ciebie.

Odwróciła dłoń i ucisnęła jego rękę. - Tym razem będzie inaczej. Będziemy na to przygotowani.

Zabawimy się z nim jak kot z myszą. A kiedy już dowiemy się wszystkiego, pozbędziemy się go. - Przerwała na chwilę i wyjrzała przez okno. Właśnie zaczęło padać - drobny, zimny deszczyk. Wzdrygnęła się i przysunęła bliżej niego. Rohan przykrył jej kolana miękkim wełnianym pledem.

- Nie będzie żadnego polowania, chyba że ja będę kotem, a ty będziesz bezpieczna daleko od całej tej awantury. Nie mam zamiaru jeszcze raz przechodzić przez to wszystko.

Uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko i wiedział, że ma kłopoty. Lecz, do cholery, jest jego żoną. Powinna go słuchać. Co za kobietę poślubił? - Bardzo chciałbym się z tobą kochać - powiedział z westchnieniem, gdyż wiedział, że na razie nie jest to możliwe. - Jutro? Proszę, powiedz, że jutro. Jestem w opałach, Zuzanno.

- Jesteś pewien, że mąż powinien rozmawiać o takich sprawach z żoną? Czy nie istnieją żadne zasady? To bardzo osobista sprawa, Rohan. Zawstydzasz mnie. Obiecałeś, że nie będziesz mnie zawstydział, a teraz znów to zrobiłeś.

- O ile sobie przypominam, to miałem rację co do twojego pierwszego ataku wstydu. Nie trwał dłużej niż minutę.

- Ale to co innego. Tym razem nie zacznę jęczeć.

To Rohan jęknął, opierając głowę o poduszki powozu. Zamknął oczy. - Nie będę na ciebie patrzył. To powinno pomóc. Te twoje usta doprowadzają mnie do szaleństwa. Ze nie wspomnę o uszach. Bogu niech będą dzięki, że ten kapelusz zakrywa ci uszy.

Ścisnęła mocniej jego dłoń. - Może jutro - powiedziała. Odwrócił od niej lekko twarz, by nie dostrzegła pełnego satysfakcji uśmiechu, który nagle zagościł na jego ustach. Lecz uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Tibolt. Pamiętał, jacy rodzice byli z niego dumni, dopóki pewnego dnia nie zamknął się na plebanii pastora Byama i nie zaczął krzyczeć, że stamtąd nie wyjdzie, dopóki ojciec nie obieca mu, że przestanie go zmuszać, by siedł za nim ścieżką przyjemności i grzechu, i pozwoli mu zostać duchownym. Rodzice byli zdumieni, oszołomieni. Nalegali, by poszedł w ślady ojca i swego wspaniałego starszego brata, Rohana właśnie. W końcu ustąpili, nadal mając nadzieję, że Tibolt zmieni zdanie, był bowiem jeszcze zbyt młody, by w pełni doświadczyć, czym jest pożądanie. Lecz lata mijały, a Tibolt pozostał przy swoim.

Powiedzieli więc sobie - nie ukrywając tego przed Rohanem - że przynajmniej mają jego, że ich najstarszy syn pójdzie w ich ślady. Liczyli na niego. Czy nie był zawadiaką, jak jego ojciec? I czy dziewczęta nie spoglądały za nim z ogniem w oczach, gdziekolwiek się pojawił?

Rohan otrząsnął się ze wspomnień. To Tibolt był teraz ważny. Co się zdarzyło? Czyjego średni brat naprawdę wplątał się w jakieś łajdactwa George' a, za- nim ten utonął? Czyste szaleństwo. A może McNally kłamał? Może Tibolt o niczym nie wiedział. A jeśli nawet McNally widział braci razem, być może ich spotkanie było niewinne? Musiał się upewnić. Dlatego poprzedniego wieczoru powiedział do Zuzanny i Phillipa: - Jutro jedziemy do Branholly Cottage zobaczyć się z Tiboltem. Chcę poznać prawdę. Muszę poznać prawdę. Jeżeli nic w tym nie ma, wrócę do Oksfordu i złamię McNallyemu obie ręce.

Phillip skinął głową, przełknął szczególnie apetyczny kęs pieczonego homara z sosem cytrynowym i powiedział: - Będę miał oko na naszego pana McNally. Jeżeli Theodore Micah wyjdzie z ukrycia, będę o tym wiedział. Wspomniałem już komu trzeba, że chciałbym go dostać. A wy, jakie macie plany? Wróćcie do Mountvale, czy pojedziecie do Londynu?

- Jeszcze nie wiem - powiedział Rohan powoli. - Tylu rzeczy musimy się dowiedzieć.

Zobaczymy.

A teraz przemierzali powozem południową Anglię, kierując się ku Branholly Cottage, położonemu nie dalej niż pięćdziesiąt mil na wschód od Mountvale House.

Rohan obawiał się tego, co może ujawnić wizyta u brata. Z drugiej strony, McNally był łajdakiem. Kłamał przez całe swoje parszywe życie. Dlaczego nie miałby skłamać o Tibolcie?

Zuzanna, jakby odgadując jego myśli, ścisnęła go mocniej za rękę.

Tibolt Carrington, bardzo popularny młody członek społeczności małego targowego miasteczka Edgeton - on - Hough, znany był ze swej pobożności, mądrości, zaskakującej u człowieka tak młodego, i z tego, że na swój spokojny, choć szczerzy sposób bardzo troszczył się o swą trzódkę. Zawsze miał czas nawet dla najmniej obiecujących spośród swoich parafian, jak na przykład kowal Jasper, który pił tyle, iż mówiono o nim, że pewnego ranka, po szczególnie intensywnej Pijatyce, przybił odwrotnie koniom podkowy do kopyt.

Gdy do pokoju wszedł jego służący, Nelson, wielebny pisał właśnie niedzielne kazanie.

Przyjechał pański brat, proszę pana.

- Mój brat? Dobry Boże, Rohan jest tutaj? Zerwał się i z szerokim uśmiechem popatrzył na brata, który właśnie wkroczył do pokoju.

- Witaj, Rohanie. Co ty tu robisz? Czy z mamą wszystko w porządku? Coś się stało? Dobrze się czujesz?

- O, tak, czuję się doskonale, wszyscy inni też. Przywiozłem ci gościa. Chodź tutaj, Zuzanno.

Zuzanna weszła do pokoju i stanęła twarzą w twarz z człowiekiem, którego nie widziała nigdy przedtem, przystojnym mężczyzną, bardzo podobnym do George'a i Rohana. Było w nim jednak coś, co różniło go od obu braci - może zbyt intensywne spojrzenie lub mocno zaciśnięte usta. Nie była pewna. Miał carringtonowski dołek w brodzie i zielone oczy. Uśmiechnął się do niej obojętnie. Stanęła obok Rohana, czekając.

Rohan zaś pilnie obserwował twarz brata. W przeciwieństwie do Zuzanny, wydało mu się, że dostrzegł błysk zaskoczenia, rozpoznania, który zniknął tak szybko, że nie mógł być pewny, czy nie był tylko wytworem jego wyobraźni. Zastanawiał się, czy tego brata także zna nie lepiej, niż znał George'a.

Tibolt spojrział na Rohana pytająco, unosząc brwi w ten sam sposób, jak robił to baron.

- Widzę, że rozpoznałeś Zuzannę - powiedział Rohan spokojnie, nie bawiąc się w żadne wstępy i podążając za głosem instynktu. - Kiedy widziałeś ją po raz ostatni? Pięć lat temu w Oksfordzie? Czy George zaprosił cię na swój udawany ślub?

Niemal natychmiast zorientował się, że brat ma zamiar skłamać. Szybko podniósł rękę. - Nie rób tego, Tibolcie. Powiedz mi prawdę. Wyobrażam sobie, że jeśli ty, pastor, kłamiesz, to kara, jaka cię za to spotka, będzie surowsza od tej, jaka spotkałaby mnie. Jestem twoim bratem. Zasługuję, by poznać prawdę. No, dalej, wyrzuć to z siebie.

- Tak, moja kara byłaby surowsza... Co za splątana sieć utkaliśmy...

- Oszczędź mi tych literackich frazesów - przerwał mu stanowczo Rohan, głosem zimnym i pełnym pogardy. - Chcę usłyszeć całą cholerną prawdę.

- Doskonale. George zmusił mnie, bym mu obiecał, że nie powiem nikomu, zwłaszcza tobie. Dowiedziałem się przypadkiem, przysięgam ci. Bawiłem właśnie z wizytą u biskupa Roundtree i wpadłem zobaczyć się z George'em. Akurat przygotowywał się do tego, hmm... ślubu. Powiedział mi o wszystkim. A co do ciebie - rzucił, wpatrując się w Zuzannę z pełnym pogardy uśmiechem na

swoich wykrzywionych ustach - to ponieważ jesteś z baronem, najwidoczniej poszłaś do niego i powiedziałaś mu, co się zdarzyło. Miałaś zamiar go szantażować. A on wziął sprawy w swoje ręce, prawda? - I co, Rohan, dasz jej jakieś pieniądze i odeślesz na kontynent? Na pewno spodoba jej się Paryż, kobietom tego rodzaju zwykle się podoba. Tak, Rohanie, to nie był żaden dramat. George pragnął jej, lecz ona udawała damę, więc poszedł do McNally ego i zrobił coś, co wcale nie tak rzadko zdarza się w Oksfordzie. Żal ci pieniędzy? Jesteś bogaty. A ona na pewno szybko znajdzie sobie nowego protektora, gdy tylko wyślesz ją z Anglii. Nalegam, żebyś to zrobił. Mogłaby zepsuć mi opinię, i nie tylko mnie, gdyby zaczęła opowiadać na prawo i lewo, co zrobił jej Carrington. Nawet gdyby nikt jej nie uwierzył, zaczęłoby się gadanie. Moi drodzy parafianie by tego nie zrozumieli. Oczywiście, stanęliby przy mnie, ale to byłby dla nich cios.

Rohan zdawał się słuchać go z umiarkowanym zainteresowaniem. Zuzanna widziała jednak, że jest wściekły. Jakie to dziwne, że znała go tak dobrze, choć nie minęły jeszcze trzy tygodnie, od kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Co do niej samej, to słowa Tibolta tak ją zaszokowały, że wprost nie mogła się poruszyć.

- Powiedz mi, Tibolcie - zapytał Rohan spokojnie, rozluźniając zaciśnięte w pięści dłonie - co miałeś na myśli, mówiąc o ciosie? Czy twoi parafianie zaczną się zastanawiać, jaki naprawdę jesteś, gdy tylko dowiedzą się, jakim perfidnym draniem był twój młodszy brat?

- Nie będą się zastanawiać, ponieważ powiem im prawdę, no, może nie całą prawdę. To nie będzie potrzebne. Posłuchaj, Rohanie, George miał po prostu słaby charakter, wiesz o tym. Pragnął jej, lecz ona udawała skromniśnię i nie pozwalała mu na nic. Powiedział mi, że mieszka z jakimś starym facetem i małym dzieckiem, o którym mówiła, że jest jej bratem. George powiedział, że mały jest prawdopodobnie jej synem, że bardzo wczesnie weszła na drogę grzechu.

- Gdy miała dwanaście czy trzynaście lat? Tibolt wzruszył ramionami. - To bez znaczenia.

Posłuchaj, George jej pragnął. Nie, moi parafianie obrzuciliby obelgami ją, nie George'a, bo czyż kobieta nie jest najbardziej grzeszną istotą na ziemi? Czy nie sprowadza mężczyzn na złą drogę? Mimo to dobre imię naszej rodziny mogłoby na tym ucierpieć. Nie rozumiesz, Rohanie? Ona musi wyjechać. Zapakuj ją na pierwszy statek do Francji. O Boże, chyba nie zostałeś jej protektorem?

- Protektorem? Zuzanno, czy nazwałabyś mnie swoim protektorem?

- Jesteś najlepszym spośród protektorów - - powiedziała jasnym, czystym głosem. - Ale, być może, będę wolała Tibolta. Przypomina mi George'a, a ja uwielbiałam George'a. Ty jesteś zbyt doświadczony, zbyt mądry, milordzie. Nie mogłabym manipulować tobą tak, jak manipulowałam George'em. Lecz w końcu, to on śmieje się ostatni, czyż nie? Nie zostałam jego żoną. Powiedz mi, Tibolcie...

- Panie Carrington, dla takich jak ty! Delikatnie pociągnęła Rohana za połę surduta, by nie rzucił się przez pokój i nie złapał brata za gardło. Usłyszała, jak wciąga głęboko powietrze.

- Niech panu będzie, panie Carrington. Proszę mi powiedzieć, czy jest nadzieja, że zmieni pan zdanie? Z pewnością ma pan jakieś dodatkowe dochody poza tymi, które przynosi panu probostwo. Miewałam protektorów, którzy nie posiadali prawie nic i innych, bardzo bogatych. Nie jestem szczególnie zachłanna. Czyż nie godziłam się, by George dawał mi tylko dziesięć funtów na kwartał? Nie jestem też nieczuła. I co pan na to, panie Carrington? Oszczędziłoby to baronowi wielu zmartwień i miałby pan mnie.

- Jesteś dziwką - powiedział Tibolt, sztywniejąc niczym kij od szczotki. - Nie sypiam z dziwkami.

- Doprawdy? - powiedział Rohan, podchodząc bliżej. Poczul dłoń Zuzanny na swoim surducie i cofnął się posłusznie. - A z kim sypiasz, Tibolcie? Z żoną miejscowego kupca winnego? Albo sprzedawcy tekstyliów?

- Jestem dyskretny, Rohanie, nie tak jak ty i nasza żałosna matka. Nie chwale się swoimi romansami. W przeciwieństwie do ciebie, nie pławię się w blasku niesławy, okrywającym naszych rodziców. - Podszedł szybko do Rohana i złapał go za ramię. Zerknął na Zuzannę i grymas obrzydzenia wykrzywił mu zaciśnięte wargi. - Posłuchaj, Rohanie, po prostu odeślij. Czy tak nie będzie najlepiej? Jesteś głową rodziny. Powinieneś nas ochraniać. To twój obowiązek.

- A jeśli jeden z członków rodziny okaże się łajdakiem? Czy moim obowiązkiem jest naprawianie krzywd, wyrządzonych przez naszą rodzinę?

- Jakie łajdactwo? Jakie krzywdy? To, co zrobił George, to był tylko chłopięcy wyskok, nic więcej. Nie skrzywdził młodej damy. Spójrz tylko na nią, Rohanie, widać po oczach, że jest zepsuta, że dobrze wie, co robi. Spójrz na jej strój. To strój dziwki, czepek dziwki. Jestem zdumiony, że pomalowała sobie twarz. Spójrz tylko na nią. Zobacz, jak się cieszy, że udało jej się nas skłócić.

- Naprawdę? Nie wiedziałem, że potrafisz dostrzec tak wiele, Tibolcie. Po oczach widać, że jest zepsuta?

Rzeczywiście? - Odwrócił się do Zuzanny i delikatnie ujął jej twarz w dłonie. - Ani śladu kosmetyków. Czy jesteś dziwką w przebraniu niewiniątka?

Potrząsnęła głową, nie spuszczając z niego wzroku.

- Cieszysz się?

- Prawdę mówiąc, nie mogę już tego znieść. To za wiele. Proszę.

- Masz rację, przepraszam. Zaraz z tym skończę.

- Spojrzał na brata - młodego człowieka, którego, jak mu się zdawało, znał tak dobrze. Czy mylił się co do charakteru wszystkich członków swojej rodziny? Może nawet ciotka Miranda - poczciwa stara panna - była w rzeczywistości potworem z Brighton?

- Wiesz, że jesteś wujkiem?

- Dobry Boże, Rohanie, spłodziłeś nieprawie dziecko?

- Nie, George to zrobił. On i Zuzanna mają córeczkę Marianne. Ma trzy i pół roku. George ci nie powiedział? Trudno w to uwierzyć, zważywszy, że Marianna jest do niego bardzo podobna. Równie dobrze któryś z nas mógłby być jej ojcem.

Tibolt zaczerpnął głęboko powietrza, próbując się uspokoić. Odsunął się od brata i podszedł do małego okna, wychodzącego na ogród probostwa. Nędzny ogród, w którym zbyt rozrośnięty bluszcz prawie zupełnie zdusił biedne krzaki róż.

- Mówiłeś, że jako głowa rodziny mam pewne obowiązki. Więc powiedz mi, dlaczego żaden z was nie powiedział mi o tym fikcyjnym małżeństwie? Jeżeli George chciał się z tego wyplątać, dlaczego po prostu nie przyszedł do mnie i nie poprosił o pomoc?

- Bał się, że go zabijesz. Ja też tak sądzę.

Czy bracia postrzegali go zarazem jako satyra i anioła zemsty? Jak to możliwe? Z drugiej strony - George miał rację - zabiłby go. Westchnął. - Więc jednak George nie był taki głupi. Tak, z pewnością miałbym ochotę go zabić. Ale on i tak umarł, pozostawiając żonę i córkę.

- Ona nie jest jego cholerną żoną!

- Uważała, że jest. Ale dość o tym. Przedstawiam ci moją żonę, Zuzannę Carrington, lady Mountvale. I ostrzegam cię, zastanów się, zanim coś powiesz. Czuję, że jestem wściekły. Prawdę

mówiąc, nie wiem, czy kiedykolwiek byłem tak wściekły, jak jestem w tej chwili. Lepiej się pilnuj.

ROZDZIAŁ 24

Tibolt zaniemówił. Z przerażeniem w oczach spoglądał to na Rohana, to na Zuzannę. Przełknął ślinę, otworzył usta i zamknął je znowu. - Nie - powiedział w końcu, głosem niewiele głośniejszym od szeptu. - To nie może być prawda. Dlaczego mnie torturujesz? Wiedziałem, co robi George, ale był moim bratem. Miał w sobie krew rodziców. Był słaby i niegodziwy jak oni. Musiałem go chronić.

- Ile było tych dziewcząt, Tibolcie?

- Ale ja nie...

Rohan ruszył przed siebie tak szybko, że Zuzanna ledwie zdążyła złapać oddech. Chwycił brata za kołnierz i potrząsał nim bezlitośnie. - Posłuchaj mnie, pobożny mały łajdaku. Ile dziewcząt poślubił George?

- Trzy. Same dziwki. Kogo to obchodzi? Rohan odsunął się i z całej siły uderzył brata w szczękę. Tibolt runął tam, gdzie stał. Rohan przyglądał mu się przez chwilę, rozcierając knykcie.

Zuzanna kiwała głową w przód i w tył, zszokowana. - Trzy? Zrobił to jeszcze dwóm innym dziewczętom? Skąd wiedziałeś?

Zobaczył, że drży, najpierw z powodu poniżenia i szoku, a potem z czystego gniewu. Przytulił ją do siebie i ucałował jej skroń. - Nietrudno było się domyślić, Zuzanno. Bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego.

Przytulił ją mocniej do siebie. Objęła go z całej siły. Jego ból wręcz dawał się wyczuć, cierpiał tak jak ona. Zuzanna odezwała się pierwsza. - Wszystko będzie dobrze - powiedziała cicho i łagodnie. - Przysięgam. Przejdziemy przez to razem.

- Ale te wszystkie oszukaństwa... To takie trudne, Zuzanno.

- Wiem. Razem damy sobie z tym radę.

- Boże święty! - zawołał z przerażeniem Nelson, stając w drzwiach. - Co się stało mojemu panu?

- Miał coś w rodzaju ataku, Nelson. Lepiej go nie ruszaj. Mówiono mi, że nie należy ruszać ludzi, którzy dopiero co mieli atak. I jeszcze jedno, Nelson: kiedy twój pan przyjdzie do siebie po tym ataku, powiedz mu, że wrócę tu dziś wieczorem na jeszcze jedną braterską pogawędkę. Aaa, i pozwól, że przedstawię ci moją żonę. Nelson, oto lady Mountvale.

- To dla mnie przyjemność, milady - powiedział Nelson nie patrząc na nią, ale wpatrując się bezradnie w Tibolta, który właśnie zaczął poruszać się i jęczeć.

Zuzanna skinęła głową służącemu, odsunęła Rohana i podeszła do leżącego. Powieki Tibolta zatrzepotały. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się, a był to najzimniejszy uśmiech, jaki Rohan kiedykolwiek widział. Dostrzegł w nim gniew i sprawiło mu to przyjemność.

- To, że śmie pan nazywać się sługą bożym, z pewnością w najwyższym stopniu zadziwia Boga. Podobnie jak mnie. Jest pan bardzo złym człowiekiem. Do tego oszustem i hipokrytą. A może jeszcze kimś więcej? Dowiemy się tego. Nie zasługuje pan, by mieć Charlotte za matkę. Ona jest dobra. A pan, proszę pana, jest ropuchą. - Co powiedziawszy, z całej siły kopnęła go w żebra.

Nelson ruszył do swego pana. Ukląkł przy jego boku, odwrócił głowę, by spojrzeć na Zuzannę i powiedział: - Dlaczego pani to zrobiła? Nie powinna pani była go kopać. Jego lordowska mość powiedział właśnie, że nie powinno się ruszać człowieka, który przed chwilą miał atak.

- Nie poruszyłam go ani odrobinę - powiedziała Zuzanna. Odwróciła się na pięcie i opuściła wraz z mężem plebanię.

Kiedy wieczorem Rohan zostawił ją samą w gospodzie, nie oponowała. Czowała się chora, zupełnie wyczerpana. Burczało jej w brzuchu i czowała mdłości, podchodzące niemal do gardła. Martwiła się o Rohana, lecz kiedy próbowała wyperswadować mu wizytę na plebanii, jej mąż tylko potrząsnął niecierpliwie głową.

- Trzeba to zrobić - powiedział jedynie. - Muszę znać całą prawdę. - Pocałował ją, a ona wyczuła jego gniew i ból, a także obezwładniający lęk przed tym, czego jeszcze może się dowiedzieć.

W końcu jakoś udało mu się zapanować nad bólem i gniewem. Modlił się tylko, by Tibolt nie uciekł - czego na poły się spodziewał - lecz stawił mu czoła dziś wieczorem. Nie, wielebny nie uciekł. Okna plebanii płonęły jasnym światłem.

Brat oczekiwał go w gabinecie. Prawdopodobnie było to jedyne pomieszczenie, w którym czuł się w miarę pewnie. Rohan skinął głową Nelsonowi, a potem wmaszerował do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

- Cieszę się, że cię zastałem - powiedział.

Jego brat wzruszył ramionami. - A dokąd miałbym pójść? Tu jest mój dom. Mam obowiązki wobec ludzi w tym miasteczku. Oczywiście, że mogę być tylko tutaj. Nie jesteś aż tak przerażający, Rohanie, choć nadal masz mocny cios. - Potarł dłonią szczękę, na której zdążył już pojawić się lekki siniak. A potem spojrzał prosto na brata i, wzruszając ramionami, powiedział: - Więc ożeniłeś się z dziwką. Mam nadzieję, że wiedziałeś, co robisz. Zważywszy na twoją reputację, taki związek z pewnością ci odpowiada. Tak czy inaczej, to nie moja sprawa.

On mi to po prostu ułatwia, pomyślał Rohan, podchodząc do biurka i opadając na jeden ze stojących tam starych, skórzanych foteli. Złożył dłonie i zaczął postukiwać palcami. - Nikt nie wie, że Zuzanna była żoną George'a. Powiedziałem wszystkim, że to ja ożeniłem się z nią ponad pięć lat temu i trzymałem to w tajemnicy. Dlaczego to zrobiłem? - zapytają zapewne. Odpowiem, że postąpiłem tak, ponieważ byłem zbyt młody, by przyznać, że zakochałem się i wziąłem ślub. Byłem niemądry, lecz bardzo kocham moją żonę i córkę. Od ciebie zaś oczekuję, że będziesz podtrzymywał tę fikcję. Marianna jest moim dzieckiem. O tym, jak wygląda prawda, wie tylko nasza matka i brat Zuzanny, Toby. To kwestia honoru rodziny i reputacji George'a. Jakież pytania?

- Nie, skoro tak chcesz to załatwić. Naturalnie, wszyscy będą zszokowani. Ty, satyr Carrington, żonaty od pięciu lat, trzymający w ukryciu żonę i córkę po to, by nadal sypiać z każdą kobietą w Londynie? To dopiero przewrotność. Moi parafianie będą zaskoczeni.

- Być może, ale przeszedłem zbyt długą drogę, by teraz się wycofać. Kiedy wiadomość się rozejdzie, w wielu oczach pojawią się łzy. A co do ciebie, bracie, to powinieneś pamiętać, że poza swymi parafianami, jesteś coś winien rodzinie. Kiedy wrócimy do Mountvale, wydamy następne przyjęcie i wówczas oznajmię o swoim małżeństwie. Choć, jak przypuszczam, dzięki lady Dauntry, wie już o nim zapewne każda żywa istota w Anglii. Będę wyglądał na zakłopotanego. Będę czarująco zawstydzony i zmieszany. A potem pojedziemy z Zuzanną do Londynu i powtórzmy przedstawienie. Masz jakieś pytania?

Tibolt potrząsnął powoli głową. Spojrzał na brata ze zdziwieniem, jakby widział go dziś po raz pierwszy. - Nie spodziewałem się tego po tobie. Nie rozumiem, po co to robisz. Ona nic dla ciebie nie znaczy, zupełnie nic. A co do dzieciaka...

Rohan nie mógł już tego znieść. Przerwał bratu, zanim ten zdążył odkryć się jeszcze bardziej. - Tak? A co by było, gdybyś to ty odkrył, że masz bratanicę, że twój brat zaaranżował fikcyjny ślub, ponieważ chciał zaciągnąć do łóżka matkę dziecka?

- Powiedziałem ci, kim ona była.

- Tak, powiedziałaś. Ale to taka bzdura, że zaczynam zastanawiać się nad tym, co tobą kierowało. Ona jest damą. Czy obwołałeś ją dziwką, aby usprawiedliwić przed sobą to, co zrobił George? Tak było, prawda? Widzę to w twoich oczach.

- Nie, widziałem ją, podobnie jak tamte dwie. Choć była młoda, strasznie młoda, nie widziałem powodu, by zmienić o niej opinię. Wydawała się zupełnie taka jak tamte.

- A zatem, zaczynam sądzić, że George skrzywdził jeszcze dwie zupełnie niewinne młode damy. Jeżeli widziałeś tylko to, co chciałeś zobaczyć, to popełniłeś wielki błąd. Nie zachowałeś się zgodnie ze swoim stanem, Tibolcie. Powinieneś był ją odszukać i powiedzieć jej prawdę. Będziesz musiał się wiele modlić, by odpokutować za to, czego nie uczyniłeś. Nasza rodzina wyrządziła jej wiele złego. Lecz koniec z tym. Teraz ona należy do mnie, i Marianna także.

I znowu Tibolt wzruszył ramionami. - A co z pozostałymi? Co, jeśli się myliłem i one także nie są dziwkami? Spróbujesz wydać jedną z nich za mnie?

- Powiedziałeś, że George zrobił to jeszcze dwóm młodym dziewczętom. Wiesz, kim one były?

Tibolt potrząsnął głową. - Lecz skoro ta do ciebie przyszła, to pewnie inne też przyjdą.

- Ona do mnie nie przyszła. A teraz postaraj się zapomnieć o tych paskudnych rzeczach, które powiedział ci George. Czy naprawdę jesteś aż takim ignorantem, że mu uwierzyłeś? Zwłaszcza że zrobił to aż trzy razy? Powiedz mi, czy Zuzanna była trzecia?

- Nie, druga.

- Miała siedemnaście lat, kiedy George namówił ją do tego małżeństwa. Jest damą z wychowania i urodzenia.

- Kopnęła mnie w żebra. Żadna dama nie kopnęłaby w żebra sługi bożego.

- Nadużywasz mojej cierpliwości, Tibolcie. Czy uważasz mnie za dżentelmena?

- Oczywiście.

- Doskonale. A przecież uderzyłem cię jak tylko mogłem najmocniej.

- To co innego.

Rohan przewrócił oczami. - Zdziwiasz mnie. Miałbym ochotę zaprowadzić cię do tego nędznego skrawka gruntu z tyłu, który nazywasz ogrodem i walić w ciebie, aż wróci ci rozum.

Tibolt uniósł dłonie. - Nie ma potrzeby, zrobię, jak zechcesz. To dla mnie nic trudnego, naprawdę.

Rohan usiadł prosto i powiedział miękko. - A teraz opowiesz mi o mapie.

Twarz Tibolta nie wyrażała nic poza zdziwieniem. - Mapie? O jakiej mapie?

- Wiesz doskonale, o jakiej mapie mówię. Wiem, że George ci o niej powiedział. - Zorientował się, że trafił w sedno, lecz Tibolt milczał.

- Mów, do cholery!

- Rzeczywiście, niedługo przed śmiercią George wspomniał mi coś o jakiejś mapie - powiedział Tibolt z wahaniem. - Lecz nie przywiązywałem do tego wagi, bo on zawsze siedział z nosem w

mapach. Fascynowały go.

- Znasz Theodore'a Micaha i Lambie Lamberta, prawda?

- Tak, oczywiście. Byli kumplami George'a, ale ja też ich znam. Pamiętaj, że jestem tylko dwa lata starszy niż on. A dlaczego pytasz? Co oni mają wspólnego z mapą? I co to za mapa?

- Prawdę mówiąc, raczej połówka mapy. Nie mam pojęcia, do czego się ona odnosi, ale na pewno jest to coś, co ci dwaj bardzo chcieliby dostać w swoje ręce.

- O czym ty mówisz?

Rohan przez chwilę przyglądał się swoim paznokciom, potem spojrzał na leżące na biurku pióro i wreszcie, nie patrząc na brata, powiedział: - Lambert lub Micah, a może obaj, włamali się trzy razy do domu Zuzanny, próbując ukraść tę połówkę mapy. A potem Lambert włamał się jeszcze do Mountvale House, nie udało mu się nic znaleźć, więc porwał Zuzannę.

- Mój Boże, mówisz poważnie?

- Jak najbardziej.

- Zabijeś go?

- Nie, prawdę mówiąc, postarałem się, by został wcielony do Marynarki Królewskiej. Niestety, niczego nam nie powiedział. Lecz był zdecydowany znaleźć tę mapę, wiem o tym.

Tibolt wydawał się naprawdę wstrząśnięty. Na pobladłej nagle twarzy siniak na jego szczęce przybrał bardziej wyrazistą barwę. - Nie miałem pojęcia - powiedział, potrząsając głową i spoglądając prosto na brata. - Naprawdę. Micah przyszedł do mnie jakiś tydzień temu i wypytywał o tę połówkę mapy. Musiał mi o niej przypomnieć, bo zupełnie o tym zapomniałem. To wszystko, co wiem, Rohanie.

- Gdzie on jest?

- O ile pamiętam, powiedział, że wybiera się do Eastbourne. I że będzie w przebraniu, ponieważ obawia się pewnych ludzi. Miał zamiar wprowadzić się do jakiejś wdowy mieszkającej przy nabrzeżu. Jak już mówiłem, to było mniej więcej tydzień temu. Chciał, żebym pojechał do Mountvale i poszukał tej mapy. Powiedziałem mu, że nawet gdybym ją znalazł, to połówka i tak nie wystarczy, prawda? Powiedział, żebym się o to nie martwił. I że razem z mapą powinien być mały złoty klucz. Pamiętam, odpowiedziałem, że głupio by mi było jechać do Mountvale i rozpytywać o jakąś mapę, która była własnością George'a. Spytałem go też, kto ma drugą połowę. Ale on tylko się uśmiechnął, a nie był to miły uśmiech, możesz mi wierzyć. Nic więcej nie wiem, przysięgam. Poza tym on by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że powiedziałem ci, gdzie go szukać.

- Chcę wiedzieć, gdzie się zatrzymał. I jak wygląda. Nie dopuszczę do tego, by niebezpieczeństwo wisiało bez końca nad naszymi głowami.

Tibolt westchnął. - Błagam cię, bądź ostrożny. On jest aktorem, i to dobrym. Co do wyglądu... no, musi mieć teraz około trzydziestki. Średniego wzrostu, raczej szczupły i zwykle ubiera się jak dandys - wiesz, gruby łańcuszek od zegarka, pokaźny i sztywny koronkowy żabot, krzykliwe kamizelki i tak dalej. Ma kruczoczarne włosy i równie czarne oczy. Puste i zimne oczy. Nie lubię patrzeć mu w twarz. Nawet gdy się uśmiecha, nie jest to prawdziwy uśmiech. Zabrałeś mu kumpla i teraz jest jak martwy w środku. Nie powinieneś go ścigać. Lecz, jak cię znam, i tak będziesz próbował. Zawsze udawało ci się dostać to, czego pragnąłeś, prawda? Ostrzegam cię jeszcze raz, uważaj na siebie, jeśli go znajdziesz.

Rohan skinął głową i wstał. - Jeżeli dowiem się, że siedzisz w tym głębiej, niż skłonny jesteś przyznać, postaram się, byś został ukarany, nawet gdyby miało to zranić matkę. Wystarczająco już

martwi się tym, co zrobił George. Gdyby wiedziała, że byłeś świadomy tego, co on robi, pewnie przyjechałaby tu i sama kopnęła cię w zębra.

- Podobnie jak twoja żona, nasza matka też nie jest damą. Nigdy nie była odpowiednią żoną dla naszego ojca.

Rohan mógł tylko w milczeniu wpatrywać się w brata. Zastanawiał się, czy Tibolt kłamie. Chyba tak, lecz nadal nie mógł wyobrazić sobie, dlaczego ani w jaki sposób jego brat mógł wplątać się w cały ten bałagan. I nadal nie mógł zmusić się, by uwierzyć, że to Tibolt włamał się do Mountvale wtedy, tej pierwszej nocy. Nie, to niemożliwe. Lecz czuł, że dużo jeszcze zostało do odkrycia i ta świadomość napawała go przerażeniem. Do diabła, nie mógł nawet o tym myśleć.

Głowa Zuzanny spoczywała na jego ramieniu, czuł jej płytki oddech. Wiedział, że nie śpi, ale oparta o niego rozmyśla o tym, co jej powiedział. Nie wypytywała go zbyt szczegółowo. Ciekawe, czy zauważyła, że pominął parę faktów... Nie powiedział jej o Theodorze Micahu ani o tym, że ten łąjdak przebywa w Eastbourne. Prawdopodobnie obmyślała jakiś plan. Podobała mu się ta nieustraszona przebiegłość, którą w niej odkrył. Podobnie jak to, iż znał ją już na tyle dobrze, że coraz częściej potrafił odgadnąć, o czym myśli. Ale nie powie jej o Micahu. Nie chce jej straszyć. Nie zaryzykuje, że jego nieustraszona żona wymknie mu się i pojedzie do Eastbourne sama szukać tego łąjdaka.

Pocałował ją w czubek głowy. Wątpił, czy kiedykolwiek pożałuje, że ją poślubił - Zuzannę, kobietę dumną, obdarzoną silnym charakterem i bezlitosną. Przytulił ją mocniej. - Zuzanno, jesteśmy już prawie w domu.

Chciał jej powiedzieć, że kiedy w końcu znajdą się w domu, za zamkniętymi drzwiami sypialni, wyczuje każdy rozkoszny skrawek jej ciała, zwłaszcza te miękkie miejsca pod kolanami. Sama myśl o tym sprawiła, że zaczął szybciej oddychać.

- Wiem. Dziękuję ci, że zgodziłeś się, byśmy wyjechali z tej gospody. Nie sądzę, bym była w stanie spędzić tam jeszcze jedną noc.

Gdy wrócił po spotkaniu z bratem, zobaczył ją stojącą na środku pokoju. Była ubrana do drogi, a spakowane kufry stały obok.

Spojrzała na jego twarz, natychmiast podbiegła i mocno objęła go ramionami.

Nie powiedziała ani słowa, po prostu go przytuliła.

- Zostało nam jeszcze jakieś piętnaście minut. Dochodziła pierwsza w nocy. Z czarnego nieba siąpił drobny deszczyk. Było zimno, a od łąk niosła się mgła, sięgająca już niemal okien powozu.

- Nie powiesz mi nic więcej, prawda?

- Nie ma wiele więcej.

Westchnęła. - Nie wierzę ci. Próbujesz mnie chronić. Uważasz, że tylko George maczał palce w tej awanturze z mapą?

- Sam nie wiem, naprawdę. Tibolt na pewno nie powiedział mi wszystkiego, a ja nie potrafię odróżnić prawdy od fałszu.

Nagle wystrzał zakłócił spokój nocy. A właściwie, dwa wystrzały. Rohan usłyszał, jak stangret jęczy. Boże, został postrzelony!

Ściągnął Zuzannę na podłogę powozu i wyjął strzelbę ze skórzanego olstra umieszczonego na wewnętrznej stronie drzwi.

Konie zostały nagle zatrzymane i Rohan usłyszał męski głos, wołający: - Hej, wy tam, wychodźcie. I żadnych głupstw, milordzie, bo ten tu ranny człowieczek dostanie jeszcze jedną kulę w

gardło. Wylaż i zabierz ze sobą tę małą dziwkę.

Dzięki Bogu, to nie Tibolt, pomyślał Rohan z ulgą. Nie miał pojęcia, kim mógł być ten człowiek.

Ranny czy nie, stangret nie miał zamiaru dopuścić, by jego pan stawiał czoła bandycie. Strzelił z bata i krzyknął na konie. Powóz ruszył nagle, a Rohan przewrócił się i upadł na rozciągniętą na podłodze Zuzannę.

Napastnik zaklął głośno. Zbliżający się tętent powiedział im, że bandyta nie zrezygnował. - Nie podnoś się, Zuzanno. Rohan wystawił głowę przez okno powozu. Bandyta znajdował się jakieś dwadzieścia metrów za nimi, w pełnym galopie. Nie strzelał, najwidoczniej zostały mu już tylko jedna czy dwie kule. Konie gnały na złamanie karku. Stangret musiał być poważnie ranny.

Rohan wsunął broń za pas, przewrócił się na plecy i z trudem wysunął przez okno powozu. Na szczęście wokół dachu biegła mocna poręcz, służąca do zabezpieczania bagażu, miał więc czego się uchwycić. Powóz przechylił się gwałtownie na lewo i Rohan zorientował się, że spłoszone konie gnają prosto ku stromym klifom Beachy Head.

Wiatr wyciskał mu łzy z oczu i zwiewał włosy na twarz. Pomimo że prawie nic nie widział, udało mu się wdrapać na dach pojazdu. - Trzymaj się, Elsay, już idę! Stangret nie odpowiedział. Rohan zobaczył, że mężczyzna na koniu jest teraz bliżej. Deszcz padał coraz gęstszy. Jeżeli któryś koń się pośliznie, zginiemy, pomyślał.

Zobaczył głowę Zuzanny, wychylającej się z okna. Przeczółgał się na przód powozu i opadł powoli a koziół. Elsay z całej siły ścisnął drewniany hamulec.

- Trzymaj się - powtórzył, sadowiąc się wygodniej. A potem zobaczył, że wodze zwisają luźno pomiędzy końmi. - Do licha - zaklął. - No cóż, nie ma wyjścia.

- Niech pan uważa, milordzie.

Konie znów skrzyły w lewo, omal nie przewracając pojazdu.

Rohan po prostu skoczył, starając się trafić na grzbiet Ramble'a. Jakoś udało mu się uchwycić uprzęży i nie spaść pomiędzy końskie kopyta. Zaczął przemawiać do koni, próbując je uspokoić. Żałował, że nie potrafi śpiewać jak Jamie.

Złapał wodze, zwisające pomiędzy Ramble'em a Oskarem, i przez cały czas przemawiając czule do koni, zaczął je powoli ściągać. Konie gnały dalej po wąskiej drodze, prowadząc powóz nieuchronnie ku skałom nad Beachy Head.

Przesunął się ku zadowi Ramble'a, by zyskać większą równowagę i zaczął coraz mocniej ściągać wodze. Nie miał wyjścia, gdyż wiedział, że jeśli nie uda mu się wkrótce zatrzymać koni, rozbiją się na skałach klifu.

Zdawało mu się, że od chwili, gdy znalazł się na końskim grzbiecie, minęła wieczność. Deszcz nadal go oślepiał, a wiatr wył potępieńczo.

W końcu, zdesperowany, krzyknął: - Ramble, Oskar, wy przeklęte szkapy, stać! To rozkaz!

I nagle, ku jego zdumieniu i wielkiej uldze, Ramble stanął dęba i skrzył w bok. Oskar zarżał donośnie i poszedł w jego ślady. Zwolniły. W końcu, po jeszcze jednej, trwającej - zdawałoby się - wieczność chwili, powóz stanął.

Znajdowali się przy samym klifie. Gdyby Ramble w ostatniej chwili nie skrzył w bok, byłoby już po nich.

Rohan czuł taką ulgę, że nie mógł się poruszyć. Siedział po prostu na zadzie Ramble'a i wciągał haustami powietrze do płuc.

- Rohan!

Drzwi powozu otwały się i wytoczyła się przez nie Zuzanna. Upadła na kolana, lecz zaraz podniosła się i zaczęła biec w stronę męża. Nagle zatrzymała się. Nie mogła ryzykować, że spłoszy konie. - Wszystko w porządku, Oskar. Stój spokojnie. Już wkrótce Jamie będzie ci śpiewał i karmił cię marchewkami.

- Prawdę mówiąc, to Ramble odwalił całą robotę. Uśmiechnęła się do męża, a potem powiedziała do konia: - Byłeś wspaniały, Ramble. Osobiście nakarmię cię najlepszym owsem i jęczmieniem w całym hrabstwie. Nic ci się nie stało? - dodała, zwracając się do męża.

- Nie - odparł. Powoli opuścił się pomiędzy oba konie, przez cały czas przemawiając do nich uspokajająco i poklepując je po karkach. Całe były pokryte pianą i nadal dyszały ciężko.

Ten człowiek. Rohan rozejrzał się wokół, ale nikogo nie dostrzegł. Napastnik nie pojechał za nimi.

- Elsay, jak bardzo jesteś ranny?

- Dostałem w prawe ramię, proszę pana. Nie jest tak źle, tylko krwawię, jak... mniejsza z tym. Przeżyję, ale na pewno nie dzięki temu skurczybykowi.

- Za to musisz podziękować poczciwemu staremu Ramble'owi - powiedział Rohan. Czuł się dziwnie, jakby jego drugie ja stało obok i przyglądało się wszystkim jego poczynaniom. Wiedział, że to skutki szoku i że nie wolno mu się poddać. - Poczekamy tu chwilę, dopóki konie nie odpoczną. Zuzanno, oderwij kawałek halki, musimy przewiązać ramię Elsay.

- Ten łajdak mało mnie nie zastrzelił, milordzie. Kim on, u diabła, mógł być?

- Myślę, że to pewien bardzo zły człowiek, którego mam zamiar odnaleźć i zabić. Nie martw się, Elsay. Trzymaj się, a wszystko będzie dobrze. Zatrzymamy się o ciebie.

- Ale nie sprowadzi pan tego młodego, eleganckiego doktora, dobrze, milordzie? Boję się go śmiertelnie.

- Owszem, sprowadzę, lecz będę stał tuż przy nim i jeśli ośmieli się zadać ci ból, osobiście dam mu w szczękę. W porządku?

- Taa, może być - powiedział Elsay i stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 25

- Cieszę się, że z Elsayem wszystko w porządku i że konie nie okulały. Twój ojciec bardzo lubił Ramble'a. Zwykł mawiać, że ten koń ma charakter. Oczywiście, przede wszystkim ulżyło mi, że wy oboje wyszliście z tego bez szwanku. Ani ja, ani Zuzanna nie wiemy, kto do was strzelał. A ja w dodatku nie wiem, dlaczego. A ty wiesz, Zuzanno?

- Nie, Charlottto. - Lecz miała co do tego pewien pomysł, widział to w jej oczach. Nie powiedział jej nic o Theodorze Micahu, po prostu powtórzył, że Tibolt wszystkiego się wyparł. Skłamał, ponieważ chciał, by była bezpieczna. A to, jego zdaniem, wymagało utrzymania jej w niewiedzy.

Spojrzał na matkę ponad widelcem z jajecznicą. Spoglądała podejrzliwie to na niego, to na Zuzannę. Była dziesiąta rano nazajutrz po tej ciężkiej próbie, jaką okazał się powrót do domu. Wstał o świcie, pozostawiając Zuzannę głęboko uspioną i wynajął ludzi z wioski, aby patrolowali okolicę. Miał nadzieję, że ani matka, ani Zuzanna nie dowiedzą się o tym. Powiedział szóstce wynajętych mężczyzn, aby zatrzymywali wszystkich obcych, na których się natkną.

Uznał, że Theodore Micah musiał obserwować dom Tibolta, a potem najwidoczniej pojechał za nimi. Nie potrafił się zmusić, by w ogóle rozważyć możliwość, że to Tibolt wysłał Micaha. Jego brat był kanalią, ale nie do tego stopnia? Rohan domyślał się, że gdyby Micahowi udało się ich dopaść, pewnie groziłby, że skrzywdzi Zuzannę, a może nawet zabrałby ją ze sobą. Widocznie szybko odjechał, gdy tylko spostrzegł, że konie ponoszą. Gdyby spadli z klifu, wszystko poszłoby na marne. Do licha! Miał dość tych wszystkich tajemnic, sekretów, tej niepewności co do brata. I tego, że Zuzanna nadal nie jest bezpieczna. Miał nadzieję, że jego żona nie spostrzeże, iż przez cały czas ktoś czuwa nad bezpieczeństwem jej i Toby'ego.

Usłyszał, jak matka mówi: - Nie słuchasz mnie, kochanie? Zuzanna przysięga, że nic nie wie, ale z tobą to inna sprawa. No, wyduś to z siebie.

Nie miał zamiaru tego zrobić. Nie czuł się na siłach, by powiedzieć matce, że jej drugi syn także zamieszany jest w całą tę sprawę, czegokolwiek ona dotyczy. Makbet i papież Leon IX. Co ci dwaj mogli mieć z sobą wspólnego? Potrząsnął głową. - To był po prostu napad rabunkowy, nic więcej.

- Tak - dodała Zuzanna. - Najwidoczniej tak właśnie było. Po prostu rabuś, który chciał ukraść moją biżuterię i łańcuszek zegarka Rohana. - Spojrzała na męża, a potem wbiła wzrok w kawałek bekonu na talerzu. Postanowiła nie wspominać o Tibolcie. Oszczędzi Charlottcie.

- Wiesz, mój drogi, nie jestem taka pewna, czy to był tylko złodziej. Kiedy pomyślę o tej sprawie z Makbetem i papieżem Leonem IX... Czy to możliwe, by oprócz tego okropnego Lamberta był w nią zamieszany ktoś jeszcze?

- Prawdę mówiąc, zamierzam po południu wybrać się do Eastbourne, posprawdzać to i owo - powiedział Rohan bez zastanowienia. - To prawdopodobne, że Lambert mieszkał tam jakiś czas. Jeżeli jest w to zamieszany ktoś jeszcze, postaram się go odnaleźć.

- Oczywiście pojedę z tobą - powiedziała Charlotta, uśmiechając się słodko.

- Nie, ja pojedę - oświadczyła Zuzanna, pochylając się na krześle.

Niech diabli wezmą mój długi język, pomyślał Rohan. - Nie, żadna z was nie pojedzie - powiedział, starając się, by jego głos brzmiał stanowczo.

- Ależ, kochanie, jeżeli nie będziesz się upierał, to może mogłybyśmy pojechać obie i powypywać trochę na własną rękę.

- Obie, Charlotta?

- Oczywiście. Takie śledztwo to świetna zabawa, chętnie pozwolę ci w niej uczestniczyć. Jestem w tym dosyć dobra. To właśnie ja odnalazłam zaginiony rubinowy pierścionek lady Perchant. Być może trzeba będzie przepytac jakichś młodych mężczyzn. Jestem bardzo dobra w wyciąganiu wszystkiego od młodych mężczyzn. Nie mają szansy niczego przede mną ukryć.

Rohan rzucił serwetkę. Upadła na jego talerz, nadal pełen jajecznicy na bekonie.

- Ja też, ja też! - krzyknęła Marianna, wrywając się Lottie i śpiesząc do Rohana. - Ja też pojedę!

Rohan jęknął. - Tego już za wiele. Nie jestem panem we własnym domu!

Nie miał zamiaru narażać kogokolwiek ze swoich bliskich na niebezpieczeństwo. Zuzanna z pewnością domyśliła się już, że to Theodore Micah strzelał do nich poprzedniej nocy. I pewnie zdawała sobie sprawę, że jest on bardziej niebezpieczny niż waż Kleopatry. Był jej wdzięczny, że zachowała podejrzenia dla siebie.

- Zajmę się Marianną, proszę pana - powiedział Toby.

- Dobrze, ale najpierw daj ją tutaj. - Wyciągnął ramiona.

- Rohan!

Podniósł małą i posadził sobie na kolanach. Zdjął serwetkę z talerza i oboje zabrali się do jajecznicy.

Zuzanna wpatrywała się w mężczyznę, którego żoną była od prawie dwóch tygodni. Trzymał na kolanach jej córkę, bawił się z nią i najwidoczniej sprawiało mu to przyjemność. Nie było to nic nowego, ale tym razem poczuła, jak coś dziwnego i potężnego rodzi się w głębi niej. To coś potężnego przypominało kwiat, lilię; było równie promieniejące, białe, czyste i o krok od zakwitnięcia. Bała się tego. Dotąd nie miała szczęścia do lilii. Nigdy się jej nie udawały.

Nie ma mowy, by pozwoliła Rohanowi samotnie wystawiać się na niebezpieczeństwo. Wiedziała, że to prawdopodobnie Theodore Micah próbował zastawić na nich pułapkę. Być może ukrywał się w pobliżu plebanii Tibolta, a potem pojechał za nimi. Nie, nie pozwoli, by Rohan pojechał sam. Będzie nad nim czuwała.

Ostatecznie baron uciekł się do podstępów, ale udało się. W godzinę po śniadaniu do Mountvale przybyły z wizytą lady Dauntry i jej dwie nieodłączne towarzyszki, pani Goodgame i pani Hackles. Jak powiedziała Zuzannie Charlotta, było za wcześnie na wizytę, lecz przecież nie mogła ich wyrzucić.

Zuzanna nie ufała Rohanowi ani na jotę. Miała nadzieję, że nie skorzysta z tej wizyty, by wymknąć się i pojechać do Eastbourne bez niej. Wiedziała, że chodzi mu tylko o jej dobro, lecz czuła się przytłoczona jego troską. Obserwowała, jak wchodzi do gabinetu i zamyka za sobą drzwi. Wyglądało na to, że ma zamiar poczekać, aż damy odjadą. Pomimo to dalej mu nie ufała. Wiedziała jednak, że niedotrzymanie towarzystwa „trzem krążownikom”, jak nazywał je Toby, byłoby wielką niegrzecznością. Rohan zyskał więc szansę ucieczki.

Trzy stare przyjaciółki przyszły, by sobie poplotkować, wyjaśniła szeptem Charlotta. Ich zaś zadaniem było dostarczyć im tematów. Tak się jednak składało, że tym razem ten rodzinny obowiązek można było doskonale wykorzystać. - W końcu - mówiła dalej Charlotta - jeżeli powiemy im to, w co

chcemy, aby wszyscy wierzyli, nie będą wymyślały czegoś, co tylko z daleka zdradza pewne podobieństwo do prawdy. Naturalnie, powiem im to wszystko w zaufaniu - wyjaśniała. - A poza tym, Zuzanno, Rohan poszedł do gabinetu, gdzie, mam nadzieję, załatwia z Pulverem korespondencję, a nie planuje, jak by tu wyrwać się samemu do Eastbourne.

Rohan odczekał, aż obie damy będą zajęte, po czym zagonił do roboty Pulvera i kazał mu siedzieć w gabinecie, dopóki nie wróci.

Następnie udał się do stajen i polecił Jamiemu, by zabrał wszystkie konie na wschodnie pastwisko i nie wracał z nimi przed ustalonym czasem. Kazał mu także zdjąć po jednym kole z obu powozów, po czym osiodłał Guliwera i osobiście wyprawił stajennych z końmi na pastwisko.

Gwizdał, oddalając się od Mountvale krętą dróżką pośród klonów i lip. Mężczyzna musi zrobić, co do niego należy, pomyślał. Udało mu się je okpić. Żałował, że nie może w pełni cieszyć się swoją przemyślnością, ale zanadto się martwił. Pomachał Jamiemu, który był już zbyt daleko, by jego matka lub Zuzanna mogły go zawrócić. Zatrzymał się i porozmawiał chwilę z dwoma mężczyznami, patrolującymi okolicę. Jak dotąd, nie zauważyli nikogo podejrzanego.

Wielce zadowolony ze swego podstępu, zaczął wyśpiewywać na cały głos ulubiony limeryk Jamiego:

Raz stara dama z Ankony

Nos miała nadzwyczaj skrzywiony.

Za nosem razu pewnego

Pobiegła, nie wiedzieć dlaczego

I nie wróciła w swe strony.

Guliwer potrząsnął głową, zarżał na swego pana i spróbował złapać zębami jego but.

Kiedy w godzinę później Rohan dojechał do Eastbourne, skierował się od razu na nabrzeża. Odnalezienie kobiety, która wynajmowała pokoje, nie zabrało mu wiele czasu. Przyznała, że wynajęła pokój aktorowi, obdarzonemu najśłodszy uśmiechem i najbardziej martwym spojrzeniem, jakie Alicja, niewiarygodnie hoża barmanka, kiedykolwiek widziała.

Lecz aktor wyjechał. Mężczyzna o reputacji Rohana mógłby z łatwością uwieść hożą Alicję, lecz zamiast tego skierował się w stronę domu. I choć nie uśmiechał mu się powrót do obu pań, które tak niecierpliwie oszukał, wiedział, że prędzej czy później i tak będzie musiał to zrobić.

Pomyślał o balu, który wyda dla sąsiadów, balu, podczas którego wyzna swe winy i poszuka odkupienia. Potrzebował praktyki. Chciał, by przedstawienie było doskonałe.

- Myślę - powiedziała jego uwielbiana matka - że możemy mu to wybaczyć, Zuzanno. I tak niczego się nie dowiedział. Mój syn najwidoczniej nie odziedziczył zdolności detektywistycznych po swojej matce. Zawiódł, a to dlatego, że potraktował nas jak owce i wymknął się. Głupie owce, które umieją tylko dawać wełnę, nic poza tym.

- Co za nowatorski pomysł, mamó - powiedział, żałując, że nie jest teraz w Londynie, gdzie nikt nie patrzyłby na niego jak na łajdaka. Matki wiedzą, jak sprawić, by człowiek poczuł się winny, pomyślał.

- Zgadzam się z twoją matką, Rohan. Obiecuj, że więcej tego nie zrobisz, bo będę musiała wziąć sprawy w swoje ręce.

Uniósł brwi? - Doprawdy, Zuzanno? Jakie sprawy? Masz coś interesującego? Żałował, że zeszłej nocy nie wzięła w swoje ręce czegoś innego, lecz była zbyt wyczerpana. Zdażył tylko pocałować ją w nos i lewe ucho, a ona już spała kamiennym snem.

Charlotta, która jeszcze nie skończyła łajać syna, spojrzała na swoją synową, która zaczerwieniła się aż po korzonki włosów. - Dobry Boże, Zuzanno, o czym ty pomyślałaś? Aaa, pewnie o Rohanie. Czy dlatego tak się zaczerwieniłaś? Lecz Rohan nie powiedział nic takiego, co mogłoby skłonić cię do myślenia o sprawach intymnych czy świetlistych fantazjach. - Uśmiechnęła się do syna z miłością. - Twój ojciec, najdroższy, uwielbiał nazywać mnie świetlistą. I lubił, kiedy nosiłam świetliste koszule nocne. Ach, co za strata. - Westchnęła głęboko i zamruwała, by wrócić do rzeczywistości.

- Ona myśli o moich rękach, mamó. Tylko o rękach, a spójrz na jej twarz.

- Jesteś wspaniały, kochanie. Wystarczy wzmianka o twoich dłoniach i już zapiera jej dech w piersi. Jestem pod wrażeniem, zwłaszcza że jesteś żonaty od tak niedawna. Choć nie powiem, aby mnie to specjalnie zdziwiło.

Zuzanna, pokonana, zerwała się z miejsca, zebrała fałdy spódnicy i wybiegła z pokoju.

Z Eastbourne przyjechała do Mountvale szwaczka i pozostała przez cztery szczęśliwe dni. A dni były szczęśliwe, ponieważ baron płacił jej więcej, niż mogłaby zarobić w pół roku, a wszystko to za przygotowanie garderoby jego nowo poślubionej żony, która rzeczywiście była w wielkiej potrzebie.

Jedyny problem przedstawiała właśnie ta nowa żona. Sprawiała wrażenie, jakby nadmierna, jej zdaniem, skłonność barona do wydawania na nią pieniędzy wcale jej nie cieszyła. Nadmierna skłonność? Dobry Boże, pomyślała pani Cumber, przecież zamówiono u niej zaledwie cztery suknie i dwa kostiumy podróżne, nie wspominając o dobrym półtuzinie koszul z najdelikatniejszego jedwabiu, który mama barona przywiozła ze sobą z Francji.

Pani Cumber została dłużej, by pomóc nowej baronowej ubrać się na bal, podczas którego baron miał przedstawić żonę i wprowadzić ją do towarzystwa. Pani Cumber wygładziła nieposłuszną fałdę sukni. Tak, młoda baronowa będzie wyglądała prześlicznie, pomyślała, dumna ze swoich umiejętności.

Nagle drzwi łączące sypialnie otworzyły się gwałtownie i do pokoju wszedł baron. Ach, cóż to za przystojny mężczyzna, pomyślała tęsknie pani Cumber, wysoki i pięknie zbudowany, z wesołymi iskierkami w tych ślicznych zielonych oczach i z miłym uśmiechem na wargach, wargach, które sprawiały, że pani Cumber zaczynała żałować, że nie ma znów dwudziestu lat i nie jest kimś więcej niż zwykłą szwaczką. No cóż, mężczyzna o jego reputacji nigdy nie patrzyłby w ten sposób na szwaczkę. Ciekawe, czy to prawda, że utrzymuje na raz trzy kochanki, pomyślała.

- Ach - powiedział Rohan, pocierając dłonią szczękę i uważnie przyglądając się Zuzannie. - Kremowy. To zadziwiające, co udało ci się zrobić z tym kolorem, Zuzanno. Zwłaszcza w połączeniu z delikatną walencjeńską koronką dokoła dekoltu, tak subtelnie kierującą uwagę na twoje śliczne ciało... no, mniejsza o szczegóły. I te twoje nieprzyzwoicie miękkie, niczym u norki, włosy, które tak pięknie podkreślają kolor sukni... Sabina wykonała dobrą robotę. Podobają mi się te nieposłuszne loczki, wymykające się z fryzury i opadające niby przypadkiem na kark i ramiona. Pani Cumber, pani także należą się gratulacje. Udało się pani uwydatnić jej piękną figurę.

- Dziękuję panu, milordzie - odparła pani Cumber nieco zduszonym głosem, gdyż bardzo pragnęła hrabiego. Ta jego mała żonka nie ma pojęcia o niczym, pomyślała. Nie, żeby ona wiedziała o tym zbyt wiele, coś jednak wiedziała.

- Mam jeszcze coś, co powinno uwieńczyć twoją urodę - powiedział i otworzył dłoń. Diamenty i szafiry spłynęły po jego palcach, połyskując w świetle świec. Zuzannie zapało dech. Wyciągnęła szybko dłoń i zaraz ją cofnęła. - O Boże, nigdy nie widziałam czegoś tak wspaniałego! Chyba nie chcesz, żebym miała to na sobie dziś wieczorem? Nie, nie mogę. Co by się stało, gdybym zgubiła

jakiś kamień? Albo...

Uśmiechnął się do niej, potrząsnął głową i zapiął jej ten niewiarygodny naszyjnik na szyi, a potem uniósł jej dłoń, pocałował i zapiął na niej bransoletkę. Wręczył jej kolczyki i patrzył, jak mocuje je w uszach. Cofnęła się o krok i wpatrywała w niego bezradnie.

Gapił się na nią, nie potrafił oderwać od niej wzroku. Dla niego była najpiękniejszą kobietą na świecie. A tylko to się liczyło. Jedno spojrzenie na jego przystojną twarz przekonało panią Cumber, że baron pragnie swej żony bardziej, niż ona, pani Cumber, pragnie jego. Nie, pomyślała w chwilę później, to niemożliwe.

Pocałował żonę w rękę. Patrzyła teraz na niego, nie na połyskujące klejnoty.

- Spójrz w lustro i powiedz mi, co o tym sądzisz. Spojrzała na swój nadgarstek. Blask diamentów i szafirów niemal ją oślepił. Nie zważając na pozory, rzuciła się do dużego lustra toalety, zasiadła przed nim i zapatrzyła się na swoje odbicie. Delikatnie dotknęła czubkami palców naszyjnika, a potem kolczyków. Odwróciła się do niego. Siedziała tam, niczym egzotyczna księżniczka, i wyglądała na tak bezbronną... W jej oczach błyszczały łzy.

- Płaczesz przeze mnie, Zuzanno? Potrząsnęła głową i gwałtownie przełknęła ślinę.

- Dziękuję pani - powiedział Rohan do pani Cumber, która wpatrywała się w Zuzannę jeszcze bardziej chciwie niż lady Dauntry tego wieczoru, gdy Rohan oznajmił, że on i Zuzanna są małżeństwem. - Moja żona wygląda wspaniale. Może nas pani teraz zostawić.

Z niechęcią opuściła sypialnię. W jej wieku należy cieszyć się choćby samym widokiem tak wspaniałego samca jak baron, i to najdłużej, jak tylko się da.

- A teraz powiedz mi, skąd te łzy? Potrząsnęła głową, nie patrząc na niego. Podszedł, ukląkł obok niej i ujął jej dłonie - teraz były to delikatne dłonie, gdyż Zuzanna nie musiała już szorować podłóg. - Spójrz na mnie, Zuzanno. Co się stało?

Wytarła dłonią policzki. Uśmiechnął się. Powinien jej powiedzieć, że żadna kobieta, która chce podobać się mężczyźnie, nigdy nie zrobiłaby czegoś podobnego. A jednak u niej ten gest wydał mu się niezwykle miły. Dziwne.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki szczodry? - wyrzuciła z siebie. - Nie przysporzyłam ci niczego, oprócz kłopotów, zmartwień, nowych obowiązków. Przeze mnie znalazłeś się w niebezpieczeństwie. I odkryłeś, że George był draniem. I że Tibolt prawdopodobnie także nim jest. Gdyby nie ja, pewnie nigdy byś się o tym nie dowiedział. Ten człowiek mógł nas zabić, mógł jeszcze bardziej skrzywdzić Elsayę. To wszystko przeze mnie. Naprawdę, jestem jak szyb pełen kamieni, jak bluszcz, który cię zadusi, jak osa, która kłuje boleśnie, jak...

- Jak pijawka? Liszaj, zabijający nasze wyścigowe kocięta? Przygniatająca mnie, wypełniona ołowiem poduszka?

Roześmiała się mimo woli przez łzy. Wyciągnęła dłonie, by go odepchnąć, lecz on chwycił ją za nadgarstki i trzymał mocno.

- Jesteś kobietą - powiedział bardzo powoli - którą uczyniłem swoją żoną. A co do tych innych rzeczy, to wyjaśnimy je. Ponieważ jestem człowiekiem niepospolitym, prędzej czy później dowiemy się wszystkiego. - Te słowa oderwały jej myśli od nieprzyjemnych spraw. Dobra robota, pomyślał. Nagle otoczyła go ciasno ramionami. Upadli oboje na dywan - nieoczekiwana premia za błyskotliwość.

- Najchętniej zostałbym tu z tobą przez całą noc i cieszył się twoją śliczną osobą na wszelkie możliwe sposoby. - Podniósł się i pocałował ją w usta. - Niestety, musisz dziś zrobić wszystko, by

oczarować naszych sąsiadów. Ja będę bardzo skruszony i pod koniec wieczoru wszyscy będą na najlepszej drodze, by mi wybaczyć, ponieważ okaże się oczywiste, że ty już to zrobiłaś.

Niech będzie przeklęty, a zarazem błogosławiony, pomyślała, gdy po północy stała za dużą palmą, wachlując się i odpoczywając. Oczywiście, miał rację. Ten jego leniwy urok i pozorna skrucha rzeczywiście sprawiły, że wszyscy zdawali się mu wybaczać.

Bolały ją stopy. Stała na jednej nodze, by móc poruszać palcami drugiej. Na domiar wszystkiego, jej mąż był także znakomitym tancerzem. Gdy mu to powiedziała, kiedy wreszcie udało im się zatańczyć razem, oznajmił jak gdyby nigdy nic: - Czy nie tego właśnie oczekiwałąbyś po mężczyźnie o mojej reputacji?

Spochmurniała wówczas i nie odezwała się więcej. Teraz także zmarszczyła brwi, myśląc o nim. Był czarujący, męski i nieprzyzwoicie przystojny - słyszała, jak mówiła to jedna z dam. Lecz było w nim coś więcej, o wiele więcej.

Usłyszała jego śmiech i wysunęła się zza palmy. Tańczył teraz ze swoją matką i oboje wyglądali przy tym tak pięknie, że kilka par cofnęło się, by na nich popatrzeć.

- No, no, tylko spójrz na nich - usłyszała nagle za sobą. - Człowiek zaczyna się zastanawiać, prawda?

Zuzanna odwróciła się i zobaczyła Tibolta.

- Nie zostałeś zaproszony - powiedziała powoli, nie poruszając się. Ubrany był bardzo odpowiednio w czarny strój wieczorowy i koszulę białą niczym kredowe skały.

- To prawda, lecz z drugiej strony, jestem przecież Carringtonem. Mogę wchodzić i wychodzić, kiedy zechcę. Spójrz tylko na nich - powtórzył, wpatrując się w Rohana i matkę. - Widzisz teraz, od kogo wziął tę wiedzę na temat spraw cielesnych. Od niej. Wiesz, że uwiodła mojego gubernera? Tak, był młody, wypełniony chęcią służenia Panu, okryty łaską, dopóki nie zobaczył jej. - Nauczam, że kobiety są narzędziem szatana. Moi parafianie mi wierzą, ponieważ widzą, że kiedy mówię te słowa, a powtarzam je często, jestem szczery. Tak, spójrz tylko na nią. Czy widziałaś kiedyś, by jakaś matka wyglądała tak jak ona?

- Po co przyszedłeś? - Nie miała zamiaru rozmawiać z nim o Charlocie. To, że wyrażał się o niej w taki sposób, jeszcze bardziej pogrążyło go w jej oczach.

- Wiesz, że prawie mnie nie zauważała, dopóki nie postanowiłem poświęcić się służbie Bożej? Nawet kiedy im powiedziałem, że kiedyś zostanę biskupem Canterbury, nie zwrócili na to uwagi. Będę koronował królów, powiedziałem, ale ich to nie obchodziło. Rozczarowałem ją, rozumiesz. Sądziła wraz z ojcem, że z czasem stanę się taki, jak Rohan. Pragnęli dwóch synów, którzy byliby do nich podobni. A potem urodził się George. Sądziła, że trafił im się jeszcze jeden kołtuński purytanin jak ja, lecz teraz przynajmniej matka wie, że było inaczej. George był na najlepszej drodze, by stać się łajdakiem. Zastanawiam się, jak by się to skończyło, gdyby w porę nie utonął.

Zuzanna pragnęła, by muzyka wreszcie umilkła i żeby Rohan w magiczny sposób pojawił się obok niź nieswojo. Prawdę mówiąc, zaczynała się bać. - Po co przyszedłeś? - zapytała ponownie.

- Chciałem zobaczyć moją małą bratanicę, tego bękarta, którego wcisnęłaś Rohanowi. - Nagle poczuła, że lufa rewolweru naciska na jej żołądek. - A teraz, Zuzanno, dasz mi tę połówkę mapy i złoty kluczyk. Wyjdziemy spokojnie przez te szklane drzwi na taras, jakbyśmy chcieli zaczerpnąć świeżego powietrza. A potem okrążymy dom i wejdziemy bocznymi drzwiami do gabinetu, a stamtąd na górę. Jeżeli piśniesz choć słówko, uwierz mi, pożałujesz.

- Dlaczego to robisz?

- Zamknij się. Nie mam zbyt wiele czasu. Zapomnijmy, na razie, o wizycie u mojej małej bratanicy, dobrze?

Ciekawe, czy zastrzeliliby mnie, gdybym nagle zemdląca i padła mu u stóp, pomyślała. Nie, z pewnością nie. Wciągnęła gwałtownie oddech, lecz on ścisnął ją za ramię i szepnął jej do ucha głosem cichym i bezlitosnym: - Spróbuj tylko mnie zdradzić, a zabiorę tego twojego bachora i nikt już więcej jej nie zobaczy. Umieszczę ją w przytułku dla takich jak ona bękartów. Rozumiesz, Zuzanno?

O tak, rozumiała. Skinęła głową.

- Więc się pośpiesz.

ROZDZIAŁ 26

Tibolt Carrington wsunął się za nią do sypialni i bardzo starannie zamknął za sobą drzwi. Palił się tylko jeden świecznik. Powietrze wypełniał słodki zapach świec.

Tibolt pociągnął nosem - To robota mojej matki, prawda? Świece pachnące niczym w burdelu. Jak podejrzewam, podoba ci się to. Myśl, że ty i Rohan spłodzicie kolejne pokolenie degeneratów, przyprawia mnie o mdłości. Muszę ci pogratulować, wspaniale poradziłaś sobie z Rohanem. Zawsze uważał się za lepszego od nas, a teraz spójrzcie tylko, z kim się związał na resztę życia.

- Jego sypialnia jest zapewne za tymi drzwiami - mówił dalej, machając pistoletem. - Zastanawiam się, czy te drzwi w ogóle się zamykają. Ciekawe, jak udało ci się go usidlić, przy całym jego doświadczeniu z kurwami i dziwkami. Nie jesteś nawet piękna. Wyglądasz zupełnie zwyczajnie, wyjąwszy te twoje piersi. A on cię podziwia. Nie rozumiem tego. Wydaje się, że pragnie cię chronić. O tak, widziałem tych wszystkich mężczyzn, których wynajął, by pilnowali domu.

Jakich mężczyzn? A potem uświadomiła sobie, że Rohan naprawdę próbował ją ochronić, ochronić ich wszystkich. Martwił się po tym, jak zostali zaatakowani. Podobnie jak ona. Dlaczego nie powiedział jej o tych środkach ostrożności?

- Tak - powiedziała tylko. - Jak ci się udało ich ominąć?

- Wiem, jak się tu dostać. Gdyby Rohan był naprawdę tak sprytny, jak mu się wydaje, postawiłby kogoś przy tej małej furtce za sadem jabłoniowym, niemal zupełnie zarosłej krzewami. Mój wspaniały brat musiał o niej zapomnieć i o wejściu przez pokój obok biblioteki także. Jak myślisz, jak dostałem się do domu tej pierwszej nocy, gdy was tu przywiózł?

Wpatrywała się w niego bez słowa. Marianna powiedziała wówczas, że mężczyzna wyglądał jak Rohan, ale nikt nie wziął jej słów poważnie. Potrząsnęła głową. - To byłeś ty, nie Lambie Lambert.

- O, tak. Lambie zobaczył was, kiedy przejeżdżaliście całą gromadą przez Oksford i natychmiast do mnie przyjechał. Wysłałem go, aby cię porwał. Lecz nawet tego nie potrafił zrobić, jak należy, głupek. Co takiego zrobiłaś, próbowałaś go uwieść? Zawsze miał słaby charakter, ten Lambie.

- Nie, próbowałam go zabić, lecz mi się nie udało. Rohan mnie uratował.

- A wtedy ty zaczęłaś się do niego wdzięczyc, a potem zemdlałaś i już był twój. Mój dumny, rozwiązyły brat, przykuty do takiej kobiety jak ty. Ale dość o tym. Daj mi mapę i kluczyk.

Musiała wiedzieć, po prostu musiała. - Na kluczu były małe literki. Nie udało nam się ich odczytać. Wiesz może, co oznaczają?

To go zdumiało. Przez chwilę gapił się na nią, a potem przycisnął ją do oparcia krzesła tak mocno, że niemal się przewróciła. Jakimś cudem udało jej się jednak utrzymać równowagę. - Nie ruszaj się, do diabła. Nic ci nie powiem.

A zatem Rohan miał rację. Tibolt wiedział, po prostu nie chciał nic powiedzieć. Musiała coś zrobić, ale co? Stał teraz pół metra przed nią, z rewolwerem wymierzonym prosto w jej pierś.

- Nie jesteś godna, by wiedzieć. Nikt nie jest tego godzien, poza mną. Wszyscy ci starzy głupcy, strzegący tajemnicy... ale to już nie twoja sprawa. Gadaj, szybko. Podejrzewam, że lada moment mój

brat zacznie się za tobą rozglądać. A kiedy cię nie zobaczy, zmartwi się, bo dojdzie do wniosku, że kochasz się w jakiejś garderobie z któryś z sąsiadów. Gadaj, do diaska, albo zabieram Marianne.

Zuzanna spojrzała na pistolet i Tibolta - pastora, brata jej męża, mierzącego do niej z broni. Spoglądał to na nią, to na sypialnię. Czyżby spodziewał się zobaczyć mapę, rzuconą niedbale na obudowę kominka?

Nie mogła mu powiedzieć, gdzie ona jest. Jeszcze nie teraz. Przełknęła strach i powiedziała: - Wmówiłeś Rohanowi, że George tylko wspomniał ci o mapie i że nic więcej nie wiesz. Ale to nie o George'a chodziło, prawda? To ty za tym stałeś. Ty i tych dwóch okropnych mężczyzn.

Tibolt bardzo powoli podniósł dłoń. Wiedziała, co zamierza, mimo to nie okazała się dość szybka. Jego pięść wylądowała na jej policzku. Poczowała ostry ból. Odsunął się od niej, dysząc ciężko. - Masz przeciętą skórę, ale rana nie jest głęboka. Wątpię, czy pozostanie po niej blizna. A szkoda. - Spojrzał na swoją dłoń i Zuzanna dostrzegła ciężki pierścień na jego palcu. Nie miał go, gdy odwiedzili go na probostwie. Na pewno by go zapamiętała. Wyglądał na zrobiony z litego srebra, płaski sygnet. Tibolt pocierał teraz palec w miejscu, gdzie pierścień przeciął mu skórę. Na powierzchni sygnetu coś było, jakaś postać wygrawerowana w srebrze. Zuzanna wyciągnęła się na krześle, by lepiej widzieć. Wyglądało to jak postać biskupa w mitrze. Czy pod postacią były wygrawerowane jakieś słowa? Nie wiedziała.

- George powiedziałby mi, gdzie ukrył mapę - powiedział Tibolt powoli, rozcierając palec. - Lecz nim zdążyłem go zapytać, ten mały łobuz miał czelność utonąć. - I dodał, bardziej do siebie niż do niej:

- Swoją drogą, szkoda, lecz nic się tu już nie da zrobić. Dość tego, Zuzanno, daj mi klucz i mapę.

- Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co przedstawia ta mapa?

- Nie zasługujesz, by to wiedzieć. Powiem ci tylko, że nagroda należy się mnie ze względów moralnych. To ja będę kiedyś biskupem Canterbury, jeżeli zechcę. I najpotężniejszym człowiekiem na świecie, jeśli taki będzie mój wybór. Będę rządził, czym tylko będę chciał. Nikt nie zdoła mnie pokonać. Będę sprawował władzę absolutną. Rozumiesz mnie? Będę niczym Bóg. - Ostatnie słowa prawie wykrzyczał, a jego oczy błyszczały dziko w migoczącym świetle świec. Wziął głęboki oddech i uspokoił się. - A teraz zamknij się i daj mi to albo ci przyłożę i wezmę Marianne. Wszyscy są w sali balowej, nawet niańka Marianny siedzi u szczytu schodów i podśpiewuje z muzykami. Sam ją tam widziałem. Rób, co ci każe. Zuzanna wiedziała, że musi coś zrobić. Myśl. Nie, nie wolno jej ryzykować. On może zrobić krzywdę Mariannie. Sięgnęła ku szyi, by odpiąć medalion i zorientowała się, że ma na sobie brylantowy naszyjnik, prezent od Rohana.

- No?

- Nie wiem, co Rohan z tym zrobił. Nie powiedział Charlotcie ani mnie.

- Doskonale. Idę po Marianne.

Wiedziała, że znów zamierzają uderzyć. Poniosła dłoń, by go powstrzymać. - Mapa i klucz są schowane pomiędzy dwiema miniaturami w medalionie, który dostałam od George'a. Miałam go zawsze na sobie i dlatego temu Lambertowi nie udało się go odszukać. Kiedy znaleźliśmy te przedmioty, postanowiliśmy dalej trzymać je w medalionie. Wydawało nam się, że tam będą bezpieczne. Dziś wieczorem Rohan podarował mi te klejnoty. Zdjął mi medalion i wsunął go do kieszeni. Przysięgam ci, że to prawda. Spójrz tylko na naszyjnik. Z pewnością nie nosiłabym go na co dzień.

Tibolt przewrócił oczami, czując, jak rośnie w nim gniew. Zacisnął usta w cienką linię. Do

diabła, wierzył jej.

Zuzannie nietrudno było wyobrazić go sobie, jak napomina swoich wiernych, zionący złością i nienawiścią. Wstrzymała oddech.

- Jesteś zbyt przerażona, by kłamać - powiedział w końcu i zaczął przeklinać. Robił to długo i z wprawą. Potem zamilkł, lecz ani na moment nie opuścił broni. W końcu machnął pistoletem i powiedział: - Oderwij kawałek swojej halki. Nie mam zamiaru cię zabić, to by mi nic nie dało. Kiedy już będę miał tę moc, której tak pragnę, może wtedy to zrobię.

Związał jej mocno ręce za oparciem krzesła, a kostki przywiązał do nóg mebla. Przez chwilę czuła, jak jego dłoń przesuwa się po jej pończosze. Poczwała taki lęk, że omal nie zemdlła. A potem on wstał. Oddychał ciężko. Wepchnął jej w usta następny kawałek halki, oderwał jeszcze jeden i związał z tyłu głowy, by nie mogła wypluć knebla.

- To cię powinno powstrzymać na dłuższy czas. Co za szkoda, że George miał cię pierwszy. A teraz złapałaś Rohana. Nie chciałabyś wypróbować wszystkich trzech braci? Byłby to rodzaj zawodów, a ty, oczywiście, odgrywałabyś rolę sędziego.

Gdyby nie miała związanych ust, splunęłaby na niego. A tak mogła tylko wpatrywać się, jakby nie był niczym więcej, jak tylko brudem pod jej stopami.

Już miał opuścić pokój, gdy jego spojrzenie padło na toaletkę. - Mój Boże, ty mała kłamczucho! Powinienem był wiedzieć, kobiety zawsze kłamią, zawsze...

Podniósł medalion i przesunął łańcuszek pomiędzy palcami. - Więc Rohan schował go do kieszeni, tak?

Podszedł do niej, cały czas bawiąc się medalionem, i uderzył w twarz. Poczwała, jak wąska strużka krwi spływa jej po policzku. Zerwał jej z szyi naszyjnik i schował go do kieszeni.

A potem wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Zuzanna spojrzała na świecę. Niewiele ich już zostało.

Rohan rozejrzał się po sali balowej, zbudowanej przez jego dziadka Alfreda Motleya Carringtona w połowie osiemnastego wieku. Było to wspaniałe pomieszczenie - o wiele za duże, jak zawsze uważał, lecz doskonale nadające się do swego przeznaczenia. W środku znajdowało się blisko siedemdziesiąt pięć osób - przedstawiciele wszystkich liczących się rodzin, zamieszkałych w promieniu dwudziestu mil od Mountvale. Nawet stary pan Loomis, zabytek z czasów wojen kolonialnych, uśmiechał się bezzębny uśmiechem do pani Pratt, która mogłaby być jego córką, a babką Rohana. Wszyscy goście zdawali się bawić doskonale. Mniej więcej w środku wieczoru Rohan wygłosił swoje oświadczenie, mając u boku Zuzannę i matkę. Przedstawił żonę z dumą, którą rzeczywiście odczuwał, tylko mimochodem wspominając, jakim był draniem, że trzymał ją w ukryciu. Był bardzo zawstydzony. Taki młody i taki zmieszany. Oczywiście, wszyscy sąsiedzi już o tym wiedzieli. A także ich krewni i pewnie nawet domowe zwierzęta. Kiedy goście gratulowali mu, Zuzanna uszczypnęła go w rękę, tak bezczelna wydała jej się ta manipulacja.

A matka powiedziała tylko: - Kochanie, przysięgam nigdy nie doprowadzać cię do takiego gniewu, że mogłabyś przyjść ci ochota mnie udusić. Jestem przekonana, że sędziowie jeszcze by ci pogratulowali. Naturalnie, ci ludzie tutaj nie stanowili zbyt wielkiego wyzwania, niemniej spisałeś się bardzo dobrze. Jestem z ciebie dumna.

Jeżeli już o dumie mowa, to matka i Zuzanna sprawiły, że czuł się dumny. Długa linia oszklonych drzwi, wychodzących na taras, stała otworem. Samą zaś salę udekorowano pięknie kwiatami z ogrodów Mountvale i roślinami doniczkowymi. Były tam nawet trzy palmy, które udało mu się

odkupić od pewnego kapitana, przybyłego z południowej Kornwalii. W jednym końcu sali na małym podium umieszczono orkiestrę, w drugim zaś stoły - zastawione obficie wszelkiego rodzaju jadłem i napitkami.

Była pierwsza po północy. Zgodnie z jego rozeznaniami - i Fitz'a - jak dotąd nikt jeszcze nie wyszedł. Zażęknął za żoną, ale nie było jej nigdzie widać. Miał nadzieję, że żadna z miejscowych dam nie dopadła jej w pokoju wypoczynkowym i nie karmiła wypowiedzianymi słodkim głosem złośliwościami. Nie, lady Dauntry była w sali i właśnie śmiała się z czegoś, co powiedział jej mąż.

To jakiś cud, pomyślał, choć z drugiej strony, poncz był dość mocny, by nawet zakonnice skłonić do tańca.

Jego matka tańczyła z pułkownikiem Nemezisem Jonesem, mężczyzną w średnim wieku i najwidoczniej jedynym w całej południowej Anglii przedstawicielem swojej płci odpornym na wdzięki Charlotty. Rohan słyszał, jak matka się śmieje - naprawdę się śmieje, a nie czarująco chichocze, flirtując. Tak właśnie śmiała się, gdy była z nim. A wcześniej z ojcem. Już kiedy skończył dziesięć lat, potrafił wyczuć różnicę. Pułkownik Jones nie zmienił wyrazu twarzy, przynajmniej o ile mógł dostrzec to z tej odległości.

Gdzie Zuzanna?

Ruszył jej na pomoc. Na pewno stare kwoki znów ją dopadły. Ale które? Wszystkie, znajome znajdowały się w sali balowej.

W pokoju wypoczynkowym siedziało kilka pań, które wydały się bardzo zdziwione, gdy wetknął tam głowę. Był czarujący. I pełen skruchy. Przepraszał. Trzy spośród dam zaczęły go zachęcać, by został. To wszystko z powodu mojej reputacji, pomyślał, wycofując się spieszenie.

Zachmurzył się, zmierzając długim korytarzem w kierunku pokoju dziecinnego. Zajrzał do środka. Lottie spała na swoim wąskim łóżku w pokoju przylegającym do sypialni Marianny, jej podopieczna również była pogrążona we śnie. Ani śladu Zuzanny.

Nagle poczuł ukłucie lęku, tak silne, jakby ktoś złapał go mocno za ramię i potrząsnął. Coś było nie tak, wiedział o tym. Boże, co mogło się stać? Wypytał mężczyzn patrolujących okolicę. Nie zauważyli nikogo obcego. Wpadł do swojej sypialni, zostawiając za sobą otwarte szeroko drzwi. Panował tu półmrok, a obie świece właśnie się dopalały.

Tu też jej nie było.

Otworzył drzwi i wszedł do jej pokoju. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zuzanna siedziała przywiązana do krzesła, spoglądając na niego bezradnie sponad knebla i pociągając nosem.

Jedna ze świec nagle zamigotała, przygasła i wypaliła się.

- Boże! - krzyknął i pobiegł ku niej. Zerwał z jej twarzy opaskę z halki i wyrwał z ust knebel.

- Co się stało? Nic ci nie jest? Kto to zrobił? Zuzanna poruszała ustami, starając się odzyskać czucie w zdrętwiałych wargach. - To był Tibolt. Przykro mi, Rohan, lecz zmusił mnie, bym tu z nim przyszedł. Powiedział, że powinieneś być postawić posterunek przy małej furtce za sadem jabłoniowym. To on był tym człowiekiem, który posadził Marianne na parapecie, wtedy pierwszego wieczoru, mężczyzną, o którym powiedziała, że wyglądał jak ty. Zabrał medalion. Zobaczył go na toalecie. Zerwał mi z szyi ten piękny naszyjnik i także go zabrał.

Kogo obchodzi jakiś cholerny medalion i naszyjnik? Wpatrywał się w nią, desperacko pragnąc, by się myliła. Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. - Uderzył cię. Boże, ten drań cię uderzył! W jego głosie brzmiał czysty gniew.

Zgasła ostatnia świeca.

ROZDZIAŁ 27

Nieco po trzeciej nad ranem goście w końcu sobie poszli. Charlotta, Zuzanna i Rohan siedzieli w bibliotece sącząc brandy. Zuzanna miała zabandażowany policzek. Rohan wolałby nic im nie mówić, lecz były rodziną i miały prawo wiedzieć. Tylko rola George'a mogła zostać przemilczana.

- Boże wielki - powiedziała pani Beete, ściskając w dłoniach naczynie z lodem. Lód miał złagodzić opuchliznę na policzku Zuzanny. - Panicz Tibolt. Przykro mi o tym mówić, proszę pani, ale już jako chłopiec bardzo lubił się skradać. Ciągłe podglądał pokojówki, chował się za schodami i czekał, kiedy uniosą spódnice, by poprawić pończochy. Miałam nadzieję, że z tego wyrośnie.

- Co prawda, to prawda - potwierdziła Charlotta, spoglądając w dół na swoją kołyszącą się stopę. - Zawsze był podglądaczem, choć nie wiedziałam, że podglądał pokojówki. To bardzo nieładnie z jego strony. Jego ojciec byłby przerażony. - Tańczyła dziś tak wiele, że niemal przetarła na wylot balowe pantofelki.

- Najwidoczniej wyrósł z tego - powiedział Fitz - i zajął się czymś gorszym. Szkoda, że nie poprzestał na podglądaniu. To jeszcze można by wybaczyć. Ale coś takiego? Pomyślcie tylko, uderzył baronową. I co my teraz zrobimy?

- Wszystko w swoim czasie, Fitz. Jej lordowska mość musiała dać mu medalion, ponieważ groził, że zabierze Marianne. Powiedział jej, że mapa należy się jemu i że ma do niej moralne prawo, co wiele mówi.

Oczywiście Zuzanna powtórzyła im wszystko, czego dowiedziała się od Tibolta. Same dziwne rzeczy, jeśli już o to chodzi. Na szczęście ani Fitz, ani pani Beete nie zapytali, skąd miała medalion. Kiedyś jednak pewnie zagną się nad tym zastanawiać.

- Zostanie biskupem Canterbury, jeżeli zechce - powtórzył Rohan powoli, z namysłem, bawiąc się swoją szklaneczką brandy. - I najpotężniejszym człowiekiem na świecie, jeśli taki będzie jego wybór. Będzie sprawował władzę absolutną. - Podniósł wzrok. - To nie ma sensu. Brzmi zupełnie jak zaklęcie magiczne. I co on, u licha, mógł mieć na myśli?

- Był tak wściekły, że jego oczy stały się niemal czarne - wtrąciła Zuzanna. - Pamiętam, pomyślałam wówczas, że zupełnie przestał nad sobą panować. Prawie krzyczał, mówiąc to.

Charlotta wstała i wygładziła spódnice. - No cóż, jeśli idzie o sąsiadów, to odnieśliśmy sukces. To już coś. A co do reszty, to wszystko wydaje mi się okropnie pogmatwane. Na pewno nie było nic więcej, Zuzanno?

Zuzanna podniosła dłoń do bandaża zakrywającego jej policzek. - Owszem. Kiedy mnie uderzył, rozciął mi twarz, bo miał na palcu pierścień. Sam też się nim skaleczył. To był duży, ciężki sygnet.

- Jaki sygnet? - zapytał Rohan. - Nigdy nie widziałem, by Tibolt nosił sygnet.

- Ani ja - dodała Charlotta.

- Był srebrny, o płaskiej powierzchni. Pamiętam, że wyglądał bardzo dziwnie, więc postarałam mu się przyjrzeć. Chyba na wierzchu miał wygrawerowaną sylwetkę biskupa w mitrze.

- Mogłabyś to narysować?

- Tak, oczywiście. Chciała się podnieść, lecz Rohan powstrzymał ją. - Nie, zaczekaj, przyniosę papier i pióro.

Gdy wrócił, narysowanie pierścienia zajęło Zuzannie zaledwie minutę. - Proszę, tak to mniej więcej musiało wyglądać. Pod wygrawerowaną postacią były jeszcze jakieś słowa, lecz nie udało mi się ich odczytać.

- To rzeczywiście biskup w mitrze - powiedział Rohan z namysłem. Przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w zawieszony na ścianie portret jednego z dawnych Carringtonów, a potem powiedział: - Ktoś musiał dać George'owi tę połówkę mapy. - Spojrzał szybko na Fitz'a i panią Beete. Dzięki Bogu, rozmawiali ze sobą i nie słyszeli go. Będzie musiał być ostrożniejszy. - Ale dlaczego? - powiedział nieco głośniejszy do matki i Zuzanny. - Na przechowanie? Tak czy inaczej, to musiał być ktoś z Oksfordu.

- Tibolt dodał jeszcze coś o „wszystkich tych starych głupcach, strzegących tajemnicy” - wtrąciła Zuzanna. - Przypomniałam sobie też, że George wspominał coś o jakimś duchownym, któremu pomagał, „wspaniałym starcu”, tak właśnie go opisał. Czyżby był jakiś związek...?

- Pamiętasz nazwisko tego duchownego? - spytała Charlotta.

- Tak. Biskup Roundtree. Czyżby to on dał George'owi połówkę mapy i złoty klucz?

- Nigdy nie wierzyłem w zbiegi okoliczności - powiedział Rohan, wstając. Przeciągnął się. - Tibolt nosi pierścień z wrytą sylwetką biskupa - zniżył głos - a George pomagał biskupowi, temu samemu biskupowi, który prawdopodobnie dał mu mapę i klucz. To za dużo jak na zbieg okoliczności. - Wyciągnął rękę do żony. - Chodź, kochanie, powinnaś odpocząć. Jutro jedziemy do Oksfordu. Bardzo chciałbym spotkać się z tym biskupem.

- Mój drogi, to, co sugerujesz, bardzo mnie niepokoi - powiedziała Charlotta, nadal wpatrując się w swoje pantofelki. - No wiesz, to, że Tibolt i biskup także są zamieszani w tę tajemnicę.

- Tak, rzeczywiście, lecz to jedyny ślad. Możesz być pewna, że mój brat nie wróci już do Branholly Cottage.

- Milordzie?

- Tak, Fitz?

- Przedyskutowałem to z panią Beete. Sugerujemy, żeby wysłał pan Augustusa do Branholly Cottage na przesłuchanie. Jeżeli jest tam coś do wykrycia, Augustus z pewnością to wywęszy. Jego walijski nos mu w tym pomoże.

- Doskonale. Spodziewam się, że ani ty, ani pani Beete nie wspomnicie nikomu o tym, co się tu dziś zdarzyło?

- Ani słowem, milordzie!

- Nigdy, milordzie. Nawet tego o panu George'u, co przypadkiem zdarzyło się nam usłyszeć. Może nam pan zaufać.

- Dziękuję wam obojgu. A co do George'a, no cóż, on nie żyje. Mieszanie go w to w niczym nam nie pomoże. - Oboje służący skinęli głowami. - Mamo, jesteś gotowa pójść spać?

Nie odpowiedziała.

- Mamo? - Przestraszony, podbiegł do niej. Płakała bezgłośnie, a dwa potoki łez płynęły jej po policzkach. - Och, mamo, tak strasznie mi przykro - powiedział, obejmując ją. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Tak mi przykro. - Przemawiał tak do niej przez chwilę, nie przestając kołysać jej lekko w ramionach.

Pani Beete także zaczęła pociągać nosem. Fitz wyglądał, jakby za chwilę miał kogoś zabić.

Wciąż zaciskał i rozprostowywał swoje wykrzywione reumatyzmem dłonie.

Co do Zuzanny, to wydawało jej się, że zaraz zemdleje. Odchyliła się w tył na obitej błękitnym brokatem kanapce i zamknęła oczy. Słyszała, jak Rohan przemawia uspokajająco do matki. Biedna Charlotta. Co za cios dla rodzica. Dwóch z trzech synów okazało się łobuzami. Modliła się, by Tibolt nie okazał się czymś więcej. Lekko dotknęła palcami policzka. Nadal ją bolał.

- Jak mam dokończyć moją wieżę z blankami, jeżeli wy dwoje bez przerwy porywacie mnie na te wasze eskapady? Szukacie skarbów?

- Na razie nie. Straciliśmy pół mapy i kluczyk. A ty tak dobrze znasz Oksford, Phillipie. I jesteś wspaniałym towarzyszem. No chodź, nie daj się prosić. To ci dobrze zrobi. Wyglądasz blado, powinieneś więcej przebywać na powietrzu. Rozerwiesz się.

- Znasz Oksford równie dobrze, jak ja, Rohanie. Czego naprawdę ode mnie chcesz?

Zuzanna położyła dłoń na ramieniu Phillipa. - Chcemy zobaczyć się z biskupem Roundtree. Uważamy, że jest w to zamieszany.

- Biskup Roundtree? Ten stary piekielnik, który nienawidzi wszystkich, a zwłaszcza płci pięknej, i uważa, że my wszyscy, a szczególnie płeć piękna, powinniśmy jak najszybciej znaleźć się w piekle? Robi, co może, by jego studenci zapomnieli o przyjemnościach ciała i w pełni oddali się nauce. Zawsze uważałem go za nieszkodliwego wariata. Naprawdę uważacie, że może być zamieszany w te matactwa? I twój brat pastor? Mówisz, że Tibolt włamał się do twego domu i poturbował Zuzannę? Zdziwiająca.

Rohan skinął głową. - A co do biskupa, to na razie nasz jedyny ślad. Bóg wie, kiedy i gdzie znów natkniemy się na Tibolta.

- Jeżeli biskup jest w to zamieszany i jeśli ma drugą połowę mapy, to Tibolt musi być gdzieś blisko - wtrąciła Zuzanna. - Będzie chciał zagarnąć obie połówki, by zdobyć tę nagrodę, o której wspominał.

- Tak - powiedział Rohan, spoglądając na ranę na jej policzku i otaczający ją siniak, który zaczynał już przybierać żółtą barwę. Nadal ogarniał go gniew, ilekroć przypominał sobie brutalność brata i jego brak opanowania. - Musimy się za nim rozglądać. Ponieważ to papież Leon IX dał ten tajemniczy przedmiot Makbetowi, musi to być coś związanego z religią.

- Masz na myśli coś takiego jak kości świętego Piotra ukryte w jakiejś jaskini?

- Właśnie. Jakieś relikwie, ale nie mamy pojęcia, co by to mogło być. Tibolt powiedział Zuzannie, że kiedy zdobędzie tę rzecz, uzyska władzę nad światem. Nie wygląda to dobrze, prawda? - powiedział, przybierając nieszczęśliwą minę.

- Nie - powiedziała szczerze Zuzanna. - Nie wygląda. Ale dowiemy się prawdy. Modlę się tylko, aby nie okazała się zbyt trudna do zniesienia.

Phillip Mercerault potarł szczękę i przez chwilę cicho pogwizdywał. Rohan i Zuzanna nie rozpoznali melodii, chociaż wydała im się chwytliwa. Gdy Phillip przyjedzie do Mountvale, będzie musiał jej nauczyć Jamiego, a ten na pewno ułoży do niej limeryk. - Chętnie się do was przyłączę - powiedział wicehrabia w końcu. - Prawdę mówiąc, życie stało się ostatnio zbyt proste. Nawet projektowanie mojej wieży już mnie tak nie bawi.

- Rohan i ja byliśmy razem w Eton - dodał, zwracając się do Zuzanny. - Troszczyliśmy się tam o siebie i broniliśmy jeden drugiego. Gdy jakiś byczek szukał zaczepki z którymś z nas, wkrótce okazywało się, że ma do czynienia z dwoma. Zawsze ufałem Rohanowi, a on ufał mnie. Tak, przeżyjemy razem tę przygodę. Moje serce aż się do niej wrywa. Zaraz schowam plany do szuflady,

a potem zjemy obiad i pojedziemy spotkać się z biskupem.

- Nie mogę się doczekać jego miny, kiedy zobaczy Zuzannę - powiedział Rohan i zachichotał. - Musimy powiedzieć ci więcej o całej sprawie - dodał.

- Czy musimy jeść obiad tutaj, Phillipie? - zapytała Zuzanna. - Będzie tak doskonały, że znowu zjem wszystko do ostatniego kęsa, a potem nie będę mogła się ruszać.

Popołudnie było przyjemne i bezwietrzne, tylko lekka bryza poruszała liśćmi dębu. Wjechali do Oksfordu od strony zachodniej obok Nuffield College. Przejechali Queen Street, mijając po lewej Pembroke College i wspinały czworokąt Christ Church po prawej. - Byliśmy z Phillipem w Christ Church, podobnie Tibolt - powiedział Rohan. - Nazywaliśmy go domem...

- Nie zapomnij popisać się swoją łaciną, Rohanie.

- Doskonale, a zatem domem, od *aedes Christi*, co po łacinie oznacza „dom Chrystusa”. I na tym się kończy moja wiedza.

- Ale nie twój intelekt, o czym wie każdy student.

Zuzanna roześmiała się, spoglądając jednocześnie z podziwem na Wielki Czworokąt, znany także jako Tom Quad, jak szepnął jej po cichu Rohan. Jednym uchem przysłuchiwała się, jak Phillip opowiada o bibliotece, wspinałym przykładzie architektury renesansu, zbudowanej na początku osiemnastego stulecia.

- Biskup Roundtree przebywa zazwyczaj w swoim biurze w katedrze - powiedział Rohan. - Z pewnością tam go znajdziemy.

- Tak, powinien tam być. Jeżeli starczy nam czasu, Rohanie, powinieneś koniecznie zabrać Zuzannę do Trinity College. Chciałbym pokazać jej księgarnię Blackwella.

Nie znaleźli biskupa ani w biurze, ani w samej katedrze. Jeden z odzianych na czarno wikarych podał im jego adres. - Czekałem na niego dziś rano, ale nie przyszedł - powiedział ten człowiek. Był całkiem łysy, a jego spocona głowa połyskiwała w słońcu.

Biskup Roundtree mieszkał przy Brewer Street, w pobliżu Christ Church, w wysokim georgiańskim domu z ciemnoczerwonej cegły. Była to ruchliwa, choć wąska ulica, gęsto zabudowana domami, po której poruszało się mnóstwo powozów, furmanek i koni. Dom biskupa był nieco cofnięty od ulicy, a do drzwi prowadziła wąska, wysypana żwirem ścieżka.

Na ich pukanie odpowiedział bardzo przystojny młody człowiek w białej - czarnej liberii i śnieżnobiałej peruczce z ubiegłego wieku. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Zmarszczył brwi na widok Zuzanny, a potem najwyraźniej postanowił ją zignorować. - Tak, proszę pana? - zapytał, zwracając się do barona.

- Jestem lord Mountvale, a to lord Derencourt. Chcieliśmy zobaczyć się z biskupem.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Biskup polecił, by mu nie przeszkadzano. Przygotowuje się do mszy. - Odwrócił się plecami do Zuzanny i patrzył już tylko na Rohana.

- To sprawa najwyższej wagi. Musimy się z nim natychmiast zobaczyć.

Młody człowiek przygryzł dolną wargę. Wyglądał, jakby się wahał.

- Natychmiast - powiedział Rohan - to znaczy od razu, nie za minutę czy za dwie.

- Zobaczę, czy biskup zechce panów przyjąć. Proszę, wejdźcie.

Widać było, że ma wielką ochotę zatrzaskać Zuzannie drzwi przed nosem, lecz wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. Zostawił ich wszystkich w mrocznym holu, ozdobionym portretami dawnych biskupów o tłustych policzkach i grubych wargach. Wyglądali na bardziej srogich niż sędziowie, wydający wyroki śmierci.

Zuzanna wzdrygnęła się. - Nie podoba mi się to miejsce.

- No cóż - powiedział Rohan, pochylając się, by ucałować czubek nosa żony - ten młody człowiek, udający lokaja, najwidoczniej niezbyt cię lubi.

- Wiem, ale to nie ma sensu. Nie byłam dla niego niegrzeczna, uśmiechnęłam się. I jest taki ładny. Dlaczego ubiera się jak kamerdyner sprzed dwudziestu lat?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała - powiedział Rohan, klepiąc ją po ręce. - Naprawdę, zaufaj mi co do tego.

- Obawiam się, że nie jest w stanie cię polubić, choćby chciał, ale nie przejmuj się tym. Ja lubię cię bardzo. A Phillip, ponieważ nie jest twoim mężem, lubi cię tylko trochę mniej.

- Rzeczywiście - powiedział Phillip. - Zwłaszcza, że dzięki tobie Rohan będzie mógł wreszcie skończyć z tym, co go gnębiło. Ta reputacja, nad którą się tyle napracowałeś, Rohanie, już zbyt długo przeszkadza ci w życiu. Dzięki Bogu, koniec z tym.

- Ale... - zaczęła Zuzanna. Nagle usłyszeli przenikliwy krzyk.

W sekundzie obaj mężczyźni rzucili się w stronę źródła krzyku, z Zuzanną depczącą im po piętach. Gnali po schodach, popędzani głośnym skowytym.

Na górze zobaczyli młodego lokaja, ślaniającego się na nogach przy drzwiach na końcu korytarza.

- Mój pan... o, Boże, mój pan! Szybko!

Na progu Rohan złapał Zuzannę za ramiona. - Zostań tutaj.

- Akurat - powiedziała, znów depcząc mu po piętach. Lecz już w następnej chwili pożałowała swego nieposłuszeństwa. Nie chciała patrzeć, a jednak spojrzała.

Biskup Roundtree leżał na środku pięknego dywanu. Ktoś musiał uderzyć go kilka razy bardzo mocno w czoło. Krew była wszędzie, tylko nie w ciele biskupa. Zuzanna poczuła, że zaraz zemdleje, oparła się więc o ścianę gabinetu. Na szczęście nie było tu krwi. Usłyszała, jak ktoś się krztusi. To lokaj, młody człowiek w staromodnej peruce, wymiotował w korytarzu. Zmusiła się, by spojrzeć na biskupa. Obok ciała leżał zakrwawiony pogrzebacz. O Boże, nie umiała nawet sobie wyobrazić, by jakiś człowiek mógł podnieść ten pogrzebacz i uderzyć nim innego człowieka. Ten, kto to zrobił, musiał być naprawdę wściekły. Ten lub ta. Nie, kobieta nie mogłaby zrobić czegoś takiego. A poza tym ten piękny lokaj nie wpuściłby kobiety do domu, a już na pewno nie do gabinetu biskupa. Siła, z jaką zadano ciosy, wskazywała na mężczyznę. Patrzyła, jak Rohan klęka i delikatnie szuka pulsu na szyi biskupa. W końcu potrząsnął głową. - Nie żyje od dobrej chwili. Ciało zaczęło już sztywnieć - powiedział do Phillipa. A potem zobaczył Zuzannę opartą o ścianę i usłyszał, jak lokaj wymiotuje w korytarzu. - Do licha, Zuzanno, jesteś bielsza niż ta satynowa koszula, którą masz pod sukienką. Pamiętasz, jak się śliniłem, dopóki nie udało ci się zapiąć sukni i schować tej bezwstydną bielizny? Widzę, że pamiętasz. Nie będę powtarzał dwa razy, zmykaj na dół i zaczekaj tam na ludzi z magistratu. - Wstał. - Ty pójdziesz czy ja? - zapytał Phillipa, który stał, bezmyślnie wpatrując się w ciało.

- Mój Boże, a to ci niespodzianka! A chciałem tylko zbudować wieżę i popatrz, do czego mnie to doprowadziło. Do licha, jeszcze zgłosiłem się dobrowolnie! I byłem bardziej niż chętny. To dla mnie nauczka na przyszłość. Ja pójdę. Lord Balantyne został w zeszłym roku sędzią. Mieszka na Blue Boar Street. Znam go. Nie jest głupi i stara się dobrze wykonywać swój zawód. Oczywiście, władze uniwersyteckie będą marudzić, bo uznają, że sprawa podlega ich jurysdykcji, ale lord Balantyne ma dość władzy, by zrobić, co będzie uważał za słuszne.

- To morderstwo, Phillipie, bardzo sprytne morderstwo. Mam nadzieję, że ten biedny człowiek

da sobie z tym radę.

- Wkrótce się przekonamy, prawda?

- Tibolt nie może być w to zamieszany. Nikt z nas nie zniósłby, gdyby było inaczej. Nie, to niemożliwe.

Lecz Rohan sądził inaczej, i to od chwili, gdy Lambie Lambert porwał Zuzannę.

ROZDZIAŁ 28

Salon domu biskupa, ponury i mroczny, sprawiał równie przygnębiające wrażenie co hol wejściowy. Ściany zawieszono były portretami przodków obecnego biskupa, tworzącymi tak niewątpliwie pobożne, przekonane o słuszności swoich racji i nieugięte plemię, że Zuzanna zadrżała. Siedziała w salonie wraz z młodym lokajem, czekając, aż Jubilee Balantyne, Rohan i Phillip zbadają ciało.

- Był moim panem - powiedział piękny lokaj - kochałem go.

- Jak masz na imię?

- Roland. Otrzymałem je po Rolandzie, ulubionym rycerzu Karola Wielkiego, tym z *Pieśni o Rolandzie*. Westchnął głęboko. - Ojciec wydziedziczył mnie, kiedy się zorientował, że nigdy nie będzie ze mnie normalny młody zawadiaka, o wojowniku nie wspominając, gdyż trudno o nich w dzisiejszych czasach. Owszem, byłem dziki i nieposkromiony, lecz nie w taki sposób, jak on by sobie tego życzył.

Nie rozumiała, co to znaczyło. - Jak długo pracowałeś dla biskupa, Rolandzie?

- Właśnie minęły dwa lata. Wziął mnie do siebie, gdy byłem żalonym strzępem człowieka, mieszkającym z kobietą, która i tak miała zamiar mnie wyrzucić, ponieważ nie chciałem z nią sypiać. Mój pan dał mi wytworne stroje z ubiegłego wieku i tę wspaniałą perukę. A właściwie trzy peruki, każda w innym stylu i na inną okazję. Ta, którą mam na sobie, jest przeznaczona do noszenia w zwykłe dni, choć dzień dzisiejszy z pewnością nie jest zwykły, prawda? Zaczął się co prawda zwyczajnie, lecz proszę spojrzeć, co się stało. - Zapatrzył się na swoje zaciśnięte dłonie. Zuzanna nie odezwała się.

W końcu podniósł głowę i spojrzał na nią. Jego ładną twarz wykrzywił grymas niesmaku. - Nie oczekuję, że pani zrozumie. Jest pani tylko kobietą. Ale kochałem mego pana. Zawdzięczam mu wszystko, co posiadam. I zrobiłbym dla niego wszystko.

Dlaczego miałyby nie zrozumieć, zastanawiała się. Widząc, jak bardzo jest wstrząśnięty, powiedziała najbardziej uprzejmym tonem, na jaki mogła się zdobyć: - Mówiłeś, że pracowałeś w gabinecie nad kazaniem. Lord Mountvale powiedział, że jego zdaniem biskup nie żyje od kilku godzin. Rozumiesz, jego członki zaczęły już sztywnieć.

Roland przełknął gwałtownie, a potem skinął głową.

- Lecz jeśli przebywał zamknięty w gabinecie, a ty czuwałeś na zewnątrz, to kto mógł go zabić?

Roland zerwał się na równe nogi. - Dobry Boże, jesteś tylko kobietą, stworzeniem niegodnym mego spojrzenia, stworzeniem, które biskup uznawał za nędzny dodatek do mężczyzny, przydatny tylko ze względu na łono, ale zadałaś właściwe pytanie. Kto zabił mego pana, skoro był sam, a ja przez cały czas nad nim czuwałem? Jakichś dwóch mężczyzn chciało się widzieć z biskupem, ale ich odprawiłem. Byli handlarzami. Powiedziałem im, żeby lepiej pilnowali interesu. Nie byli ważni.

- Lecz ktoś jednak musiał dostać się do środka. I do gabinetu biskupa na drugim piętrze. Ktoś, kto uderzył go pogrzebaczem. I musiał to być ktoś, kogo on znał, ponieważ cios został zadany od przodu.

Gdyby obawiał się tego kogoś, na pewno by cię zawołał, prawda?

- O tak - wykrztusił Roland. Ukrył twarz w dłoniach. Peruka przekrzywiła mu się na lewo, więc wyprostował ją odruchowo. Gdy w końcu podniósł głowę, po jego twarzy spływały obficie łzy.

- O mój Boże - jęknął, kołysząc się w przód i w tył na krześle. - O mój Boże. Opuściłem posterunek. Teraz sobie przypominam. Przyszedł posłaniec z katedry i musiałem wyjść za róg, by spotkać się z jednym z młodych wikarych. Dał mi papiery dla biskupa. Wtedy nie wydało mi się to dziwne, a powinno. Dlaczego ten wikary sam tu nie przyszedł? To przecież nikt ważny, w przeciwieństwie do biskupa. To moja wina.

- Nie, Rolandzie. Postąpiłeś, jak należało. Opowiedz mi o tym młodym wikarym.

- Czekał na rogu. Był ubrany jak wikary. Wyglądał dość ascetycznie, jeżeli wie pani, co mam na myśli, co było o tyle dziwne, że nie miał zapadłych policzków i nie był chudy, jak to zwykle asceci. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że jest tym, za kogo się podaje. Wręczył mi paczkę. Przyniosłem ją do domu, ale nie ośmieliłem się niepokoić biskupa. Powiedział mi, żeby pod żadnym pozorem mu nie przeszkadzać. Zwykła paczka nie wydała mi się zbyt ważna, więc nie zaniósłem jej od razu na górę. O, mój biedny pan! Pozwoliłem mu umrzeć. To wszystko moja wina.

- Nie - powiedział Rohan od drzwi - chyba że to ty zdzieliłeś go pogrzebaczem.

- Ma na imię Roland - powiedziała Zuzanna. - Rolandzie, czy nadal masz tę paczkę?

- Tak, owszem. Położyłem ją obok tacy na stoliku w holu.

- Może powinniśmy na nią zerknąć - powiedział Rohan.

Roland zerwał się z krzesła, jakby wdzięczny za to, że może zrobić coś, co choćby w części zmniejszyłoby jego winę. Gdy wrócił, wręczył paczkę Rohanowi, nie spojrzawszy nawet na Zuzannę.

- Popatrzcie na to - powiedział Rohan po chwili. - Same czyste kartki.

- O Boże, gdybym tam zajrzał, domyśliłbym się, że coś jest nie tak. Lecz nie zajrzałem. Po prostu położyłem paczkę na stoliku i gwizdząc poszedłem do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbatę. Nawet nie przyszło mi na myśl, że dzieje się coś dziwnego.

- Przestań się obwiniać, Rolandzie - powiedział Jubilee Balantyne głosem niewiele łagodniejszym od grzechotania kamieni w strumyku. - Najwidoczniej człowiek, który zabił twego pana, dostał się do środka, kiedy ty rozmawiałeś z wikarym. Lecz to nie twoja wina. Zrobiłeś, czego się po tobie spodziewano i czego wymagały twoje obowiązki. A teraz opowiedz mi o tym wikarym. On musiał być w zмовie z mordercą, rozumiesz. Miał odciągnąć cię od domu.

Roland wstał powoli. Był naprawdę śliczny. Gdyby miał na sobie suknię, mógłby uchodzić za piękną młodą kobietę, pomyślała Zuzanna.

- Mój Boże, sam nie wiem - jęknął i wybuchnął płaczem, zakrywając twarz rękami. Rohan spojrział z niepokojem na Zuzannę.

Zmarszczyła brwi.

- Przepraszam, Rolandzie, zaczekamy, aż się uspokoisz - powiedział Rohan. Jego głos, choć nadal daleki od uprzejmości, nie brzmiał już tak szorstko. - To dla ciebie szok. Ale na pewno chciałbyś, żebyśmy znaleźli tego, kto zabił twego pana. Proszę, zastanów się. Skup uwagę na spotkaniu z człowiekiem, który podawał się za wikarego i postaraj się przypomnieć sobie jak najwięcej.

Roland zamyślił się. Zaczął niespokojnie przemierzać pokój. Wygląda jak piękny aktor z zeszłego stulecia, pomyślała Zuzanna, lecz nic nie powiedziała. Czekała, podobnie jak Phillip, który stał przy otwartych drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersi. Co do sędziego, to on także milczał,

obserwując młodego człowieka i jego wędrówki.

- Był młody - powiedział nagle Roland - niewiele starszy ode mnie. Miał gęste włosy, czarne i nieco zbyt długie, jak na wikarego. Pamiętam, iż pomyślałem, że powinien je podciąć. Był wyższy ode mnie, ale niewiele. Dobrze zbudowany, nie szczupły, raczej muskularny. Nigdy nie widziałem wikarego, który by miał taką sylwetkę. O Boże, zabiłem mego pana.

- Bardzo dobrze ci idzie, Rolandzie - wtrąciła Zuzanna - ale nie wolno ci się załamać. To, co nam powiesz, pomoże znaleźć człowieka, który popełnił ten straszny czyn.

Jubilee Balantyne odchrząknął, mrugnął do Zuzanny i zapytał: - Powiedział ci, jak się nazywa?

Roland potrząsnął głową. - Nie, proszę pana. Był bardzo miły, porozmawiał ze mną chwilę o pogodzie, spytał, jak długo mieszkam w Oksfordzie i co sędzę o biskupie Roundtree... O Boże! Teraz rozumiem! Starał się mnie zatrzymać, podczas gdy jego kompan mordował mojego pana. O Boże!

- Na to wygląda - potwierdził Jubilee Balantyne. - Ale nie mogłeś wiedzieć, że to podstęp. No, dalej, opanuj się. Zauważyłeś w nim coś dziwnego, coś odbiegającego od normy?

Roland tylko potrząsnął głową, zacierając nerwowo ręce. Był tak zdenerwowany, że nawet nie zwrócił uwagi, iż cenna peruka przekrzywiła mu się na głowie.

- Myśl, człowieku!

- Tak, tak. Przypominam sobie teraz, że miał na lewej dłoni pierścień. Taki sam, jaki nosił biskup Roundtree. Już miałem zapytać go, skąd go ma, gdy wręczył mi paczkę i odszedł.

- Opowiedz nam o tym pierścieniu.

- Lepiej będzie - wtrącił Balantyne - jeśli pójdę po prostu na górę i zerknę na pierścień biskupa, skoro były identyczne. Tak mówiłeś, prawda?

Roland skinął głową. Ledwie Zuzanna zdążyła pomyśleć, że nie zazdrości sędziemu tego zadania, gdy Balantyne wrócił, zachmurzony.

- On nie ma na ręce żadnego pierścienia. Roland zerwał się na równe nogi. - Pan musi się mylić, biskup zawsze go nosi, zawsze. Kiedyś zapytałem go o to, lecz bardzo się na mnie rozgniewał. Przez chwilę się bałem, że mnie uderzy. Oczywiście, nie zrobił tego. Nigdy mnie nie uderzył. No, może raz, lecz zrobił to dlatego, że sprawiło mu to przyjemność.

- A zatem zabrał go morderca. Żaden z nas nie zauważył przedtem, że jeden z palców biskupa został odcięty. Widocznie zabójca nie mógł po prostu ściągnąć sygnetu, więc okaleczył zwłoki.

Roland padł na ziemię, zemdlony.

Zuzanna żałowała, że nie może się do niego przyłączyć. Zamiast tego wyszła z salonu i odnalazła kuchnię. Było to małe, mroczne pomieszczenie na tyłach domu. Zwilżyła ściereczkę i wróciła do Rolanda, który nadal leżał na podłodze, zawodząc jak dziecko. Uklękła obok niego i delikatnie przetarła mu twarz. - Wszystko będzie dobrze - powiedziała i powtarzała tak przez dłuższą chwilę, choć sama nie bardzo wierzyła w to, co mówi. Spojrzała na męża. Miał zamknięte oczy.

Wiedziała, że intensywnie myśli. Na pewno zastanawiał się, czy był to taki sam sygnet. Obaj mieliby nosić takie same pierścienie? Czy była to oznaka przynależności do jakiegoś stowarzyszenia? A potem przypomniała sobie słowa Tibolta: „Wszyscy ci głupcy, strzegący tajemnicy...”

Pierścień, powiedział w końcu Roland, wypięszy sporą miarkę mocnej, przeszmuglowanej z Francji brandy, był srebrny, masywny, z wrytym na wierzchu wizerunkiem biskupa w mitrze. Tak, pod spodem były jakieś słowa, ale nie wiedział, jakie.

- Ciekawe - zauważył sędzia Balantyne.

- Pierścień był bardzo duży i musiał być ciężki - powiedział Roland. - Czy to w czymś pomoże?

- Prawdopodobnie - odparł Rohan.

Balantyne odprawił w końcu lokaja, nie kryjąc niesmaku. Kazał mu się położyć, gdy tylko dostarczy mu listę wszystkich krewnych biskupa. Co do znajomych, to postanowił zająć się nimi sam. Spojrzał na Phillipa Merceraulta i powiedział: - Chyba już pora, żebyś powiedział mi, o co tu chodzi, nie sądzisz?

Phillip zerknął na Rohana, wzruszył ramionami i odpowiedział: - Przykro mi, Jubilee, ale nie ma tu zbytnio o czym mówić. Od wielu lat przyjaźnię się z lordem Mountvale i znalazłem się tutaj tylko dlatego, że tak dobrze znam Oksford. Rohan chciał się zobaczyć z biskupem. Czy nie wspominałeś, że był przyjacielem twego ojca?

Rohan skinął głową. - To prawda. Niestety, fatalnie wybraliśmy czas tej wizyty.

- Rozumiem. I, jak przypuszczam, nie wiecie nic o pierścieniu?

- O pierścieniu? Absolutnie nic.

Jubilee Balantyne nie powiedział ani słowa więcej. Wstał. - Co za piekielna sprawa. Wszyscy w Oksfordzie będą chcieli mnie ukrzyżować, jeśli szybko nie dowiem się, kto to zrobił. Władze uniwersytetu spróbują przejąć dochodzenie. Pewnie powinienem im na to pozwolić i umyć ręce. Ale nie zrobię tego. A co do waszej trójki, to może omówilibyście to między sobą i przyszli ze mną porozmawiać. Będę potrzebował waszej pomocy. A jeśli zechcecie zająć się tym sami, nie biorę za nic odpowiedzialności.

- Spozrzegawczy dżentelmen - powiedziała Zuzanna, gdy sędzia opuścił dom biskupa. - I co teraz zrobimy?

- Jednego nie zrobimy na pewno - wtrącił Rohan. - Nie powiemy mu prawdy.

- Mówiłem ci, że on nie jest głupi - powiedział Phillip. - Chciałbym już stąd wyjść.

Phillip dał im - jak sam oświadczył - najlepsze łóżko w Dinwitty Manor. I rzeczywiście, choć sypialnia była niska i nieco wilgotna, to łóżko okazało się nader wygodne. Było już po północy, po wieczorze spędzonym na dyskusjach, które nie doprowadziły do żadnego logicznego wniosku. Zuzanna leżała przytulona do boku Rohana, z policzkiem opartym na jego ramieniu i dłonią przyciśniętą płasko do piersi męża.

- Za diabła nie wiem, co powinniśmy teraz zrobić - powiedział Rohan, kierując to pytanie w stronę ciemnego sufitu. - Przez cały czas zastanawiam się, czy to nie Tibolt zamordował biskupa.

Ucałowała jego ramię. - Nic na to nie wskazuje. Wydaje się bardziej prawdopodobne, że Tibolt był tym wikarym, który odwrócił uwagę biednego Rolanda. Pamiętaj, że ten osobnik miał na palcu pierścień. Musiał być przebrany. Mam pewien pomysł.

Pocałowała go ponownie, podczas gdy jej dłoń sama powędrowała ku miękkim włosom w dole jego brzucha. Napiął mięśnie, a jego oddech gwałtownie przyśpieszył.

Zsunęła dłoń jeszcze niżej i wreszcie go dotknęła.

O mało nie spadł z łóżka. Wszelkie myśli o wydarzeniach dnia zostały natychmiast wyparte przez pożądanie tak wielkie, że aż nim zatrzęsło. Zacisnęła palce wokół jego członka.

- Zuzanno, czy wiesz, co robisz?

- Nie jestem pewna, lecz sądzę, że powiesz mi, jeśli będę robiła coś nie tak, prawda?

- O tak. Lecz to co robisz, wydaje się w porządku. - Jęknął.

Pocałowała go w usta, a kiedy rozchylił wargi, powiedziała: - Zbyt długo zajmowaliśmy się czymś innym. Zbyt wiele pojawiło się pytań, i wydarzyło się zbyt wiele złego. Powiedziałaś mi, że będziemy dzielić wszystko. Teraz chcę z tobą dzielić coś innego, Rohanie. Pragnę cię.

Nie kochali się od kilku dni. Od czasu do czasu Rohanowi przypominało się, że Zuzanna jest jego świeżo poślubioną żoną, lecz trzymał ręce przy sobie, podobnie jak usta i parę innych części ciała. Oboje byli wytrąceni z równowagi. Miała rację. Pora już była znów się połączyć, jak wtedy pierwszej nocy, jak tamtej szalonej nocy w gospodzie.

Przewrócił się z wolna na bok i spojrzał jej w oczy. Dzięki Bogu, nie cofnęła ręki.

Zaczął ją całować, przesuwając dłońmi po jej piersiach, zsuwając je na brzuch i pośladki. - Przekłęta koszula - szepnął w jej rozchylone usta, a potem uniósł ją, by mogła zdjąć jedwabny łaśzek. Niestety, by móc uwolnić się od koszuli, musiała go puścić.

Przewrócił się na plecy i wciągnął ją na siebie. - Teraz jest równie dobrze. Gdybyś mnie dalej tak trzymała, wkrótce znalazłbym się w nie lada kłopotach. Może któregoś dnia odważysz się dotknąć mnie tam ustami, Zuzanno.

Mrugnęła, zdumiona. W pokoju było ciemno i mogła widzieć tylko zarys jego twarzy. - Chcesz, żebym cię tam pocałowała? - spytała z nieukrywanym zdumieniem w głosie.

- Tak, i nie tylko.

Umilkła. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić czegoś takiego.

Sądziła, że to, iż położyła na nim rękę, daleko przekracza granice dozwolonej śmiałości, że jest czymś, czego damy zwykle nie robią, choć dotykanie go tam sprawiało jej przyjemność. Od razu polubiła twardość i ciepło tej części jego ciała.

Wciągnął ją głębiej na siebie. - Pocałuj mnie - powiedział, a kiedy jej usta dotknęły jego warg, ujął dłońmi jej biodra i zaczął ugniatać ciepłe ciało żony. Po chwili jego place rozsunęły delikatnie jej uda. Zuzanna cofnęła się gwałtownie i spojrzała na niego.

- Nie jest ci przyjemnie?

- Owszem, jest, ale to szokujące. Wsunął w nią palec. Westchnęła głęboko.

- Dotknąłeś mnie tak, jak wtedy, pierwszej nocy, jak tamtej nocy w gospodzie, i podczas innych nocy też, lecz ja już zapomniałam, jak to jest. Minęło tyle czasu. Całe trzy dni. - Poruszyła się na nim. Zacisnął powieki, starając się opóźnić to, co nieuniknione.

Kiedy w nią wszedł, ujął w dłonie jej twarz i szepnął: - Czy mamy począć dziecko?

Wypchnęła do góry biodra, szepcząc w jego szyję: - Wszystko mi jedno, wszystko mi jedno. Chcę ciebie, właśnie ciebie. Rohan...

Wziął w siebie jej przyjemność, dziką i ostrą, a potem wyjęczał swą rozkosz prosto w jej rozchylone usta.

Następnego ranka zasiedli w trójkę do śniadania. Niewiele ze sobą rozmawiali, dopóki Rohan nie upuścił kawałka bekonu i nie powiedział: - A jeśli połowa mapy, należąca do biskupa, nadal znajduje się w jego domu? W gabinecie? Morderca mógł jej nie znaleźć. Nie miał zbyt wiele czasu. A sądząc po sposobie, w jaki zabił biskupa, musiał być bardzo rozgniewany, jakby biskup odmówił mu powiedzenia tego, czego chciał się dowiedzieć.

Zuzanna odłożyła serwetkę i wstała. - Ja też tak sędzę. Biskup musiał gdzieś schować swoją część mapy. Chodźmy poszukać.

- Nigdy dotąd nie spotkałem takiej kobiety - powiedział Phillip do Rohana.

- Może kiedy spotkasz kobietę taką jak Zuzanna, zdążysz ją poślubić, zanim od ciebie ucieknie.

Phillip jeszcze raz przyjrzał się uważnie Zuzannie, po czym powiedział tylko: - Być może. Być może.

ROZDZIAŁ 29

- Niech mnie kule biją - powiedział Phillip, wysuwając się spod biurka biskupa, pod którym leżał od dobrej chwili. - Spójrzcie na to. Było przymocowane pod blatem.

To coś było wąską, oprawną w płótno księgą. Wyglądała na bardzo starą.

Rohan i Zuzanna podeszli do Phillipa. Sami już niemal się poddali. Jak do tej pory, przeszukiwanie gabinetu okazało się bezskuteczne.

- W każdej chwili może się rozpaść - powiedział Phillip, otwierając powoli księgę. - I są tu tylko trzy strony, wszystkie po łacinie. A także to. - Co powiedziawszy, z radosnym uśmiechem wyciągnął pół małej mapy, ukryte dotąd w kieszonce z tyłu książki.

- Zwyciężyłeś, Phillipie. To mi wygląda na drugą część naszej mapy.

- Drodzy panowie - powiedziała spokojnie Zuzanna - sugerowałabym, abyśmy starannie ukryli nasze podniecenie i jak najszybciej opuścili to miejsce. Nie byłoby dobrze, gdyby Roland poinformował lorda Balantyne o naszym odkryciu. Lub kogokolwiek innego, jeśli chodzi o ścisłość. Powinniśmy zachowywać się tak, jakbyśmy zrezygnowali z poszukiwań.

- Ona ma rację - powiedział Rohan. Pocałował żonę, a potem szepnął jej do ucha: - Znaleźliśmy ją!

- Przestańcie - wtrącił Phillip - bo robię się zazdrosny, a bardzo nie lubię tego uczucia. Jest zbyt pospolite, zbyt małostkowe. Więc bardzo cię proszę, Rohan, żadnych więcej pieszczot w mojej obecności. Zmieniając temat: kiedy wyjdziemy na zewnątrz, postarajcie się wyglądać na rozczarowanych. Ktoś może obserwować dom.

Kiedy znaleźli się na dole, zastali Rolanda w kuchni, przy stole. Spał głęboko, oparłszy twarz na dłoniach.

- Co się z nim stanie? - spytała Zuzanna, gdy Rohan pomagał jej wsiąść do powozu.

- Jeżeli biskup ma jakichś krewnych, a oni zechcą przejąć dom, to obawiam się, że nie zabawi tu długo - powiedział Phillip.

- Ale dlaczego? Jest taki ładny i choć wyraźnie nie lubi kobiet, wydaje się kompetentny. Na pewno zauważyliście, z jakim podziwem i uczuciem wyrażał się o biskupie.

- To nie takie proste - powiedział Rohan, ujmując jej dłoń i składając pocałunek.

- Dlaczego nie miałbyś zaoferować mu posady, Phillipie? - spytała Zuzanna, gdy już jej się udało oderwać wzrok od pięknych oczu swego męża i jego jeszcze piękniejszych ust, w które od jakiegoś czasu wpatrywała się z widocznym upodobaniem. Nigdy przedtem nie wyobrażała sobie, że może czuć do mężczyzny to, co zaczynała czuć do Rohana. Nie mówią już o tym, co czuła, gdy jej dotykał. I kiedy w nią wchodził. Tak, jakby on otworzył okno, a ona przez nie wyfrunęła. Pragnęła, aby to okno pozostało otwarte na zawsze. Nie chciała rozstawać się z mężem. Wiedziała że pomimo swej reputacji Rohan należy tylko do niej. Co do siebie samej, to i tak nie miała wyboru. Z wysiłkiem oderwała myśli od ust męża, które pragnęła całować, aż obojgu zupełnie zabraknie tchu.

- Widzisz, Zuzanno, chodzi o to... - zaczął Phillip. Spojrzał bezradnie na jej śliczną, niewinną

twarzyczkę i jęknął. - Nie, nie mogę.

- Posłuchaj, Zuzanno - powiedział Rohan. - Jestem twoim mężem. Zaufaj mi i uwierz, że Roland, pomimo jego oddania i lojalności, nie czułby się szczęśliwy w Dinwitty Manor. Nie pasowałby tam.

- No dobrze - powiedziała wolno, kręcąc ze zdziwieniem głową. - Postaram się zgłębić tę tajemnicę, kiedy będziemy sami, Rohanie. - Pochyliła się, pocałowała go w ucho i szepnęła: - Powiesz mi wszystko, kiedy już znajdziesz się na mojej łasce.

Teraz jęknął jej mąż.

- Znow czuję, że ogarnia mnie zazdrość - powiedział Phillip. - By o niej zapomnieć, wyjrzę przez okno i sprawdzę, czy nikt nas nie śledzi.

Po godzinie byli z powrotem w Dinwitty Manor. Gdy powóz potoczył się długim podjazdem, zaczęło mocno padać i mimo iż była dopiero trzecia po południu, niebo zdążyło już przybrać ponury brudnoszary kolor. Nie miało to jednak znaczenia. Byli tak podekscytowani, że nawet potop nie byłby w stanie im przeszkodzić.

- Do licha - powiedział Phillip, kiedy znaleźli się w jego gabinecie. - Szkoda, że nie mamy drugiej połowy.

- No cóż, w pewnym sensie mamy - powiedziała Zuzanna, uśmiechając się do męża. - To miała być niespodzianka. Przerysowałam tamtą połówkę mapy. Niestety, nie mogłam skopiować kluczyka. Mam ten rysunek na górze. Zaczekajcie, za sekundę będę z powrotem.

- Ja cię uduszę, Zuzanno! - zawołał za nią mąż. - Patrzcie tylko, przerysowała ją. Powinienem był wiedzieć. Jest utalentowaną artystką - powiedział do Phillipa.

- Ożeniłeś się z bardzo inteligentną damą, Rohanie - powiedział Phillip, wręczając przyjacielowi szklaneczkę brandy. - Zastanawiam się, kiedy powiesz jej prawdę?

- Gdy uznam, że nadeszła pora. Mężczyzna o mojej reputacji nigdy nie przyśpiesza biegu wydarzeń. Tego przynajmniej nauczyłem się podczas tych lat rozpustnego życia.

Kiedy Zuzanna wpadła bez tchu do pokoju, Phillip nadal się śmiał. - Mam ją! Spójrzcie, co zrobiłam. Ponieważ chciałam, aby proporcje zostały zachowane, mój rysunek jest równie mały, jak oryginał.

Jako że miała najbardziej delikatne dłonie z całej trójki, to Zuzannie przypadło w udziale ostrożne zsunięcie razem obu połówek mapy. Nie pasowały do siebie idealnie, ale różnica była niewielka. - Spójrzcie - powiedziała, odsuwając się nieco. - Jak przypuszczaliśmy, to Szkocja. Miasteczko nazywa się Dunkeld. Na naszej połowce było tylko DU, więc nie mogliśmy się domyślić, o jaką miejscowość chodzi. A spójrzcie tylko na ten rysunek, przedstawiający strzeliste zwieńczenie dachu kościoła. Połowa znajduje się na jednej połowce mapy, a połowa na drugiej. I znowu, dopóki nie mieliśmy obu połówek, nie sposób było się domyślić, że chodzi o kościół. Sądzicie, że skarb, czy co to tam jest, znajduje się w tym kościele?

- To bardzo prawdopodobne - powiedział Phillip, podczas gdy Rohan starał się coś wyczytać ze zmurszałych stron książki. - Wygląda mi to na jakąś diatrybę bez ładu i składu, sławiącą walkę o moc i nieśmiertelność. Nic szczególnego, coś o tym, jak ludzkość zatraciła dobro, a zło pleni się, rzeczywiste i niebezpieczne. Mowa jest także o jakimś Naczyniu Szatana, znalazłem też wzmiankę o Czystym Płomieniu. Aaa, mam. „Czysty Płomień” odnosi się do Hildebranda. Nazywają go tutaj głównym zarządcą państwa papieskiego pod rządami wielu papieży i tym, który strzeże naczynia przed złodziejami i zachłannymi ludźmi. - Na chwilę zamilkł, wczytując się w tekst.

- Hildebrand był najwidoczniej ostoją rozsądku w tych niespokojnych czasach, szarą eminencją,

skrywającą się w cieniu kolejnych papieży. To on namówił Leona IX, by dał to coś Makbetowi, królowi Szkocji - człowiekowi honoru, godnemu, by mu zaufać. Autor pisze, że niebezpieczeństwo było tak blisko, iż Hildebrand zwątpił, czy uda mu się uchronić naczynie. Obawiał się też o życie papieża. I o całą ludzkość, gdyby naczynie wpadło w niepowołane ręce. A zatem papież umieścił je w relikwiarzu i przekazał Makbetowi, przykazując ukryć je tak, by nigdy nie zostało zniszczone ani uwolnione. - Spojrzał na nich. - Te ostatnie słowa zostały podkreślone. Potrząsnął głową. - To bardzo dziwne. Brzmi tak, jakby ten przedmiot był żywy.

- Co to jest relikwiarz? - zapytała Zuzanna, żałując, że nie zna łaciny, bowiem w książce pozostało jeszcze kilka nie odczytanych linijek.

- Relikwiarz to mała skrzynka lub pudełko, służące do przechowywania relikwii. Zwykle przenosi się ją z jednego świętego miejsca w drugie, by wierni mogli w pełni korzystać z dobroczynnego wpływu relikwii.

Rohan przewrócił ostatnią stronę. - Spójrzcie, tu jest rysunek relikwiarza, najwidoczniej tego, który papież Leon IX przekazał Makbetowi. - Linie były rozmyte, niepewne, lecz zarys skrzyneczki dawał się rozpoznać, choć trudno byłoby powiedzieć, czy zrobiono ją ze złota, srebra czy drewna. Relikwiarz miał kształt opartej na podstawie prostokąta bryły, której ściany zbiegały się jak ściany domu. U szczytu znajdował się długi drążek z przymocowanymi na końcach małymi okrągłymi uchwyty.

- Ten relikwiarz musi mieścić w sobie Naczynie Szatana - powiedział Phillip. - Makbet najwidoczniej wiedział, że ukryto go gdzieś w tej katedrze w Dunkeld. Te ostatnie słowa, o tym, że naczynie nie może zostać „zniszczone ani uwolnione” brzmią jakoś tak apokryficznie.

- Dla mnie brzmią diabelsko - powiedziała Zuzanna i zadrżała. - Zastanawiam się, co mogło do tego stopnia wystraszyć papieża i Hildebranda, że zdecydowali się powierzyć naczynie Makbetowi? Przypuszczam, że ktoś musiał dowiedzieć się o jego istnieniu. Być może - podobnie jak Tibolt - ta osoba uważała, że kiedy je posiadzie, uzyska władzę nad światem.

Rohan skinął głową. - Tak, to wydaje się prawdopodobne. Tibolt powiedział, że będzie rządził, czym tylko zechce. Posiadzie najwyższą moc i będzie niczym bóg.

- Co to, u licha, może być? - zapytał Phillip, uderzając otwartą dłonią w półkę nad kominkiem. Figurka pasterki z drezdeńskiej porcelany zadrżała, lecz zdołał uchwycić ją, zanim upadła.

- Nie zapominajcie, że Tibolt wspominał także o „starych głupcach strzegących tajemnicy” - powiedziała Zuzanna. - Ten pierścień, który miał na palcu i który nosił także biskup Roundtree, był najwidoczniej oznaką przynależności do jakiegoś tajnego bractwa, założonego bardzo dawno temu, by strzec tajemnicy naczynia.

Rohan westchnął. - A Tibolt jest członkiem tego bractwa. Biskup Roundtree musiał być ich przywódcą. Najwidoczniej nie podejrzewał Tibolta, gdyż inaczej nie dałby połówki mapy ani jemu, ani George'owi. Sam zatrzymał drugą połowę i pewnie dlatego został zamordowany. Ale mordercy nie udało się znaleźć schowka.

- Tibolt - powiedziała Zuzanna i wstrząsnął nią dreszcz. - Mam nadzieję, że to nie on zabił biskupa.

- Ja także - dodał Rohan - lecz sprawy nie wyglądają dobrze.

- To bractwo musi się składać głównie z biskupów, - mówiła dalej Zuzanna choć nie wyłącznie, jak o tym świadczy przykład Tibolta. Jednak ci, którzy jeszcze nie są biskupami, zapewne kiedyś nimi zostaną, gdyż przeznaczono im wysokie miejsca w hierarchii kościelnej.

- Główną ambicją Tibolta - wtrącił Rohan - było zostać biskupem Canterbury.

- Nosili pierścienie, by móc się wzajemnie rozpoznać.

- Zastanawiam się, czy w ogóle się spotykali - powiedział Rohan. Odwrócił się, by popatrzeć na żonę, niespokojnie przemierzającą pokój. - Jest pewien problem, któremu należy stawić czoło - powiedział powoli. - Musimy podjąć decyzję. Czy powinniśmy zniszczyć tę księgę i połówkę mapy?

Zuzanna zatrzymała się nagle. - Zniszczyć? O, nie.

- To, co mówi Rohan, ma sens - powiedział Phillip. - Diabelskie naczynie, czymkolwiek jest, stanowi zagrożenie dla ludzkości, a przynajmniej ludzie wierzyli w to przez setki lat. I nadal wierzą. Gdyby biskup Roundtree nie wierzył, z pewnością nie dałby George'owi połówki mapy, próbując w ten sposób ochronić miejsce ukrycia relikwiarza. Mógł przecież po prostu zniszczyć kluczyk, mapę i samą księgę.

- Ale nie zrobił tego - powiedziała Zuzanna. - I bardzo jestem ciekawa, dlaczego.

- A kto powiedział, że tylko biskup Roundtree posiadał tę mapę? - zaproponował Rohan. - Z pewnością istnieje jeszcze co najmniej jedna kopia zarówno mapy, jak książki. A jeśli Tibolt zostanie przywódcą tego bractwa? I jeśli to właśnie przywódcy powierza się każdorazowo mapę i książkę?

Phillip potrząsnął głową. - Posłuchajcie mnie. Naprawdę wierzycie, że to naczynie potrafi zapewnić swemu posiadaczowi nieskończoną moc? Uczynić z niego boga? Czy nie przypisujecie temu przedmiotowi zbyt wiele mocy?

- Zgadzam się z Rohanem - powiedziała Zuzanna. - Nie możemy ryzykować, że Tibolt przejmie Naczynie. - Wzięła głęboki oddech. - Być może w przyszłości znowu pojawi się jakiś chciwiec, który nie dochowa wiary i zapragnie naczynia. Nie, uważam, że powinniśmy je wziąć i ukryć w nowym miejscu. Wtedy będziemy mieć pewność, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane na wieki.

- A zatem wierzysz w tę magię? W to zagrożenie ludzkości?

- Nie unosz tak lekceważąco brwi, Phillipie - zmitygował przyjaciela Rohan. - Już Hamlet powiedział, że są rzeczy na ziemi i niebie, o których nie śniło się filozofom. Nie mogę tego zlekceważyć. W życiu zdarza się zbyt wiele... - przerwał, skonsternowany.

- Rzeczy - dokończył Phillip spokojnie - dla których nie ma logicznego wytłumaczenia. I nie pomoże tu żaden intelekt.

Zuzanna przewróciła ostatnią stronę księgi. - Aaa, tutaj jest. Zastanawiałam się, w którym miejscu w katedrze schowano naczynie. Te wersy nie są napisane po łacinie, a zatem musiały zostać dodane później. - Wpatrzyła się intensywnie w słowa, zapisane niepewnym, pajęczym charakterem pisma, a potem przeczytała powoli:

Znajdź kamień nagrobny opata

Zejdź w dół przegniłymi schodami.

Sięgnij w głąb ściany płaczu

A znajdziesz tam Naczynie Szatana.

Rohan zagwizdał. - Nie jest to może najlepszy wiersz, jaki czytałem, lecz kiedy znajdziemy katedrę w Dunkeld, z pewnością uda nam się dzięki niemu odnaleźć relikwiarz i to tajemnicze naczynie.

Spojrzał najpierw na żonę, a potem na przyjaciela. - To co, jedziemy do Szkocji?

Żadne z nich nie odpowiedziało. Po prostu skinęli głowami.

Phillip podszedł do półki i wyjął z niej atlas. Znalezienie na odpowiedniej mapie Dunkeld zajęło

mu tylko chwilę. - To zaledwie około czternastu mil na północ od Perth. - Podeszedł do dalszej ściany i przyjrzał się swoim książkom. W końcu wybrał jedną i zaczął ją kartkować. - Aaa, mam to. Dunkeld posiada katedrę, bardzo dużą i ważną katedrę. Tam właśnie został pochowany ten biskup. I tam znajdziemy relikwiarz. Oczywiście, jeżeli uda nam się odnaleźć tę ścianę płaczu.

- Spójrz, Rohan - powiedziała nagle Zuzanna, pociągając go za rękaw. - Spójrz, co jest napisane tymi pajęczymi czarnymi literami pod wewnętrzną obwolutą tylnej okładki. Papier podwinął się i zobaczyłam jakieś słowa.

- „Bractwo Biskupów” - powtórzył Rohan. - Dokładnie tak, jak podejrzewaliśmy. Pomyślcie tylko, stowarzyszenie mężczyzn, którzy poświęcili się utrzymaniu w tajemnicy istnienia diabelskiego naczynia. To świadczy o wielkim szacunku, a nawet lęku, jaki musiał budzić ten przedmiot.

- Chciałabym być członkiem takiego stowarzyszenia - powiedziała Zuzanna. - Pomyślcie tylko, te spotkania w czyimś domu, w pokoju z opuszczonymi zasłonami... jak sądzicie, czy dzisiaj też spotykają się od czasu do czasu?

- Niewątpliwie - powiedział Rohan. - Lecz nigdy nie dowiemy się, kim są.

- Z wyjątkiem Tibolta.

- Tak, z wyjątkiem Tibolta. Dlatego musimy znaleźć ten przedmiot.

- Swego rodzaju klub - powiedział Phillip z namysłem. - Tajemna organizacja, która prawdopodobnie przetrwała stulecia. Jak to w ogóle możliwe? Mapa jest stara, ale z pewnością nie pochodzi z jedenastego wieku, podobnie jak księga. Myślę, że obie mają po mniej więcej sto lat.

- Masz rację - zgodził się Rohan, przesuwając dłonią po grzbiecie książki. - Musiała zostać zgubiona, a potem odnaleziona.

- Uważam, że zanim wybierzemy się do Szkocji - powiedział Phillip - powinniśmy odwiedzić mego starego nauczyciela, pana Leonine Budsmana. Nawet jeśli sam nie jest członkiem tego klubu, na pewno o nim słyszał. Sądzę, że im więcej zbierzemy informacji, tym lepiej. Być może - dodał, pochmurniejac - dzięki temu będziemy bezpieczniejsi.

Spojrzeni po sobie. Zuzanna wiedziała, że wszyscy troje myślą o tym samym: o magii starszej, niż byli w stanie sobie wyobrazić, o magii, która przypuszczalnie była złem i która, gdyby odnalazł ją Tibolt, zapewniłaby mu nieskończoną moc i władzę nad światem.

Dawny nauczyciel Phillipa nie był po prostu stary - on był zabytkiem. Rohan z wielką obawą ujął jego dłoń, lękał się bowiem, że zbyt silny uścisk może złamać kruche kości starca. Ten zaś dowlókl się jakoś na drżących nogach do swego fotela i ruchem najwidoczniej wyćwiczonym przez lata odrzucił do tyłu głowę, co sprawiło, że jego długie siwe włosy opadły na kołnierzyk. Jeden z ostatnich przejawów próżności starego ptaszyska, pomyślał Rohan. Phillip tymczasem wypytywał starca grzecznie o zdrowie. Pan Budsman spojrzał swymi kaprawymi oczami na sufit i zauważył, że jeśli do rana nie umrze, nie będzie w tym z pewnością jego winy.

Po tym oświadczeniu zapadła pełna konsternacji cisza, którą przerwał wreszcie Rohan.

- Proszę pana, lord Derencourt twierdzi, że wie pan wszystko, co warto wiedzieć - zapytał, odsuwając na bok herbatę, podaną przez bardzo starego lokaja. - Musimy dowiedzieć się czegoś o Bractwie Biskupów. Wie pan coś o tym?

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, w małym, wypełnionym stęchłym powietrzem saloniku pojawił się lord Balantyne. Skłonił się Zuzannie i kiwnął głową obu panom. - Co za interesujące zgromadzenie. Dzień dobry panu. Dobrze pan dzisiaj wygląda. Ma pan więcej włosów niż ja. To niesprawiedliwe.

Ku zdumieniu Zuzanny starzec zarzął, dosłownie zarzął, i jeszcze raz odrzucił do tyłu głowę. - To stare, bardzo ciepłe powietrze tak konserwuje włosy, Balantyne. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. A wy, młodzi, bez przerwy uganiacie się po świeżym powietrzu i zostawiacie otwarte okna nawet na noc. Nic dziwnego, że zdarzają się wam przykre niespodzianki.

- Z pewnością ma pan rację - powiedział Phillip. Przewycięzył zaskoczenie, wywołane widokiem Balantyne'a i mówił dalej: - Widzi pan, potrzebujemy pańskiej pomocy. Powiedziałem przyjaciółom, że pan wszystko wie. Opowie nam pan o Bractwie Biskupów?

Staruszek przez chwilę mościł się w fotelu niczym owad w kokonie. Objął swymi kruchymi, poznaczonymi starczymi plamami dłońmi filiżankę z herbatą. - Zostało założone mniej więcej w tym czasie, kiedy się urodziłem, przez biskupa Jackspara, od dawna nieżyjącego. Nie wiem, jak to się stało, lecz natknął się na dokumenty związane ze starą legendą, zapomnianą od stuleci. Głosiła ona, iż papież Leon IX przekazał królowi Szkotów, Makbetowi, relikwiarz, zawierający jakiś magiczny przedmiot, zwany Naczyniem Szatana. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, czym dokładnie było to naczynie. Jeśli nawet jego istota, jego postać fizyczna znana jest dziś kilku członkom Bractwa, to wiedza ta stanowi ściśle strzeżoną tajemnicę. Naczynie Szatana. To działa na wyobraźnię, prawda? Sprawia, że człowiek zaczyna rozmyślać o czarownicach i ich wywarach, pustelnikach z długimi białymi włosami i magicznych różdżkach. Z drugiej strony, może to rzeczywiście rodzaj naczynia, jakiś puchar, coś, z czego można pić. To wszystko brzmi dosyć dziwacznie, prawda? Cóż to mógłby być za puchar? Kto wie? Wiem jeszcze tylko, iż owo naczynie uważane jest za niebezpieczne. Być może to ucieleśnione zło, zważywszy na jego złowieszczą nazwę. Oczywiście, wszystko to są spekulacje.

Gdy stary człowiek umilkł i zaczął popijać herbatę, odezwał się lord Balantyne: - Jak się domyślam, ma to wiele wspólnego z biskupem Roundtree, choć nie spodziewam się, by którekolwiek z was zechciało mnie poinformować o szczegółach.

- Na pewno wie pan tyle, co my - powiedział Rohan.

Lord Balantyne chrząknął.

- Wie pan może, kto jest członkiem tego bractwa? - spytała Zuzanna z namysłem.

- Biedny stary Roundtree był nim. Kto jeszcze? Nie sądzę, by ktokolwiek wiedział, nawet wielu spośród samych członków. Słyszałem, że spotykają się w bardzo małych grupach. To było dobre pytanie, młoda damo - dodał starzec, kiwając z aprobatą głową. - To znaczy, przypuszczam, że jesteś młoda?

- Tak, proszę pana. Wierzy pan, że to Naczynie Szatana naprawdę istnieje?

- O, tak. Bo czemu by nie? A teraz, proszę, wybaczcie, pora na odpoczynek.

W jednej chwili pan Budzman normalnie z nimi rozmawiał, a w następnej spał już głęboko, pochrapując z cicha, z głową odchyloną do tyłu i gęstymi siwymi włosami spadającymi na ramiona. Otwarte usta ukazywały ostatnie trzy zęby, jakie jeszcze staruszkowi pozostały.

Lord Balantyne po cichu wyprowadził towarzystwo z salonu. Po drodze natknęli się na innego staruszka, lokaja, który podał im wcześniej herbatę, a teraz skłonił się z wysiłkiem i spytał: - Czy mój pan państwu pomógł?

- Owszem - powiedział Rohan - a teraz odpoczywa.

Staruszek skinął głową. - Robi to co najmniej dwadzieścia razy na dzień. Chyba się do niego przyłączę. - Co powiedziawszy, powlókł się na drżących nogach do salonu, gdzie odpoczywał pan Budzman.

- Co za fascynująca para - powiedziała Zuzanna z uśmiechem. - Ciekawe, jak długo są razem.

- Dłużej niż ktokolwiek pamięta - odparł Phillip. - Mieszkali już razem, kiedy mój dziadek był jeszcze młody.

Na ulicy przed małym domkiem pana Budsmana Jubilee Balantyne zatrzymał się i powiedział: - A teraz wasza trójka łaskawie wyjaśni mi, o co tu chodzi. Młody Roland przyszedł do mnie i powiedział, że przeszukaliście gabinet biskupa. Założyłbym się, że szukaliście tego naczynia.

- Niestety, nie znaleźliśmy - powiedział Phillip. - Wątpimy, czy ma ono cokolwiek wspólnego z morderstwem. Przykro mi, Jubilee, ale tak to wygląda.

- Nie przypuszczam, abyście mieli jakieś nowe teorie na temat tego, kto zabił biskupa?

- Ani jednej - powiedział Rohan.

ROZDZIAŁ 30

Rohan oddychał szybko i ciężko, jakby za chwilę miał spotkać się ze swoim Stwórcą. Miał nadzieję, że będzie to ten właściwy Stwórca, jako że ostatnio nie popełnił żadnych złych uczynków. Serce waliło mu, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. Z trudnością oparł się na łokciach i spojrzał w dół na swoją żonę. Wyglądała, jakby też miała zamiar zaraz skończyć, jej piękne białe ciało przeżyło się pod nim. Włosy miała mokre od potu, na wpół rozchylone wargi gwałtownie chwytaly powietrze.

- To dopiero coś - powiedział.

Z trudem otworzyła jedno oko i spojrzała na niego. - Nadal jesteś we mnie.

- Naprawdę nie musiałaś tego mówić - jęknął, niezdolny się powstrzymać, by znów nie wsunąć się głęboko w jej ciało.

Ku jego zadowoleniu, biodra Zuzanny uniosły się nieco, lecz zaraz znów opadły bezwładnie. - Już nie mogę. Choć bardzo chcę, ciało nie chce mnie słuchać. Wydaje mi się, że odfruwam, niczym jesienny liść na wietrze.

- Co za okropne porównanie.

- To była tylko próba opisanego stanu, w jakim znajduje się moja doczesna powłoka. A porównanie z pewnością nie było aż takie złe. Poza tym nie sądzę, by twoja zdolność oceny była w tej chwili zbyt wiele warta. No i musisz przyznać, Rohanie, że mężczyźni są silniejsi od kobiet. Spójrz tylko na siebie. Masz jeszcze siłę, by opierać się na łokciach i nie przyduszać mnie. Gdybym to ja była na górze, leżałabym na tobie rozplaszczona jak naleśnik.

Szkoda energii na gadanie, pomyślał, i pchnął mocniej. Zuzanna jęknęła, a potem podsunęła się nieco wyżej i mocno objęła go za szyję.

- Nie chciałbym sprawić ci bólu - wyszeptał prosto w jej usta, czując ją pod sobą. Boże, co za cudowne uczucie!

- I nie sprawiasz, przynajmniej na razie. Ten materac jest bardzo podatny.

- Pewnie dlatego Phillip umieścił nas w tej sypialni. Zobaczył, że patrzę na ciebie jak głodny wilk i doszedł do wniosku, że będzie nam doskonale w tym pięknym łóżu. Pocałuj mnie jeszcze raz. Ja też już nie mogę. Chcę zasnąć z ustami przytulonymi do twoich warg.

- Jakim cudem masz siłę tyle mówić? Pocałował ją mocno i nagle poczuł, jak wracają mu siły. Czyżby był zwierzęciem? A ona, czy rzeczywiście przestała już cokolwiek odczuwać? Leżała pod nim zupełnie bezwładna. Zaczął pchać nieco mocniej.

- Rohan?

- Hmm?

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy aż do tej chwili.

- Z czego? - Uchwycił już rytm. Poruszał się powoli, wchodząc w nią głęboko i bez wysiłku.

- Z tego, że cię kocham.

- Że co?

- Wiem, że znamy się ledwie miesiąc. Jak sądzisz, czy to możliwe, że cię pokochałam, czy to tylko pożądanie, a ja się okłamuję?

Ona go kocha? Boże, mógłby udźwignąć na ramionach Ziemię jak Atlas. Ona go kocha? Zwolnił i spojrzał na nią, potrząsając głową.

Miała zamknięte oczy. Nie, to musiało być pożądanie, po prostu pożądanie. Nie było w tym nic złego. Ale powiedzmy, że to coś więcej... Bycie kochanym przez Zuzannę to musiało być coś zupełnie szczególnego... poczuł nowy przyływ energii.

- Chodź do mnie, Zuzanno - powiedział, przyjmując w siebie jej cichy jęk zaskoczenia i przyjemności, gdy uniósł się nieco, by wsunąć pomiędzy nich dłonie.

Wiedział, że tym razem to koniec. Zaraz opuści swoją doczesną powłokę i stanie się bezcielesną zjawą, podziwiająca jej piękne ciało. Lecz nawet jeśli zamieni się w ducha, pomyślał, to było warto. Będzie to oznaczało, że w całości oddał się żonie.

Była tak spocona, że wiedział, iż zaraz się z niej ześliznie.

- Zuzanno?

Żadnej odpowiedzi, jedynie słabe poruszenie palców lewej dłoni, spoczywających na jego karku.

- Nie chciałabyś zarecytować mi Szekspira? Tak dobrze to robiłaś po naszym pierwszym razie. Mówiłaś z werwą i płynnie. Co się stało?

I znowu żadnej odpowiedzi, jedynie słabe uszczyknięcie w kark.

- Pożądanie to bardzo miła rzecz - powiedział - doprawdy, bardzo miła. Naprawdę sądzisz, że mogłaś mnie pokochać, że nie oszukujesz się, bo jestem takim dobrym kochankiem? Pamiętasz, powiedziałaś mi, że mam piękne oczy. Naprawdę tak myślisz?

- Myślał, że serce pęknie mu z wysiłku, gdy tracił resztki energii, próbując sformułować zdania i wypowiedzieć je. Czyżby naprawdę go kochała?

Uniosła się nieco na łokciu, z oczami nadal zamkniętymi, i ugryzła go w ramię.

Opuścił głowę i pocałował ją w nos. - Pomyślę o tym, Zuzanno. Oczywiście, mężczyzna o mojej reputacji jest przyzwyczajony, że damy wyznają mu miłość co godzinę, a przynajmniej każdego dnia, i że go kochają, podziwiają, niemal czczą. Co o tym sądzisz?

Ku własnemu zdumieniu, Zuzanna zrzuciła go z siebie i przewróciła na bok. - Ale z ciebie szympana - powiedziała, przytulając się do niego i całując delikatnie szyję, barki i pierś męża. A potem uniosła się i popatrzyła na niego z góry. - Poślubiłam szympana z reputacją uwodziciela. Przykro mi, Rohan, lecz wiele o tym myślałam. Postanowiłam, że będziesz musiał pozbyć się tych wszystkich kobiet. Nie chciałabym rozczarować Charlotty, ale nie sądzę, bym mogła pozwolić ci je zatrzymać. Będziesz ze mną każdej nocy albo pożałujesz. Potrafię być nieprzyjemna, jeśli mi na tym zależy. Bardzo nieprzyjemna.

- Zgoda.

- Zgoda na co?

- Żadnych innych kobiet. - Ziewnął głęboko, popieścił jej pierś, a potem podrapał się po brzuchu. - Jak mógłbym pójść do innej kobiety? Zupełnie mnie wykończyłaś. Ledwo oddycham. O mało nie wyzionąłem ducha.

- Doskonale - powiedziała i znowu pocałowała go w szyję. - Boże, ale jestem mokra.

Sama myśl o jego nasieniu w jej ciele sprawiła, że wstrząsnął nim dreszcz. - Nie zapominaj, że byłaś więcej niż chętną uczestniczką tej zabawy. Nie cała wilgoć pochodzi ode mnie.

Przewrócił się na plecy, przyciągając ją do siebie. Przytuliła się do niego, z dłonią ułożoną na

jego płaskim brzuchu i głową na ramieniu. Uwielbiała jego zapach. Pamiętała, oczywiście, że nie powiedział jej, że ją kocha. Lecz minął dopiero miesiąc. Jej mąż będzie musiał przewyciężyć mnóstwo złych nawyków, by ostatecznie przekonać się, jak miło jest mieć ją za żonę, ją - i tylko ją. Kobieta, która zostanie z nim przez całe życie.

Nie, nie należy oczekiwać, by mężczyzna o jego reputacji tak łatwo zapomniał o wszystkich tych różnorodnych rozkoszach, płynących z damskiego towarzystwa. Różnorodnych i jakże łatwo dostępnych. Lecz ona tak bardzo pragnęła, by zadowolili się tylko nią...

Ucałował jej czoło, ucho i zaczął szeptać coś o tym, jaka jest śliczna i jak bardzo czuje się zaspokojony. Usnęła z uśmiechem na ustach i sercem wypełnionym nadzieją. Śnił jej się król Szkocji, ubrany w kilt i z twarzą pokrytą błękitnym bojowym malunkiem. Krzyczał na żołnierzy - nie swoich żołnierzy, których było bardzo dużo, ale żołnierzy przeciwnika, stojących w sporej odległości przed linią jego wojsk. Nad głową trzymał stary szkocki miecz. Widać było, że jest bardzo silny. Nagle odwrócił się i zobaczyła jego twarz. To nie był król Szkotów, Makbet. To był Tibolt.

Modliła się, by to nie Tibolt był mordercą biskupa, lecz w głębi duszy wiedziała dobrze, iż nawet jeśli to nie on trzymał pogrzebacza, to wiedział o wszystkim i aprobował zabójstwo.

To dziwne, iż życie potrafi być takie ekscytujące, a jednocześnie tak pełne tragedii, pomyślała.

Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy Naczynie Szatana.

Następnego dnia o świcie opuścili Dinwitty Manor. Poranek był mglisty, lecz nie padało. Zapowiadał się piękny, ciepły dzień. Podróż do Dunkeld, miasta szczyłającego się katedrą zbudowaną w 815 roku, miała zająć im całe pięć dni.

Rohan westchnął i przyciągnął Zuzannę do siebie. Poczul na ramieniu jej ciepły oddech. Wyrecytowała spokojnie:

Znajdź kamień nagrobny opata

Zejdź w dół przegniłymi schodami.

Sięgnij w głąb ściany płaczu

A znajdziesz tam Naczynie Szatana.

- Nie mogę przestać o tym myśleć - powiedziała. - Powtarzam to sobie w kółko i mam nadzieję, że kiedy wreszcie to znajdziemy, będę wiedziała, co zrobić i dokąd pójść.

- Ja także znam już na pamięć ten wierszyk - powiedział Rohan. - Jesteśmy do siebie podobni, Zuzanno. To mnie cieszy.

Phillip przewrócił oczami. - Do licha, ja nie jestem do was podobny, a także nauczyłem się tego przekłętą wierszyka. Posłuchajcie, poprosiłem Raileya, naszego stangreta, aby miał oczy otwarte i zwracał uwagę, czy nikt za nami nie jedzie. Na ostatnim postoju powiedział mi, że na razie nie zauważył nikogo.

- Dzięki Bogu i za to - powiedziała Zuzanna. A potem dodała: - Ale i tak nie ufam Tiboltowi. Nawet za grosz.

- Niestety - powiedział Rohan - zgadzam się z tobą. Będziemy musieli zachować czujność.

Katedra w Dunkeld, jak im powiedział Phillip, do 1127 roku była zwykłym kościołem. Dopiero wówczas przemianował ją na katedrę Dawid I. Imponująca budowla stała przy ulicy Katedralnej, w otoczeniu starych dębów i sykomor, ogrodów i alejek spacerowych wzdłuż rzeki Tay. Po drugiej stronie rzeki widać było wzgórze, porośnięte bujnym lasem. Rzuciło się w oczy, że katedra pilnie wymaga odnowienia. Jak powiedział im miejscowy karczmarz filozof, przyjdzie czas i na to. Rohan bez trudu wypatrzył najstarsze części budowli, które musiały pochodzić z dwunastego wieku. To

właśnie tam należało szukać grobu opata.

Karczmarz był właścicielem jednego z Małych Domków - szeregu gospód, wybudowanych wzdłuż ulicy Katedralnej. Wszystkie gospody zostały odbudowane po zniszczeniach, spowodowanych bitwą w 1689 roku. Każdy taki „domek” mieścił zaledwie sześć niewielkich pokoi, małą jadalnię i szynk.

Zuzanna była tak podekscytowana, że prawie nie mogła się skupić na tym, co mówił karczmarz, skądinąd bardzo uprzejmy starszy człowiek. - Na pewno zastanawiacie się, co to była za bitwa - mówił właśnie śpiewnie. - Górale, jakobici, a było ich mnóstwo, walczyli tutaj ze skrajnymi prezbiterianami. No i górale przebili się do miasta, ale prezbiterianie podpalili wszystko. Miasto zostało zrównane z ziemią. Jakobici wycofali się i Jakub II stracił władzę, a William i Maria zapewnili sobie tron Anglii.

- A katedra? - spytał Phillip, kiedy gospodarz otworzył drzwi, prowadzące do małego, czarującego pokoiku z niskim sufitem, wąskim łóżkiem i długim, wąskim oknem, wychodzącym na rzekę Tay. - Co stało się z katedrą?

- Jak widzicie, jakoś przetrwała, ale jest wiele do zrobienia.

- Które części pochodzą z dwunastego wieku? - spytał Rohan, gdy karczmarz otworzył drugie drzwi, prowadzące do nieco większej sypialni, z łóżkiem na tyle szerokim, żeby zmieścili się na nim oboje, ciasno przytuleni. W pokoju nie było dość miejsca na szafę, więc w ścianach sypialni umieszczono rząd kołków, na których można było powiesić odzież. W rogu znajdował się też śliczny jedwabny parawan. Wszystko to wyglądało niezwykle czarująco, ale Zuzanna nie miała wrażenia, że byłaby skłonna spędzić tu resztę życia.

- Filary w nawach są bardzo stare, na pewno starsze niż groby wokół katedry. Większa część budowli pochodzi z czternastego wieku. Zobaczycie, że nawa główna i nawy boczne nie mają dachu, zburzonego w roku 1560 podczas zamieszek, w okresie reformacji.

Dla Zuzanny było to o jedne zamieszki za dużo. Podeszła do wąskiego okna, uniosła białą zasłonę z delikatnej koronki i wyjrzała na piękną rzekę, płynącą pośród licznych drzew i ogrodów.

Kiedy przybyli do Dunkeld, Rohanowi zdawało się, że jest śmiertelnie zmęczony. Lecz teraz, gdy patrzył na piękną starą budowlę, dumną mimo odpadających kamiennych płyt i zawalonego częściowo dachu, mimo woli zaczął się zastanawiać, jak też wyglądała przed zbezczeszczeniem w roku 1560, a może chodziło o 1689?

Phillip, który właśnie stanął w drzwiach ich sypialni, zatarł dłonie i podekscytowany zapytał: - Gotowi na przechadzkę?

Katedra wznosiła się ponad ocienionymi trawnikami nad rzeką. Mieszkańcy miasteczka z ciekawością przyglądali się dwóm dżentelmenom i młodej damie. Na niektórych twarzach malowała się podejrzliwość, na innych zaś uśmiech. Miasteczko było co prawda niewielkie, ale panował w nim ożywiony ruch. Zauważyli kilka furmanek, jeden powóz i co najmniej tuzin koni. Gospodynie domowe spieszyły do domów z zakupami, ubrane w staromodne suknie i skrzyżowane na piersi szale, zawiązane z tyłu w pasie.

- Nie pomyślałem o tym - powiedział Rohan.

- Zwracamy na siebie uwagę. Do licha, nic na to nie poradzimy. Nawet gdybyśmy przebrali się po miejscowemu, i tak by się gapili.

- Więc zachowujmy się jak nowożeńcy i chodźmy zobaczyć katedrę.

Rohan roześmiał się, wziął Zuzannę pod rękę i poprowadził w stronę katedry. - Ty, Phillipie,

możesz udawać jej brata.

Podeszli do katedry, nadal zachowując czujność.

- Pod kamieniem nagrobnym opata - powiedział Rohan - znajduje się grób ze szczątkami Wilka z Badenoch, kimkolwiek on był.

Przeszli ostrożnie przez dwunastowieczną część nawy, patrząc uważnie pod nogi, gdyż liczne ptaki uwiły sobie gniazda w szczelinach płyt posadzki, upstrzonej teraz ich białymi odchodami.

To Zuzanna pierwsza spostrzegła grób tak stary i tak zniszczony, że czas i stopy wiernych niemal zupełnie zatarły wizerunek pochowanego tam mężczyzny i jego nazwisko.

Rohan uklęknął, wyjął chusteczkę i bardzo ostrożnie starł kurz z inskrypcji.

- To grób opata Dunkeld, imieniem Crinan. Zmarł w roku 1050, siedemdziesiąt pięć lat przed tym, jak zbudowana została katedra. Potem jego szczątki z należnym szacunkiem przeniesiono tutaj, a jeden z następców opata, dopuszczony widać do tajemnicy, umieścił Naczynie Szatana pod nagrobkiem. Muszą tam być jakieś katakumby lub chociaż przejście.

- Tak - potwierdził Rohan - i musi być jakiś sposób, aby poruszyć ten kamień.

Teraz uklękli już wszyscy i zaczęli delikatnie wodzić dłońmi wzdłuż krawędzi kamienia. - Chyba coś znalazłem - powiedział Rohan, pogwizdując.

- Nie teraz - powiedział szybko Phillip. - Mamy towarzystwo.

Do kościoła weszła grupa zwiedzających, prowadzona przez wikarego. Opowiadał im o katedrze i jej tragicznych losach. Nie mogli nic zrobić, dopóki turyści nie wyjdą, co nastąpiło dopiero po półgodzinie.

Potem do katedry wbiegło kilku chłopców, polujących na ptaki.

W końcu zostali sami. - Teraz - powiedział Rohan. Ukląkł i wymacał palcami mały występ w górnej lewej części płyty. - To coś w rodzaju zatrzasku, dobrze ukrytego i najwidoczniej nie przeznaczonego do powszechnego użytku. Widzicie kogoś?

- Żywej duszy - odparł Phillip, kucając obok Rohana. Zuzanna pochyliła się nad nimi.

Rohan pociągnął za pierścień zatrzasku. W pierwszej chwili nic się nie wydarzyło. Złapał mocniej i szarpnął z całej siły. Dał się słyszeć dziwny jęczący odgłos.

Phillip też złapał za uchwyt i razem zaczęli ciągnąć. Powoli płyta uniosła się. - O - powiedziała Zuzanna - patrzcie, przegniłe schody. Widzicie je? Szkoda, że nie zabraliśmy świec. W środku jest ciemno jak w piekle.

Wstali i otrzepali z kurzu dłonie. - Lepiej będzie, jeśli wrócimy, kiedy się ściemni - powiedział Rohan. - Wolałbym, żeby nikt nas tu nie przyłapał. A poza tym, nie wiemy, co czeka nas tam, na dole.

- Ściana płaczu - powiedziała Zuzanna i zadrżała. - Nie mam ochoty nawet sobie tego wyobrażać.

Nie mogę się doczekać, żeby rozwiązać tę tajemnicę - powiedział Phillip, zacierając dłonie. Wrócili do gospody przy ulicy Katedralnej. I choć obiad był smaczny, żadne z nich nie było szczególnie zainteresowane jedzeniem. W końcu zrobiło się dostatecznie ciemno.

Mężczyźni włożyli na siebie ciemne ubrania. Zuzanna niepokoiła się z powodu swojej sukni, srebrzystej i świecącej w mroku niczym latarnia morska. - Nie, zostaw ją - powiedział Rohan i pocałował żonę w usta. - Jesteś taka słodka - wyszeptał. Poczul, że zadrżała. Phillip tylko uśmiechnął się do nich.

- Wy dwoje naprawdę szokujecie mnie swoim zachowaniem. Jestem kawalerem, samotnym w świecie pełnym małżeńskich par. Wasz entuzjazm mnie przeraża. - Westchnął głęboko. - A swoją drogą, ciekawe, czy spotkam kiedyś kobietę, która będzie wobec mnie tak uległa, jak ty wobec

Rohana, Zuzanno.

- Porozmawiam z nią, kiedy ją znajdziesz. Wyjaśnię jej, jak utrzymywać męża w stanie permanentnego błogostanu.

- Z góry dziękuję. - Wykonał przed nią ukłon. - A teraz chodźmy, wypożyczymy sobie drabinę ze stajni.

- Dobry pomysł - powiedział Rohan.

ROZDZIAŁ 31

Minęła już północ, toteż ulice zupełnie opustoszały. W katedrze nie było żywej duszy. Blask księżycy w pełni wpadał do środka przez pozbawione dachu części nawy, rzucając wokół dziwaczne cienie i nadając przedmiotom niezwykle kształty. Cienie zdawały się poruszać. Zuzanna przywarła do boku męża.

- To przecież kościół - szepnęła - a jestem śmiertelnie przerażona.

- Ja także - powiedział i szybko ją uścisnął. - Cieszę się, że poza nami i ptakami nie ma tu nikogo. A oto i grób opata. Jak sądzicie, wiedział o Naczyniu Szatana?

- Historia mówi, że opat Crinan był wrogiem Makbeta, który zabił mu syna - powiedział Phillip, ostrożnie opuszczając drabinę. - Toteż kiedy Makbeta wybrano królem, opat próbował zorganizować przewrót, lecz mu się nie udało. Co do mnie, to uważam, że wybrano grób, ponieważ stanowi taki dogodny schowek.

- Wkrótce się przekonamy, jak bardzo dogodny. Wysoko ponad nimi przeleciał gołąb. Phillip chrząknął, gdy na jego płaszczu pojawiła się plama odchodów.

Obaj mężczyźni złapali za uchwyt i pociągnęli mocno. Wreszcie, z głośnym zgrzytem, spowodowanym wielusetletnią przerwą w używaniu, płyta uniosła się. - Ostrożnie - powiedział Rohan. - Musimy ją całkiem odsunąć.

Pod nimi znajdowała się istna studnia ciemności. Zuzanna przysunęła bliżej świecznik. Ostre cienie padły na przegniłe schody, prowadzące w głąb lochu.

- Mam nadzieję, że drabina okaże się wystarczająco długa - powiedział Phillip i wsunął ją do otworu. Drabina uderzyła w drewniane schody, te zaś odpadły z głośnym trzaskiem. - Dzięki Bogu, nie jest tu zbyt głęboko. O, już dotknąłem gruntu.

Jak na komendę odwrócili się, by spojrzeć na Zuzannę.

- Nawet o tym nie myślcie - powiedziała, opierając dłonie na biodrach.

Masz na sobie tę przeklętą sukienkę. Pośliźniesz się i skręcisz sobie kark.

- Nie, jeśli podwiążę spódnicę. Wyjęła z kieszeni długą wstążkę. - Jestem przygotowana. I żadnych klótni. To wszystko dotyczy mnie tak samo, jak ciebie. A z pewnością bardziej niż Phillipa. Nie pozwolę trzymać się z dala. Ja też chcę przeżyć przygodę.

- Ale potrzebujemy wartownika, który ostrzegłby nas, gdyby ktoś pojawił się w katedrze. A także, by dopilnował, żeby kamień nie opadł z powrotem i nie odciął nam wyjścia.

- Niech jej będzie, Phillipie. Pozwolisz przynajmniej, żebyśmy zeszli pierwsi? - dodał, zwracając się do Zuzanny.

- Jeżeli przysięgniecie, że nie zostawicie mnie samej na górze.

- Przrzekam. - Rohan zdjął płaszcz i ułożył go na kamiennej posadzce. Zszedł w dół jakieś sześć stopni i powiedział: - W porządku, podajcie mi świece.

Zanim podała mu świecznik, rozejrzała się jeszcze raz. Nie zobaczyła nikogo.

Czarna studnia pojaśniała, lecz nadal nie było tu co oglądać. Tylko więcej czerni poza granicą

światła.

- I co widzisz?

- Na razie nic. Stoję na piaszczystym gruncie. Rozglądam się. To raczej jaskinia niż katakumby.

Głęboka na jakieś dwa metry.

- Trzymaj drabinę, Rohan. Schodzę.

Po chwili Phillip stał obok niego. - Boże, ależ tu ciemno!

- Schodzę!

Rohan niemal padł z wrażenia, kiedy zobaczył, że zawiązała sobie spódnicę wokół pasa. Objął ją w talii, by pomóc przy schodzeniu, lecz ona powiedziała, nie patrząc nawet na niego: - Wszystko w porządku. Nie mam zamiaru być wam ciężarem. Odsuń się.

Kiedy znalazła się na dole, jak gdyby nigdy nic odpięła spódnicę i pozwoliła jej opaść na ziemię.

- Mam nadzieję, że nie ma tu szczurów ani insektów.

- Jeżeli jakiegoś zobaczę, powiem mu, by wdrapał się na moją nogę - zapewnił ją Phillip. - A teraz które? To przejście zdaje się prowadzić w obu kierunkach.

Rohan milczał przez chwilę. - Jesteśmy pod nawą i prawdopodobnie pod chórem. Myślę, że powinniśmy pójść w stronę ołtarza. - Wziął od Phillipa świecznik i skierował się w lewo. - Mam nadzieję, że tu nie ma przeciągów. Nie chciałbym zostać uwięziony w tym lochu, w dodatku po ciemku.

Przejście miało zaledwie półtora metra szerokości i nie więcej, jak dwa metry wysokości, choć rozszerzało się miejscami. Ściany zdawały się gładkie. Jak dotąd, nie natknęli się na ani jeden zakręt. Podłoże nadal było piaszczyste. Oddalali się od rzeki. Powietrze w jaskini było ciężkie, duszne, pełne kurzu, nie poruszanego najwidoczniej od wieków. Oddychanie sprawiało im trudność.

- Powinniśmy poszukać tej ściany płaczu - powiedział Phillip.

W świetle świecy zamajaczyła delikatna koronka pajęczyny. Rohan ominął ją. Zuzanna podążyła za nim.

Nagle przejście skręciło ostro w prawo i zakończyło się. Przed nimi była ściana. Ściana wypełniona czaszkami, dziesiątkami czaszek.

Zuzanna wciągnęła gwałtownie powietrze, z trudem powstrzymując się od krzyku. Rohan uniósł wyżej świecznik. - Albo to katakumby, albo miejsce to było wykorzystywane jako cmentarz podczas licznych w tej okolicy zamieszek. Zastanawiam się, czy za tymi czaszkami znajdują się też ciała.

- Ściana płaczu - powiedział Phillip, podchodząc bliżej. - Nie można stwierdzić, jak stare są te szczątki. Mogą być starsze niż z okresu zamieszek.

- Instrukcja mówi, by sięgnąć w głąb ściany płaczu - powiedziała Zuzanna. - O Boże.

- No cóż, do licha z tym - powiedział Rohan, wręczając Zuzannie świecznik. Zaczął podwijać rękawy. Phillip natychmiast poszedł w jego ślady.

- Ja też mogę to robić - oznajmiła Zuzanna bohatersko i postawiła świecznik na ziemi.

- Nie ma dość miejsca - zaproponował Rohan.

- Stań z tyłu, Zuzanno i podnieś wyżej świecznik. O, tak. Nie narzekaj. Nie musisz wykonywać każdej czarnej roboty, związanej z tą przygodą. Pozwól mężczyznom powtarzać się trochę w brudach.

Dotykanie zmurszałych czaszek wiązało się prawdopodobnie z najbardziej odrażającym uczuciem, jakie zdarzyło im się przeżyć. - O Boże, ile tu zębów. Postaram się nie wylaamywać ich z czaszek.

Nie było jednak na to szansy. Fragmenty czaszek uślały wkrótce dno jaskini. - Jest tam tego

więcej - powiedział Rohan, starając się nie myśleć zbyt wiele o tym, co robi. - Sięgam w głąb na całą długość ramienia. Z tyłu znajdują się resztki szkieletów. Widocznie ten, kto to wszystko zaplanował, uważał, iż ułożenie czaszek twarzami w stronę przejścia uchroni to miejsce przed zbezczeszczeniem.

- Pamiętaj, że ostanie linijki instrukcji mówią: „Sięgnij w głąb ściany płaczu, a znajdziesz tam Naczynie Szatana.”

- Jak daleko w głąb, zastanawiam się? - zapytał Phillip wsuwając ramię tak daleko w stos kości, że twarzą niemal dotykał czaszek.

- Myślałem już o tym - powiedział Rohan, nadal ostrożnie przestawiając szczątki. Ostrożność nie zdała się jednak na nic i nowa warstwa pokruszonych kości legła wkrótce na ziemi. - To chyba oznacza, że Naczynie powinno znaleźć się gdzieś pomiędzy szczątkami a kamienną ścianą, prawda? Bo i gdzie indziej?

- Oho, chyba trafiłem na coś, co nie jest kością ani czaszką - powiedział Phillip i powoli wyciągnął ze stosu małą skrzyneczkę. Był to relikwiarz, identyczny z tym na rysunku.

Musiał być bardzo stary. Phillip obawiał się, że może rozlecieć mu się w rękach. Bardzo ostrożnie położył przedmiot na ziemi.

Rohan i Zuzanna przyklękli i z nabożeństwem wpatrywali się w piękną, najwidoczniej bardzo starą drewnianą skrzyneczkę, inkrustowaną po bokach złotem i srebrem.

Rohan pociągnął ostrożnie za grubą listwę, spinającą skrzyneczkę od góry. - Nie da się otworzyć - powiedział. - Do licha, rozbijanie tego wydaje mi się świętokradztwem. Szkoda, że nie mamy tego przeklętego klucza.

- Nie musisz dłużej tego żałować, Rohanie. Mam klucz. Oto on.

Głos, który nagle rozległ się w ciemności, należał do Tibolta Carringtona. Zuzanna była tak zaskoczona, że odwróciła się zbyt gwałtownie i usiadła na piasku. Poczula, jak jakaś czaszka kruszy się pod nią. Z niedowierzaniem wpatrywała się w Tibolta, który stał nie dalej jak metr od nich, z wielkim i bardzo paskudnym pistoletem w dłoni. W drugiej dłoni trzymał mały złoty kluczyk i świecę. Tylko jedną świecę. To dlatego nie zauważyli, kiedy się do nich zbliżył.

Rohan wstał powoli. - Tibolt. Nie sądziliśmy, że nas śledzisz. Oglądaliśmy się za siebie.

- Witaj, bracie. Jak się domyślam, to równie niesławny Phillip Mercerault?

Phillip wstał także i od razu nieznacznie odsunął się od Rohana. - A ty, jak przypuszczam, jesteś tym pobożnym, oddanym wierze duchownym, tak kochanym przez swoje owieczki?

- Bardziej pobożnym niż wy wszyscy razem wzięci, rozpustne dranie. Rohan, czy Phillip sypia z naszą matką? Nie, chyba nie. Musi mieć już ze dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat, za stary dla drogiej Charlotty.

- Będziesz musiał ją o to zapytać - powiedział.

- Może tak zrobię. Wiedziałem, że będziecie się pilnować. Dlatego byliśmy z Teddym bardzo ostrożni. Wiedzieliśmy, że przyjeżdżasz do Szkocji. Nie wiedzieliśmy tylko, dokąd konkretnie. Trzymaliśmy się z daleka. A teraz chciałbym, żeby Zuzanna podała mi relikwiarz. Tyle razy zastanawiałem się, czy on naprawdę istnieje, czy taki cud mógł przetrwać, pogrzebany gdzieś daleko. Jest taki stary. A teraz należy do mnie.

- A wraz z nim Naczynie Szatana - powiedział Rohan, nie odrywając oczu od pistoletu.

- Modłę się, aby tak było. Wiedziałem, jak wasza trójka składa wizytę staremu panu Budzmanowi. Jak przypuszczam, powiedział wam o Bractwie Biskupów i o biskupie Jacksparze. Nie wiecie tylko,

że biskup otrzymał relikwiarz od Wielkiego Mistrza zakonu templariuszy, który zwierzył się Jacksparowi w ostatnich dniach życia. Opowiedział mu o naczyniu, wręczył stare pismo, klucz i rozsypującą się mapę, błagając, by ukrył je w bezpiecznym miejscu i zapewniając, że przyszłość ludzkości leży teraz w jego rękach. Powiedział, że templariusze od stuleci strzegli sekretu, lecz teraz nie został już nikt, komu można by zaufać. A potem Wielki Mistrz umarł lub może zabił go Jackspar? Kto wie? W każdym razie to właśnie on sporządził księgę w płóciennym oprawie i przepisał do niej wszystko, co znajdowało się w oryginalnym, rozsypującym się pergaminie. Znaleźliście tę księgę, prawda?

- Wiesz, że tak. Zawierała wskazówki, jak dotrzeć do relikwiarza.

- Domyśliłem się tego od razu, gdy zobaczyłem, jak opuszczacie dom biskupa, starając się wyglądać tak, jakbyście niczego nie znaleźli. Rozbawiło mnie to, ponieważ niemal podskakiwaliście z podniecenia. Znaleźliście też drugą połowę mapy?

- Tak, była w książce - powiedział Rohan.

- Ale i tak mieliście tylko połowę, więc jak wam się udało...?

- Przerysowałam tamtą połowę - powiedziała Zuzanna.

- A zatem potrafisz też być przydatna w inny sposób, poza tym oczywistym. Podaj mi relikwiarz, Zuzanno.

- Zaczekaj - powiedział Rohan. - Jeszcze chwila, Tibolcie. Powiedz nam, czym jest to Naczynie Szatana? I skąd bierze się jego moc? Czym jest ta cholerna rzecz?

- Powiedziałem Zuzannie, jaką moc ma ten przedmiot. Posiadając go, będę mógł rządzić światem. Będę żył wiecznie. Będę niczym bóg. Nic więcej wam nie powiem.

- Tak. Rozumiem - odezwał się Phillip. - Więc co to takiego?

Tibolt roześmiał się. - Jeżeli to naczynie rzeczywiście tam jest, wkrótce się przekonacie.

- Gdzie Micah?

- Czeka na mnie w katedrze. Zostawiłem go na straży.

- Jeżeli dam ci relikwiarz, co zrobisz?

Spojrzał na Zuzannę. - Nie zabiję cię, choć nie jesteś zbyt wiele warta. A co do ciebie, mój bracie, to nic, że jesteś równie rozpustny i zboczony jak nasi rodzice. Jestem sługą bożym, więc nie zabiję nikogo z was.

Phillip przesunął się jeszcze o krok. Teraz stali z Rohanem po obu stronach Tibolta.

- Dość tego, przekłęci. Podaj mi relikwiarz, Zuzanno. Tylko ostrożnie. Jest starszy, niż można sobie wyobrazić.

Zuzanna powoli podniosła skrzyneczkę. Bała się, że cenny przedmiot rozpadnie się jej w rękach, ale tak się nie stało. Skrzynka była ciężka. Zuzanna zrobiła dwa kroki w kierunku Tibolta.

- Nie możesz jej wziąć. Nie masz wolnej ręki.

Ma rację, uświadomił sobie. Przysięgłaby, że się zaczerwienił. - Postaw ją na ziemi, za mną. Wkrótce zobaczysz Naczynie Szatana.

Podał jej klucz. - Otwórz relikwiarz, Zuzanno. I nie staraj się być bohaterką, bo strzelę do twojego męża.

- Który jest także twoim bratem.

- Nie zabiję go, ale postrzelę w kolano. Nigdy nie będzie mógł chodzić. I może nawet opuszczą go te tuziny kobiet, kto wie?

Wzięła od niego łańcuszek. Mały klucz ogrzewał jej dłoń. Była zadowolona, że nie drżą jej

ręce. Przecież tak bardzo się bała. Jak go powstrzymać? Zobaczyła, że Phillip i Rohan stoją teraz w sporej odległości od siebie. Lecz nadal mógł postrzelić przynajmniej jednego z nich.

- Potrzebuję więcej światła - powiedziała, przesuwając palcami po grubej sztabie, spinające kasetkę. - Nie mogę znaleźć dziurki.

Tibolt podszedł bliżej. Pochylił się i postawił na ziemi świecę. Przyglądała się, jak jego palce przesuwają się powoli po grubej drewnianej sztabie. Nie znalazł dziurki. Westchnął. - W życiu nic nie przychodzi łatwo. Mam dopiero dwadzieścia cztery lata, a już nauczyłem się tego.

- Poczekaj, aż cię dopadnę - powiedział Rohan spokojnie - a wtedy dopiero przekonasz się, jak ciężkie może być życie.

- Patrzcie, rozpustnik mówi. I grozi. Tak, wiem, że jesteś znanym członkiem Towarzystwa Gimnastycznego Jacksona i że niewielu ośmiela się z tobą walczyć. Boją się, że możesz złamać im szczękę lub wybić zęby. Nie byłbym zdziwiony, gdybym dowiedział się, że zabiłeś kilku mężów, którym wcześniej uwiodłeś żony.

- Naprawdę tak o mnie myślisz, Tibolcie?

Tibolt wzruszył ramionami. - Jesteś jak nasi rodzice. A oni są niemoralni, zepsuci. Staruszek umarł, lecz ona nadal żyje. Ooo, znalazłem. Ta sztaba to po prostu dekoracja. Dziurka jest tutaj, u podstawy wieka. - Na moment odwrócił wzrok.

Zuzanna rzuciła się na niego i przewróciła na ziemię, obiema rękami próbując dosięgnąć broni.

- Ty mała suko! - Uderzył ją mocno pięścią w szczękę. Krzyknęła, a potem padła na niego, zemdlona. - Nie, bracie, nie ruszaj się, bo cię zabiję. Trzymajcie się obaj z daleka.

- Nie, Rohan - powiedział Phillip cicho.

- A teraz pozwólcie, że zrzucę ją z siebie i zobaczę, co tam mamy. Nie ruszaj się Rohan, nic jej nie będzie.

Uklęknął obok kasetki. - Odsuńcie się o dwa kroki. Doskonale, stańcie tuż obok tych ślicznych czaszek.

Włożył kluczyk do zamka. Nic się nie stało. Zaklął, próbując go przekręcić. W końcu kluczyk obrócił się.

Teraz albo nigdy, pomyślał Rohan, sprężając się do skoku. W tym momencie Tibolt podniósł głowę, uśmiechnął się i wymierzył pistolet w pierś Zuzanny. - Tylko spróbuj, bracie.

Rohan zacisnął pięści i nie poruszył się. Obserwował, jak Tibolt powoli unosi pokrywę relikwiarza. Zobaczył, że Zuzanna przyszła do siebie i także wpatruje się w kasetkę.

- Nic ci nie jest, Zuzanno?

- Nie, tylko trochę kręci mi się w głowie. Tibolt nie patrzył teraz na żadne z nich, lecz nadal trzymał pistolet przy piersi Zuzanny. Bez słowa wpatrywał się w kasetkę. Jego oczy rozszerzyły się, a twarz przybrała wyraz błogości. - Naczynie Szatana - powiedział z odcieniem triumfu w głosie. - Tak, tak właśnie je sobie wyobrażałem. Głaskał to coś pieszczotliwie dłońmi. - Stare, pociemniałe, dokładnie takie, jakie powinno być. Nigdy nie wierzyłem, że ma coś wspólnego z szatanem, lecz wkrótce się przekonamy.

- Co to takiego? - spytał Rohan i postąpił krok do przodu.

ROZDZIAŁ 32

- Nie ruszaj się, bracie - powoli wyjął z relikwiarza przedmiot, który musiał być czymś w rodzaju bardzo starego pucharu. Zrobiony ze złota, tak pociemniał ze starości, że wydawał się niemal czarny. Był prosty, bez żadnych ornamentów czy drogich kamieni. Wysoki na mniej więcej piętnaście centymetrów zdawał się błyszczeć w półmroku.

- Więc tak wygląda Naczynie Szatana - powiedział Phillip. - To rzeczywiście puchar, kielich; i do tego bardzo stary. Lecz na czym polega jego moc? Czym on w rzeczywistości jest?

- Wkrótce się przekonamy. Weź go, Zuzanno. Tak, bardzo ostrożnie. Jak powiedział Derencourt, jest bardzo stary. - Tibolt sięgnął do kieszeni i wydobył z niej płaską flaszkę. - Potrzyj puchar. Nalał do naczynia kilka kropli płynu z butelki.

- A teraz się przekonamy - powiedział. - Wypij to, Zuzanno.

Rohan do reszty stracił nad sobą panowanie. - Nie, nie pij!

Tibolt podniósł pistolet i wycelował w głowę Zuzanny. - To woda święcona, nie trucizna. Pij, Zuzanno, albo zastrzelę Rohana.

- Zuzanno, nie waż się mnie osłaniać. Rzuć ten puchar, natychmiast.

- Jeżeli tak bardzo ci na nim zależy, Zuzanno, wypijesz, bo inaczej on zginie.

Spojrzała na Rohana. Był bardzo blady i najwidoczniej gotów rzucić się na Tibolta. Phillip trzymał go mocno za ramię.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała. - Obiecuję ci. - A potem uniosła kielich do ust i pozwoliła, by chłodna woda dotknęła jej warg. Wydała jej się dziwnie słodka.

- Wypij do dna - rozkazał Tibolt. - Już! Przechyliła kielich i wysączyła resztę płynu. Przełknęła.

Tibolt w milczeniu wpatrywał się w nią, jakby na coś czekał. - Włóż kielich z powrotem do szkatułki. Zrobiła, co jej kazano.

- A teraz wstań.

- To była trucizna, prawda, ty mały tchórzliwy łajdaku? - Phillip złapał Rohana za ramię i mocno pociągnął w tył.

- Mądrze z twojej strony, Derencourt. Nie chciałbym uczynić brata kaleką. - Tibolt odwrócił się do Zuzanny. - Wyglądasz normalnie.

Zuzanna nie odrywała wzroku od męża. - Nic mi nie będzie. Nie martw się, Rohan.

Tibolt ma rację, pomyślał Rohan. Ona wygląda normalnie. Tylko w jej oczach widać większą niż zwykle determinację i dziwny blask. A potem pomodlił się cicho. Kto wie, co było w tym pucharze?

Tibolt nie powiedział nic więcej, odsunął się tylko od całej trójki i oparł o ścianę. Nadal trzymał pistolet wymierzony w Zuzannę.

Nagle krzyknął: - Miałem rację! Na Boga, ci starzy głupcy się mylili! Przez całe wieki! Zwyciężyłem!

Patrzyli na niego, nic nie rozumiejąc. W końcu Rohan wykrzyknął: - Co masz na myśli, mówiąc, że oni się mylili, a ty miałeś rację? O czym ty mówisz?

- To - powiedział Tibolt, wsuwając pod ramię skrzyneczkę - nie jest Naczynie Szatana. Z pewnością nie.

- Więc co to jest? - spytała Zuzanna. - Czym jest ten puchar? Dlaczego zmusiłeś mnie, bym piła z niego święconą wodę?

- Zrobiłem to, by się przekonać, że kielich nie jest wynalazkiem Szatana, stworzonym po to, by zniszczyć każdego, kto się z niego napije. Tak właśnie głosi stara legenda. Podobno każdy, kto się z niego napije, umiera w męczarniach. Ale to było tylko kłamstwo, wymyślone przez starych głupców po to, by nikt nie szukał naczynia. Spójrz tylko na siebie. Nie umarłaś, nawet się nie rozchorowałaś. Przeżyłaś. I nawet wyglądasz zdrowiej niż przedtem. Masz w oczach światło, którego tam wcześniej nie było.

- To jakieś bzdury - powiedział Rohan.

Tibolt roześmiał się. Przerwał na moment, by po kolei przyjrzeć się im wszystkim. - Ta boska magia nie jest w ogóle niebezpieczna. Zapewni mi nieśmiertelność i uczyni najpotężniejszym człowiekiem na ziemi.

Nie przestając się śmiać, złapał Zuzannę za ramię i przyciągnął bliżej siebie. - Chciałabyś wiedzieć, prawda? Chciałabyś wiedzieć, co to takiego i co sobą przedstawia. Wy wszyscy jesteście zbyt głupi, by się domyślić. Żadne z was nie ma pojęcia, z czym ma do czynienia, nie mówiąc już o tym, by to zrozumieć. Mieliście pod nosem wszystkie poszlaki, wszelkie tropy, lecz nie zobaczyliście niczego. Teraz to i tak nie ma znaczenia. Puchar jest mój, tylko mój!

- Do diabła, powiesz nam wreszcie, co to takiego? - krzyknął Phillip.

Tibolt zignorował go, a potem powiedział: - Zuzanno, wychodzimy stąd. Nie ruszaj się, Rohan. Ona idzie ze mną. Jeżeli któryś z was ma zamiar mnie zaatakować, lepiej niech się zastanowi.

Nie ruszyła się.

- Wstawaj i idź albo zastrzelę twojego przekłętą męża! Zabiję go, rozumiesz?

- Zuzanno, kochanie, nic ci nie jest? Powiedział do niej „kochanie”. Podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego z całego serca. - Nic mi nie jest - powiedziała. - Nie martw się o mnie.

- Lepiej, żeby się martwił. Jeżeli nie zrobisz dokładnie tego, co ci każę, zrobię ci krzywdę. Zabicie takiej małej dziwki jak ty to dla mnie nic wielkiego. Wiesz to teraz, prawda, bracie?

Rohan skinął głową. - Tak, mimo to trudno mi się z tym pogodzić. Kiedy tak się zmieniłeś, Tibolcie?

Zastanawiał się, czy Tibolt w ogóle mu odpowie. Rozpaczliwie próbował zyskać na czasie, odwrócić uwagę Tibolta na tyle, by zdążyć go dopaść i odebrać mu broń. Ku jego zdumieniu, Tibolt roześmiał się i potrząsnął głową.

- Ty głupcze. Wcale się nie zmieniłem. Po prostu przyczałem się i czekałem. Wiedziałem, że gdzieś tam musi być coś dla mnie i że wcześniej czy później to odnajdę. I tak się stało. Mam to teraz, należy tylko do mnie, do nikogo innego - szepnął. Potrząsnął głową i oprzytomniał. - Teraz wszystkie moje życzenia się spełnią.

- Nie powiesz nam, co to jest?

Wiedzieli, że Tibolt bawi się z nimi, wyśmiewa ich. Teraz też tylko się uśmiechnął.

- To ty zabiłeś biskupa?

Tibolt zerknął na Phillipa, a potem roześmiał się i potrząsnął głową. - Nie. Choć trudno wam będzie w to uwierzyć, zrobił to ten śliczny lokaj, Roland. Przyszedłem tam tuż po tym, jak ten mały łajdak uderzył biskupa w czoło pogrzebaczem i właśnie rozpaczał nad jego zwłokami, kołyszając się w

przód i w tył i łkając jak dziecko. Powiedziałem, by trzymał głowę na kłódkę, to może uda mu się z tego wywinąć. A potem bardzo dokładnie przeszukałem gabinet. Nic nie znalazłem, jak wiecie. Wyszedłem stamtąd na chwilę przed waszym przyjściem. Jak przypuszczam, mały Roland wymyślił jakąś śliczną historyjkę, którą opowiedział wam i sędziemu?

- Nie wierzę ci - powiedziała Zuzanna. - Roland był naprawdę zrozpaczony. Znalazł jego ciało i zwymiotował. Płakał i płakał. Był załamany. Nie, on nie mógł tego zrobić.

- Biskup - powiedział Tibolt z widocznym zadowoleniem - był przeklętym pedałem. Roland mu się spodobał, więc go przygarnął. Lecz potem, zgodnie z naszym planem, podsunęliśmy mu Teatrygo i biskup postanowił pozbyć się Rolanda. Swoją drogą, nie przestaje mnie zadziwiać, jak Teddy mógł flirtować z tym starym zboczeńcem i nie zwymiotować, lecz najwidoczniej mógł. Biskup nabrał na niego wielkiej ochoty. A kiedy powiedział Rolandowi, że ma się wynosić, ten żaloszny bękart zabił go w ataku szaleńczej zazdrości. Ale dość o tym. Wy dwaj zostaniecie tam, gdzie jesteście. Zuzanno, weź świecznik. Będę tuż za tobą. - Zgasił świecę. Wkrótce Rohan i Phillip znaleźli się w zupełnych ciemnościach.

- Zostańcie przy czaszkach, panowie, bo zabiję tę małą dziwkę.

Rohan natychmiast zdjął buty. Wziął je w rękę i zaczął bezszelestnie skradać się za Tiboltem. Phillip szybko poszedł w jego ślady.

Droga powrotna do drabiny zdawała się trwać zaledwie chwilę. Nagle usłyszeli zgrzyt, a potem Zuzanna wpadła na nich z nienacką, tak, iż omal się nie przewrócili. Usłyszeli, jak Tibolt rozmawia z kimś ponad ich głowami - najpewniej musiał to być Theodore Micah. A potem drabina została wciągnięta.

- Czym jest ten przeklęty puchar? - zawołał jeszcze Phillip.

Tibolt roześmiał się. Zabrzmiało to raczej złowieszczo, jako że znajdował się dość wysoko nad nimi. - Żegnaj, Rohanie - powiedział i opuścił kamienną pokrywę.

Ogarnęła ich ciemność.

- Nie lubię ciemności - powiedział Phillip. - Nie znośłem jej już jako chłopiec.

- Nic ci się nie stało, Zuzanno?

- Nie, ale zgadzam się z Phillipem. Nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że ciemność może być tak czarna. To przerażające.

- To moja dłoń, Rohanie, nie twojej żony.

- Przepraszam. No cóż, przynajmniej żyjemy.

- On się z nami bawił - powiedziała powoli Zuzanna. - Jest szalony, Rohanie. Musimy się stąd wydostać i odnaleźć go. Musimy ocalić puchar.

Nie mógł jej widzieć, lecz głos Zuzanny rozbrzmiewał pewnością. Już nie było w nim strachu. - Tak, masz rację, to kompletny szaleniec. Dobrze się czujesz?

Poczuła na twarzy dotyk jego dłoni. Ucałowała tę dłoń. - O tak, czuję się wspaniale.

- Wydostaniemy się z tego miejsca. Wiemy już, że z tamtej strony korytarz zamyka ściana czaszek. Musimy pójść w drugą stronę.

- Może wspiałbyś się na moje ramiona i spróbował podważyć płytę? - zaproponował Phillip.

- Możemy spróbować, lecz wątpię, by się udało.

- Jeżeli nie znajdziemy innej drogi - powiedziała Zuzanna, trzymając mocno Rohana za rękaw - spróbujemy i tego. Jestem bardzo silna, przekonacie się.

Złapali się za ręce i stanęli naprzeciw ścianie. Do licha, powiedział Rohan, czując, jak pająk

przebiega mu po palcach. - Szkoda, że nie mam rękawiczek.

Wydawało im się, że korytarz ciągnie się w nieskończoność.

Podłoże wznosiło się. Nagle Rohan, który szedł pierwszy, wpadł na ścianę z litej skały. Gorączkowo przesuwali po niej dłońmi, lecz nic nie znaleźli. - Jesteśmy w potrzasku - stwierdził w końcu Phillip.

- Nie - powiedziała Zuzanna stanowczo - nie jesteśmy.

- Wiem, że usiłujesz podtrzymać nas na duchu, kochanie, lecz...

- Nie - powtórzyła głosem, w którym brzmiało głębokie przekonanie. - Chodźcie, musimy wrócić do ściany płaczu.

- Przecież już tam byliśmy - powiedział Phillip. - Uważam, że powinniśmy spróbować podnieść płytę. Rohan może mnie podsadzić...

- Nie, jest za ciężka. Chodźcie za mną. - Odeszła. Słyszeli tylko jej lekkie kroki, oddalające się korytarzem.

- Czy ona biegnie? - zapytał Phillip. - Przecież jest ciemno.

- Zrobi sobie krzywdę - powiedział Rohan i pobiegł za nią. Potykał się, kłął, lecz nie zwalniał.

- Zuzanno, zaczekaj!

Lecz nie zrobiła tego. Dogonili ją dopiero w końcu korytarza. Stała oparta o przeciwległą ścianę i wpatrywała się w czaszki.

To dziwne, lecz teraz nie było tu już tak zupełnie ciemno.

- Widocznie wzrok nam się przyzwyczaił - powiedział Rohan powoli. - Zaczynam rozróżniać kształty.

- Tak - powiedziała Zuzanna. - Jest dosyć jasno. - Ale i tak nie mogę dosięgnąć uchwytu.

Rohan chwycił ją i przyciągnął do siebie. - Już wszystko dobrze, kochanie. Wydostaniemy się stąd. Nie martw się.

- Nie martwię się. - Odsunęła się i uśmiechnęła do niego. - Masz brud na twarzy.

- Aż tak dobrze mnie widzisz?

- O, tak. A włosy Phillipa zupełnie posiwiały od kurzu. Rohan, stań dokładnie naprzeciw ściany czaszek. Wyciągnij rękę jak najdalej się da i przyciśnij dłoń do ściany. Znajdziesz tam mały uchwyt. Pociągnij go do siebie.

Przyglądał się jej w milczeniu. Ledwie mógł rozróżnić zarys jej głowy. - O czym ty mówisz? Jesteś chora, wiesz o tym?

- Nie, nie jestem. Zrób to, proszę. Chcę się wydostać z tego okropnego miejsca.

- Lecz nie rozumiem... - zaczął Phillip. Dopiero teraz Rohan się zorientował, że Zuzanna wygląda jakoś inaczej. Otaczało ją coś w rodzaju delikatnej poświaty. Potrząsnął głową. Nie, to niemożliwe. Lecz w takim razie dlaczego teraz widzieli? Uśmiechała się do niego, zupełnie spokojnie, choć jakby z nieobecny wyrazem twarzy. Nigdy dotąd nie wyglądała tak pięknie.

- Widzisz wszystko dokładnie, prawda? - zapytał przerażony i wstrząśnięty.

- Tak. Nie martw się, po prostu pociągnij za ten uchwyt. Mechanizm został dotąd użyty tylko raz, wieki temu, lecz nadal działa. Uchwyt jest gładki, więc się nie zranisz.

Ona wie, pomyślał. Widzi ten uchwyt. Podszedł do ściany czaszek i wsunął pomiędzy nie rękę. Przez chwilę przesunął dłonią po skalnej ścianie z tyłu, nic jednak nie poczuł. Lecz wiedział, że Zuzanna nie mogła się pomylić. Wsunął głębiej rękę.

Nagle poczuł pod palcami coś w rodzaju małego występu. Uchwycił go mocno i pociągnął do

siebie.

- Masz coś, Rohanie? Znalazłeś go? - zapytał Phillip z niedowierzaniem, niemal wchodząc mu na plecy. - Nie, nie mogłeś niczego znaleźć. To niemożliwe, żeby Zuzanna wiedziała o czymś takim...

- Szybko - krzyknęła Zuzanna. - Odsuńcie się!

Obaj mężczyźni posłuchali bez słowa. Gdy tylko odskoczyli od ściany, rozległ się głośny trzask, a potem jeszcze głośniejsze grzechotanie i odgłos uderzających o siebie i łamiących się kości.

- Mój Boże, co się dzieje? - zapytał Phillip, zerkając na ścianę czaszek. Wyciągnął rękę. - Szkielety zniknęły. O rany, wydaje mi się, że pod nimi musiała być jakaś zapadnia. Kiedy pociągnąłeś za uchwyt, kłapa się otwarła i wszystkie szkielety wpadły do środka. Ale właściwie, do środka czego?

- Po prostu spadły na podłogę w tamtym pomieszczeniu, zaledwie półtora metra niżej - odezwała się Zuzanna spokojnie. - A teraz pchnij uchwyt od siebie, Rohan, szybko.

Zrobił tak. Otwarte drzwi zamknęły się, a w ścianie przed nimi widać było ciemny otwór. - Co to takiego? - zapytał Rohan powoli. - Co tu się dzieje?

- To po prostu ukryte przejście. Wszyscy się zmieszczą, nie ma obawy. Szybko, musimy opuścić to miejsce.

Rohan odwrócił się, by na nią spojrzeć. Widział ją tak wyraźnie, jakby stała w pełnym świetle. Poczul, jak ogarnia go dziwny spokój, a lęk przed nieznanym znika. Był pewny, że wszyscy przeżyją. Wiedział też, że cokolwiek przydarzyło się Zuzannie, prawdopodobnie z czasem zniknie, choć nie całkowicie. Część tajemniczej mocy, przyciągnięta wrodzoną Zuzannie dobrocią, prawdopodobnie pozostanie w niej na zawsze. Pogodził się z tym i poczul wdzięczność. Uśmiechnął się do żony. - No, dalej, milady, wydostańmy się stąd. - Podsadził ją do otworu, po czym ruszył za nią. Korytarz był na tyle wysoki, że nie musieli się schylać. Rohan obejrzał się za siebie. W korytarzu, z którego przyszli, pozostał jeszcze ślad blasku, lecz był on zdecydowanie ciemniejszy niż miejsce, gdzie przez tyle stuleci szkielety leżały nieporuszone.

- Ooo, tutaj są - powiedziała Zuzanna. - Odsuń się trochę, Rohanie. Tak, teraz dobrze. W następnej chwili wąskie, niskie drzwi stanęły przed nimi otworem. Za nimi znajdował się następny korytarz.

- Nie bójcie się - rzuciła Zuzanna przez ramię.

- Ten korytarz wychodzi na rzekę, w miejscu, które wszyscy uważają za płytką jaskinię.

Nagle poczuli na twarzach powiew świeżego powietrza. Zaczęli oddychać głęboko.

- Tutaj - powiedziała Zuzanna - pomóżcie mi odsunąć te kamienie i gałęzie. Zasłaniają wyjście.

Gdy wszyscy stanęli wreszcie nad rzeką, owiewani chłodnym wiatrem, brudni i bardzo szczęśliwi, było nadal ciemno, a księżyc świecił wysoko na niebie.

Rohan przyciągnął do siebie Zuzannę, a Phillip usiadł po turecku naprzeciw niej. Odchrząknął, a mimo to, gdy się odezwał, jego głos bardziej przypominał skrzek niż ludzką mowę. - Nie rozumiem tego, Zuzanno. Wiedziałaś, co robić. Wszystko wiedziałaś. Nie rozumiem.

Rohan przyciągnął ją do siebie i objął ramionami.

- Ja też tego nie rozumiem - powiedziała. - Po prostu nagle wszystko stało się jasne. Wzdrygnęła się.

- Trudno to wytłumaczyć, ale ja po prostu zobaczyłam to wszystko i już wiedziałam, że przeżyjemy. Nie miałam najmniejszych wątpliwości.

- Wiem, co czujesz, Phillipie - powiedział Rohan. - Wszyscy odczuwamy niepokój, kiedy

zetknijemy się z czymś, czego nie da się logicznie wytłumaczyć, dotknąć ani zrozumieć.

Odchyliła się i pocałowała jego brudny policzek.

- Nie możemy tu siedzieć w nieskończoność. Musimy odnaleźć Tibolta. Nie bardzo mam na to ochotę, ale trudno... Musimy odebrać mu kielich. On nie może go zatrzymać.

- Zostawił nas w tym lochu na pewną śmierć. Przykro mi, lecz tak wygląda prawda - powiedział Phillip.

- Tak, wiem. Rohan spojrzał w dół na swoją brudną żonę, na oderwany rękaw jej sukni i mocniej przytulił ją do siebie.

- To przez ten puchar, prawda? - zapytał Phillip głosem przepełnionym lękiem przed nieznanym, lękiem, którego żadne z nich nie rozumiało.

- Tak - powiedziała radośnie Zuzanna. Miała ochotę śmiać się i tańczyć. - To przez ten puchar. Wiem, czym on jest, a przynajmniej tak mi się wydaje - dodała.

Obaj mężczyźni wbili w nią wzrok.

- To Święty Graal - powiedziała ze spokojną pewnością w głosie.

Jedynym odgłosem, jaki dał się słyszeć, był nagły rechot żaby tuż przy stopach Phillipa.

- Ale Święty Graal to tylko mit, legenda - powiedział Rohan powoli, próbując oswoić się z tą myślą, przystosować ją jakoś do swoich poprzednich wyobrażeń. - To nie może być prawda.

- Ależ, owszem, jest. To dlatego Tibolt pozwolił mi wypić tylko kilka kropel. Obawiał się, że jeśli wypiję więcej, to ja uzyskam moc, nie on. - Odsunęła się od Rohana i wstała. - Musimy się pośpieszyć i odebrać mu Graala. Wiecie, że wykorzystaliby go bez skrupułów.

Rohan wstał powoli, otrzepał spodnie z kurzu, bardziej po to, by dać sobie czas do namysłu, niż z troski o swój wygląd. - Tak - powiedział w końcu. - Musimy go odnaleźć.

- Lecz najpierw powinniśmy wrócić do gospody trochę się umyć.

Zuzanna potrząsnęła głową, niemal podskakując z niecierpliwości. - Nie, kogo obchodzi, że jesteśmy brudni? Chcę odnaleźć Tibolta. On może uciec. Nie możemy pozwolić, by zabrał ze sobą Graala.

- Przykro mi z powodu Tibolta, Rohanie. Zostawił nas na pewną śmierć, a potem Zuzanna zaczęła widzieć rzeczy, których my nie byliśmy w stanie dostrzec i uratowała nas. Lecz Tibolt nie ma powodu wyjeżdżać z Dunkeld przed świtem. Chodźmy się przebrać. Potem go znajdziemy.

Po dwudziestu minutach spotkali się znowu przy drzwiach gospody, umywszy się z grubsza w misce letniej wody.

Gdzie byli Tibolt i Theodore Micah?

ROZDZIAŁ 33

Tuż po trzeciej nad ranem doszli do stajni w Dunkeld.

Był to rozsypujący się stary budynek ze ścianami z plecionki zarzuconej tynkiem, w którym nadal unosił się słodki zapach upręży, oleju lnianego i końskiego nawozu. Konie zarżały cichutko, gdy weszli do środka. Niewiele widzieli, mimo iż drzwi stajni zostawili szeroko otwarte.

- Mam nadzieję, że właściciel nie zjawi się tu zaraz ze strzelbą - powiedział Phillip spokojnie. Spojrzał na Zuzannę z zadumą i dodał: - Lecz nawet jeśli się zjawi, ona tylko machnie ręką i natychmiast staniemy się niewidzialni. Albo też biedny człowiek z uśmiechem zaoferuje nam swoje usługi. Nie podoba mi się to wszystko, Zuzanno. Aż ciarki chodzą mi po plecach.

- Mnie także, Phillipie - powiedziała Zuzanna.

- Poradzimy sobie z tym - stwierdził Rohan stanowczo. - Chodźcie tutaj i zachowujcie się cicho.

Gdy tylko odwrócił się od nich, przypomniał mu się sen matki, ten, w którym widziała ich w jakiejś pieczarze, przestraszonych i bezradnych. Tylko że Zuzanna wcale nie była przestraszona.

Weszli w głąb stajni. - Wszystkie przegrody są zajęte - powiedział Phillip, rozejrzawszy się szybko.

- Jedna ze starych klaczy właśnie ugryzła mnie w ramię, a potem uśmiechnęła się do mnie. Ciekawe, czy jest tu gdzieś owies, żebym mógł ją nakarmić. Chyba się zakochałem.

- Niczego się tutaj nie dowiemy - westchnął Rohan. - Jeżeli jeden z tych koni należy do Tibolta, to nie umiem go rozpoznać. W mieście muszą być jeszcze inne gospody, lecz jest tu tylko jedna główna ulica. Może po prostu przejdziemy wzdłuż niej. Jeżeli Tibolt jeszcze jest w mieście, musi być w jakiejś gospodzie.

Zaczekali jeszcze chwilę, aż Phillip nakarmi owsem starą klacz, która ugryzła go, a potem uśmiechnęła się do niego. Usłyszeli, jak mówi do niej:

- Przyślę po ciebie, moja słodka. Twoim przeznaczeniem jest należeć do mnie. Rohan mówi, że powinienem wziąć sobie żonę. Aby oswoić się z tym pomysłem, chyba powinienem zacząć od klaczy. Ciekawe, czy żona też najpierw gryzie, a potem się uśmiecha? - Odwrócił się do nich. - Do licha, na chwilę zapomniałem. Święty Graal. On naprawdę istnieje i posiada moc, której człowiek nie jest w stanie zrozumieć. W porządku, chodźmy po niego.

W dziesięć minut później stali już przed gospodą U Opata, ostatnim budynkiem przy ulicy Katedralnej. Budowla stała nieco w głębi, odsunięta od ulicy, bardzo stara, wysoka na trzy piętra i zupełnie ciemna, poza...

- O Boże, spójrzcie - szepnęła Zuzanna. - Światło. W oknie na trzecim piętrze. Tam, w rogu.

Philip zerknął na pistolet, który właśnie wyjął z kieszeni.

Rohan zaklął, po czym powiedział cicho: - To muszą być oni. Nie ma innej możliwości. Mój brat jest łajdakiem, nawet więcej niż łajdakiem. Opuściłby miasto w mgnieniu oka, gdyby przypuszczał, że mogliśmy uciec. To wszystko jest takie trudne... Lecz musimy przez to przejść. Musimy odzyskać puchar.

Uświadomił sobie, że nazywanie pucharu tym, czym w rzeczywistości jest, to znaczy Świętym Graalem, przychodzi mu z trudnością. To było zbyt fantastyczne, zdumiewające i nie z tego świata. Zgadzał się z Phillipem: niełatwo było w to uwierzyć, nawet jeżeli widziało się dowody na własne oczy.

Frontowe drzwi budynku były starannie zamknięte, podobnie jak drzwi gospody, w której się zatrzymali. Znaleźli jednak uchylone okno, prowadzące do kuchni, starszej niż oni we trójkę razem wzięci. Pachniało tu zjełczałym tłuszczem, świeżą marchewką i skwaśniałym piwem. - Nie możemy ryzykować, że na coś wpadniemy i obudzimy właściciela.

Rohan chrząknął i zaczął po omacku szukać świecy. - Mam - powiedział w końcu. W migoczącym świetle osłoniętego dłonią Rohana płomyka zaczęli przekradać się ku schodom - bardzo starym, wąskim i okropnie skrzypiącym.

Mimo to nikt nie wyskoczył na nich z krzykiem. Rohan zaczął się zastanawiać, czy w ogóle w gospodzie ktoś mieszka. Dom nawet pachniał tak, jakby był pusty, wyjąwszy zapach świeżej marchewki w kuchni. Doszli wreszcie do izby na końcu ciemnego korytarzyka. Spod starych drzwi sączyła się smuga światła.

Rohan odetchnął głęboko. Przyciągnął do siebie Zuzannę i szepnął jej do ucha: - Zostań tutaj. Nie ma mowy, byś weszła do tego pokoju. Jeżeli spróbujesz, naprawdę się wścieknę. Okropnie rozboli mnie brzuch i padnę na kolana. Przysięgnij, że tu zostaniesz.

To było trudne. Widział, że ma ochotę protestować, gdyż bardzo chciała wejść do pokoju i stanąć twarzą w twarz z Tiboltem i Micahem. Od początku była w to wmieszana, wcześniej nawet niż on. Jednak spojrzenie Rohana mówiło jasno, że tym razem nie ustąpi. Wreszcie poddała się i skinęła głową: - Dobrze, zostanę tutaj, lecz tylko dlatego, że pokój jest prawdopodobnie zbyt mały, byśmy mieli pchać się tam we trójkę.

- Właśnie to miałem na myśli - powiedział Rohan. - Stań pod ścianą. - Spojrzał na Phillipa, który uśmiechał się ponuro.

Podał świecę Zuzannie i skinął głową. Phillip delikatnie nacisnął klamkę. Ci głupcy nawet nie zamknęli drzwi na klucz, tak bardzo pewni byli swego bezpieczeństwa. Wprawiło to Rohana w taki gniew, że z trudem powstrzymał się, by nie krzyknąć. Drzwi nie byłyby otwarte, gdyby spodziewali się jakichś kłopotów. Choć trudno mu było się z tym pogodzić, prawda wyglądała tak, że Tibolt zostawił go na pewną śmierć - i nie tylko jego - nie obejrząwszy się nawet za siebie.

Uchylił ostrożnie drzwi i zamarł, przysłuchując się odgłosom dochodzącej zza nich kłótni. - Myślałeś, że będzie ozdobiony wspaniałymi klejnotami, ale to bez znaczenia. W końcu to Święty Graal, ty głupcze! Będziesz miał tyle klejnotów, ile tylko zapragniesz.

Theodore Micah milczał przez chwilę, a potem powiedział z namysłem: - Nie sądzę, żeby odpowiadała mi rola twojego pachołka, Tibolt. To ja będę tym, który zatrzyma Graala i wypije z niego święconą wodę. Pragnę władzy i nieśmiertelności. Powiedziałeś, że dziwce George'a nic się nie stało. Udowodniłeś, że te gadki o Naczyniu Szatana były tylko bajką, która miała odstraszyć rabusiów. I że to naprawdę magiczny Graal.

- Nie mogę ci na to pozwolić - powiedział Tibolt powoli. - Puchar jest mój, tylko mój. - Nie należy do żadnego z was. Nie ruszać się albo rozwalę wam łby.

Tibolt i Theodore Micah stali na środku pokoju. Relikwiarz leżał na stole pomiędzy nimi. Wyglądało na to, że dotąd tylko się na niego gapili.

- Rohan! - wykrzyknął Tibolt, cofając się gwałtownie. - To niemożliwe. Z tych katakumb nie ma

wyjścia. Sprawdziłem. Theodore szukał i szukał. Stamtąd nie ma wyjścia!

- Wygląda na to, że obaj się myliliście. Było wyjście i myje znaleźliśmy.

Theodore rzucił się po strzelbę, która leżała na łóżku, lecz Phillip wytrącił mu ją z ręki, łamiąc przy okazji kość. Micah krzyknął z bólu.

- Zuzanno, wejdź i zamknij drzwi! - zawołał Rohan. - Tak, teraz wszystko w porządku. Stań przy drzwiach. Miałaś rację, okropnie tu ciasno.

Co do Tibolta, to stał nieruchomo, spoglądając to na Rohana, to na Zuzannę, która oparła się o zamknięte drzwi. Twarz Teddy'ego wykrzywił grymas bólu. Mercerault naprawdę złamał mu rękę.

Zwrócił się do Rohana: - Stamtąd nie było wyjścia. Zostawiłem was w zupełnych ciemnościach. Jak wam się udało wydostać?

Lecz Rohan nie miał zamiaru niczego wyjaśniać. Nie, przede wszystkim należało odzyskać Graala.

Theodore Micah jęczał z bólu. - Zamknij się, ty głupi zarzygany gnojku!

- Nie jestem zarzyganym gnojkiem, tylko nieszczęśnikiem, któremu nie przyszło do głowy, z jakim podłym draniem ma do czynienia. Mówiłeś, że nie uda im się uciec, tak? A co z tym tak zwanym Świętym Graalem? Pewnie jest w nim tyle samo mocy co w nożu do papieru?

- Phillip, może byś ich przeszukał?

Phillip pochylił się nad Micahem. Znalazł nóż, przymocowany do kostki. - A to małe paskudztwo - powiedział i wsunął nóż za pas. - Nie ruszaj się, Tibolt - powiedział spokojnie. - Stłuczenie cię na miazgę sprawiłoby mi wielką przyjemność.

Choć ranny, Theodore Micah nie zamierzał biernie czekać na rozwój wypadków. W sekundę porwał relikwiarz i uderzył nim z całej siły Rohana w ramię, wytrącając mu z ręki broń. Dopadł Zuzanny, schował się za nią i przyłożył dziewczynie do gardła małe ostrze.

- Do licha, skąd wzięłeś drugi nóż? I jak możesz poruszać tą przeklętą ręką? Przecież Phillip ci ją złamał!

Theodore Micah roześmiał się. - Wiedziałeś, że jestem aktorem, prawda? Aktor musi nauczyć się wielu rzeczy, mój panie. Nie - powiedział szybko, zwracając się do Phillipa - nie ruszaj się albo poderżnę jej gardło. Pierwsza kobieta, której to zrobiłem - mówił dalej swobodnie - mieszkała w Honfleur. Przyjąłem na przechowanie paczkę, którą miałem przekazać zaprzyjaźnionemu szmuglerowi, a ona podsłuchiwała naszą rozmowę. Nigdy nie zapomnę tego gulgotu, jaki dobyteł się z jej gardła, ani tej całej krwi. Pilnujcie się, panowie, bo mówię poważnie. Możesz sobie zabrać swego przekłętą brata, milordzie, ja wezmę Graala. Leży na podłodze, a obok niego kluczyk. Podajcie mi go.

Rohan dyszał ciężko, niemal nieprzytomny z wściekłości. Powinien był osobiście związać Zuzannę i zostawić ją w stajni razem z kłaczą Phillipa. Do diabła! Jak mógł dopuścić, żeby ta sytuacja się powtórzyła? Świetny z niego obrońca, nie ma co. Muszę się zgodzić, pomyślał. - Nie rób jej krzywdy - powiedział.

- Więc lepiej się pośpiesz, milordzie. Podaj mi relikwiarz.

Rohan nie otworzył szkatuły, po prostu wziął ją do ręki i podniósł się powoli.

- Podaj mi ją. Tylko ostrożnie.

Zuzanna mocniej wciągnęła powietrze. Ostrze zraniło ją w szyję. Dostrzegli małą strużkę krwi, spływającą z ranki.

- Co zrobisz, jeśli ci to dam?

- Będę musiał zabrać kobietę ze sobą, ale przysięgam wam, że jej nie zabiję, jeżeli będziecie trzymali się z daleka.

- Ty przysięgasz? - powiedział Phillip. - Ty mały, wredny łotrze! Jak mamy ci wierzyć? Jesteś przeklętym kryminalistą. Nie lepszym niż najbardziej plugawa dziwka.

- Przysięgam, że jej nie zabiję. Daj mi tę szkatułkę albo będziesz miał trupa zamiast żony, milordzie.

Rohan wręczył mu szkatułkę. Była ciężka. Jak mogła być tak ciężka, skoro zawierała tylko stary złoty puchar?

- Nie - krzyknął Tibolt. - On nie może dostać Graala!

Wyciągnął skądś pistolet i ruszył na Theodore'a. - Nie dostaniesz go, draniu!

Nagle Zuzanna rzuciła się na podłogę. Micah był tak zaskoczony, że pozwolił jej upaść. Tibolt wypalił i trafił swego kompana w gardło. Rozległ się straszny charkot, a potem Micah szepnął: - Byłem głupcem, że zaufałem słudze bożemu. Spójrz na siebie, jesteś raczej sługą szatana. - Nagle jego koszula pokryła się krwią i upadł ciężko na podłogę.

- Dobrze, mały łajdak nie żyje. Z powrotem do sypialni, wszyscy. Nie zabiję was teraz, choć miałbym na to ochotę. Spodziewam się jednak, że lada moment ktoś tu przyjdzie. Cofnąć się, do cholery!

Wepchnął Rohana do sypialni, a potem zamknął za nimi drzwi. Usłyszeli czyjeś wołanie, potem odezwała się jeszcze jedna osoba. Drzwi otworzyły się nagle.

- Co tu się dzieje?

Tibolt wepchnął szybko pistolet do kieszeni.

- Zamknąłem złodziei w sypialni. Zastrzelili mojego towarzysza. Szybko, poślijcie po sędziego.

- No dobra - powiedział mały człowieczek w wielkiej szlafmocy, o wystających spod olbrzymiej nocnej koszuli cienkich nogach - mogę kogoś posłać, ale obawiam się, że i tak nic z tego nie będzie. O tej porze leży już pewnie spity jak bela.

- Nie, nie, ja po niego pójde. Przypilnujcie tylko tych złodziei. Nie dajcie im uciec!

Ledwie zdążył zejść po schodach, Rohan rzucił się do drzwi. Czterej goście, wszyscy w koszulach nocnych i szlafmocy, zobaczyli nagle przed sobą mężczyznę z pistoletem, bardziej wściekłego, niż gdyby oszukano go przy grze w karty. - Do diabła!

- krzyknął. - Uciekł! Szybko, musimy go dogonić. Zabrał ze sobą Graala!

Wypadł z pokoju, a za nim następny mężczyzna i kobieta. Nie zwrócili najmniejszej uwagi na grupkę ludzi w nocnych koszulach, gapiących się na leżącego w kałuży krwi i najwidoczniej martwego mężczyznę.

- Ma nad nami nie więcej niż dziesięć minut przewagi - krzyknął Phillip, gdy Rohan pomagał Zuzannie dosiąść konia.

- Podziękujmy Bogu, że właściciel gospody zauważył, w którą stronę pojechał - powiedziała Zuzanna, owijając spódnicę wokół nóg.

Ruszyli przed siebie wąską drogą, oświetloną księżycem.

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, wciąż tylko poganiali konie, gnając przed siebie bez opamiętania, aż wreszcie Rohan ściągnął wodze, zatrzymał swego wierzchowca i powiedział: - Musimy pozwolić zwierzętom odpocząć. Dobrze się czujesz, Zuzanno?

- Ze mną wszystko w porządku, ale musimy odnaleźć Tibolta i odebrać mu Graala.

- A jeśli już napił się z niego? - zapytał Phillip.

- Jeżeli tak się stało, to po wszystkim. Dlaczego miałyby tego nie zrobić? Mógł się napić, gdy tylko uciekł z gospody. I może czeka tam gdzieś, żeby się z nami rozprawić.

- Nie, właśnie uświadomiłam sobie, że jeszcze nie pił z pucharu - powiedziała Zuzanna spokojnie.

- Nie mógł.

Obaj mężczyźni odwrócili się, by na nią spojrzeć.

- Dlaczego, u licha? - krzyknął Phillip.

- Zostawił w gospodzie święconą wodę - powiedziała po prostu. - Widziałam na łóżku flaszkę.

- Ona ma rację - wtrącił Rohan. - Na Boga, ma rację. Co oznacza, że zanim będzie mógł napić się z pucharu, musi najpierw znaleźć święconą wodę.

- Czyli kościół - powiedział Phillip. - Przecież w Dunkeld jest kościół. Dlaczego tam nie pojechał?

- Bo wiedział, że będziemy deptać mu po piętach. Nie chciał ryzykować. Niech no pomyślę. Jesteśmy blisko wybrzeża, tuż przed miasteczkiem Monfieth. Na pewno będzie uważał, że może się w nim bezpiecznie zatrzymać i ukraść trochę święconej wody.

- Nie mamy wiele czasu - powiedziała Zuzanna, ściskając kolanami boki klaczy. - Szybko! Nie możemy dopuścić, by napił się z pucharu!

W Monfieth nie było kościoła. Jednak za miastem, na wysokich skałach naprzeciw Buddon Ness, powinny znajdować się ruiny opactwa. Niebo pojaśniało, nie widać już było księżycy. Dniało.

Kiedy minęli zakręt wąskiej, zrytej koleinami drogi, w powietrzu dał się wyczuć zapach wody. A potem nagle zobaczyli opactwo. Bardzo stare i niemal kompletnie zrujnowane, wznosiło się dumnie na samym skraju stromego wybrzeża. W ogródku, troskliwie pielęgnowanym ręką braci, pasł się koń Tibolta.

W żadnym z okien nie paliło się światło.

A potem Zuzanna zobaczyła Tibolta. Szedł, niosąc pod jedną pachą relikwiarz, a pod drugą napełniony wodą puchar. Biegł ku pagórkowi, wznoszącemu się ponad resztę ruin. Nagle odwrócił się i dostrzegł ich.

Usłyszeli, jak śmieje się obłąkańczo. - Chodźcie! - zawołał. - No, chodźcie!

Puścili wolno konie, złapali strzelby i pognali za Tiboltem.

Stał teraz na stosie połamanych belek. Zobaczyli, jak nalewa do pucharu święconą wodę.

- Nie! - krzyknęła Zuzanna. - Nie!

Tibolt uniósł napełniony puchar, roześmiał się triumfalnie i przytknął do ust.

ROZDZIAŁ 34

Szli z wolna w jego stronę, zrezygnowani. Nie było już nadziei. Tibolt zwyciężył. Świat przegrał.

- O Boże - powiedział Phillip, wpatrując się w Tibolta, który stał spokojnie, czekając, tak jak oni czekali. - Co teraz będzie?

Nagle Tibolt zaczął drżeć. Szybko postawił Graala na kamieniu. Trząśnięcie było tak mocne, że puchar, w którym przyniósł wodę, wypadł mu z rąk i upadł na kamienisty grunt. Tibolt krzyknął, złapał się za pierś, a potem przycisnął dłonie do uszu. Zuzanna zrobiła krok w jego stronę, lecz Rohan złapał ją mocno za ramię i odciągnął. - Nie - powiedział. - Nie ruszaj się. O Boże, co on zrobił? Co się dzieje?

Tibolt uniósł ku niebu drżące ramiona. - Boże, piłem ze świętego kielicha. Obdarz mnie mocą. Daj mi nieśmiertelność.

Nagle przestał się trząść. Wzdrygnął się, a jego ciało jakby lekko się uniosło. Zawołał w milczące niebiosy: - Obdarz mnie mocą, która mi się należy!

Powoli zaczęli się zbliżać, nie odrywając od niego oczu.

Niebo na horyzoncie poróżowiło, gdzieś tam tylko pociągnięte błękitem i szarością. Słońce właśnie zaczęło wschodzić, a pierwsze jego promienie rozświetliły pośród ruin opactwa.

Nagle Tibolt ucichł i zamarł, jakby zamienił się w kamień. A potem powoli, bardzo powoli zaczął się przeobrażać. Drżał teraz tak, iż całe jego ciało wiło się, wstrząsane konwulsjami.

A potem nie było już Tibolta. Cienie i światło tańczyły na jego ciele, jakby je wymazując. Wyglądało to tak, jakby gigantyczna dłoń formowała go na nowo, ugniatając, naciskając i wypychając. Zmieniał się.

Nagle stanęła przed nimi Zuzanna. Tibolt zmienił się w Zuzannę. To nie miało sensu. I było przerażające. - Nie - szepnął Rohan, spoglądając na przejrzysty wizerunek żony, kołyszący się w przód i w tył na belce przed nimi. - Nie.

- Teraz już wiem, jak wydostaliście się z katakumb. Stało się tak za sprawą tych paru kropli święconej wody. Teraz widzę to jasno - powiedziała fałszywa Zuzanna, po czym zakrztusiła się. Przycisnęła dłonie do gardła i znowu zaczęła się zmieniać, tym razem przybierając postać bardzo starego mężczyzny, ubranego w strój sprzed stu lat. Jego głos brzmiał tak odwiecznie, jak odwieczne były skały, na których stali: - Muszę przekazać ci Świętego Graala - mówił starzec. - Strzeż go dobrze, biskupie. Nie mów nikomu, czym on jest. Nazwij go Naczyniem Szatana. Powiedz wszystkim, że ktokolwiek napije się z niego święconej wody, skona w mękach.

- Wielki Mistrz templariuszy - szepnął Phillip zdrętwiałymi ze zgrozy wargami.

Potem stary mistrz znikł, a na jego miejscu pojawił się pełen życia mężczyzna w kwiecie wieku, ubrany dość dziwnie i w koronie zdobiącej skronie. Głowę trzymał uniesioną wysoko, a jego głos dźwięczał dumą: - Zgoda, panie, przyjmuję Graala. Będę go strzegł, choćby za cenę życia. Zabiorę go do Szkocji. Nikt go tam nie odnajdzie.

- To Makbet - szepnęła Zuzanna. - To z pewnością Makbet, przyjmujący Graala z rąk papieża

Leona IX.

- On staje się każdym, kto kiedykolwiek dotknął Graala - powiedział Rohan z niedowierzaniem, broniąc się przed tym, co widziały jego oczy. Lecz nawet teraz, gdy patrzył na dawnego króla Szkocji, ten znów zaczął się zmieniać. Po chwili był już starym człowiekiem, odzianym tak jak postacie na dawnych malowidłach, przedstawiających uczniów Chrystusa. Miał na sobie białą szatę, sandały na nogach i długą białą brodę.

- Kto to? - szepnęła Zuzanna.

- Nie wiem. Może ktoś, kto był z Jezusem po Ostatniej Wieczerzy?

- Jestem Józefem z Arymatei - krzyknął mężczyzna słabym głosem starca. - Jezus dał mi święte naczynie, z którego pił. Powiedział, bym zebrał jego krew i przelał do kielicha. Pochowałem go i zabrałem kielich.

A potem nie było już Józefa z Arymatei. Przed ich zdumionymi oczami przemknęła kolejno cała plejada postaci, odzianych w biblijne szaty.

Było ich dwanaście.

W końcu znów zapanował spokój. Tibolt nie wyglądał teraz jak człowiek. Wszystko, co czyniło z niego istotę ludzką, znikło, a to, co kiedyś było twarzą, wygładziło się i przybrało postać kamienia. Nogi i ramiona złączyły się z tułowiem, tracąc swoją odrębność. Tibolt przybrał postać kolumny, zamarłej w kamieniu, pozbawionej życia. A potem kolumna także znikła.

Święty Graal nadal stał na skale. Nagle skądś spoza niej wypełzł wąż, zielony i pokryty łuskami. Miał wielką głowę, a z jego otwartej paszczy dobywał się syk. Gad zaczął powoli owijać się wokół Graala tak, iż wreszcie jego wielka głowa znalazła się na obrzeżu pucharu. I wtedy wąż przemówił głosem Tibolta.

- On was oszczędził. Teraz wiem, dlaczego. Wiem wszystko, lecz to już nie ma znaczenia, ponieważ mnie już nie ma.

Niebo, które zaledwie przed chwilą rozjaśnił blask jutrzeńki, pociemniało. Usłyszeli grzmot, a potem błyskawica przecięła ciemności, sprawiając, iż jezioro u stóp skały pokryło się pianą. Nagle nad węzłem i pucharem utworzył się krater światła, szeroki i bezdenny. A potem znowu zapadła ciemność.

Nie zobaczyli już niczego.

Zuzanna wtuliła twarz w pierś Rohana. Czowała sztywność jego mięśni, wywołaną szokiem. Rozległ się miękki grzmiący dźwięk, który trwał i trwał, aż wreszcie skały zaczęły się trząść. Jeden z łuków starożytnej nawy zachwiał się i spadł ze skały prosto do jeziora. Potężna skała, na której przedtem stał Tibolt i gdzie ohydny wąż wił się wokół Świętego Graala, była teraz pusta.

Znikł wąż i Święty Graal.

Podskoczyli, gdy skała uniosła się. Nagle zalało ich białe, oślepiające światło, które zdawało się rozszerzać, otwierać.

Skała zniknęła w oślepiającej bieli.

Cichy grzmot umilkł nagle.

Zapanowała cisza.

Na niebie znów pojawiło się słońce i znowu był świt. Słyszeli śpiew skowronka, unoszącego się gdzieś wysoko nad nimi.

Podeszli do miejsca, w którym znajdowała się skała. Wyglądało tak, jakby od stuleci nic się tu nie zmieniło. Zniknął nawet relikwiarz.

Zuzanna pochyliła się i podniosła coś. Bez słowa odwróciła się do Rohana i wyciągnęła rękę. Na środku jej dłoni leżał mały złoty kluczyk.

- Kluczyk do relikwiarza. Zostawiono go dla nas.

- Nie, Zuzanno. Nie dla nas. Dla ciebie - powiedział Rohan.

Phillip zapatrzył się na kluczyk, a potem na skałę, na której stali. Leżały tam szczątki rozbitego szklanego kielicha.

Zuzanna spojrzała przed siebie, poza ruiny opactwa i leżące poniżej jezioro. - Święty Graal znalazł tylko dobro, dopóki nie dotknął go Tibolt.

- Wszystkie postaci, jakie przybrał, przedstawiały ludzi, którzy trzymali w dłoniach kielich lub z niego pili. Ty zostałeś oszczędzona, Zuzanno, ponieważ jesteś dobra. To właśnie Tibolt w końcu zrozumiał.

Phillip wzdrygnął się. - Chciałbym stąd pójść. Nie mamy tu już nic do roboty.

- Masz rację - przytaknęła Zuzanna. - Zarówno dobro, jak zło odeszło stąd na zawsze.

- To nie całkiem prawda - powiedział Rohan, przyciągając do siebie żonę. - My tu jesteśmy.

Przetrwaliśmy.

Objął dłońmi jej dłonie. Zdawało mu się, że czuje ciepło zaciśniętego w jednej z nich kluczyka.

W głębi duszy doskonale zdawał sobie sprawę, że nigdy więcej nie będą o tym mówili. I że mały złoty kluczyk zwiąże ich ze sobą na resztę życia.

- Pozwól, że najpierw nacieszę się moim aniołkiem - powiedziała Zuzanna, podnosząc piszczącą z uciechy Marianne. Co do tej ostatniej, to po spędzeniu piętnastu minut z matką, która poświęcała jej całą swą uwagę, po całym tym przytulaniu, kołysaniu i wysłuchaniu opowieści, która nie miała nic wspólnego z prawdą, była gotowa oderwać się od Zuzanny i zająć Rohanem.

Rohan huśtał ją na kolanie tak długo, że w końcu zmęczona oparła mu się o pierś w błogim przeświadczeniu, że i tak jest dla niego najważniejsza. Paluszki trzymała w buzi.

- Próbowałem oduczyć ją wkładania palców do ust - powiedział Toby. - Ale za każdym razem, kiedy kazałem jej je wyciągnąć, zaczynała ryczeć, więc w końcu dałem spokój. Charlotta powiedziała, że nie może już tego znieść. Spróbuję jeszcze raz, Zuzanno, kiedy zostanę z nią sam. To dziwne, kiedy w pobliżu nie ma nikogo innego, ona wcale nie ryczy.

- Nie ma w tym nic dziwnego - odparła Zuzanna. - Po co miałyby płakać, skoro nie ma kto tego słuchać?

- Rohan!

- Tak, moja mała księżniczko?

- Lunnon. Chcę pojechać do Lunnon.

- Pojedziemy - powiedział Rohan powoli. - Już wkrótce.

- Nie przypuszczam, aby ta piękna bajka, którą właśnie opowiedziałaś swojej córce, była prawdziwa - powiedziała Charlotta.

- To prawda, mam - powiedział Rohan. - Przykro mi to mówić, lecz Tibolt nie żyje. To był wypadek. Próbował mnie ratować, lecz sam spadł z urwiska. Nie ma żadnego skarbu. To tylko mit, legenda. Nie odkryliśmy niczego, prócz zdrady. Nie wolno ci zapomnieć, że Tibolt umarł tak, jak żył. Wolałbym, żebyście ty i Toby nigdy więcej nie poruszali tego tematu.

Zuzanna skinęła głową.

- Nie podoba mi się to - powiedziała Charlotta, a potem załamała się widząc, że ani ukochany syn, ani synowa nie zamierzają powiedzieć nic więcej. Łzy napłynęły jej do oczu, lecz jakoś zdołała

się opanować. Wiedziała, że kryje się za tym coś jeszcze, lecz w końcu liczyło się tylko jedno: Tibolt nie żyje. Zginął, próbując ratować brata. Jak powiedział Rohan, jej syn umarł tak, jak żył. Przełknęła łzy i powiedziała: - Cieszę się, że Tibolt nie okazał się taki jak George. Myślę, że to złamałoby mi serce na dobre.

W miesiąc później lord i lady Mountvale wyjechali do Londynu i zabrali ze sobą córkę. Do tego czasu Marianna zaczęła już nazywać Rohana tatusiem.

Pułkownik Nemesis Jones oświadczył się Charlocie pewnego słonecznego, ciepłego dnia, kiedy po obfitym deszczu na niebie pojawiła się tęcza. Wszyscy sądzili, że Charlotta go przyjmie, nie zrobiła tego jednak. Zamiast tego wyjechała do Wenecji, zabierając ze sobą Augustusa, walijskiego lokaja, aby ją chronił - i nie tylko.

Mieszkańcy londyńskiej posiadłości Mountvale oniemieli wręcz ze zdumienia, gdy dowiedzieli się o pięcioletnim małżeństwie barona, a zwłaszcza o jego córce.

Zdziwienie służby było jednak niczym w porównaniu z reakcją towarzystwa. Nie kończące się spekulacje i rozważania przewidywały rychły koniec małżeństwa, zawartego w takim pośpiechu, gdy baron był rozpasanym młodym człowiekiem. Którym, prawdę mówiąc, nadal pozostał, z tym, że teraz cechował go większy umiar i dyskrecja.

Lady Sally Jersey, niekwestionowana przywódczyni towarzystwa, pozwoliła sobie nawet na przypuszczenie, iż być może baron był już zmęczony koniecznością dokonywania ciągłych podbojów i dlatego ujawnił swoje małżeństwo. Nikt jednak nie zgodził się z nią - nie było w tym bowiem nic zabawnego, żadnego wyrafinowania. Nikt także otwarcie nie powiedział, że się nie zgadza - przynajmniej nie w obecności lady Sally. Nikt nie był na tyle odważny.

Wszyscy niecierpliwie wyglądali okazji, by poznać nową baronową. Zastanawiali się także, jak długo potrwa, zanim baron odeśle żonę i powróci do starych nawyków. Z pewnością jego kochanki - a był ich cały legion - rade by były zobaczyć go z powrotem.

Pulver, sekretarz o wymizerowanej twarzy, powiedział do swego przyjaciela, Davida Plummy'ego: - Nie rozumiem tego. Są w Londynie już od czterech dni, a baron ani razu nie wyszedł wieczorem, chyba że towarzysząc żonie. I nawet nie napomknął o powrocie do dawnego trybu życia. W Mountvale też zachowywał się jak idealny mąż. To mnie przygnębia.

- Nie załamuj się, przyjacielu - odparł David Plummy. - Na pewno wkrótce znów zaczniesz spędzać wieczory w tym małym domku. Przecież uwielbia kobiety, czyż nie? I jest pierworodnym synem swoich rodziców, satyrem, który musi dokonywać wciąż nowych podbojów. Mężczyzna o jego reputacji nie wytrzyma długo w małżeńskim jarzmie. Widocznie jak dotąd nie pojawiła się żadna kobieta, której by zapragnął.

Lecz Pulverowi trudno było w to uwierzyć. Widywał przecież małżonków, gdy byli razem. Baronowa nie mogła poszczycić się taką urodą, jak wiele innych kobiet, z którymi widywano barona. Była dość ładna, lecz nie olśniewająca jak, na przykład matka barona. Lecz coś w jej sposobie bycia - może wrodzona uprzejmość, może bystry umysł - sprawiało, że baron śmiał się teraz o wiele częściej niż kiedykolwiek przedtem.

Oboje spędzali sporo czasu w sypialni barona, i to w ciągu dnia.

Niezła zagadka dla wszystkich.

Co do dziewczynki, to zdecydowała, że lubi Pulvera i teraz biedny człowiek coraz częściej musiał szukać schronienia w kuchni.

- Ona jest dzieckiem - powiedział do Tinkera, osobistego lokaja lorda - małym dzieckiem, a

nim to on pozwala jej siadać sobie na kolanach i dotykać twarzy tymi małymi, wiecznie wilgotnymi paluszkami. To dziecko piszczy, naprawdę piszczy z uciechy, a jego to bawi. Czasami piszczy też ze złości. A wtedy baron całuje ją i każe się uspokoić, a ona go słucha. To zadziwiające. A teraz ta mała upodobała sobie mnie. Nie mogę tego znieść, Tinker.

Po tygodniu Pulver zdawał się wręcz zadowolony, ilekroć Marianna dotknęła swymi wilgotnymi paluszkami jego policzka. A kiedy pierwszy raz go pocałowała, o mało nie zemdlął ze szczęścia. Lecz kiedy tylko zaczynała tupać nogami i wrzeszczeć, natychmiast uciekał z pokoju i wzywał barona. To jednak Toby był tym, którego Pulver nauczył się podziwiać, nie bacząc na jego młody wiek. Czytywali razem i razem chodzili do British Museum. Rohan powiedział Zuzannie, że nigdy dotychczas nie zauważył u swego pozbawionego życia sekretarza podobnego ożywienia.

Co do Zuzanny, to śmiertelnie bała się kolejnych przyjęć i bali, wydawanych przez członków londyńskiej arystokracji. Zdawała sobie sprawę, iż wszyscy uważają, że baron popełnił wielki błąd, który potem usiłował zatuszować, wyciągając z ukrycia żonę i córkę. Wiedziała także, iż wszyscy spodziewają się, że baron wkrótce odeśle ją i Marianne, by dalej prowadzić hulaszczę życie. To wszystko bardzo ją przygnębiało.

- Głowa do góry - mawiał Rohan, gdy mieli opuścić powóz, by udać się na kolejny bal czy przyjęcie. Tego środowego wieczoru u Almacka przy King Street Zuzanna uniosła głowę tak wysoko, że obawiała się, iż uderzy nią we framugę drzwi powozu.

Rohan uśmiechnął się do niej, objął ją w pól i bardzo powoli postawił na chodniku, przyglądając się z upodobaniem, jak oczy żony wilgotnieją pod dotykiem jego rąk. Chciał jej powiedzieć, że kiedy tak na niego patrzy, czuje się jak król, lecz zamiast tego powiedział, starając się, by jego głos nie odzwierciedlał tego, co naprawdę czuje: - Czy mówiłem ci już, że ładnie dzisiaj wyglądasz? Podoba mi się to uczesanie z mnóstwem błękitnych wstążek.

- Tak, mówiłeś, ale na pewno tak nie myślisz. Pewnie chodziło ci tylko o to, że wstążki pasują do sukni. Och, Rohan, wiem, że próbujesz poprawić mi samopoczucie, bym nie uciekła i nie ukryła się w pokoju dla pań.

- Trafiłaś - powiedział i pocałował ją. szybko - A swoją drogą, skąd u ciebie ten cynizm?

- To nie cynizm, to realizm.

- Nie bądź dziecinna - powiedział i pocałował ją w czubek nosa.

Nie wiedzieli, że są obserwowani przez Sinjun Kinross, księżnę Ashburnham, młodą kobietę nie odznaczającą się zbytnią powściągliwością. - Rohan! - zawołała. - To twoja żona?

- A to, kochanie - powiedział Rohan do Zuzanny, która wpatrywała się w piękną młodą damę, spieszącą ku nim - jest Sinjun Kinross, moja ulubiona znajoma. A ten pan za nią to jej mąż, Colin Kinross. Wątpię, czy kiedykolwiek udaje mu się ją dogonić, chyba, że ona sama tego chce. - Uśmiechnął się do Sinjun i puścił żonę. - Witaj, malutka - zawołał do młodej damy, która bynajmniej malutka nie była.

- Jak zawsze szykowna. A ty, Colin, jak zwykle ledwo za nią nadążasz.

- Nie powinienem pozwalać, by Sinjun znalazła się blisko ciebie - powiedział Colin, zerkając z ciekawością na Zuzannę. - Lecz ona twierdzi, że skoro się ożeniłeś, jest bezpieczna przed twoimi zakusami. A poza tym właściwie nie przypomina sobie żadnych zakusów. Wydawała się tym mocno rozczarowana, bo sądzi, że jest zbyt brzydka i mało interesująca. Wyperswadowanie jej tego zajęło mi prawie tydzień.

- To musi być dla ciebie dość trudne, Zuzanno - powiedziała Sinjun po chwili - zważywszy na

reputację Rohana. Chyba powinniśmy wmaszerować jak najszybciej do tego ponurego miejsca i stawić czoło smokom. Co ty na to?

Ku radości Rohana, Sinjun najwidoczniej postanowiła wziąć Zuzannę pod swoje skrzydła i teraz prowadziła ją niczym dumna kwoka pokazująca po raz pierwszy swoje kurczęta.

Lady Sally Jersey, gdy przedstawiono jej Zuzannę, natychmiast zapytała: - Powiedz mi, moja droga, czy poznałaś już swoją niezrównaną teściową?

- Tak, proszę pani. Miałam ten zaszczyt. Charlotta to najśłodsza, najpiękniejsza i najmiłsza kobieta, jaką kiedykolwiek znałam. Jest cudowna dla mnie i naszej córki.

Lady Jersey z pewnością nie spodziewała się podobnego entuzjazmu. Uśmiechnęła się z przymusem. Charlotta cudowna? Słodka? No cóż, Charlotta umiała być tym, kim chciała. Być może Zuzanna poznała po prostu inne oblicze tej niewiarygodnej kobiety. - Hmm. A jak przyjęła to, że jest babką?

- Bardzo zaprzyjaźniła się z Marianną.

- Wyobraźcie sobie - powiedziała lady Jersey. - Nasz drogi chłopiec ojcem. Musiał być bardzo młody, kiedy ożenił się z tobą i począł dziecko.

- Ja byłam jeszcze młodsza, proszę pani - odparła Zuzanna, unosząc wysoko brodę. - Lecz pytam panią - mówiła dalej, uśmiechając się na pozór niewinnie - kto mógłby oprzeć się Rohanowi? Ma taki czarujący, uwodzicielski uśmiech. Cudownie jest być jego żoną i zawsze tak było.

Lady Drummond Burrell, inna licząca się osobistość u Almacka, wtrąciła: - Z pewnością drogiej Charlocie nie podoba się, że mała nazywają babcią. Jest na to za piękna, zbyt wyrafinowana, zbyt - ach, czym ona nie jest... Lecz babcią? Trudno mi to sobie wyobrazić. Z pewnością niełatwo przyszło jej się z tym pogodzić.

- Chyba każdej kobiecie trudno zaakceptować, że się starzeje i musi ustąpić miejsca młodszemu pokoleniu. Prawdę mówiąc, Marianna zwraca się do niej po imieniu. Wygląda na to, że im obu to odpowiada. - Zuzanna uśmiechnęła się z przymusem do lady Burrell, mało sympatycznej kobiety, posiadającej język żmii i tyle ciepła, co jaszczurka, która jednakże z jakichś niejasnych przyczyn osiągnęła status jednej z najbardziej wpływowych dam w Londynie.

- Twoja historia jest bardzo romantyczna - powiedziała lady Jersey, wpatrując się uporczywie w twarz Zuzanny. - Wyobrażam sobie, jak drogi baron wymykał się do ciebie, gdy nie był zajęty żadną ze swoich dam w Londynie.

- Lecz chyba nie wymykał się zbyt często - dodała lady Burrell - zwłaszcza po urodzeniu dziecka. Mężczyźni nie przepadają za kobietami w ciąży i niemowlętami.

Dzięki Bogu Rohan zwykle doskonale wyczuwał, kiedy jego żona była bliska pogrążenia się w towarzyskiej otchłani. Teraz też stanął tuż obok niej i powiedział swobodnie: - Wręcz przeciwnie, odwiedzałem je bardzo często. To dziwne, ale mój koń, Guliwer, uwielbia Zuzannę równie mocno, jak ja. Mógłbym zasnąć w siodle, a on i tak dowiózłby mnie do niej.

Uśmiechnął się czarująco do pani Burrell i dodał: - Kiedy pozna pani moją córkę, na pewno nie będzie się mogła pani doczekać, by położyła swoje mokre paluszki - wie pani, ona ssie palce - na pani policzku. To taka przyjemna pieśczoła.

I pani Burrell uśmiechnęła się, co, jak powiedział potem Rohan do Zuzanny, powinno było zostać uwiecznione dla potomności, ponieważ nikt, kto ją zna, nigdy w to nie uwierzy.

ROZDZIAŁ 35

Następnego ranka Toby pojawił się w pokoju śniadaniowym z Goździkiem, kotem Zuzanny, na rękach.

- Kucharka karmiła go kawałkami pieczonej wieprzowiny - powiedział. - Mówiłem jej, że to kot wyścigowy i musi być smukły i silny, lecz ona tylko się śmieje i powtarza, że mały kot będzie biegł dobrze tylko wtedy, kiedy zobaczy jedzenie.

- To wcale nie taki zły pomysł - powiedział Rohan, biorąc kociaka, który nie był już wcale taki mały. Przytrzymał zwierzę i spojrzał mu w oczy. - To prawda? Będiesz biegał tylko za jedzenie?

Goździk trzepnął go łapką w nos.

- On naprawdę powinien być trenowany, Zuzanno - powiedział Toby. - Bracia Harker uważają, że ma zadatki na świetnego zawodnika.

- Co ty o tym sądzisz, Rohanie?

- Myślę, że wkrótce wrócimy wszyscy do Mountvale. Jesteśmy w Londynie od dwóch tygodni i zaczynam być tym zmęczony. Moglibyśmy wrócić do Mountvale na miesiąc czy dwa, potrenować nieco Goździka, wystawić go w paru wyścigach, może pozełgować czy urządzić kilka pikników.

- A co ze mną, Rohan? Dostałem wczoraj list od pastora Byama. Pisze, że powinienem powtórzyć wiadomości, jeśli chcę pójść do Eton tej jesieni.

- A zatem, postanowione. W piątek wyjeżdżamy. Przyszły czempion kocich wyścigów zamiauczał głośno i wbił pazury w bryczesy Rohana.

Baron w końcu wyszedł bez żony. Pulver odczuł ulgę, choć zarazem był rozczarowany. Bardzo rozczarowany.

Baron był bowiem żonaty. Miał dziecko i szwagra, błyskotliwego młodego chłopca. Nie powinien spotykać się ze swoimi kobietami. Mimo to wyszedł, gdy tylko zjadł obiad z baronową i pobawił się pół godziny ze swoją córeczką.

Pulver poszedł do gabinetu i zajął się rachunkami, lecz jakoś nie potrafił poświęcić im uwagi. Przez cały czas zastanawiał się, co robi biedna baronowa. I co myśli. W końcu nie mógł już tego znieść.

Wyszedł z gabinetu i skierował się do salonu, gotów pocieszyć biedną żonę, gdy nagle usłyszał słodki śmiech. Odwrócił się i zobaczył, jak baronowa zbiega po schodach, podskakując radośnie, ubrana w narzutkę i najwidoczniej gotowa do wyjścia.

Czyżby jego lordowska mość rzeczywiście poślubił kobietę podobną do swojej matki? Czy wychodziła, by spotkać się z kochankiem? Poczul, jak przepelnia go duma. Choć nie, jeszcze nie. Nie urodziła przecież dziedzica. Z pewnością o tym wie.

- Ach, Pulver, Marianna śpi jak zabita. Toby czyta. A ja, jak widzisz, wychodzę, lecz wrócę niedługo, i baron też.

Co powiedziawszy, wyszła.

Stangret zatrzymał powóz przed czarującym georgiańskim domkiem przy Grace Street, nie dalej

niż cztery przecznice od placu Cavendish. Oczywiście Zuzanny błyszczały. Spojrzała na skrawek papieru, który trzymała w dłoni. Stangret najwidoczniej znalazł ten dom.

Nie miała pojęcia, czego oczekiwać. Mąż zostawił jej na toalecie wiadomość, by przyjechała pod ten adres. Z pewnością nie trzymał tu żadnej ze swoich kochanek. A może? To przecież taki czarujący dom - drugi dom - a po co mężczyźni drugi dom, jak nie po to, by trzymać w nim kochankę? Pomimo to uśmiechała się nadal, gdy brała do rąk przytwierdzoną do drzwi kołatkę z brązu.

Sam otworzył jej drzwi. - Dobry wieczór, kochanie. Cieszę się, że znalazłaś notatkę i przyjechałaś tu tak prędko.

- Witaj, milordzie. I co, ukrywasz w sypialni jakąś nagą ślicznotkę? A może w salonie, upozowana uwodzicielsko na kanapie? Lub w kuchni, rozciągniętą na stole?

Podjął grę i jego twarz przybrała wyraz rozczarowania. - Kiedy przed chwilą rozglądałem się wokół, nie zobaczyłem żadnej ślicznotki. - Pocałował ją lekko, a potem zdjął jej narzutkę i przerzucił przez poręcz stojącego w małym holu krzesła.

- Chodź, Zuzanno.

Wziął ją za rękę i wprowadził do przytulnego salonu, oświetlonego mnóstwem świec. W centralnym punkcie stało olbrzymie biurko, zarzucone papierami, które walały się wszędzie wokół.

Na kanapie nie siedziała żadna naga piękność.

Nad włoskim marmurowym kominkiem nie wisiał nawet jej portret. Tapety w pokoju były błękitne, nie zaś wulgarnie pąsowe.

- Postanowiłem, że lepiej będzie, jak ci to pokażę, niż gdybym tylko miał ci o wszystkim powiedzieć.

- Co mi pokażesz?

Rohan popatrzył na nią, zmieszany. - Przypuszczam - powiedział powoli - że pora powiedzieć ci prawdę. Phillip już jakiś czas temu radził mi, bym to zrobił, lecz ja wolałem poczekać na odpowiedni moment.

Co ten jej doskonały mąż wyprawiał?

- Wiesz, uważam, że prawda jest zawsze najlepsza, no, może prawie zawsze.

Wziął głęboki oddech. Najwidoczniej niełatwo przychodziło mu to, co zamierzał powiedzieć.

Zuzanna milczała, wpatrując się w niego z uśmiechem. W końcu powiedziała: - Czy wiesz, że jesteś teraz jeszcze przystojniejszy niż dwie godziny temu przy obiedzie?

- Nie masz zamiaru mi tego ułatwić, prawda, Zuzanno?

- Wręcz przeciwnie. Nie chcę, żebyś uważał mnie za trudną żonę, nieskłoną do pomocy. No więc, mój mężu, po co ci ten czarujący mały domek o cztery przecznice od miejskiej posiadłości, w której do niedawna mogłeś przyjmować, kogo chciałeś? I co tu robi to wielkie biurko? I te papiery?

Odetchnął głęboko. - Mam nadzieję, że nie poczujesz się rozczarowana, kiedy ci powiem, że wcale nie jestem kobieciarzem. Ani rozpustnikiem. Taki tryb życia zupełnie nie leży w moim charakterze. Nie spałem ze wszystkimi damami w Londynie. A moimi erotycznymi wybrykami z trudem dałoby się zapełnić filiżankę po kawie.

To dopiero było coś. Wpatrywała się w niego bez słowa. - Ale mężczyzna o twojej reputacji...

- Właśnie - wtrącił. - To tylko reputacja, nie ja.

- Ale dlaczego? Po co to udawanie? Czemu starałeś się, by wszyscy uwierzyli, że jesteś satyrem, hulaką...

- Zabrakło ci określeń? Jest ich wiele, lecz możesz zapomnieć nawet o tych, które już wymieniłaś. - Rohan pochylił się, pocałował ją szybko i ujął jej dłoń. - To proste. Nie chciałem rozczarować rodziców. Rozpaczliwie pragnęli, bym był taki jak oni. A wierz mi, ich reputacja z pewnością nie była przesadzona. Szybko zorientowałem się, że z Tibolta i George'a nie będzie pod tym względem pociechy. Pozostałem więc tylko ja. Ale, rozumiesz, tak naprawdę to nie byłem ja, nie moje prawdziwe ja.

- Ale kochałeś się ze mną jak ktoś, kto robił to niezliczoną ilość razy i o wiele częściej niż normalny mężczyzna... o Boże. - Spojrzała na niego, przerażona słowami, które jej się wymknęły.

- Tak, ale to co innego. Jeśli chodzi o to, powiedziałem ci prawdę. Ojciec rzeczywiście zabrał mnie do jednej ze swoich kochanek, gdy miałem czternaście lat. Przypasałem więc miecz i zrobiłem, co do mnie należało. Prawdę mówiąc, nawet mi się to podobało. Ale nigdy nie odczuwałem przymusu, by iść do łóżka z każdą kobietą, na której zatrzymało się moje spojrzenie. Poza tobą. Ile razy na ciebie spojrzę, mam ochotę przerzucić cię przez ramię i zanieść do łóżka. Lecz tylko ciebie, Zuzanno. Tylko ciebie.

Ku jego zmartwieniu, wyglądała na rozczarowaną, jakby spodziewała się na obiad baraniny, a dostała tylko pstrąga.

- O, do licha, przykro mi, że cię rozczarowałem. Widzę, że jednak wolałabyś satyra. Mogłabyś potraktować życie z nim jako wyzwanie.

Uśmiechnęła się do niego promiennie. - O nie, Rohanie, uczyniłeś mnie najszczęśliwszą kobietą w Anglii. Ale wiesz, nie jestem zaskoczona. Tak naprawdę nigdy nie zachowywałeś się jak rozpustnik. A poza tym kocham cię takim jaki jesteś.

- Pokaż jej te przekłete rysunki, Rohanie. A rano, jeśli nie będzie padało, zabierz ją na wycieczkę i pokaż wszystkie ogrody, które zaprojektowałeś.

Zuzanna odwróciła się i zobaczyła stojącą w progu pulchną, bardzo ładną kobietkę. Kobieta uśmiechnęła się i powiedziała: - Jestem Lily, gospodyni lorda. Dbam o ten domek i utrzymuję go w czystości.

Zuzanna pomyślała, że chyba już nic nie zdoła jej zaskoczyć. - Witaj, Lily. Jestem Zuzanna Carrington.

- Tak, doskonale wiem, kim pani jest. To dobrze, Rohan, że w końcu wyznałeś swój brak grzechów. W jego ciele nie ma ani jednej grzesznej kości, moja droga. A teraz, może napilibyście się herbaty?

Gdy Lily odeszła, by zająć się poczęstunkiem, Rohan pokazał jej rysunki. - To projekt ogrodu lorda Dackery, do jego posiadłości w Somerset. Widzisz, nie będzie tu tarasów, jak w Mountvale, lecz duża przestrzeń, a poszczególne części ogrodu zostaną od siebie rozdzielone wysokim płotem. Tutaj zaplanowałem staw, a tutaj drugi, większy, z wszelkiego rodzaju roślinami wodnymi i liliami tak, aby wyglądał możliwie naturalnie. Lord Dackery uwielbia róże, zaplanowałem więc wiele klombów różanych - tutaj, i tu, o tam, dziesięć metrów dalej. Obok ustawimy wygodną ławeczkę i kilka krzeseł. Będzie można tam posiedzieć i cieszyć się popołudniowym słońcem. Wiosną i latem często wieje lekki wietrzyk, nie powinno więc być zbyt gorąco. Co o tym sądzisz?

Wpatrywała się w niego w milczeniu. - Byłeś w majątku lorda Dackery?

- Oczywiście. Za kilka tygodni zaczynamy prace. Objęła go mocno ramionami i wtuliła twarz w jego szyję. - Och, kocham cię. Zostałeś stworzony dla mnie, tylko dla mnie. Chciałabym bardzo móc ci pomagać. Wiesz, że mam dobrą rękę do roślin, że rosną i kwitną przy mnie jak szalone, bo

odziedziczyłam zdolności po matce. Ach, proszę, pozwól mi...

Roześmiał się, i przytulił ją mocno. - Co by było, gdybym cię nie znalazł? - Pocałował jej ucho, potem delikatną linię szczęki, wreszcie usta. - Wiesz, że ty także zostałam dla mnie stworzona?

Lily chrząknęła znacząco przy drzwiach.

- Mężczyzna o pańskiej reputacji, milordzie, nie powinien okazywać żonie tyle uczucia. Przyprawiliby to pańską biedną matkę o atak.

- Moja matka, jak doskonale wiesz, Lily, to twarda sztuka. Gdy dowiedziała się, że została babcią, pobladła tylko trochę i na tym się skończyło.

Lily roześmiała się. - Zostawię was teraz samych. Ciesz się swoim mężem, Zuzanno. To wspaniały mężczyzna. A jeden Bóg wie, że takich jak on nie ma zbyt wielu i nie biegają na swobodzie tu i tam.

- On nie biega na swobodzie - zaprotestowała Zuzanna.

Rohan roześmiał się znowu i mocniej przytulił żonę.

- Od jak dawna znasz Lily? - spytała Zuzanna z nosem wtulonym w szyję męża.

- Hmm, zastanówmy się. Od mniej więcej siedmiu lat, jak sądzę. Była moją kochanką i bardzo zżyliśmy się ze sobą. Jest bardzo dobrą przyjaciółką i zawsze pomagała mi potwierdzać moją reputację satyra.

- Rohanie, czy masz zamiar powiedzieć Charlocie, że nie jesteś hulaką i kobieciarzem?

- Zastanawiałem się nad tym, i w końcu zdecydowałem, że tego nie zrobię. Po co ją martwić? I tak przeżyła już dość w związku ze swymi dwoma synami. Nie będzie ci to przeszkadzało, prawda, Zuzanno?

Zuzanna westchnęła głęboko. - Dobrze, podtrzymam tę fikcję. A Charlotta wkrótce pewnie zacznie podziwiać moją wierność i oddanie, kiedy spostrzeże, iż najwidoczniej jesteś ze mną szczęśliwy. Lecz biada ci, gdy zorientuje się, że nie masz tuzina kochanek. Nie wolno ci się śmiać, Rohanie.

- Nigdy - powiedział. - A teraz pozwól, że ci pokażę, gdzie mam zamiar posadzić irysy, trzykrotkę i dzwonki. A co sądzisz o ubiorku? Ma takie piękne kwiaty...

- To właśnie ubiorki podziwiałam, gdy pierwszy raz pojawiłeś się w Mulberry House! O Boże, Rohan, to będzie świetna zabawa. Mam nadzieję, że moje ubiorki nadal kwitną.

- Prawdopodobnie nie. Potrzebują troskliwej pielęgnacji. Jak sądzisz, czy nasze dzieci odziedziczą charakter po nas, czy po naszych rodzicach?

- Może, jeśli będziemy mieli szczęście - powiedziała, całując go w policzek - odziedziczą coś i po nas, i po nich. Och, Rohan, czy moglibyśmy posadzić też trochę mirtu? Nigdy dotąd nie udawało mi się go utrzymać, lecz może w ogrodzie lorda Dackery...

- Jeżeli nie, zobaczymy, jak się przyjmie w Mountvale. A jeśli i tam nic z tego nie wyjdzie, spróbujemy z kianką, jest teraz niezwykle modna.

Przytuliła się do niego mocno i powiedziała: - Zastanawiam się, jak wiedzie się Charlocie z Augustusem.

- Jeżeli dopisało mu szczęście, nie padł jeszcze z wyczerpania.

ROZDZIAŁ 36

Wyścigi Kotów

Tor Wyścigowy McCaulty w pobliżu Eastbourne

Pogodne, słoneczne popołudnie, sierpień 1811

Goździk ze wszystkich sił starał się wyrwać z rąk Zuzanny. Pocałowała go w łepkę i wyszeptała: - Nie, nie, jeszcze nie. Bądź cierpliwy, a wkrótce będziesz mógł biegać do zdercia łap.

Tuż obok niej dziedzic Bittle trzymał na smyczy swego kota, Ornery'ego. Buras zdawał się równie znudzony, jak jego pan zmartwiony. - Biedak nie miał ostatnio apetytu - powiedział dziedzic do Zuzanny, która zrobiła smutną minę, choć wcale nie zmartwiła jej ta wiadomość.

Pani Lovelace, właścicielka Dumy Valley Inn, równie szeroka jak wysoka, przytulała do imponującej piersi swego szarego kocura Louisa. To biedne zwierzę chyba w ogóle nie może oddychać, pomyślała Zuzanna.

Horatio Blummer, miejscowy rzeźnik, obdarzony przez naturę okazałym brzuszkiem, sterczącym spod kamizelki, trzymał na ręku Glendę, dobrze umięśnioną, czarną i parszczącą kotkę.

Pan Goodgame, który wywodził swoich przodków aż od Wilhelma Zdobywcy, gwizdał tak głośno, jak tylko mógł na Horacego, chyba po to by przyciągnąć jego uwagę. Horacy był smukłym białym kotem o długim tułowiu. Przypominał raczej lufę działa niż zwierzę. Wydawał się gotów i chętny do biegu.

Bracia Harker najbardziej obawiali się właśnie Horacego.

- To doświadczony zawodnik, ten Horacy - powiedział Ozzy, kręcąc głową. - I szybki.

- Tak, ale spójrz, jaki ma śmieszny nos. Bez przerwy węszy i nie może się powstrzymać, by nie szukać źródła zapachu. I przez to często schodzi z toru przed metą.

- Dobrze, że Blinker nie będzie dzisiaj biegł - powiedział Ozzy. - Naciągnął sobie tylną łapę. Ten skurczybyk Grimsby zbyt intensywnie go trenował. A mówiłem mu już dawno, żeby nie kazał Blinkerowi robić więcej niż dziesięć okrążeń dziennie. Ma za krótkie łapy.

- Goździk pokona ich wszystkich - oświadczył Toby. - Poczekajcie tylko. Mamy tajną broń.

Obaj bracia Harker unieśli jak na komendę krzaczaste brwi. Tajną broń? Co to takiego? Przecież sami doglądali treningu Goździka. Więc co ma znaczyć to gadanie o tajnej broni? Lecz Toby tylko uśmiechnął się do nich.

Tor liczył sobie trzecią część mili i był bardzo szeroki - co najmniej na pięć metrów - ponieważ podczas biegu koty często zawracały nieco, a potem znów biegły do przodu. Dziś było tu bardziej tłoczno niż zwykle, a to z powodu Goździka, który miał pobiec pierwszy raz, reprezentując stajnię Mountvale. Ludzie zakładali się więc chętniej niż zazwyczaj, zwłaszcza kiedy rozeszła się wieść, że bracia Harker osobiście trenowali Goździka. Damy parasolkami osłaniały głowy przed słońcem, panowie stawiali zakłady, palili cygara i omawiali zalety startujących zwierząt. Wszyscy niecierpliwie czekali na pierwszy wyścig.

Plotka głosiła, że od jakiegoś czasu na torze zdarzały się dziwne rzeczy, i że nie wszystkie biegi

rozgrywano uczciwie. Bracia Harker pilnie przyglądali się wszystkiemu, by nie przeoczyć czegoś, co mogłoby zaszkodzić ich pupilom. Jednak jedyny przypadek nieuczciwości, jaki udało im się odkryć, miał miejsce ponad pół roku wcześniej. Stary pan Babble został przyłapany na tym, jak usiłował nakarmić jednego z kotów świeżym okoniem, aby ten, najedzony do niemożliwości, nie mógł dość szybko biec.

Lady Dauntry zajęła honorowe miejsce na wąskim podium. Od pięciu lat przewodniczyła zawodom, nie opuszczając w tym czasie ani jednej imprezy, bez względu na pogodę. A sezon kocich wyścigów trwał od kwietnia do maja.

- Przygotować się! - krzyknęła na cały głos. Właściciele i trenerzy przygotowali koty.

- Ustawić się!

Podniecone zwierzaki zaczęły się wyrywać i podskakiwać. Trenerzy i właściciele zamarli, gotowi do startu.

- Start! Rozpoczął się wyścig.

Pan Bittle klasnął głośno tuż nad uchem Ornery'ego, który podskoczył w górę i pognął przed siebie niczym błyskawica. Niestety, po przebiegnięciu kilkunastu metrów zatrzymał się i zaczął się spokojnie przyglądać krzyczącej widowni. Pan Bittle, dysząc ciężko, dogonił swego zawodnika, znów klasnął mu nad uchem i Ornery przebiegł niczym wiatr następne kilkanaście metrów.

Louis pani Lovelace biegł za małym Charlesem Lovelace, który potrząsał mu przed nosem martwą rybą na sznurku. Lecz kot prędko dogonił chłopca, a ten musiał stanąć na palach, aby ochronić przynętę.

Długi, smukły Horacy pana Goodgame'a gnał tymczasem po torze ze wzrokiem utkwionym w metę, ignorując pozostałe zwierzęta, ludzi i hałas. Nie zwolnił ani na chwilę. Pan Goodgame stał sobie po prostu przy linii końcowej, zacierając dłonie i uśmiechając się promiennie.

Glenda Horatia Blummera przebiegła połowę dystansu tuż za Horacym, znacznie wyprzedzając inne koty. Nagle zatrzymała się i popatrzyła na tęgą kobietę, krzyczącą i podskakującą, po czym błyskawicznie zboczyła i ukryła się pomiędzy sutymi fałdami jej spódnicy.

Co do Goździka, to z zapalem uwolnił się z objęć Zuzanny, lecz niemal natychmiast stanął i obejrzał na nią, podskakującą i krzyczącą: - Biegnij, Goździk, biegnij! - Potem spojrział na Rohana, trzymającego na rękach Marianne. Rohan krzyknął: - Nie dostaniesz obiadu, jeżeli się nie postarasz!

- Nie dostaniesz obiadu! - zawtórowała mu Marianna.

Lecz Goździk stał jak przymurowany. Gdyby koty potrafiły marszczyć brwi, właśnie to by zrobił. A potem zaczął lizać prawą łapę.

Nagle, gdzieś z połowy dystansu, dobiegła ich śpiewana miękkiem barytonem piosenka:

Pewnego młodzieńca, na pozór bystrego

Pogryzło sześć kotów, i to dnia jednego.

O Boże! Mój koniec jest bliski!

Dlaczego żałował im miski?

Cóż! Zginę śmiercią człowieka dzielnego!

Był to, oczywiście, Jamie. Goździk wyprostował się, nastawił uszu i ze zjeżonym futrem pognął w kierunku głosu, który znów śpiewał, tym razem głośniejsze i w wyższej tonacji.

Ponieważ Jamie ustawił się w połowie dystansu, Goździk nie mógł go dogonić, podążał więc za głosem w kierunku mety.

Lecz na razie to długi biały Horacy pana Goodgame'a wydawał się niekwestionowanym

kandydatem na zwycięzcę. Jamie śpiewał coraz głośniej. Goździk przyśpieszył. Zaczynał odrabiać dystans, dzielący go od Horacego.

Zuzanna krzyczała, ile sił w płucach. - Ten paskudny Horacy potrafi biec szybciej, niż Mariannie zdarza się porwać ciastko z talerza Rohana! - krzyknęła do Toby'ego.

- Goździk sobie poradzi.

- Nie dostanie obiadu! - zawołała Marianna.

- Ta tajna broń - orzekł zdumiony Ozzie, pociągając za rękaw Toma - to jakaś nowa sztuczka.

- Horacy jest w doskonałej formie - powiedział Tom, potrząsając głową. - Spójrz tylko, jak wyciąga ten swój długi tułów. Nie jestem pewny, czy Goździkowi starczy czasu, by go dogonić.

Goździk tymczasem zbliżał się do białego ogona Horacego. Jamie śpiewał teraz tak głośno, że wszyscy widzowie klaskali już do taktu.

Horacy i Goździk biegli łeb w łeb. A potem, bez ostrzeżenia, Horacy odwrócił się, ugryzł Goździka w szyję i zmienił kierunek. Biegł teraz za martwą rybą, trzymaną na sznurku przez małego Charlesa Lovelace. Wpadł z rozpędu na Louisa, przewrócił go, podskoczył i złapał nieco już sfatygowaną rybę. Mały Charles, zaskoczony, wypuścił sznurek z rąk i usiadł na pupie, a Horacy pognął przez tłum z prędkością wiatru, unosząc w pysku zdobycz. Pani Lovelace i pan Goodgame na próżno zdzierali sobie gardła, krzycząc, by zawrócił.

Louis pognął co sił w łapach za Horacym i swoją rybą.

- Nigdy nie widziałem, żeby Louis tak biegł - powiedział Ozzie, osłaniając oczy dłonią od słońca. - Może nawet dogoni tego Horacego. W końcu to jego ryba.

- Nie - odparł Tom. - Pani Lovelace dogoni Horacego pierwsza. I ani chybi dobierze mu się do futra.

Goździk nie zwolnił. Wręcz przeciwnie, jeszcze przyśpieszył.

Jamie czekał na linii mety. I kiedy Goździk przekroczył ją, o sześć długości wyprzedzając Glendę, Jamie wykrzyknął: - Zginę śmiercią człowieka dzielnego!

Wszyscy zaczęli klaskać.

- Obiad dla Goździka! - krzyknęła Marianna.

- Obiad dla Jamiego! - zawołał Rohan. Zuzanna zaś mogłaby przysiąc, że słyszy głośne rzenie Guliwera.

Bracia Harker potrząsnęli głowami. Poznali już wiele metod treningu, ale śpiewanie limeryków nie było z pewnością żadną z nich.

Jamie nie przestawał śpiewać, lecz tym razem nie był to donośny śpiew. Goździk siedział dumnie na jego ramieniu, a tymczasem stajenny zmierzał powoli ku podium dla zwycięzców.

Guliwerowi jakoś udało się przedrzeć przez tłum i dotrzeć do Jamiego. Położył swój wielki łeb na jego ramieniu. Goździk miauknął przeraźliwie i dał susa na koński grzbiet. Guliwer zmrużył złowieszco oczy. Zdesperowany Jamie zaczął kolejny limeryk.

Marianna tak podskakiwała z podniecenia na ramieniu barona, że aż się zsiusiała, mocząc Rohanowi ubranie.

Z pewnością nigdy dotąd nie zdarzyło się, by podczas wyścigu kotów w południowej Anglii przegrani zawodnicy, ich właściciele i trenerzy śmiali się, klaskali i miauczeli przyglądając się, jak zwycięski kot pręży się i wylizuje swe futro, siedząc na grzbiecie olbrzymiego konia, rżącego w takt limeryku.

EPILOG

Charlotta Carrington przeczytała ostatnie słowa listu, który właśnie pisała. Jak by tu zakończyć, by nie okazać się nachalną, a jednocześnie wyrazić to, co zamierzała? Może tak:

... Kochany, z różnych źródeł dowiaduję się, że jesteście sobie z Zuzanną bardzo oddani. To godne pochwały, ponieważ świadczy o szacunku i wzajemnym upodobaniu, podobnym temu, jakie ja i Twój ojciec żywiliśmy do siebie przez tyle lat. Ale dobiegły mnie także plotki, głoszące, iż nie powróciłeś do dawnych obyczajów. Podobno Zuzanna bez przerwy Ci towarzyszy, a także Marianna, która oczywiście jest wspaniałym dzieckiem, niemniej... -

Moja piękna.

Odwróciła głowę i spojrzała na łóżko. Augustus właśnie się obudził. Siedział, przykryty do pasa prześcieradłem, potargany i niezwykle przystojny. Uwielbiała tego mężczyznę z piersią porośniętą czarnymi włosami, aż do dołu brzucha.

Moja piękna powtórzył głosem niskim i zachrypniętym od snu. - Co piszesz?

Wstała i podeszła do niego. - List do Rohana.

- Chyba nie próbowałaś mu znowu prawić morałów?

Roześmiała się i położyła na nim. Pogłaskała ciemne brwi mężczyzny i ucałowała jego piękne usta.

- No cóż, próbuję tego nie robić, lecz on tak bardzo się zmienił. Stał się taki rodzinny. Nie żeby jego ojciec nie był dla dzieci wszystkim, czego mogłyby oczekiwać po rodzicu, lecz był także kimś więcej. Westchnęła. Pocałowała go znowu, a potem zachmurzyła się. - Czyżby naprawdę można było żyć inaczej?

- Co masz na myśli?

- Zaczynam się zastanawiać, czy Rohanowi i Zuzannie przypadkiem nie udało się odkryć czegoś zadziwiającego.

- A co by to miało takiego być? - Przeczesał palcami jej włosy. Boże, były takie miękkie i jedwabiste. Nigdy nie znudzi mu się zapach jej włosów ani słodka woń jej ciała.

- To, iż być może mężczyzna potrafi być szczęśliwy z jedną kobietą. - Przerwała, zerkając na niego, by sprawdzić, czy się nie roześmieje.

Ale Augustus się nie śmiał. Wielka dłoń nadal gładziła jej włosy. Oparła mocniej głowę na jego dłoni.

- I że kobieta potrafi być szczęśliwa z jednym mężczyzną.

Także i teraz Augustus się nie roześmiał. Jego druga dłoń zaczęła gładzić satynowy peniuar Charlotty.

- Dlaczego nie miałoby to być czymś naturalnym? - zapytał, całując ją.

- Sama nie wiem. Po prostu to coś zupełnie odmiennego od tego, jak sama żyłam i jak nauczyłam się postrzegać siebie i innych.

Augustus przyciągnął ją do siebie. Nie pocałował jej jednak namiętnie, lecz tylko przytulił tak,

jak tuli się dziecko, chcąc je pocieszyć. - Los dał mi ciebie, moja piękna Charlotta - powiedział z twarzą wtuloną w jej włosy - i trudno mi sobie wyobrazić większe szczęście, niż spędzić z tobą resztę życia. Może mogłabyś się nad tym zastanowić.

- Może - odparła, unosząc twarz do pocałunku. Kiedy się całowali, usłyszała dobiegające zza okna pokrzykiwania gondolierów. Wenecja budziła się do życia. Odgłos fal, uderzających o pale brzmiał niczym najdelikatniejsza muzyka, a pocałunek smakował wspaniale. Był niczym powrót do domu.